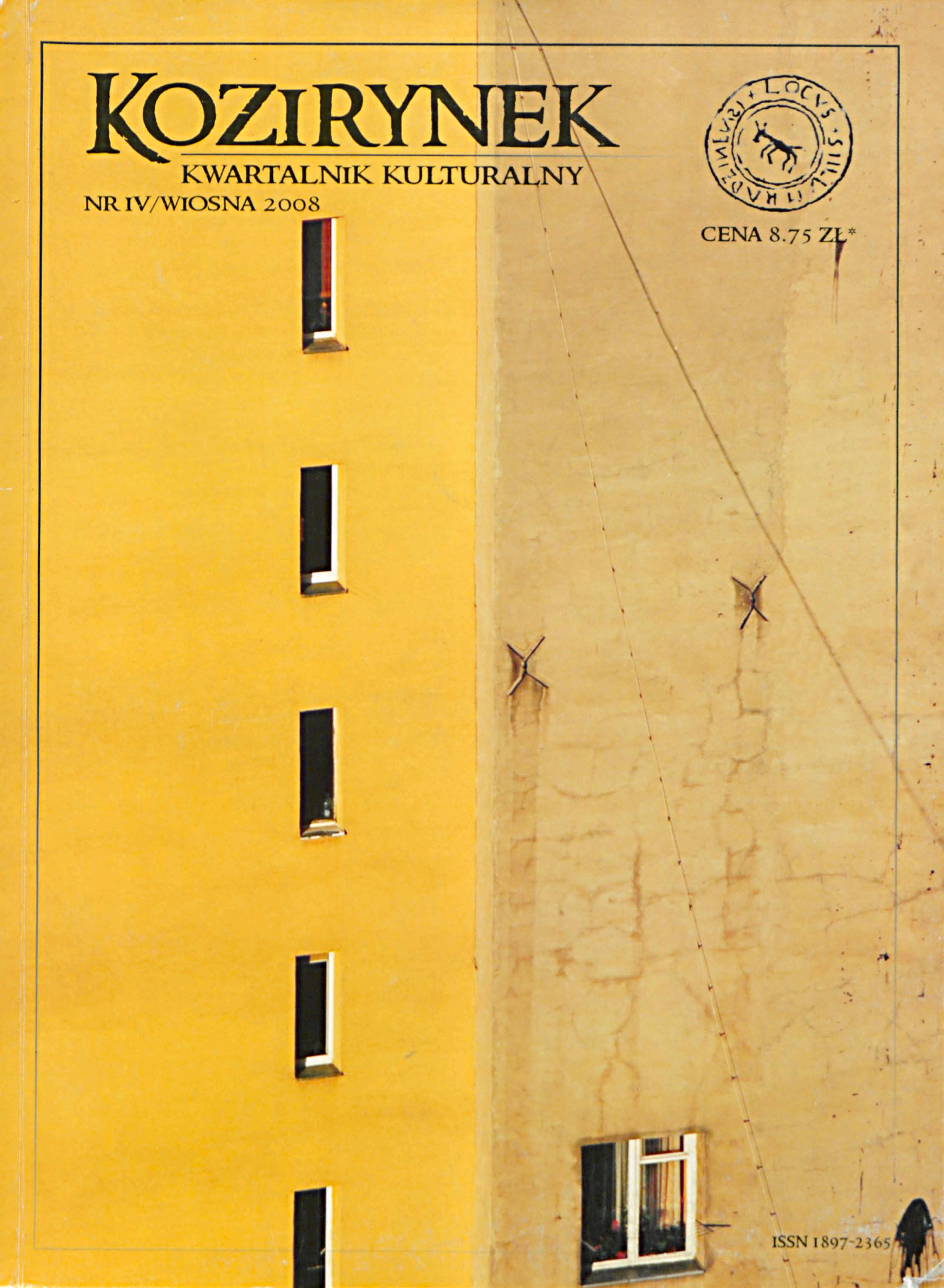
KOZIRYNEK

KWARTALNIK KULTURALNY

NR IV/WIOSNA 2008

CENA 8.75 ZŁ*



ISSN 1897-2365

Od Redakcji

"Ech, żizń..."

Jesteśmy „Ludźmi Wschodu". Ani się tego nie wstydzimy, ani nam z tym dobrze. Rozdwojeni między tym co w nas białoruskie a tym co w nas francuskie, z przewagi białoruskiego dobrze zdający sobie sprawę, żyjemy pomalutku, wzdychając czasami „Ech, żizń...". Odważni konformiści, konformistyczni gieroje, wolni najmici.
W tym numerze „Koziegorynku", którego hasłem jest tytułowe bizantyjskie westchnienie, sporo o tym rozdwojeniu. Rozpoczyna białoruska kapela rockowa H.P.M. (po naszemu N.R.M. Niezależna Republika Marzeń):

MIENSK i MIŃSK

Drodzy miejscowi i goście stolicy,
Chciałbym się z wami podzielić myślami.
Przejdę do rzeczy: choć to dziwnie zabrzmi,
Wszyscy tu mamy rozdwojenie jaźni.

My tu żyjemy jak w dwóch różnych miastach.
To rozdwojenie czaszki nam rozsadza.
Chyba się nigdy nie zszyje, nie sklei
W całość dwóch stolic - MIENSKA, no i MIŃSKA.

MIENSK jest ważniejszy, choć go nie zobaczysz
Na żadnej mapie. Żyje w sercach, w głowach
Tych, którzy w MIŃSKU są zameldowani.

Pałac Lodowy, parkan betonowy,
Cienie upiorne zrujnowanych domów,
Dzieciństwa mego dni co przeminęły.

MIŃSK ma ulice, nazwy niewesołe:
Jest Kolektywna, jest też i Bazowa.
Poprawny naród, który nimi chodzi,
Zapewnia władzy wykonanie planu.

A MIENSK jest inny. Spacerując po nim
Widzisz witryny maleńkich sklepików,
Gotyckie wieże kościołów sprzed wieków,
Dachówki, bruki, pałace i mury.

W MIŃSKU się wszystko miesza: chleb i maca,
Wielki Październik, swojska Radaunica,
I łza pijana z muzyczną tandetą,
Po której musisz brać lek na żołądek.

Z MIENSKIEM się nie da niczego zwojować,
Ani zrujnować, ani go zagarnąć.
Twój MIENSK się nigdy nie spali, nie zgnije.
I twoją mową z tobą porozmawia.

Przekład Ilona Pękała, Adam Świć

Miejska Biblioteka Publiczna
w Białej Podlaskiej
DZIAŁ INFORMACJI, BIBLIOGRAFII
I WIEDZY O REGIONIE
ul. Warszawska 12a
21-500 Biała Podlaska
tel. (083) 343-61-11

Temat przewodni kolejnej odsłony (LATO 2008) to PRZYJACIELE

KOZIRYNEK

KWARTALNIK KULTURALNY

NR IV/WIOSNA 2008

FELIETONY

Włodzimierz Kowalik, Dariusz Magier, Adam Świć, Adam Wielomski



NA CENZUROWANYM

Pisma "Exit", Przegląd filozoficzno - literacki", "Secesja", "Teuburg Post"; nowe tomiki Elżbiety Cichli-Czarniawskiej, Z. Marka Piechockiego; aforyzmy Andrzeja Coryella; książki Mirosława Pisarkiewicza, Jerzego R. Krzyżanowskiego; płyta Lemko Tower



ESEJE

Klaudia Bączyk, Bogdan Bosko, Jakub Hapka, Izabela Koczkodaj, Arkadiusz Kulpa



CHIMERA (WIECZNIE ŻYWA)

Oczy. Włosy. Usta.



OPOWIADANIA

Andrzej W. Wodziński, Valdens, Barbara Medajska, Jerzy Reuter, Grzegorz Żak



REPORTAŻ

Sylwia Puchalik



POWIEŚĆ

Andrzej Wielecki



MINIATURY

Adam Czajczyk, Justyna Pałka, Tomasz Rolko, Andrzej Wilbik January Witkowski



PREZENTACJE

Marianna Bocian, Tomasz Młynarczyk



KOZIE ECHA

Leszek Sokołowski o Białorusi; Przemysław Krupski o ulicach poetyckich w Zamościu



WIERSZE

Jakub Antolak, Axis Art Project, Ewa Bajkowska, x. Józef Baka, Aneta Bester, Piotr Binkowski, Wiesław Bołtryk, Józef Budziński, Joanna Bukowska, Jan Henryk Cichosz, Rafał Derda, Marcin Dydyna, Karl Grenzler, Sabina Kristin Hedström, Weronika Jędrzejczak, Igor Kochanowskij, Izabela Koczkodaj, Robert Konca, Ewa Korczyńska, Odys Korczyński, Ryszard Kornacki, Daniel Kowalczyk, Maria Kryńska - Szostak, Krzysztof Kwoczko, Kazimierz Linda, Robert Marcinkowski, Anna Nogaj, Małgorzata Osak, Kamila Pawluś, Danuta Perier - Berska, Zygmunt Marek Piechocki, Jacek Piotrowski, Mirosław Pisarkiewicz, Marzena Podkościelna, Artur Rogalski, Aleksander Rozenfeld, Aleksander Shaul Rozenfeld, Natalia Rusiecka, Zbigniew Strzałkowski, Leszek Sokołowski, Mariusz Sokołowski, Wojciech Szmigoń, Oskar Szwabowski, Paweł Szwed, Mateusz Wieczorek, Władimir Wysocki, Alicja Zemanek, Lidia Żukowska, Małgorzata Żurecka

ZDJĘCIA

Joanna Bukowska, Dariusz Dorosz, Grażyna Hankiewicz, Dariusz Hankiewicz, Marek Jawoszek, Mirosław Koczkodaj, Przemysław Krupski, Tomasz Młynarczyk, Ilona Pękała, Erwin Policha, Agata Salwa, Paweł Żochowski

KOZIRYNEK

KWARTALNIK KULTURALNY

Redaguje zespół

Mariusz Bober (promocja)
Przemysław Krupski (skład)
Dariusz Magier (proza)
Adam Świć (poezja)

Kontakt

kozirynek@rasil.home.pl
www.kozirynek.pl

Wydawca

Radzyńskie Stowarzyszenie Inicjatyw Lokalnych
Konfraternia Kozirynek
ul. Rynek 9
21-300 Radzyń Podlaski
www.rasil.home.pl

Zdjęcia

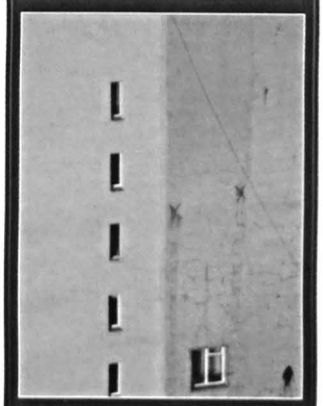
© Radzyński Klub Fotograficzny „Klatka"
www.rkf-klatka.art.pl

ISSN 1897-2365

Druk

AWA-DRUK
Tel. (083) 352 25 91

Tekstów nie zamówionych nie zwracamy. Zastrzegamy sobie prawo do skrótów tekstów prozatorskich i zmian tytułów.



Fot. na okładce
Dariusz Hankiewicz

Miniatura na tylnej okładce:
Cesarz Arnulf z Karyntii.
Miniatura z XI w.


Fuerno



Tomasz Młynarczyk



WŁODZIMIERZ KOWALIK

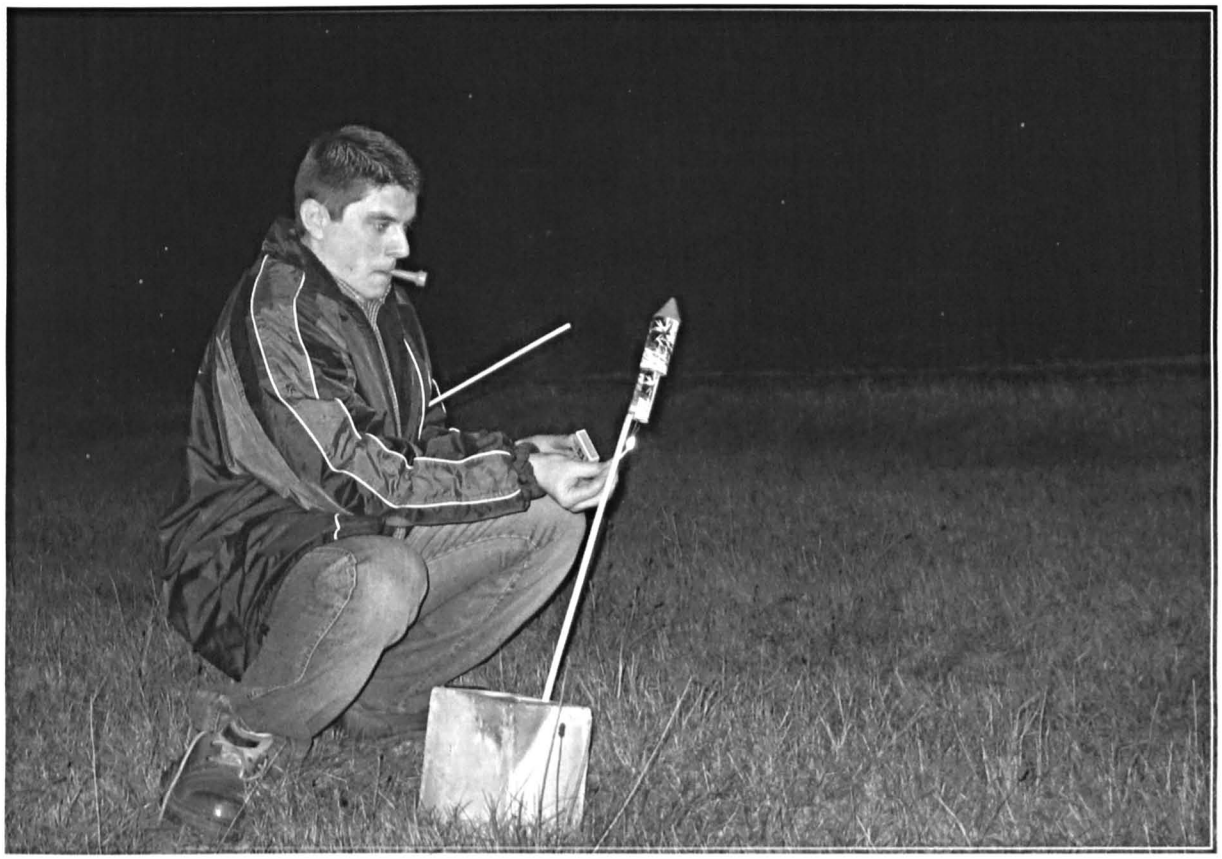
SPOKOJNIE, TO TYLKO TEORIA

IM GORZEJ TYM LEPIEJ - STRACONY MANIFEST

Po co na zapadłym Podlasiu pisać o wolnym rynku, skoro cały Wschód jak kania dżdżu pożąda dotacji, żeby za jej pomocą „wydobyć się z cywilizacyjnej zapaści"? Rozumiejącym nie trzeba tłumaczyć, że to, co widać, choćby hale sportowe czy baseny, to tylko pół prawdy, bo drugie pół, będąc tak samo realne, tyleż jest groźniejsze skoro niewidoczne. Osobom upatrującym cywilizacyjnego postępu w dotowanych remontach „substancji materialnej" czy w dotowanej kulturze niczego doprawdy wytłumaczyć nie sposób. Otóż ja piszę, żeby mieć alibi. Kiedy mój syn, za kilkanaście lat, będzie przechodził młodzieńczy okres kontestacji „wszystkiego", czyli w jego wypadku skrajnej zależności wszystkich dziedzin życia, zarówno gospodarczego jak i prywatnego, od biurokracji, chcę mu powiedzieć: „przepraszam Synku, ale ja byłem przeciw". No więc teraz jest moment „bycia przeciw" radosnemu wyzbywaniu się samodzielności ekonomicznej, suwerenności politycznej i własnej tożsamości kulturalnej, któremu tak ochoczo się oddajemy.

Jestem zwolennikiem tezy, że prawda jest rzeczą banalną i powszednią. Prawda jest po prostu własnością niektórych zdań a nie hasłem w encyklopedii pod literą „p", choć właśnie to drugie przekonanie jest powszechnie przyjęte w kulturze, polityce i - o zgrozo - nawet w wymiernej nauce ekonomii. We wszystkich tych dziedzinach króluje bełkot lub nonsens, co jest nieuniknione, gdy dobre (lub jakiekolwiek nawet) intencje zastępują prawdę. Prawdą zweryfikowaną przez rozwój zachodniej Christianitas i sfalsyfikowaną (jak najbardziej w sensie popperowskim) przez inne cywilizacje jest prawda o podmiotowości człowieka, czy - jak mówi współczesny personalizm - prawda o jego osobowej nieudzielalności. Należy ją rozumieć jako pozbawioną precedensu indywidualność czyjegoś istnienia. Przeciwieństwo tego, co powszechne i ogólne, co udzielane jest przez naturę w akcie rodzenia, co jako takie przysługuje całemu gatunkowi. Prawdę tą można zanegować i światowe dziejopisarstwo składa się niemal w całości z opisów takich negacji. Wszystkie historyczne cywilizacje budowały swe istnienie na przemocy podporządkowującej to co indywidualne powszechnemu. Prawdziwą cywilizację buduje tylko w pełni osobowe działanie. Ponieważ byt osobowy jest nieudzielalny, nie da się jego działania zastąpić czymś innym. Wszędzie tam, gdzie rozumna wolność jednostki jest zastępowana przez jakiś aprioryczny projekt, czy instytucjonalną strukturę, pojawiają się negatywne tego konsekwencje.

Przymus polityczny jest ze swej istoty takim wyłączeniem i widzimy jego skutki szczególnie wyraźnie tam, gdzie jest on całkowity np. w dziedzinie polityki pieniężnej, która w naszych czasach jest wyłączną domeną państwa, czyli monolopu na przemoc. Ekonomia uczy, że monopol w dowolnej dziedzinie ludzkiego działania skutkuje produktem drogim i niskiej jakości. I każdy widzi, że pieniądz państwowy jest coraz droższy i jednocześnie coraz gorszy (o mniejszej sile nabywczej), czego dowodzi zjawisko inflacji. Zjawisko takie nie występowało w systemie gospodarczym opartym na pieniądzu rynkowym, tzn. na pieniądzu, którego wartość wypływała z wartościowań dokonywanych przez poszczególne działające osoby a nie z odgórnej decyzji administracyjnej. Przyczyną jego występowania jest niemożliwość pominięcia nieudzielalnych działań poszczególnych osób w dziedzinie gospodarczej, gdyż gospodarka to przecież nic innego jak ludzkie działanie. U podstaw monopolu pieniężnego leży natomiast przekonanie, że wartościowania dokonywane przez poszczególne osoby, a ostatecznie również same te osoby da się sprowadzić do jakiegoś „wspólnego miano-



Paweł Żochowski

wnika", którym jest już to „dobro powszechne", już to „narodowość", „klasa" czy też „wspólny interes". Czyli do jakiegoś powszechnika, którym człowiek ostatecznie jest. Wiara we wspólne dobra gospodarcze jest oparta na nieporozumieniu (albo, jak kto woli, manipulacji), które sprowadza się do nieujawniania lub nieuświadamiania sobie przyjętego ostatecznie drzewa kategorii. W opisywanym tu przypadku brak jest kategorii substancji (indywiduum). Ponieważ podobne dyrdymały filozoficzne nie zaprzątają już naszego życia społecznego, jesteśmy zdani na manipulacje zamiast „jałowych sporów". Nie wyjaśniając mechanizmu manipulacji można go jednak zdemaskować za pomocą ustaleń właściwej dziedziny nauki w tym wypadku ekonomii.

Wartość rynkową ma tylko dobro rzadkie, a dobrem wspólnym może być jedynie dobro powszechne, czyli takie, którego wszędzie jest pełno, w nadmiarze, jak choćby powietrza, którym oddychamy. A tego, co rzadkie, nie może być pełno. Wynika z tego, że dobrami wspólnymi rynek się po prostu nie interesuje. Zatem rząd ingerując gospodarczo, czyni to zawsze mając na uwadze jakąś bieżącą korzyść, a nie dobro całości (czyli rynku). Od razu rodzi się pytanie, dlaczego tą korzyść a nie inną? Niestety nie ma żadnej odpowiedzi, ponieważ hierarchia wartości dóbr rynkowych jest czysto subiektywna. Znaczy to, że jedynie ja wiem, co jest przeze mnie pożądane w danym momencie i jak bardzo. Taka jest zresztą natura samej wymiany. Jeżeli kupuję w sklepie chleb za 1,20 zł to daję tym do zrozumienia, że wolę ten chleb niż moje 1,20 zł. Sprzedawca woli oczywiście na odwrót. Inaczej do żadnej wymiany by nie doszło. Stałbym w sklepie jak osioł, któremu w żłobie dano. I sianko dobre i owies nie do pogardzenia. Żeby żyć muszę wybierać. Naturalnie, gdy już kupiłem chleb, na wartość kolejnego bochenka (obiektywnie identycznego z poprzednim) będę zapatrywał się radykalnie inaczej: kolejny

bochenek nie będzie mi po prostu tak potrzebny jak pierwszy. Jak podobną kalkulację ma przeprowadzić rząd? Które chcenie wziąć jako wzorcowe: moje czy sprzedawcy chleba? Z teorii klas wiadomo, że orzekanie tego samego o różnych klasach logicznych (np. o klasie jednostek i klasie właściwości) prowadzi do nonsensu. Rzecz jest niewykonalna. Mego chcenia nie da się wyrazić poprzez chcenie innego. Nie ma również żadnego „wzorcowego chcenia". To dlatego, że chcenie jest sposobem działania nieudzielalnej osoby a nie emanacją jakiejś powszechnej woli. Będąc zaś emanacją osoby nosi w sobie nieudzielalność jej istnienia.

Oznacza to, że z jednostkowego punktu widzenia jakakolwiek interwencja gospodarcza jest całkowicie arbitralna tzn. może być korzystna, obojętna jak i niszcząca. Byłoby jeszcze całkiem nieźle, gdyby nie fakt, że przymus osłabia regulacyjną rolę wolnej wymiany, gdyż zmusza każdego do wyrażenia jego chcenia w nie jego kategoriach. Na skutek tego uczestnicy rynku dezinformują się nawzajem, co do swych rzeczywistych preferencji, potrzeb i zasobów. Zamiast swobodnej regulacji pojawia się odgórna redystrybucja. Jak wiadomo monopol pieniężny państwa umożliwia mu prowadzenie polityki monetarnej. Nieprawdą jest, ugruntowane w klasycznej szkole ekonomii przekonanie, że szkodliwa jest jedynie inflacyjna polityka monetarna a polityka nieinflacyjna (cokolwiek to znaczy) np. naszego Balcerowicza jest dla gospodarki zbawienna. Szkodliwa jest każda polityka monetarna, na tej samej zasadzie, dla której szkodliwy jest jakikolwiek monopol. Na pierwszy plan powodowanych przez nią nieszczęść wysuwa się zjawisko cyklu koniunkturalnego. Rzecz nieznana gospodarce doby pieniądza rynkowego. Wiele osób może podziękować rządowi, że ich narodziny, podjęcie pracy zawodowej, założenie rodziny, czy inne ważne życiowo decyzje, musiały odbywać się w dobie tzw. recesji albo, co gorsza, być odkładane z powodu recesji. Każdy rząd ma niedowład i sklerozę, więc wyrazy wdzięczności przyjmie, zadowolony, że jego troska o wspólne dobro przynosi tak znakomite efekty. Niewątpliwie rządowi i jego kooperantom przynosi. Wykreowany przez bank centralny kredyt zanim podniesie ceny na rynku, jest wykorzystywany przez system bankowy, sektor finansowy i tych inwestorów, którzy dostatecznie wcześnie byli odpowiednio poinformowani. Nie dziwi liczna wśród nich reprezentacja osób z kręgu władzy. Za gospodarczą prosperity płaci natomiast koniec rynkowego peletonu. Najwięcej ludzie o tzw. stałych dochodach tj. pracownicy najemni i „budżetówka", którzy dodatkową pracą muszą pokryć wzrost cen. Kradzież pracy dokonywana przez rząd na skutek polityki monetarnej jest widoczna dla każdego. Zgodnie z prawem rynku, gdy rośnie podaż towarów, to ich ceny spadają. Otóż wydajność pracy w ciągu ostatnich kilkunastu dekad wzrosła w sposób bezprecedensowy (np. w rolnictwie kilkadziesiąt razy), towarów jest w brud, powinny być zatem śmiesznie tanie. A jednak ich ceny stale rosną! Oznacza to jedno: ktoś manipuluje wartością pieniądza.

Opisany stan rzeczy stał się już treścią powszechnej świadomości w postaci przekonania, że rynek jest grą o sumie zerowej, czyli że każdy zysk jest zawsze skorelowany z czyjąś stratą. Ten demoralizujący pogląd, często absurdalnie wysuwany, jako zarzut przeciwko rynkowi, jest w istocie pokłosiem etatystycznego zgorszenia. Jedynym kryterium oceny działania jest jego zgodność z zamierzonym przez działającego celem. Skoro zatem o efekcie działania decyduje ostatecznie instytucjonalna przemoc, a nie działanie jednostek oczywistym staje się wniosek, że „wojna jest tylko przedłużeniem polityki, realizowanej za pomocą innych środków". I tym wypadku siejący wiatr zbiera burzę.

Doprawdy zdumiewająca jest ta współczesna niewiara w oczywistą, zdawałoby się, egzystencjalną odrębność osób ludzkich sprzężona z przekonaniem o czysto gatunkowej istocie człowieka. Istotę człowieka miałby realizować Naród, a to znowu Państwo, albo ostatnio Wolności Obywatelskie czy

wręcz Prawa Mniejszości. Te byty są oczywiście realne, ale nie są ogólne. Naród to zespół jednostek (różnych bytów) powiązanych różnymi relacjami a nie jeden byt, i ten sam byt, którego wszystkie składniki mają jednakowe i te same cechy, czy relacje. Każdy członek narodu nosi majtki, ale to nie znaczy, że naród nosi majtki, ani że którekolwiek majtki są w jakimkolwiek sensie komukolwiek wspólne. Państwo to z kolei instytucjonalny twór ludzkich działań podobnie jak naród nie mający żadnego pozajednostkowego bytu. Podobnie również żadne prawa nie istnieją w oderwaniu od jednostek. Dawniej prawda o osobowej nieudzielalności człowieka była społecznie akceptowana poprzez przyjęcie dogmatyki katolickiej. Dogmat o świętych obcowaniu pouczał, że modlitwa wstawiennicza może być wysłuchana. Tym samym głosił, że dla przełamania nieudzielalności bytu ludzkiego potrzeba nadprzyrodzonej interwencji. W przeciwieństwie do tego my cierpimy na „nieznośną lekkość bytu". Przywykliśmy twierdzić, że w istocie rzeczywistość (np. ekonomiczna w postaci rynku) to tylko konstrukcja teoretyczna, bo niczego poza własnymi myślami nie znamy. W konsekwencji realnie mamy do czynienia z własnymi projektami, zależnymi od naszej woli. Tej popularnej mantrze zaprzeczają fakty regularnych kryzysów gospodarczych, do autorstwa których jakoś nikt się nie poczuwa. Recesja to nic innego, jak dowód na istnienie konkretnej rzeczywistości jednostek, reakcja rynku na ekonomiczne projekty. Negowanie tego ma tyle samo sensu, co twierdzenie, że skoro balon leci, a cegła spada, to widocznie balon nie podlega prawom fizyki.

Zatem pełni apokaliptycznego optymizmu powitajmy zbliżający się kryzys, który przywraca nas rzeczywistości a rzeczywistość nam. „Jaka piękna tragedia!"



DANUTA PERIER - BERSKA

Czarownica

Dla ciebie
serce z piernika
wypiekane
całymi latami,
napis z różowego
lukru
dosładzany
oddechem.

Dla ciebie
nocne wypady
na Łysą Górę
po magię miłości.

Dla ciebie
zostałam czarownicą.

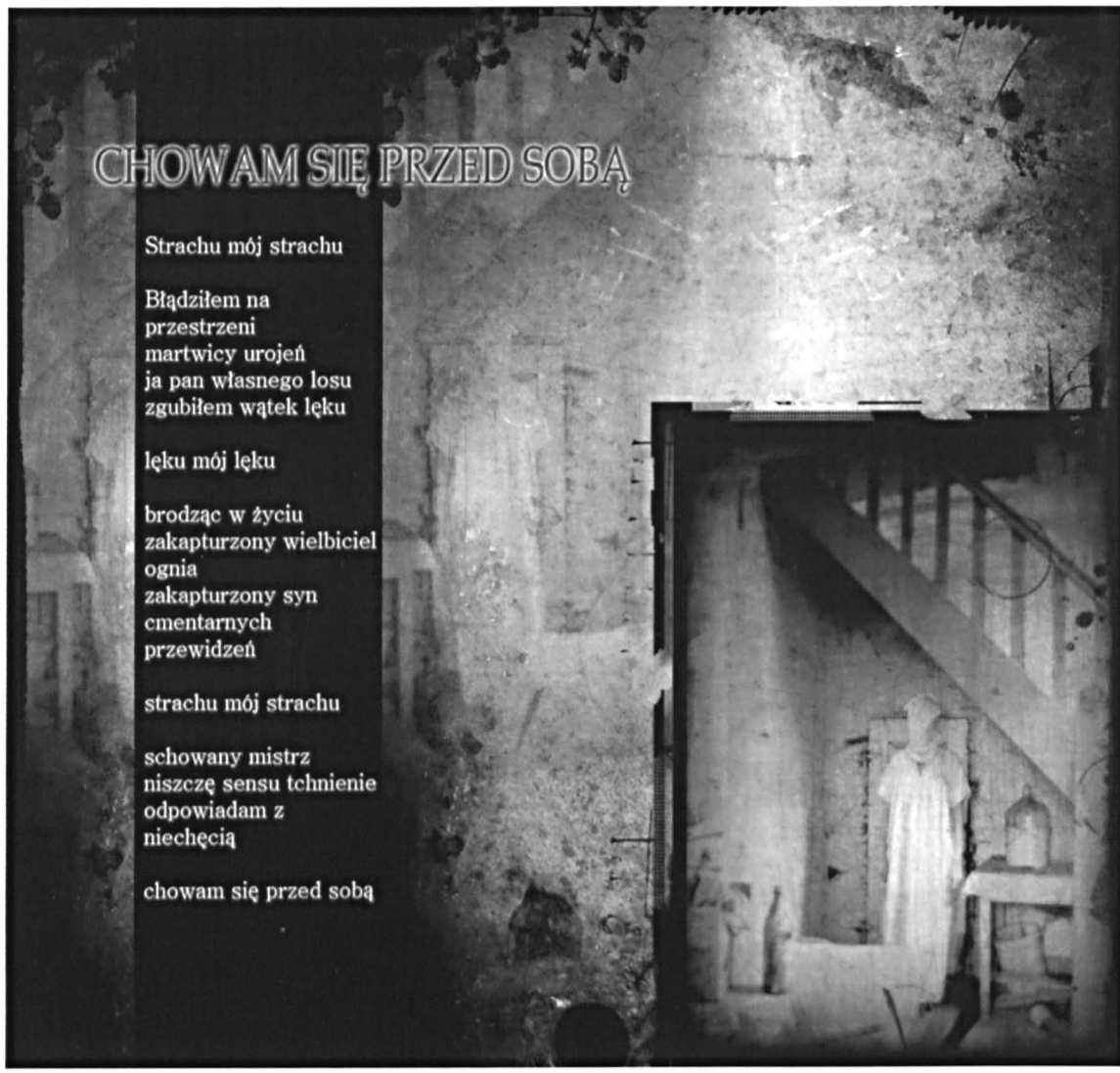
Smutek

Pod paznokciami
pomalowanymi
różowym lakierem
- ukryłam ziarenko smutku.

Nikt nie musi
znać prawdy gdy
podaje mi rękę.

Książka

Pocałunkami
pisać będę
na twojej skórze.
Na włosach postawię
kolorowe znaki zapytania.
Noc brajlem je odczyta.



Axis Art Project



ANETA BESTER

* * *

(Julii)

lgniesz do mojego łona
jakbyś tęskniła za jakąś tajemnicą,
którą tam widziałaś
a przedwcześnie wydana temu światu
straciłaś ją choć była tylko Twoja

przez cienką powłokę brzucha
sprawdzasz małą piąstką
czy owy sekret aby nadal trwa

i trzymasz kurczowo przy piersi
seledyn jedwabnej koszuli
przyswajając typowym odruchem ssaka
jej nieskazitelną gładkość

pod powieką Twojego snu
niby beztroskie szczęście
a jednak grzejesz małe stópki
pomiędzy moimi łydkami
jakbyś wiedziała, że w życiu
trzeba mocno stać na własnych nogach

* * *

taka w nas zima tej wiosny
choć sakrament cichego t a k
wciąż lśni na zmarzniętych rękach

tętniąca rytmicznie żyłka
w zgięciu serdecznego palca mówi,
że jednak żyć trzeba
tej naszej miłości

proszę, znajdź dla nas
rękawiczki



PAWEŁ SZWED

uroczystość

blondynka przy tuszy
o wydatnych piersiach
i grubych udach
przedstawia amantowi
swe łóżkowe preferencje
skulony nad kuflem małolat
bo jednak piwo kupił
rzężenie frustratów
i polityczna maligna
gówno mnie to obchodzi
czczę któreś tam urodziny
milenijnym rozczarowaniem

sczłowieczony dogmat

zmartwychwstał Chrystus
więc pijmy i pijmy
zmartwychwstał Chrystus
więc jedzmy i jedzmy
zmartwychwstał Chrystus
więc śpijmy i śpijmy
kolejne deszczowe święta
pijemy i pijemy
a Chrystus zmartwychwstał
jemy i jemy
a Chrystus zmartwychwstał
śpimy i śpimy
a Chrystus zmartwychwstał
wyciągam z tłumu
zerwany medalik
i tylko jakiś troskliwy ojciec
stojąc z dzieckiem na chodniku
podnosi do góry rękę
pokazując mu
samolot



DARIUSZ MAGIER

OFFLINE

KDWADRYPTYK ORNITOLOGICZNY

Bocian

W ogrodzie zaprzyjaźnionej knajpy właściciele, na pobliskim drzewie, umieścili bocianie gniazdo i parę sztuczny ptaków stojących weń. W ogóle całe otoczenie świadczy, że lubią co nieco rustyki w swoim życiu. Przeboleję. Traf chciał, że chłodząc się pienistym, zimnym napojem w upalne popołudnie kątem oka przyuważyłem jakiś ruch przy gnieździe. Oto, obok pary ptasich modeli, wylądował prawdziwy przedstawiciel bocianiego rodu. Wylądował... i pozostał zajmując się zwykłymi dla bocianów czynnościami. Ot, jeszcze jedna ciekawa historyjka z życia fauny, pomyślałem i zająłem się własnymi sprawami.

Jednakże to dopiero połowa opowieści. Otóż, gdy zagaiłem do barmanki, że powiększył się im bociani inwentarz, odrzekła, że wie, bo ptak przyleciał już kilka dni temu, zadomowił się i zaczął nawet przerabiać gniazdo na swoją modłę. I wówczas ogarnęła mnie cała przeraźliwa prawda. Oto biedne ptaszysko, skołowane atrapami postaci swego gatunku, zaadoptowało je najwidoczniej i postanowiło wieść z nimi dalszy żywot. Najprawdziwsza alegoria sztuczności egzystencji, jaką coraz częściej wybierają dziś również ludzie.

Niechęć przed dojrzewaniem (umysłowym), usamodzielnianiem się, odpowiedzialnością, życie w rówieśniczych grupach, niezobowiązujących, partnerskich związkach, wirtualnych światach, których efektem są 30-40-letnie dzieci, licytujące się np. najnowszymi gadżetami technologicznymi, samochodami, sprzętem komputerowym, sportami ekstremalnymi. Znajoma pokazywała mi zdjęcie licznika samochodowego przekraczającego 230 km/h, które kolega (42-latek) przesłał na jej telefon komórkowy. Oczami wyobraźni widzę, jak rozgorączkowany dusi pedał gazu swego lexusa, by następnie celować okiem obiektywu aparatu telefonicznego za 3 tys. złotych w pomarańczowo podświetloną tablicę rozdzielczą, a potem szybko wysłać ememesa do wszystkich znajomych. Ucieczka od dorosłości. Można ludziom, można i bocianowi. Szkoda tylko, że małych bocianiątek z tego nie będzie.

Bocian. Destrukcja

Nie przypuszczałem, że ta historia będzie miała swoją kontynuację. Okazało się, że szczęśliwy „trójkąt" naszego ptasiora z parą sztucznych ptaków przetrwał niewiele ponad 4 miesiące. Siedząc z trójką przyjaciół na tarasie naszego ulubionego lokalu i sącząc pienisty napój patrzyliśmy na zrujnowane gniazdo. Oto jedna z udających bociana atrap była wyraźnie nadwerężona fizycznie, a druga - nienaturalnie wygięta - zwisała smętnie z gniazda. „Tak to jest związać się z plastikową dziewczyną" - powiedział jeden z mych towarzyszy, ale jakoś nie było nam do śmiechu. W zadumie spozieraliśmy na jeden z etapów procesu destrukcji gniazda. Nie ulegało wątpliwości, że w tym domu nie działo się najlepiej: związek nabrał wyraźnie toksycznego charakteru. Ta wypaczona (bo trójpodmiotowa) najmniejsza komórka ptasiej społeczności najwyraźniej była w rozkładzie. A głowa domu wciąż nie przybywała.

Przyleciał już po zachodzie słońca. Jakoś niepewnie, bez energii, bez dawnej werwy i bez żaby w dziobie. Stanął w gnieździe, zaczął się rozpychać - niby to nie mając wystarczającego miejsca dla siebie - potem począł zadawać ciosy mocnym dziobem to jednemu, to drugiemu ptakowi. Zmrok zakrył gniazdo zasłoną nocy...

Czegoś tam zabrakło. Czegoś, czego brakuje również tysiącom podobnych związków ludzkich, które po kilkunastu miesiącach

wspólnego życia rozpadają się, bo stron nie łączy już nic poza kilkoma „fajnymi" wspomnieniami. Został skonsumowany zanim tak naprawdę zaistniał. Spalił się. Od początku był skazany na porażkę. Kryzysy przychodzą bowiem zawsze, o ile jednak związki zawarte w Bożym obliczu i zgodnie Bożym prawem mają szansę się im oprzeć, urzędowe czy prywatne umowy nie posiadają wystarczającej mocy jednoczącej. Wygoda, która leżała u ich źródeł staje się również ich katem.

Bocian. Upadek

Koniec okazał się przewidywalny. Po dwóch tygodniach, gdy odwiedziłem lokal, gniazdo zastałem już puste. Nie było w nim ani plastikowych ani żywych bocianów. Zapewne ekscesy ptasiej rodzinki przekroczyły wytrzymałość właścicieli, którzy ruszyli do akcji. Zupełnie jak w słuchowisku „Kocham Pana, Panie Sułku" - gajowy Marucha zdenerwował się i wyrzucił bałaganiarzy z lasu.

I my nie liczmy na pobłażliwość; na to, że nasze dobre na dziś wybory pójdą w zapomnienie. Na to, że jutro obudzimy się z czystym kontem życiowym i zaczniemy wszystko od początku. Na to, że dom (związek) zbudowany na piasku (wygodzie i chuci) przetrwa dłużej niż do pierwszego życiowego tornada, które niewątpliwie nadejdzie. A potem już tylko to co nastąpić musi.

Zawsze bowiem jest ponad nami ów metaforyczny gajowy Marucha, *jest ktoś, kto wszystko lepiej wie* - jak pisał i śpiewał Jacek Musiatowicz. A'propos tego ostatniego, zapadła mi w głowie jedna sytuacja z jego udziałem: stolik w podłej knajpie, przy nim Jacek, ja i jeszcze jeden kolega, dziś znana postać polityczno-medialna. Rozmowa. Jej kontekst nagle porusza barda. *Nie wierzysz w Boga?* - niedowierzająco pyta naszego towarzysza. Tamten odpowiada, że nie. *Bo jesteś głupi* - konstatuje Musiatowicz, nieświadomie powtarzając zdanie noblisty w zakresie chemii Christiana Boehmera Anfinsena. Właśnie, a



Tomasz Młynarczyk

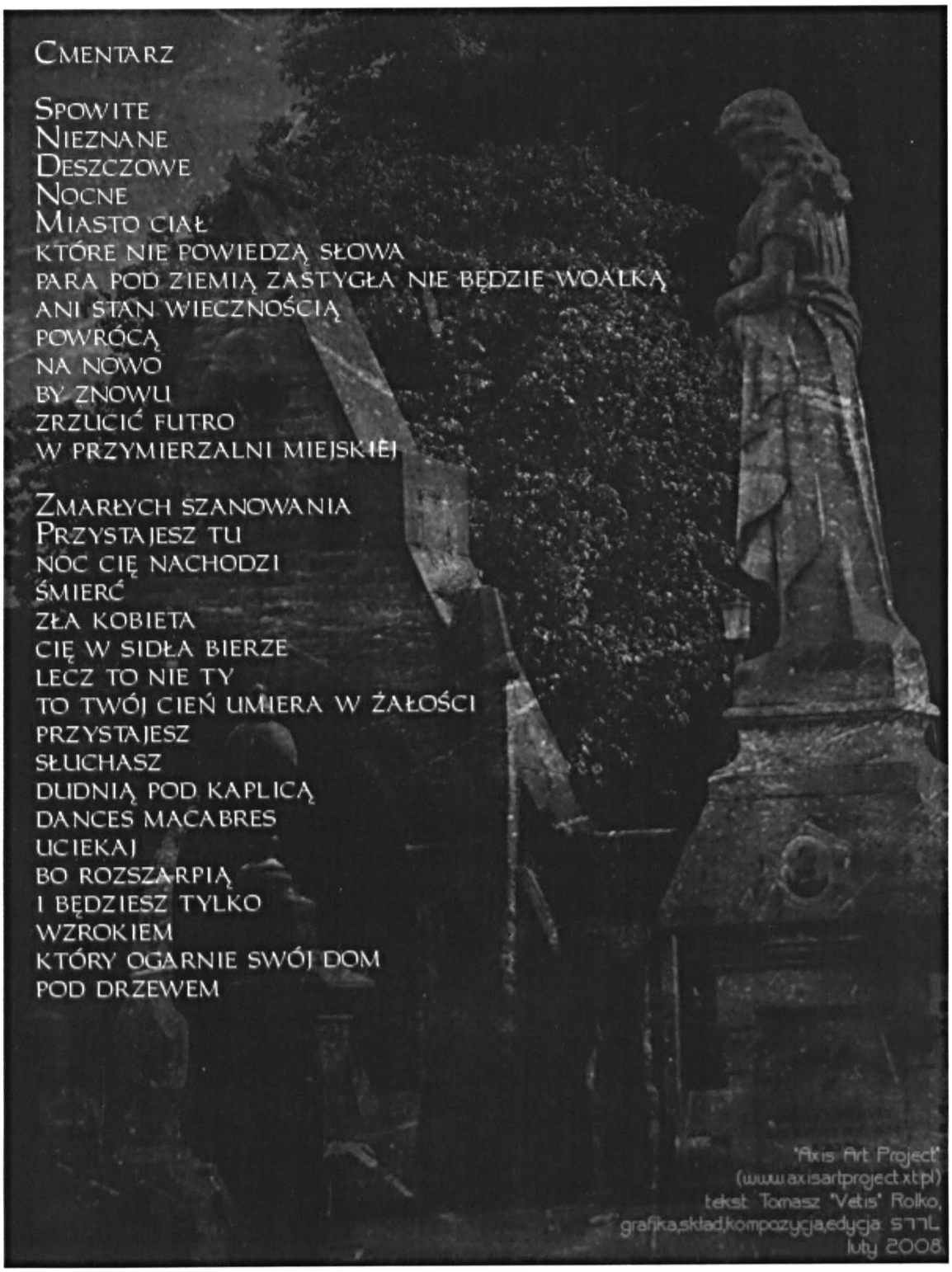
głupich, jak wiadomo, nie sieją. Prokreacja nie wymaga specjalnych uzdolnień.

Bocian. Epilog

I minęła jesień i zima roku następnego. Jakież było moje zadziwienie, gdy w połowie kwietnia na sztucznym gnieździe, przygotowanym ludzką ręką dla sztucznych bocianów przed rokiem, pewnego pogodnego popołudnia ujrzałem naszego znajomego ptaka *po przejściach*. Jak gdyby nigdy nic krzątał się po swoich starych śmieciach, przekładał gałązki, manipulował długim dziobem starając się nadać domostwu wygląd odpowiadający jakiemuś tam bocianiemu gustowi.

Zrozumiałem, gdym spojrzał w górę i dostrzegł drugiego ptaka, cierpliwie kołującego nad gniazdem. Ożesz ty! - mruknąłem. A zatem błędne wybory nie są domeną człowieczą. Ptasi ród również uczy się na błędach i po szaleństwach młodości potrafi ustatkować się i powrócić do normalności. Do tradycji. Do tego co zdrowe, normalne, zwykłe, przynoszące zadowolenie. Do szczęścia.

maj 2007 - kwiecień 2008



Axis Art Project



ARTUR ROGALSKI

***

smukłe figurki kochanków
pochylone ku sobie
w rokokowej wycinance
pod fontanną tryskającą
w pocztówkową noc

krople zmieszane z gwiazdami
rysownik zaznaczał z pietyzmem
każdą innymi odcieniami
bieli

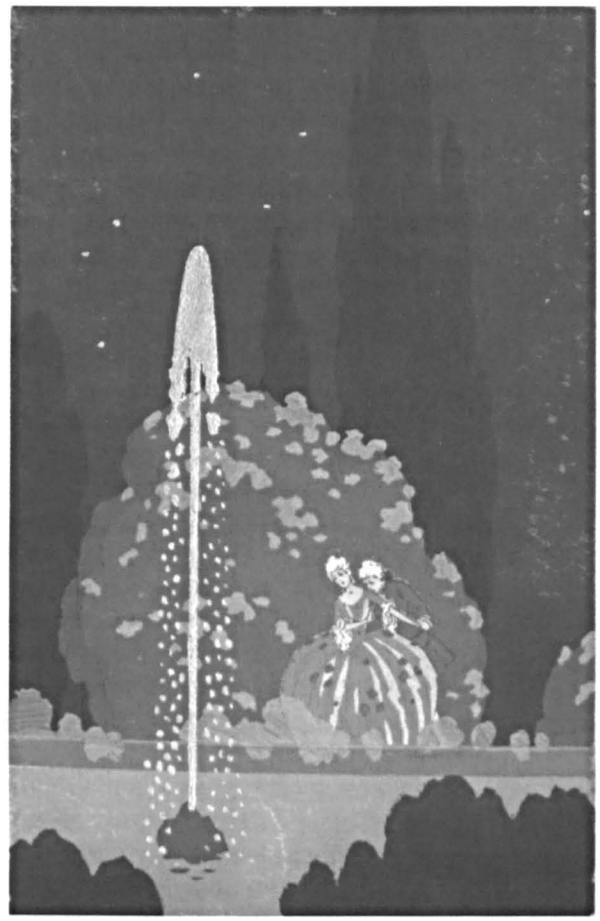
ciekawe czy inne widoczki z tej serii
są powieloną jak odbicie w lustrze
kopią pierwszego
a może autor nie mógł się ustrzec
pokusie zmiany koloru sukni damy
lub barwy stroju kawalera

można sobie wyobrażać
jak ostrożnie dobierał farby
i każdy obrazek szkicował
z tą samą czułością

w rzeczywistości
zapewne było inaczej

zajęty inną już pracą
kończył kolejne beznamiętnie
coraz bardziej znudzony
pozostawiając zabawę uczuciami
stworzonym przez siebie
mieszkańcom rysunku

czy zobaczą
przy kulach bukszpanu
w przestrzeni tła
cień pikowej damy





ADAM ŚWIĆ

WYRWANE MOLOM, CZYLI LEKTURY BEZ SENSU

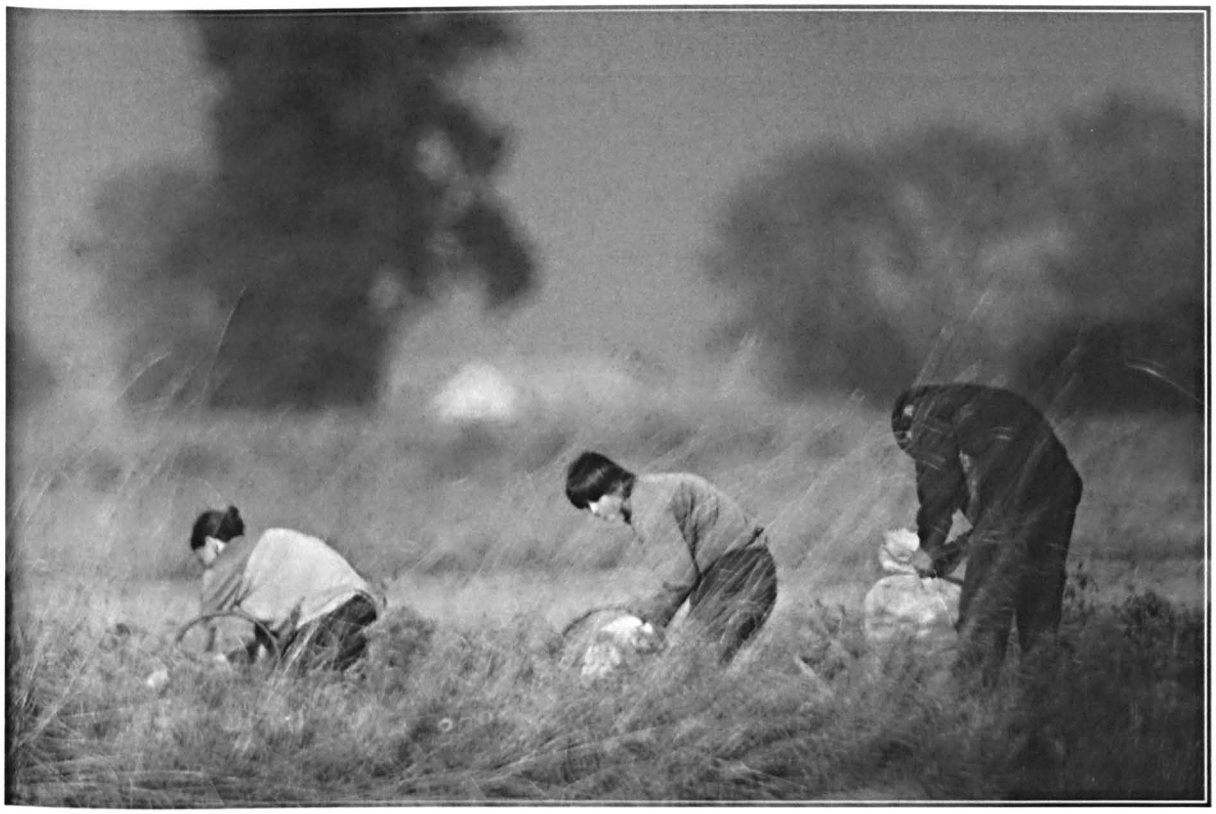
ŻYCIE SEKSUALNE DZIKICH

Książka *Życie seksualne dzikich* Bronisława Malinowskiego działała na wyobraźnię całych pokoleń. Jest to o tyle dziwne, że właściwie nikt jej nie czytał. Jak mniemam, decydującą rolę odgrywał tu wyjątkowo intrygująco brzmiący tytuł rozprawy polskiego profesora antropologii z London School of Economics. Ludzie snuli daleko idące domysły na temat tego, co się może dziać w zielonych alkowach ówczesnej północnozachodniej Melanezji opodal Nowej Gwinei. Wyobrażano sobie Bóg wie co, a okazywało się, że Malinowski to nie erotoman a bardzo solidny naukowiec opisujący miłość, małżeństwo i życie rodzinne krajowców z Wysp Trobrianda, które zaobserwował w czasie ekspedycji odbytej w latach 1914-1918. Fakt jest faktem: dzikość nas fascynuje, a już szczególnie w kontekście erotycznym. Wystarczy przypomnieć jaki wpływ na życie seksualne Polaków miał we wczesnych latach osiemdziesiątych film *Walka o ogień*, który wylansował u nas „prehistoryczną" pozycję współżycia i miał nie mniejszy wpływ na nasz boom demograficzny tamtych czasów niż słynne braki w dostawach energii elektrycznej.

Malinowski (etnolog, socjolog i antropolog, 1884-1942) wprowadził nowy styl pracy terenowej: długotrwałe i głębokie zetknięcie się z badaną społecznością. Do jego czasów dominowała tzw. antropologia „gabinetowa", polegająca zwykle na lekturze i analizie tekstów. Antropolodzy rzadko wypuszczali się w teren, a ich zainteresowania skupiały się zazwyczaj na sprawach szokujących i sensacyjnych, skrajnie odbiegających od norm przyjętych w świecie Zachodu. Nasz rodak potrafił spoglądać na świat oczami tubylców, dzięki czemu umiał uchwycić typowe dla nich sposoby zachowania, myślenia i odczuwania. Szukał nie sensacji ale norm, zwyczajów i powszechnych reguł obowiązujących w trobriandzkiej społeczności. W czasie ekspedycji unikał zamieszkiwania w ośrodkach misyjnych i innych centrach kultury białych, dzieląc codzienność z krajowcami. Dzięki temu świetnie ich poznał, a z niektórymi nawet się zaprzyjaźnił. Poznał też narzecze, respektował lokalne prawa, obyczaje i kanony zachowania. Został stałym fragmentem życia tubylców, w żaden sposób nie zakłócającym funkcjonowania wioski. Pomijał opinie misjonarzy, uważając je za obarczone stereotypami. Starał się też absolutnie odrzucać projektowanie (w znaczeniu psychologicznym) swoich przekonań i wiedzy człowieka cywilizowanego na badaną kulturę. Jest więc *Życie seksualne dzikich* dokumentem solidnym, rzetelnym a także... cholernie nudnym i „akuratnym". Nie dlatego bynajmniej, że życie seksualne Trobriandczyków w początkach XX wieku akuratne było i nudne. Sądzę, że „zawiniła" tu nieco z ducha wiktoriańska angielszczyzna (dzieło powstało w języku angielskim i dopiero w 1937 roku wydano jego polskie tłumaczenie). Żal! Żal, bo jednym z najbliższych przyjaciół Malinowskiego był sam Witkacy (razem podróżowali po Australii). Można sobie tylko wyobrazić, jak wyglądałaby ta książka nieco bardziej zbeletryzowana i przyprawiona Witkacowskim humorem i wyobraźnią słowotwórczą w krwistej polszczyźnie... Uważny czytelnik znajdzie, tu mimo to, nieco brylancików z epoki, w której nikt nie przeczuwał, że przyjdzie kiedyś czas politycznej poprawności. („Bynajmniej nie uważamy Murzyna za szczyt ludzkiego rozwoju; niemniej pod niektórymi względami w swym rozwoju fizycznym poszedł on dalej od białego" - to cytat ze słowa wstępnego pióra Havelocka Ellisa).

Jak odczytać tę książkę dzisiaj? Czy może być w jakikolwiek sposób przydatna do ubogacenia współczesnego życia seksualnego? Dzikość w sypialni? Czemu nie...

Spróbujmy więc cofnąć się w czasie o 90



Dariusz Dorosz

lat i w przestrzeni o tysiące mil. Na wyspach Trobrianda mamy społeczeństwo matrylinearne. Matka jest tutaj jedyną osobą, od której prawnie wywodzi się pochodzenie, pokrewieństwo oraz wszelkie inne związki społeczne. Zasadą, na której opiera się cały system prawny Trobriandczyków, jest pogląd, że tylko i wyłącznie matka „wytwarza" ciało dziecka, ojciec (lepiej byłoby tutaj użyć słowa - mężczyzna) nie odgrywa tu żadnej roli. Krajowcy nie wiedzą o udziale mężczyzny w poczęciu dziecka! Współżycie nie ma nic wspólnego z poczęciem, co najwyżej „toruje drogę" duchom, dzięki którym dziecko znajduje się w łonie kobiety. Ojciec nie jest uważany więc nawet za krewnego, a ważny jest o tyle, że zajmuje się dzieckiem na równi z żoną. W stosunkach płciowych Trobriandczycy są łatwi i swobodni, bardzo wcześnie (wręcz w dzieciństwie) zaznajamiają się z seksem. Przedmałżeńskie stosunki młodych chłopców i dziewcząt są w pełni „legalne", ba, wręcz zinstytucjonalizowane. Istnieją tzw. domy kawalerów, gdzie młodzieńcy mieszkają ze swoimi dziewczętami (zazwyczaj w kilka par) i korzystają z pełnej swobody seksualnej. W świecie tym nie istnieje żadna forma antykoncepcji, bo niby po co, skoro współżycie i ciąża absolutnie nie stanowią ciągu logicznego. Dlatego też nikt się nie dziwi, że mimo bujnego życia erotycznego niezamężne dziewczęta trobriandzkie w ciążę nie zachodzą. U Trobriandczyków dwojgu młodym nie wolno właściwie tylko jednego: wspólnie spożywać posiłków. Zjeść z dziewczyną obiad nie zaślubiwszy jej uprzednio!? Zgroza! Co innego dzielić z nią łoże.

Zawarcie małżeństwa jest poprzedzone rozlicznymi ceremoniałami, ograniczone mnóstwem tabu i przepisów. Ciekawy jest fakt, że - gdy już się wszystkie te problemy pokona - nie ma żadnej ceremonii ślubnej. Absolutnie żadnej. Po prostu pewnego dnia, zamiast rano powrócić do domu rodziców, dziewczyna pozostaje z mężem, spożywa posiłki (!) w domu jego rodziców i

towarzyszy mu przez cały dzień. To wszystko. Dziewczyna stała się żoną swego narzeczonego od dnia, w którym z nim pozostała. Zanim „pójdą na swoje" mieszkają w domu rodziców pana młodego. Dość długo. Do budowy własnego domu przystąpią dopiero w czasie najbliższych żniw (to akurat wydaje się nam dziwnie znajome i bliskie). A potem? No cóż. Normalne życie. Trzeba się tylko wystrzegać okazywania żonie jakiejkolwiek czułości - zwłaszcza publicznie. To jest nieprzyzwoite. Razem można pracować, razem można zajmować się dziećmi. Rozwody? A i owszem. Jeśli tylko między mężem i żoną dochodzi do gwałtowniejszych scysji i nieporozumień... Częściej odchodzą kobiety, choć za zdradę małżeńską mąż ma prawo żonę zabić. Formalności rozwodowe są równie proste jak i przy zawieraniu małżeństwa: nie ma ich w ogóle. Ale porzućmy te smętne tematy! Mówmy lepiej o miłości. I o pięknie. A jaki jest trobriandzki ideał piękna? Twarz powinna być pełna i odpowiednio okrągła, nos duży i mięsisty, wargi grube, wystające, a zęby... zęby są dopiero wówczas naprawdę ładne, jeżeli są poczernione. Włosy uważa się za wielką ozdobę, lecz jedynie wówczas, gdy rosną na właściwym miejscu, to jest na głowie.

W kulturze Zachodu preludium miłości jest zazwyczaj pocałunek. Trobriandczycy preferują pocieranie się nosami. Ale ich ulubioną pieszczotą jest wzajemne odgryzanie sobie końców rzęs. Nie sposób więc tu spotkać kogokolwiek z naturalnie długimi rzęsami. Krajowcy gardzą we współżyciu „europejskimi" pozycjami, uważając je za wysoce niewłaściwe. Biali nie znają też obrządków i zaklęć magii miłosnej, więc w ogóle nie mają o niczym pojęcia. Między tymi dwoma światami nie ma porozumienia, choć to Malinowski jest autorem zdania, które kiedyś brzmiało odkrywczo: „Ludzkość jest jedna i nauka o kulturze jest możliwa".

Życie seksualne dzikich jako podręcznik? Tak. Ale wyłącznie antropologii a nie ars amandi. Lepiej poszukać dzikości na własną rękę. Jej pokłady tkwią gdzieś głęboko ukryte pod gorsetem cywilizacji. Warto chyba jednak czasem się do nich dokopać i oddać instynktowi, który przeniesie nas do jakiejś gustownej prasłowiańskiej sypialni albo w plener, „gdzie bursztynowy świerzop, gryka jak śnieg biała, gdzie panieńskim rumieńcem dzięcielina pała".



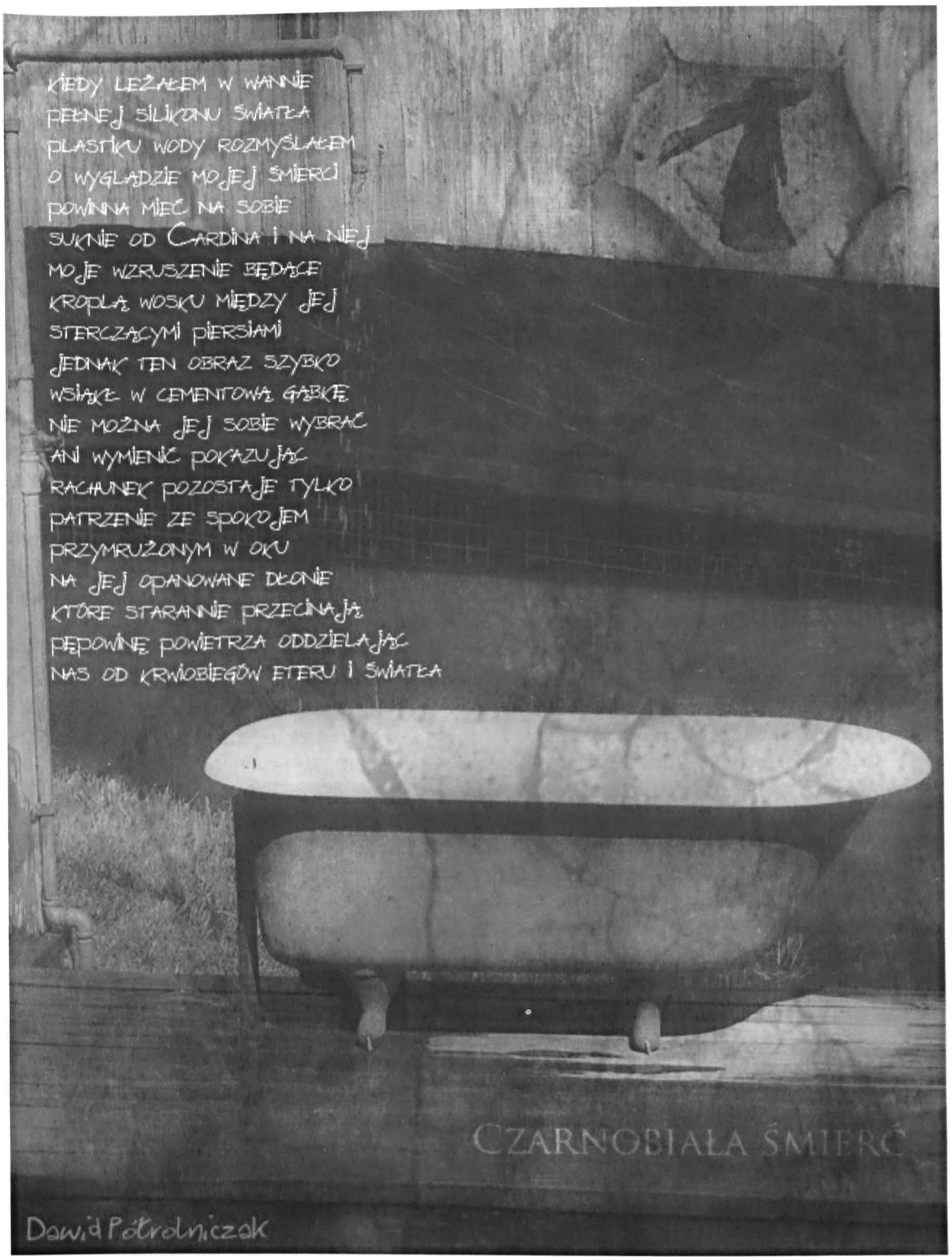
EWA KORCZYŃSKA

Pocałunek

Niewielka przestrzeń
pomiędzy ustami
drżące powietrze
przyczajona chwila
mała kropla milczenia
myśli wirują
w rozpalonej głowie
znikająca dal cichnie
gdy miażdżysz różę
czerwoną krwią
malujesz uczucia
otwierają się wrota
spotykają oddechy
w bezdechu

W nieistnieniu

Pieszczę noc
ulotną myślą
zapachem chryzantem
z nokturnem gwiazd
ukołyszę słowa
szeptane w ciszy
zabłysnę łzami
lub rosą traw
w migocącym dniu
motyla złożę w ofierze
na ołtarzu marzeń
spłynę wodą
w kaskadzie złudzeń
zetrę z warg suchość
lichego lata
spalę pragnienie
w ogniu niebyłej
miłości



Axis Art Project



ADAM WIELOMSKI

OKIEM NEOWIEŚNIAKA

ZŁE Z MIASTA IDZIE...

„Kiedy się wszystko teraz na wsi tak radośnie zieleni, dziwno mi, że niektórym ludziom przyjemnie w zadymionym mieście". Tako rzecze Euzebiusz w pierwszych linijkach *Zbożnej biesiady* Erazma z Rotterdamu.

Problem z miastem nie polega jednakże tylko na tym, że jest „zadymione", zresztą obecnie jest jeszcze zakorkowane i przeludnione na skalę apokaliptyczną, która dla Erazma była nie do pomyślenia. Istota problemu tkwi w tym, że wielkie miasta są po prostu intelektualnie chore. Miasto to nic innego niż jako napisał Nicolas Gómez Davila „świat po katastrofie demograficznej", to miejsce, gdzie na niewielkiej przestrzeni skupiło się zbyt dużo ludzi.

Zjawisko nadmiernego skupienia prowadzi do psychicznych i intelektualnych aberracji, które możemy obserwować spoglądając na intelektualne nurty, które rodzą się w mieście. Jeśli spojrzymy sobie na wszystkie wielkie i niszczycielskie ideologie nowożytności, to ich cechą charakterystyczną jest to, że są one produktem miejskim. Można, oczywiście, wskazać, że ideologie powstają w miastach, gdyż tu są książki i biblioteki i taki Karol Marks nie napisałby swoich dzieł bez pobliskiej biblioteki British Museum. Czasami intelektualista wyjeżdża na wieś, aby napisać książkę, ale sam jej pomysł zawsze powstał w mieście.

Byłbym jak najdalszy od poglądu, że zjawisko to wynika z faktu, że my, wieśniacy, jesteśmy ludźmi „niepiśmiennymi" i tym różnimy się od miastowych, że oni to są „wykształciuchy" wymachujące pysznie kwitami pokończonych szkół. Wspomniany wcześniej Gómez Davila napisał w jednym ze swoich aforyzmów coś takiego: „Najkrótszą i najdokładniejszą definicję prawdziwej cywilizacji napotkałem u Travelyana: *A leisured class with large and learned libraries in their country seats* (Klasa próżniacza z jej wielkimi i uczonymi bibliotekami w wiejskich domach)".

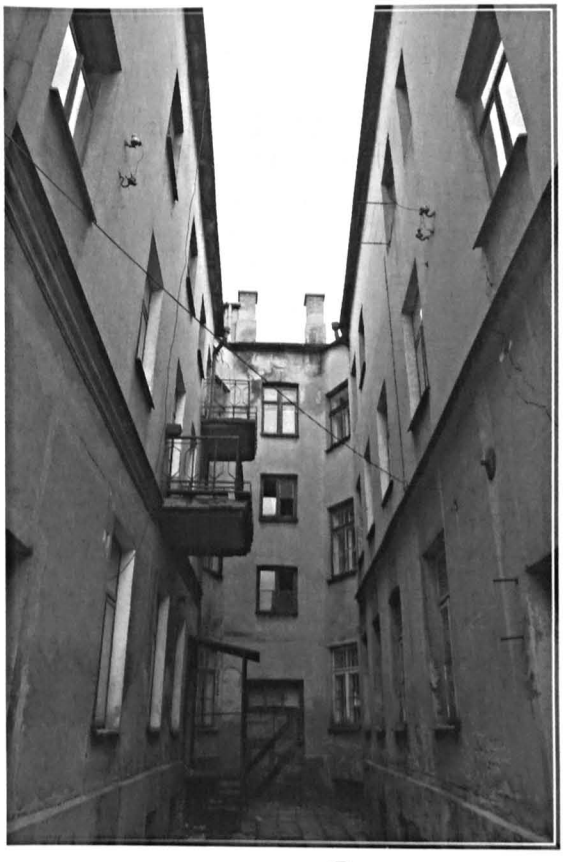
Innymi słowy: wieś nie jest z natury niepiśmienna, lecz stała się taką. Stała się taką, gdyż nie mieszka na niej już *a leisured class with large and learned libraries in their country seats*. Dlaczego nie mieszka? Dlatego, że „klasa próżniacza" na wsi to szlachta (ziemiaństwo), którą wymordowano w ostatnich stuleciach w imię szczęścia zapowiadanego przez miejskie ideologie. Na zachodzie Europy szlachtę wymordowano w imię Wolności, Równości i Braterstwa na przełomie XVIII i XIX wieku; między Warszawą a Władywostokiem w pierwszej połowie XX wieku w imię - jakże miejskiej ideologii - „społeczeństwa bezklasowego".

Zauważmy, że wszystkie rewolucyjne ideologie nowożytne narodziły się w miastach. Stłoczeni w ciasnocie ludzie wykazywali liczne psychiczne bolączki, cierpieli na rozmaite kompleksy wynikłe ze stłoczenia ich na zbyt małym terytorium, a więc dali się tym ideologiom porwać. Doszedł do tego jeszcze mechanizm odkrytej w XIX wieku tzw. psychologii tłumu, w wyniku której „sfora ludzka" (piękne określenie Eliasa Canettiego) stadnie rzuciła się do mordowania innych ludzi z powodu ich pochodzenia klasowego, rasowego, narodowego i jakiegokolwiek innego. Miejskie sfory ludzkie rzucają się bowiem na „innego". Jedną z zasadniczych cech miasta jest radykalna homogeniczność: wszyscy są tacy sami; tak samo są ubrani, mają ten sam akcent, lubią te same rozrywki. Dlatego w mieście zawsze panowały rozmaite mody, czyli zmienności gustów w ramach ludzkiej sfory. „Inny" nie pasuje do kolektywu.

Cechą charakterystyczną miasta jest tłum, czyli zanik wszelkiej indywidualności. Wszyscy zjednoczeni, zuniformizowani, skolektywizowani, tacy sami. Cechą charakterystyczną masy jest jej identyczność. Zauważmy, że wszystkie miejskie

ideologie mają charakter kolektywny i to, co je różni, to tylko rozmiary uniformizacji. Najpierw był więc liberalizm, który głosił, że wszyscy ludzie z natury są równi i potencjalnie mogą być tacy sami; potem socjalizm, który ogłosił, że równość może być kompletna, a potem faszyzm i komunizm, które nie tylko były kolektywistyczne, ale wprost nawoływały do eksterminacji wszystkich tych, którzy nie pasowali do stadnego charakteru kolektywu narodowego czy klasowego.

Miasto z natury ma więc skłonności rewolucyjne. Ludzie miastowi nie umieją kontemplować piękna naturalnego porządku i harmonii, które wyszły z ręki Boga. Nie możemy zresztą się dziwić: jak kontemplować piękno i harmonię świata naturalnego, skoro był on im nieznany? Przecież miastowi widzieli tylko dym, stosy cegieł, konstrukcje z betonu to nie jest *Landschaft* charakterystyczny dla człowieka. Jeden spacer po lesie więcej uczy o naturze świata, niż grube książki miejskich intelektualistów, którzy spędzili dziesięciolecia zamknięci w czterech betonowych ścianach.



Tomasz Młynarczyk

Ludzie miastowi mieli jedną trafną obserwację: świat w którym żyją jest nienormalny, jest „niesprawiedliwy", panuje tu „wyobcowanie" i jest niezgodny z „prawem natury". Dokładnie tak: wasz miejski świat jest właśnie taki! Nikt mi nie powie, że zamieszkiwanie w bloku z wielkiej płyty jest normalne. Gdy wchodzę do mieszkania w bloku o powierzchni 40 m kw., także czuję się „wyobcowany", „wyalienowany" i „odczłowieczony". Wystarczy, aby do takiego M3 weszło ze 7 osób i po pół godzinie panuje tu potworny zaduch, a temperatura staje się nie do zniesienia. Tak, życie w czymś takim jaskrawie zaprzecza „prawu natury" i wszystkim „prawom przyrodzonym" i „prawom człowieka i obywatela". Macie pełną rację co do diagnozy.

Ale nie macie o wy, miastowi racji co do lekarstwa. Przypominacie rybki zamknięte w małym akwarium, które już sobie nie umieją wyobrazić pływania po otwartej przestrzeni jeziora; które już nie rozumieją, nie wiedzą co to jest jezioro. Dlatego domagają się „reform" w akwarium, polegających na „sprawiedliwszym" podziale robaków, które wrzuca właściciel.

Tak jak te rybki akwariowe chcecie rewolucji takiej, aby życie w akwarium było sprawiedliwsze i bardziej egalitarne. Tym samym chcecie tylko reformy akwarium, aby było tu mniej „niesprawiedliwości", aby karpik nie dostawał więcej robaków niż welonki tylko dlatego, że jest większy. Dlatego wszystkie welonki stwierdzają, że „każda ryba jest równa" i w rewolucyjnym zrywie mordują karpika, gilotynując go; ewentualnie wywożą go na Syberię, jeśli welonki są czerwone. Jeśli welonki mają kolor brunatny, to ogłaszają karpika „Żydem" i wysyłają go do komory gazowej.

Miejskie ideologie mają więc na celu uporządkowanie nierzeczywistego świata, gdzie ludzie gnieżdżą się stadnie w dziuplach z betonu. Nie są ideą buntu wobec betonowego więzienia, a jedynie chcą tak wszystko ustawić, aby betonowa klatka była

„sprawiedliwsza" i bardziej zjadalna. Ale, ponieważ jest to niemożliwe, to w sumie ograniczają się do eksterminacji tych, którzy w betonie nie mieszkają i mieszkać nie chcą owej *a leisured class with large and learned libraries in their country seats.*

Inny problem to kwestia: jaką ci biedni miastowi ludzie mają alternatywę? Nowożytność wyzuła ich ze wszystkiego, wygnała z naturalnego dla człowieka świata wiejskiego, pozbawiła zapachu trawy, kwiatów i drzew. Miastowi znają tylko namiastkę tej autentycznej rzeczywistości w postaci majówki za miastem, parku z asfaltową ścieżką i kwiatka w doniczce. Miastowi są dumni, że nie są „wsiokami" i mieszkają w bloku. To duma pozorna, leczenie kompleksów. Każdy miastowy chciałby rzucić swoje betonowe więzienie i mieszkać na wsi. Jeśli któryś z miastowych czyta te słowa i twierdzi, że tak nie jest, to się myli mieszkając w bloku od pokoleń po prostu już sobie nie umie wyobrazić świata, w którym porankiem wychodzi się w szlafroku do ogrodu z filiżanką pachnącej kawy w ręku.

Ale fakt jest faktem miastowi nie mają gdzie wrócić, gdyż nie mają korzeni. Są skazani na beton, korki i smród oto „świat po katastrofie demograficznej". Przykro mi, ale nie mam dla was ratunku: nie wiem jak przesiedlić was na wieś, bo jest was za dużo. Ja rozumiem tego walniętego na głowę Pol-Pota, który wymordował całą miejską ludność Kambodży: on po prostu rozumiał, że miasto to choroba i zaaplikował swojemu krajowi lekarstwo zbrodnicze, jedyne jakie znał. A gdzie je poznał? W mieście był wszak doktorem filozofii, na Sorbonie a ta mieści się w ośmiomilionowym Paryżu...



Paweł Żochowski



ALEKSANDER ROZENFELD

kochałbym cię

Kochałbym cię bliżej niż dalej
Ale mi się przenieść nie dają
Kochałbym cię dniem i nocą
To mówią, że mi się nogi pocą
Kochałbym cię w ubraniu i nagą
To mi każą wypieprzać z tą lagą
Kochałbym cię na podłodze i na suficie
To mówią że przepieprzam życie
W ogóle wszyscy mówią zbyt wiele
Jak zwykle w każdym kościele

***

Na miarę epoki dokonałem odkrycia
Nie należałem, nie należałem
Do polskiej zjednoczonej
Partii robotniczej,
Tam w hutach lał się strumieniami pot
W kopalniach od świtu trwało życie
A ja? Nie należałem, nie należałem
Do polskiej zjednoczonej
Partii robotniczej.
Czerwona łuna zalewała kraj
Znajomi deklarację podsuwali życzliwie
A ja? Nie zapisałem się, nie zapisałem
Do polskiej zjednoczonej
Partii robotniczej.
A gdy przyszedł taki dzień,
Że czoło wstydem zarosło obficie
Nie musiałem wypisywać się
Z polskiej zjednoczonej
Partii robotniczej

* * *

Bo chodzi o to, żeby
Być w bajce
A nie w gównie
Bo chodzi o to, żeby
Człowiek brzmiał pięknie
A nie w trzcinie
Bo chodzi o to, żeby
Być w muzyce
Bębnach, kotłach i talerzach
A nie w kamertonie
Bo chodzi o to, żeby żyć
Brać słońce garściami pełnymi
A nie z miną obrażającą Boga
Siedzieć i czekać
Na Godota

Pytania

Wokół nas bardzo dużo pytań
Zamieszkuje w przeróżnych schowkach
Wyskakują nie oczekiwane gdy
Nazbyt głęboko szukamy w sobie
Zamarzniętych pokładów liryki.

Pomimo, że od kilku dziesiątków lat
Uprawiamy trudne rzemiosło
Borykania się z własną czułością
Wciąż naiwnie wierzymy w
Ozdrowieńczą moc stwarzanego
Na potrzeby serca języka.

Gdyby nie pytania o ileż
Łatwiejsze było by życie
A tak? Nie puszmy się
Nasza naiwność będzie ukarana
Dożywotnim szukaniem odpowiedzi

Mirosław Koczkodaj

ANNA NOGAJ

ZDARZENIA I ZDERZENIA Z RZECZYWISTOŚCIĄ W POEZJI ELŻBIETY CICHLI-CZARNIAWSKIEJ

Po lekturze nowego zbiorku poetyckiego *Moja sowa śnieżna* śmiało mogę powiedzieć, iż Elżbieta Cichla-Czarniawska jest poetką o zdecydowanie okrzepłej już formacji artystycznej. Świadczy o tym m.in. spokojne prowadzenie wersum, wewnętrzne uporządkowanie tekstów i nie poddawanie się wytartym formułkom służącym do opisywania tematów egzystencjalnych czy epistemologicznych. Ładnie zostaje poprowadzona przewodnia myśl tomiku ubrana od początku do końca w jedną i tą samą konwencję. Autorka nie szafuje środkami artystycznego wyrazu opierając swój przekaz na dobrej, choć dyskretnej metaforze i niebanalnych słownych zestawieniach. A w pisaniu o Bogu, cierpieniu, przemijaniu, jak wiadomo, nie trudno otrzeć się o banał, o czym świadczy masa tekstów nie tylko debiutantów ale i doświadczonych twórców, w których sięga się po sztampowe rozwiązania. Stąd też książka ta jest pozycją osobną, obok której trudno przejść obojętnie. Poetka nie ucieka od trudnych pytań: sama je zadaje i często udziela na nie odpowiedzi. Przyjmuje raczej postawę konfrontacyjną, co często niesie ze sobą ból, ale ból oswojony pogodną afirmacją zastanego porządku. Toteż przekładnie kolejnych kartek tego mini-traktatu o życiu na pewno nie grozi utratą dobrego nastroju. Wręcz przeciwnie, w jątrzące się rany poetka wkłada swoje wiersze, zabliźniając dobrą myślą każde emocjonalne pęknięcie. Pozwólmy więc sobie na chwilę duchowego (ode)tchnienia zaczynając ten arcytrudny dialog z Elżbietą Cichlą-Czarniawską.

Czytając teksty zamieszczone w tomiku będziemy poruszali się w przestrzeni wewnętrznej podmiotu lirycznego i przestrzeni ogólnoludzkiej. Bohaterem większości tekstów jest nie „ja" mówiące w pierwszej osobie, a w trzeciej, co pogłębia uniwersalizm podjętej tematyki. Często też pojawia się bezpośredni zwrot do adresata, dzięki czemu między nadawcą wypowiedzi a czytelnikiem wywiązuje się szczególna więź i zaufanie. Rodzi się w ten sposób także pewna forma nietypowej dyskusji, w której jedna strona mówi a druga milczy i wewnątrz siebie udziela odpowiedzi. A zapytani będziemy o rzeczy rożne, bo eksploracji poddane zostaną najtajniejsze zakamarki ludzkiej duszy i duszy świata.

Dużo będzie się tutaj mówić o zachowaniu swojej osobowej tożsamości. Autorka co chwilę przypomina, iż jednostka wrzucona w kołowrót wydarzeń, poddana działaniu fluktuacyjnych procesów zatraca po drodze własne „ja", czym odbiera sobie prawo do szczęścia (w sprzecznościach). Nie ma jednak siły na walkę i zadawala się namiastkami życia podglądając je zza grubej szyby. Wiersze Cichli-Czarniawskiej wołają więc o prawdę i mądrość, o wartości czyste, nie zainfekowane brudem, tzw. masówką, gdy wszyscy robią to co im każą, a nie to co robić powinni. Trudno jest jednak wyrazić swoje *votum separatum*, gdy w centrum stoi materia i króluje próżny człowiek z aureolą pychy na głowie. I ten przecież nie jest wolny od upadków i zranień. Przychodzi czas, że schyla z pokorą głowę przed Światem i uznaje tym sposobem swoją kruchość i małość.

nocą
nie pozostaje nic innego
jak usiąść na gruzach
i wypłakać pod bezprzestrzennym niebem
resztki jątrzących snów
o potędze (bez tlenu)

W pewnym memencie rodzi się więc pytanie o to, gdzie szukać pomocy, i jak się ukonstytuować w ogólnym porządku, jeśli

kolejny buntowniczy zryw nie przyniósł rozwiązania. Poetka daje tylko jedną pewną odpowiedź. Pokój serca człowiek odzyska tylko wtedy, kiedy zgodzi się na swój los. Dzięki temu zakotwiczy gdzieś na wodach spokojnych, mimo to, iż wokół będą szaleć fale strachu i niepokoju.

Aby uchronić się przed relatywizmem takich pojęć jak: prawda, dobro, piękno, trzeba przywrócić im dawne znaczenia, jeszcze raz nazwać rzeczy po imieniu. Inaczej wokół człowieka „wyrasta martwy las rzeczy"(cień uwięziony w lesie rzeczy), gdzie wszystko błyszczy światłem złudnym, odbitym. Jego prawdziwego źródła można szukać tylko w głębi siebie, o czym przekonuje nas podmiot liryczny w sześciu zgrabnie skomponowanych lirykach. W każdym z nich pojawia się motyw sowy śnieżnej, będącej uosobieniem wnętrza „ja" mówiącego. Jak wiadomo, ptak ten niesie ze sobą takie konotacje, jak mądrość i tajemnicę, a dodając jeszcze, iż autorka wybrała właśnie śnieżną sowę, możemy suponować, że chodziło jej o wskazanie na jej czystość:

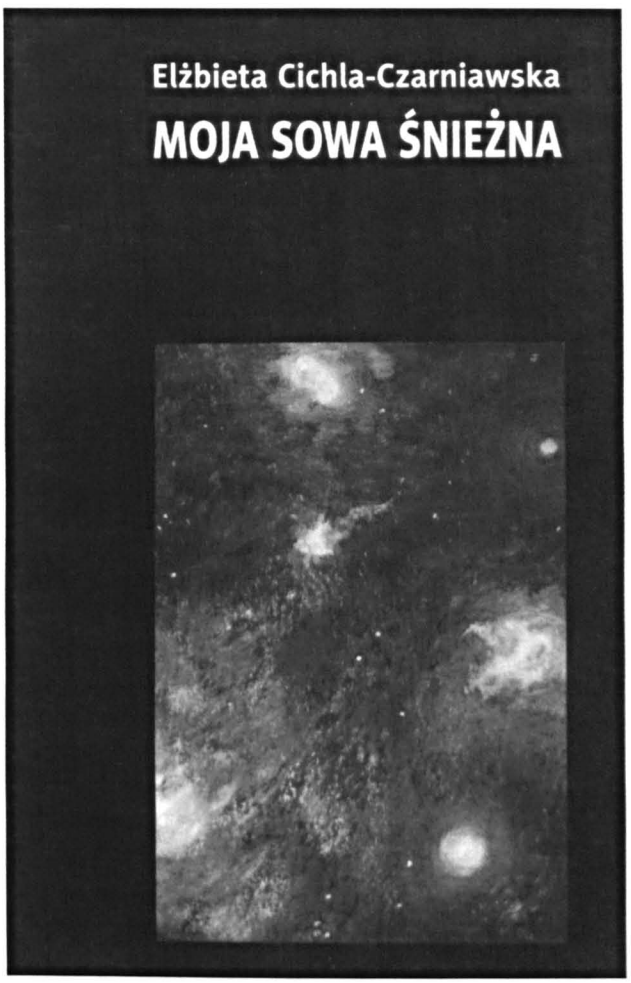
moja sowa śnieżna
nie zważa na nic

trwa przycupnięta
na gałęzi czystego marzenia
i czyści pióra z prochu ziemi
(****moja sowa śnieżna*)

Czystość ta może być odzwierciedleniem sfery ducha, często konfrontowanej przez Cichlę-Czarniawską z materią. „Sowa czyści pióra z prochu ziemi" czytamy taki passus, który, jak wiele mu podobnych, można odczytywać na kilka sposobów, odnosząc się do różnych kontekstów (vide: posłowie Piotra Sanetry). Można powiedzieć, iż sowa śnieżna jest jakby drugim ja podmiotu, ale tym lepszym. A może sumieniem, czy głęboko ukrytą, często nieuświadomioną lub uśpioną prawdą o sobie, swoim człowieczeństwie. Jedno jest pewne, bohater wierszy Czarniawskiej wie, gdzie ma szukać pomocy, wie też, że przez pryzmat „czystego marzenia" najpiękniej patrzy się na oblicze świata.

O ważności tekstów eksploatujących motyw sowy świadczy ich rozmieszczenie: na początku i końcu tomiku, oraz cztery w środkowej części. Wewnętrzna i zewnętrzna klamra spinają i uspójniają zapis liryczny autorki stanowiąc wyrazistą tematyczną ramę dla całości.

Podmiot liryczny nie mówi jednak o sobie zbyt wiele, za to dużo uwagi poświęca kwestiom ogólnoludzkim wyrażając się ciepło o człowieku, nobilitując go. Nawołuje do wiary oraz podjęcia ryzyka i trudu w budowaniu świata według swojego zamysłu. Bo, jak podkreśla, „hodujemy zaledwie domysł / uskrzydleń" (*ciasnota*), nie umiejąc wzbudzić w sobie odwagi do stawania się *homo agens*, istotą działającą i



żyjącą pełnią swoich możliwości.

Z tematem tych rozważań zazębia się również problem samotności. Jednostka wciąż boi się skonfrontować ze światem, z ludźmi żyjącymi obok, i dlatego nie może do końca poznać siebie i Drugiego (*Gruda*). Rewersem tej sytuacji jest z kolei niebezpieczeństwo zbytniego porównywania się z kimś, a nawet próba dopasowywania swojej osoby do życia innych. W *wypełnianiu przestrzeni* pada takie ostrzeżenie: „wstaw do jej chłonnego wnętrza / sygnały które idą ku tobie / z powierzchni i z głębi (...) wstaw ostrożnie cudze życie / spróbuj je zrozumieć i oswoić / ale nie chciej się z nim utożsamić". Wiarygodność rodzą więc otwartość i odrębność - chłonięcie rzeczywistości całym sobą z umiejętnością oddzielenia tego, co tylko do mnie przynależy, co świadczy o mojej wyjątkowości.

Podmiot liryczny nawołuje do wkroczenia na ścieżki dobre i pełne światła czyniąc to w sposób cichy i delikatny. Na pewno nie rezonuje i nie narzuca swojego zdania, o czym świadczy nie tylko ton wypowiedzi, ale to, iż częściej ukrywa się za słowem, czy wręcz staje się słowem. Myśl zostaje tutaj nie tylko zwerbalizowana, ale i zaszyfrowana dzięki temu, iż ubrana jest w bogatą siatkę znaków i symboli. Każdy więc może odczytać ją przez pryzmat własnych doświadczeń i osobowości.

Autorka wie, iż nic nie jest czarne albo białe, ale opalizuje różnymi barwami, znaczeniami, co też odzwierciedla się w jej poezji. Toteż jej liryczne „obmyślanie świata" zawiera się między tezą a antytezą, między tak a nie, wiem i nie wiem. Nie boi się też dotykać miejsc pustych, chwil jeszcze nie wypełnionych i tych, co stanowią już tylko „ciemne ślady naszych ludzkich wahań" (*wypełnianie przestrzeni*). W nich również człowiek staje się człowiekiem, uczy się słuchać siebie i głosu świata. Tutaj krystalizują się myśli, pulsują uczucia zanim zakrzepną w jeden niepowtarzalny kształt, zanim zostaną zaakceptowane, a później wyrażone. I znów, *nolens volens*, nasze rozważania dotykają słowa, tej bardzo żywotnej cząstki poezji Cichli-Czarniawskiej. Ono jest tutaj tworzywem i narzędziem opisywania świata, wyrażania go i jest tworzone - i jeszcze dodając za P. Sanetrą - wchodzi w ścisłą interferencję z istnieniem i rzeczywistością

z niewielu liter wonnego słowa
„kosodrzewina"
wywiodłeś pulsujący tłum
n i e s p o k r e w n i o n y c h
teraz wypada z nim się liczyć
(*gra towarzyska w czasie podróży*).

Wypada więc się z nim liczyć i doceniać, jednak jego moc kreacyjna ma swoje granice. Językiem można nazwać, ale smakować świat jedynie zmysłami. Kolejne wersy składają hołd temu co „z oddali woła o ż y w i o n e / ociekające ciepłym deszczem".

Taka jest właśnie ta poezja: zachwyca się każdym najmniejszym przejawem życia, dociera do źródeł piękna i dobra, które wciąż gdzieś obok nas biją, choć często nie dostrzeżone. Ich delikatne tętnienie można poczuć z pomocą poetki, prowadzącej wprawnie czytelników traktem zwanym życiem. Dotykamy kolejno bólu, strachu, szczęścia, przemijania, wiary ukazanych w różnych konstatacjach i konfiguracjach. I choć przepływające pod wierzchnią warstwą tych liryków nurty: kulturowy, egzystencjalny czy metafizyczny niepokoją, niosą też ukojenie i budzą do optymistycznej refleksji. A w (roz)poznawaniu świata pomoże nam z pewnością śnieżna sowa, która gdy trzeba, poskrobie niezadowolona pazurkiem w nasze sumienie lub głośniej huknie. Warto ją tylko w sobie obudzić.

Elżbieta Cichla-Czarniawska, ***Moja sowa śnieżna***, Lublin, 2006, s. 90.



MARCIN DYDYNA

Miejsca bez imienia

Wrastam w swoją rolę
jak wrasta się w obcą ziemię.
Tu czarne ptaki
krzyczą jednym głosem.
Krupier odwraca znaczone karty
na właściwą stronę.
Czekam od trzydziestu lat.

Wracam do miejsc,
w których nigdy nie byłem,
do twarzy,
których nie da się zamknąć
żadnym szkicem,

gdzie splajtowały domy pogrzebowe.

Na jedne skrzypce

W karcerze poranka zawieszona pętla
nie pozwala zapomnieć o grzechach
śmiertelnych jak bezimienna miłość.

Na szubienicy popołudnia tli się iskra,
samotna spopiela serca.
Przez świat przenika deszcz drzazg,
poranione twarze milkną.

Na zgliszczach nocy odradza się nowe,
nieznane, niechciane,
bez zahamowań i sumienia.

Senne miasta

Nic nie jest tak piękne,
by tego nie porzucić.
Każdą realność dotyka skaza.

Progi opery są zbyt strome
dla karła w czarnym podkoszulku,
z książką za pasem.
Tutaj wymaga się starannie
zawiązanych uśmiechów,
białych kołnierzyków, sztywnych
manier.
W nowej poezji nie powtarza się słów
ani wersów,
nie powtarza się słów ani wersów,
nie powtarza się marzeń
nie powtarza się tych samych

błędów.

Gdzie zmowa milczenia plącze się w
snach,
tam odwaga jest przekleństwem
sumień.

Nie wrócę do tych uśpionych miast,
w których eutanazja miłości
na zawsze wymazała moje imię.

Tombak

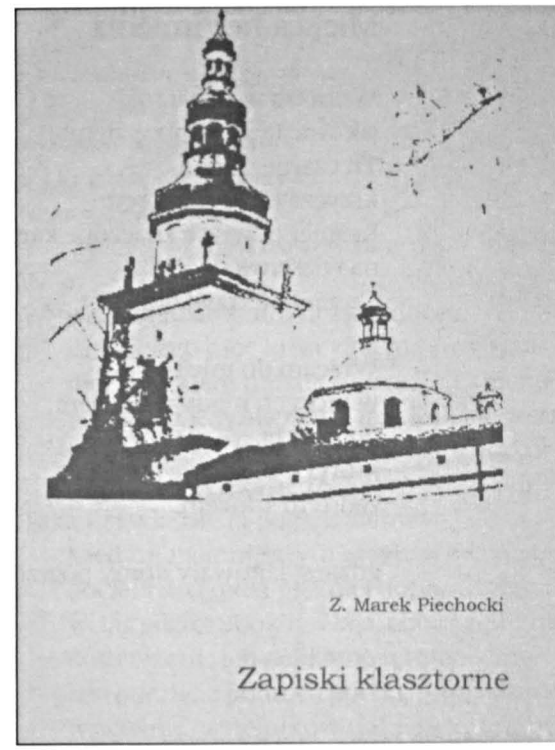
Książę,
piękny masz zamek,
szaty i komnatę
pełną złotych snów.

Nie dosięga cię strach,
czarna choroba,
ani pełzający głód.

Nawet ja.

ANNA SOKÓŁKA

ZAPISKI KLASZTORNE



Poezja Zygmunta Marka Piechockiego jest dowodem talentu i wyobraźni artysty. Jest to poezja oparta na słowie, starannie wyważona, gdzie każde słowo znaczy. Jest w znacznej mierze dynamiczna, ale ma też inny kształt. Jest w nim bardziej plastyczna, malarska, jak wiersze o Arkadii poety - Łośnie. Znajdziemy w niej bogaty splot tematów i motywów: wzniosłość życia, miłość, nieodłączne im: samotność, prze-mijanie i śmierć, i niosące ukojenie: sacrum, natura i sztuka, zwłaszcza muzyka (*chopinowe nutki*). Jest to liryka dojrzała, opatrzona głęboką refleksją, poszukująca, nastrojowa, zmysłowa i ciepła. Na jej kształt wpływa wrażliwość poety, również ta muzyczna i plastyczna. A jej twórca, patrząc na świat oczami filozofa, poetyckim słowem formułuje myśli, jakich niejednokrotnie nie potrafimy ogarnąć, ubrać w słowa, wyrazić.

Najnowszy, siódmy już zbiorek poezji Zygmunta Marka Piechockiego *Zapiski klasztorne* powstał w styczniu 2008 roku w Klasztorze Dominikanek w Świętej Annie. Ten skromny objętością i nakładem, estetyczny edytorsko tomik jest dziełem rąk autora.

Tytułowe zapiski to dziewięć zespojonych w cykl wierszy, które są świadectwem wywołanej duchem miejsca (*genius loci*) wewnętrznej przemiany podmiotu lirycznego. Dręczy go niepokój, jest przytłoczony świadomością przemijania. Atmosfera klasztoru działa nań kojąco („Udziela mi się spokój tego miejsca"; wiersz 2). Sprzyja kontemplacji. A może modlitwie? To czas, który *„podarował mi Najwyższy"* - wyznaje.

Posługując się językiem symboli poeta ukazuje przemianę światopoglądową podmiotu lirycznego od postawy pesymistycznej („Czytam wiersze Sylwii Plath / słucham muzyki Piotra Czajkowskiego"; wiersz 4) po wewnętrzną harmonię. Ekspresją jego poszukiwań są wyrywane z zeszytu kartki. Znicze zapalone na grobie nieznanego żołnierza to symboliczne włączenie się w metafizyczny łańcuch łączący żywych i umarłych. Targana wiatrem „wielka płachta szarych ptaków" i *ożywający* krzyż to symbole odradzającej się wiary. Podmiot liryczny godzi się z Boskim ładem świata. Odnajduje radość tworzenia („Cieszę się każdym wersem"; wiersz 5). Na nowo odkrywa sens i piękno w najdrobniejszym Bożym dziele. Stąd zdziwienie: „Jakże / jednak / niewiele potrzeba ludziom" (8. *Spostrzeżenia ze spaceru po łąkach i polach*). Zatem piękny i pogodny liryk zamykający tomik nie bez powodu opatrzony został utworem zatytułowanym *Consolation nr 3 Des dur* Franciszka Liszta.

Tamte dni
naznaczone kontemplacyjnym pojednaniem
z upływającym czasem
wędrówkami w okolice poznawania siebie
podarował mi Najwyższy

Pod białymi habitami
czarnymi welonami
znajdowałem Jego uśmiech

Poeta prostym, ale pojemnym znaczeniowo, językiem opisuje różnorodne stany duszy ludzkiej. Wyrazistości tej poezji nadają sugestywne obrazy. Przykładem zmetaforyzowany wiersz 7, czy wręcz dosadny w poetyckim obrazowaniu - w kontekście całych *Zapisków klasztornych* - wiersz 4. Jej atutem jest też nastrojowość oddająca całą skalę uczuć podmiotu lirycznego od pesymizmu po zachwyt dla otaczajacej go natury. Przypisana wierszom muzyka swoim językiem potęguje nastrój, *dopełniając* poetyckiego obrazu. To taka niby-partytura. Warto te wiersze czytać przy muzyce, by przekonać się, jak jej język i język poezji ze sobą korespondują, jak ekspresja muzyki Antonia Vivaldiego współgra z podniosłym nastrojem podmiotu lirycznego (wiersz 7), a utwór Fryderyka Chopina oddaje jego wewnętrzną harmonię (wiersz 8).

Cykl poetycki *Zapiski klasztorne* to dojrzałe studium duszy człowieka zmagającego się z bólem przemijania. Tomik ten wkładam więc do „szkatuły ludzkich losów", jeśli mogę tą metaforą wyjętą z wiersza poety objąć ogrom ludzkich doświadczeń. I może warto przyjąć płynące z niego przesłanie, wejrzeć w siebie i, otwierając się na Boską rzeczywistość, spróbować odnaleźć wewnętrzny spokój.

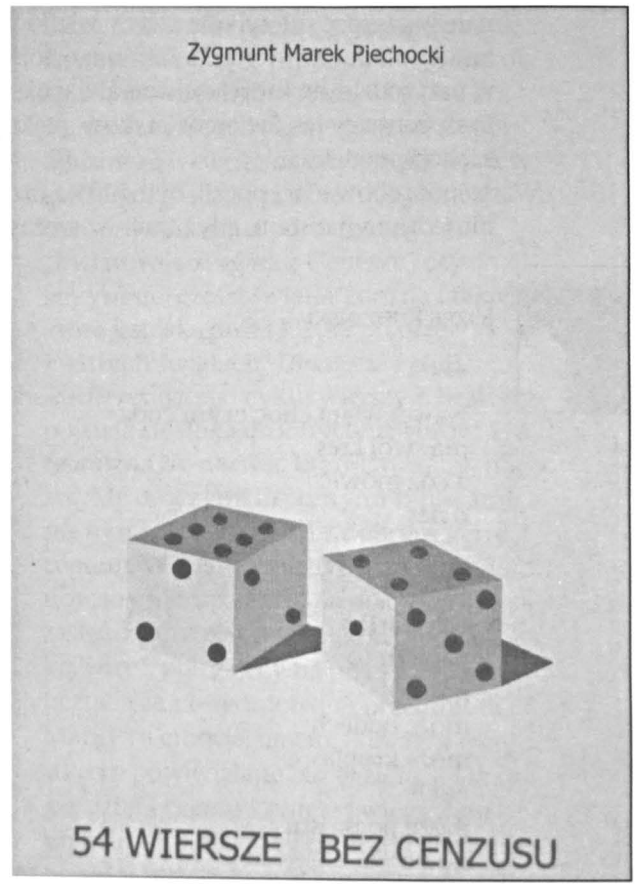
Kończąc, chcę jeszcze za poetą napisać: „cieszę się każdym (jego) wersem".

MONIKA DUDZIK

MYŚLI W MINIATURKACH ZAKLĘTE

Wiersze Zygmunta Marka Piechockiego są proste. Swojskie takie. Przekaz mają jasny i czytelny. Autor pisze o sprawach bliskich chyba nam wszystkim o upływającym czasie, potrzebach serca i duszy, o samotności...

Jestem po lekturze trzech jego tomików *54 wierszy bez cenzusu*, *Zapisków klasztornych* i *Moich herezji*. Trudno mi w zasadzie napisać o każdym z nich z osobna, ponieważ tematycznie są ze sobą mocno powiązane. Ukryć nie sposób, że poeta to człek głęboko i szczerze wierzący, ale też momentami w wiarę tę powątpiewający. Wątpię, więc jestem. Żyję. Wątpliwości są miarą mojego człowieczeństwa. Nie jestem doskonały. Błądzę. Szukam. I, mimo wszystko, to właśnie w Bogu czy drugim człowieku znajduję spokój. Spokój daje mi siłę. Czasem chcę pobyć sam na sam z Bogiem. Ze sobą. Zamknąć się za klasztornymi murami i pozwolić, aby ich chłód i klimat przeniknęły moje trzewia. Abym w ciszy, ukojony spokojnym, miarowym rytmem zakonnego porządku dnia, mógł pomyśleć, wyciszyć się, pomedytować. Abym mógł

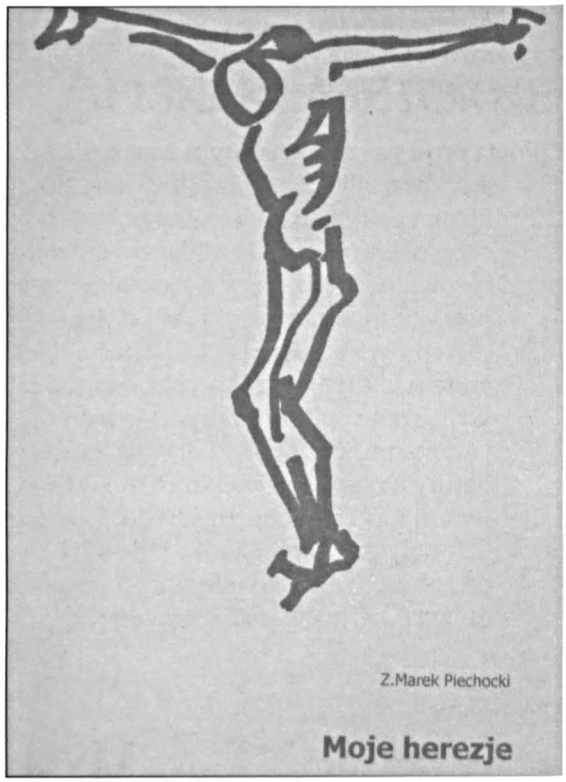


wrócić do „normalnego" trybu funkcjonowania i abym na nowo dostrzegł otaczających mnie ludzi. Abym pamiętał o tych, którzy odeszli i teraz spoglądają na mnie z naznaczonych sepią starych fotografii...

Piechocki ma dystans nie tylko do otaczającego go świata, ale przede wszystkim do siebie. To nie lada sztuka do opanowania. Pomiędzy wersami nietrudno wyczytać, że nieco w życiu przeszedł, że nie zawsze miał pod stopami dywanik z płatków róż, częściej z kolców. Mówiąc już całkiem trywialnie, los niejednokrotnie przyłożył mu kopniaka w miejsce, gdzie plecy tracą swoją szlachetną nazwę. A może to tylko moje subiektywne odczucia? Może czasem te wiersze są zbyt dosłowne? Może delikatny woal przydałby im większej szczypty tajemniczości? Tu znów mój subiektywizm nie zawsze lubię rzeczy powiedziane do końca, czasem wolę trzy kropki lub znak zapytania. Ktoś jeszcze tak ma?

Poeta przypomina czytelnikowi, że radość należy czerpać nie tylko z rzeczy wielkich i mocno uduchowionych. Sam ma ostoję w przyrodzie, do której często nawiązuje. Las, pachnący las. Świergot ptaków, piękny zapach powietrza...

Warto popróbować tej poezji, byle nie na raz, nie jednym haustem, gdyż traci wówczas swój urok. Niech te książeczki leżą gdzieś na biurku czy komodzie, niech będą po prostu pod ręką i kuszą. Jeśli smakować poezję, to tylko kawałeczek po kawałeczku, bez pośpiechu... Bo gdy się człowiek śpieszy... Sami zresztą wiecie... Delektujcie się zatem...





JÓZEF BUDZIŃSKI

***

Nawet wiara choć czyni cuda
ma swój kres
a cóż mówić
o nas

***

Czy kartka
papieru to
kosmos
może oddech
może kropla
wody
może po prostu
słowo
proch

***

Czy moje ciało
myśli Tobą
czy to Ty
w moim ciele
czy mną jesteś
a ja w Tobie
moje ciało jest niebytem
więc czymże jestem
bez Ciebie

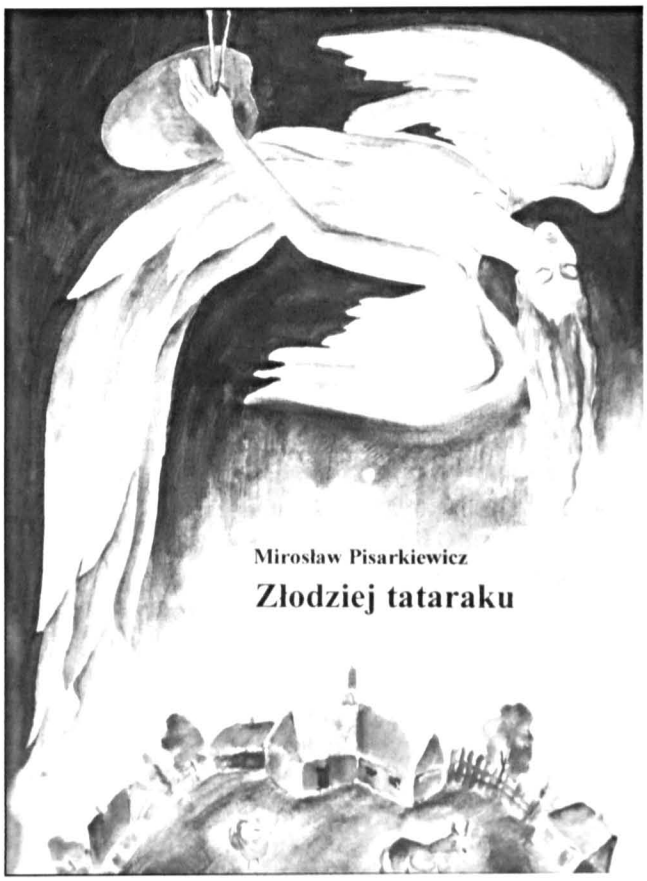
ANNA NOGAJ

NIEZWYKŁE ŚWIATA PODGLĄDANIE

Nowa książka Mirosława Pisarkiewicza *Złodziej tataraku* to rzecz niewątpliwie godna uwagi, przy której nudzić się nie można. Teksty wpisujące się do tego zbiorku układają się tematycznie w spójną logiczną całość nie rażąc dysonansami treściowymi, czy też formalnymi. Na pewno liryki te nie stanowią poetyckiego monolitu, to raczej swoisty *patchwork* utkany z materii werbalnej, pełnej barwy i migotań. Nie, żeby od razu były to wiersze zbytnio słodkie. Autor umiejętnie dobiera znaczenia tak, aby proporcje między poszczególnymi składnikami zapisu były wyważone. Nie znajdziemy tutaj też waty słownej, zbędnego słowotoku. Kiedy trzeba, autor popuszcza cugle rozpasanym wersom, ale wie, kiedy je powściągnąć, co świadczy o umiejętności panowania nad strofoidą. Otwierając kolejne strony tego lirycznego notatnika zapisanego emocją i wzruszeniem odnajdujemy imponderabilia, od których często uciekają współcześnie poeci, hołdując lingwistyczno-eksperymentatorskim udziwnienia. Chwała tym, którzy, mimo pojawiających się innowacji i mód artystycznych, zachowują własny styl, przeskakując wielkim susem to co „obce" i narażając się tym często na admonicje i ofukiwanie. O tym, że warto i że często (bo na pewno nie zawsze) świadczy to o oryginalności i świeżym poetyckim zaśpiewie przekonamy się czytając nowy tomik wierszy Mirosława Pisarkiewicza.

Motywem przewodnim pojawiającym się kilkakrotnie w *Złodzieju tataraku* jest postać Beatrycze, istoty pięknej, budzącej w podmiocie lirycznym różnorodne refleksje. Kim ona jest dla niego? Kobietą wyimaginowaną, uosobieniem prawdziwej (jego) kobiety? A może, po prostu, Beatrycze, której osobę sobie upodobał do adoracji? Tego się nie dowiemy, i dobrze, bo być może wtedy przekaz straciłby znacznie na swej wartości. Pewne jest tylko to, iż dama ta zaprząta wyobraźnię, a może i serce mówiącego, jest przedmiotem jego uwielbienia i wyobrażeniem prawdziwego piękna. Teksty traktujące o Beatrycze zdecydowanie wyróżniają się w tomiku ze względu na to, iż są niezwykle frapujące i napisane w stylu akwatycznym, ponieważ pełno w nich ruchu i zmienności. Pociągnięte do tego wyrazistą i subtelną kreską stanowią bogato zdobioną ramę dla pozostałych liryków. Autorowi udało się połączyć tutaj intelektualny szlif ze stroną emotywną, co często jest trudne do zrealizowania. Oprócz zgrabnej oprawy formalnej jest i bogactwo warstwy tekstualnej, przesyconej refleksjami egzystencjalnymi (uczuciami, zachwytem nad życiem, samotnością). Piękno koegzystuje z uczuciem braku, pulsujące życie ze stagnacją - Beatrycze zrezygnowana mówi: „...i na cóż mi ta cała wolna wola / kiedy nie panuję nawet nad snami / mówi cicho / odgarniając z czoła niesforny kosmyk" (*Okno Beatrycze*). Podmiot liryczny zdaje się współodczuwać wewnętrzne dylematy kobiety, kiedy podglądając ją przez uchylone drzwi, oprócz wzruszenia porównanego do „kwiatowego zegara z Genewy" czy „trzynastej części światła", dozna i takiego, które jest jak „pusta klatka po przekwitłych światach" (*Beatrycze i cień*).

Obok interesującego cyklu wierszy o Beatrycze pojawia się kilka drobnych utworów, które można by nazwać krotochwilami, niezwykle uroczymi lirycznymi zapiskami, nośnymi artystycznie i z dobrym konceptem. W sposób mistrzowski skomponowany jest np. tekst *Marynarka*, gdzie zastosowany został tzw. „korelat obiektywny", polegający na przekazaniu uczucia za pośrednictwem przedmiotu. Mamy tu emocje, nastrój i obraz, a wszystko to powiedziane bez egzaltacji i krzyku, dzięki czemu kontekst wiersza jest wyraźny i zapadający na długo w pamięć.



Zrudziała od snów
siedzi radośnie na drewnianym krześle
sztruksowa marynarka
Feliksa Rajczaka
z pisanym na splachetku mgły
wierszem
drzemiącym w serdecznej kieszeni.

Mimo radości popiskującej w tej miniaturze pojawia się też pewien odcień smutku wywołanego świadomością nieobecności poety: właściciela sztruksowej marynarki i wiersza, który się po nim zachował.

Oprócz podobnych temu tekstów pojawiają się takie, które pretendują do określenia ich mianem haiku, niezwykle zwięzłe i błyskające celną, oryginalną myślą, np.: „ściąłem topolę / zamieniłem jej czas / na rozedrgane ognisko" czy „brzemienny / twoja miłością / rodzę pożądanie". Wiersze te stanowią bardzo dobre przerywniki od dłuższych fragmentów lirycznych Pisarkiewicza, pozwalając czytelnikowi odpocząć i nabrać energii do dalszego zmagania się z materią słowa. A z pewnością czytelnicza przygoda szybko się nie skończy, gdyż w zbiorku znajduje się jeszcze wiele ciekawych wierszy, którym warto poświęcić kilka dłuższych chwil. Pochylać się będziemy między innymi nad wierszami traktującymi o rodzicach podmiotu lirycznego, bogatymi w refleksję nad przemijaniem i wspominaniem tych, co już odeszli. Po stracie ojca świat wyblakł, stracił na wartości i przeraża smutkiem oraz pustką.

Gdy tata zgasł
Świat
Przestał być rzeźbiony z uśmiechu

(*Tato*)

W wierszach tych zaznacza się przede wszystkim silna emocja i uczucie ogromu miłości, czego przykładem jest dramatyczne, acz ciche, wołanie za bliskimi. Taką sytuację obserwujemy choćby w wierszu *Buty*, stanowiącym świadectwo silnego przywiązania syna do ojca, które przetrwało nawet po śmierci rodzica i dyktuje podmiotowi lirycznemu takie oto słowa:

Na tamtą stronę tata poszedł
W moich pantoflach
Ja zostałem w jego

Wydeptuję po nim ślad

Przez warstwę tekstów zogniskowanych wokół tematów trudnych i ważkich przebłyskują treści lżejsze, choć nie pozbawione zahaczeń o kwestie istotne, tyczące się w dużej mierze kondycji ludzkiej. Egzemplifikacją tej tezy jest choćby wiersz *Spowiednik*, nb. będący dla mnie jednym z najlepszych tekstów zamieszczonych w tym tomiku. Pojawiają się w nim feeria obrazów roziskrzonych barwą i światłem oraz wyjątkowa dbałość o rejestr szczegółu. Wśród takiej scenerii, po rozbieganych na podłodze plamach kolorów rzucanych ze świętych obrazów

czy witraży, stąpa leciwy prałat modląc się:

Za tych
którzy ni wiedzą co czynią
i nie widzą aniołów w pęknięciach podłogi.

Równie dobrze prowadzone są wersy w wierszu *Zmierzch* zaczynającym się od ciekawego incipitu:

dzień ukrywa się
w kieszeni nocy

Dalej mamy równie dobre metafory i słowne zestawienia, np.: „ptaki składają skrzydła / w przedostatni śpiew" czy „wychudli bogowie / jak zapomniane światło na podłodze". Opis momentu kiedy dzień chyli się ku nocy, budzi u podmiotu lirycznego obawę, jakiś bliżej nieokreślony lęk „bezgłośnego uciekania cienia w cień". Ładnie została nakreślona korespondencja uczucia z oddziaływaniem przyrody na psychikę człowieka, mająca tutaj głębsze egzystencjalno-metafizyczne podłoże.

Iście tropicielski zmysł obserwatora pochylającego się nad pięknem drobiazgu czy łapiącym w sieć emocji wyjątkowość ulotnej chwili ma miejsce także w tekstach traktujących o dziełach sztuki. Wydaje się pojawiać tutaj technika *poesis et pictura*, malarskie ujecie kontemplacji nad obrazem, czy choćby (nie)zwykłą pocztówką wyglądającą jak „plama na ścianie niczym z fotografii Saudka" (*Pocztówka z Knossos*).

Ale może wystarczy już lukratywnych opinii, aby nikt nie pomyślał, że nie doszukałam się w tym tomiku żadnej istotnej skazy. A mianowicie jest kilka wierszy w ogóle nie pasujących do całości, napisanych jakby tylko po to, żeby sobie tutaj egzystowały. Rażą w nich rymy np. raj - skraj, Eurydyką - muzyką, smak brak, dno - zło (*Femme Fatale*), niekonsekwencje wersyfikacyjne - skutkiem czego często łamie się rytm i ogólnie słabiutki przekaz. Na przykład wiersz *Rodowo* nie byłby taki zły, gdyby nie refren:

To nie jest wioska cudów
To nie jest żaden raj
To tylko garstka marzeń
Oparta o modlitwy skraj

Burzy on wewnętrzną strukturę tekstu, bo jeśli pierwszą zwrotkę czyta się jeszcze ze spokojem i powagą, w refrenie krótsza strofoida i rymy męskie czynią z tego melodyjną przyśpiewkę, którą można czytać z radosnym przytupem. Jako piosenka być może tak, ale jako wiersz zdecydowanie nie. Podobnie skonstruowany jest *Czas Apokalipsy*, gdzie, oprócz nieudanej konstrukcji, za dużo tu egzaltacji i krzyku. A o końcu świata przecież tak cicho i łagodnie można śpiewać, chociażby tak, jak niegdyś Czesław Miłosz w *Piosence o końcu świata* to czynił. Ogólnie wszystkie wiersze pretendujące do miana klasyków są tutaj nieudane. Aby pisać takie teksty trzeba budować efektowne rymy, niebanalne, świeże. A to bardzo trudne i wymaga wiele pracy. Jednak można autorowi wybaczyć tę drobną usterkę, zważając, iż na tle całości takie delikatne zgrzyty większego znaczenia nie mają i można na nie przymknąć oko.

Po lekturze wierszy Pisarkiewicza ma się poczucie, iż wiele się zyskało, a czasu nie straciło. Poeta w jednym z liryków mówi takie oto słowa: „a może byłem tylko zwyczajnym złodziejem tataraku?" Nie wiem, ale być może trzeba być takim złodziejem tataraku, aby umieć wykraść światu jego najskrytsze tajemnice, a poezji jej najczulsze rejestry? Temu Panu to się udało i poczynił to w sposób subtelny i szczery, za co należy mu się serdeczny uścisk dłoni i czoła pochylenie.

Mirosław Pisarkiewicz, *Złodziej tataraku*, Piła 2007, s. 56.



ODYS KORCZYŃSKI

* * *

Cały wieczór siedział pod stołem
Wąchał ich uda
Całował buty
Wystawiał głowę po ochłap śliny
z wigilijnym smakiem trawionego alkoholu

Wyszedł na śnieg
Przywitała go mokra
dziecięca
bez piersi
Jak strach na wróble zrobiony ze szczurów
na którym się powiesił
nie za ręce i nogi
Za żebra
rozkosz swojego łona
by szybciej go zjadły

Wtedy pójdzie z nimi
obdarty z przyrodzenia
nieczynny

* * *

Poszli tam gdzie rosły drzewa
Z wiatrem rozmyli się w powietrzu
Na szarym niebie został ślad ich ucieczki
Złośliwy grymas w którym odeszli
Tam gdzie rosną samotne
Butelki
pili z gwinta
Wtedy zlizał jej wódkę z paznokci
Przestał żyć
zostawiając ją przy pniu
swojego drzewa



KARL GRENZLER

Sarcedos Dei

Modliłem się w wymyślonej kaplicy
ze zwietrzałych kamieni piramid
gotyckiej cegły

Szukałem nazwy dla nowej planety
na którą kiedyś wyruszymy

Rysowałem plany arki
zbierałem technologie i materiały
które stawią czoła trudom dalekiej podróży

Stałem codziennie przed kamieniem
ofiarnym
nakładając maski na posąg jedynego
który jest

Nuciłem liturgię słowa
ze strzępów filozofów

Składałem ofiary
z radości śmiechu oczekiwań
wina i chleba powszedniego

Czekałem na znak
cud potwierdzenie
Teraz,
teraz nie potrzebuję już czeka

Chronos

z niepokojem spoglądam
na zegar
wskazówki przesuwają się
czas ucieka nieuchronnie
przecież wiem że
go nie ma
jest tylko rozpad
materii

czy wieczność jest
jej brakiem?

PAWEŁ ŻOCHOWSKI

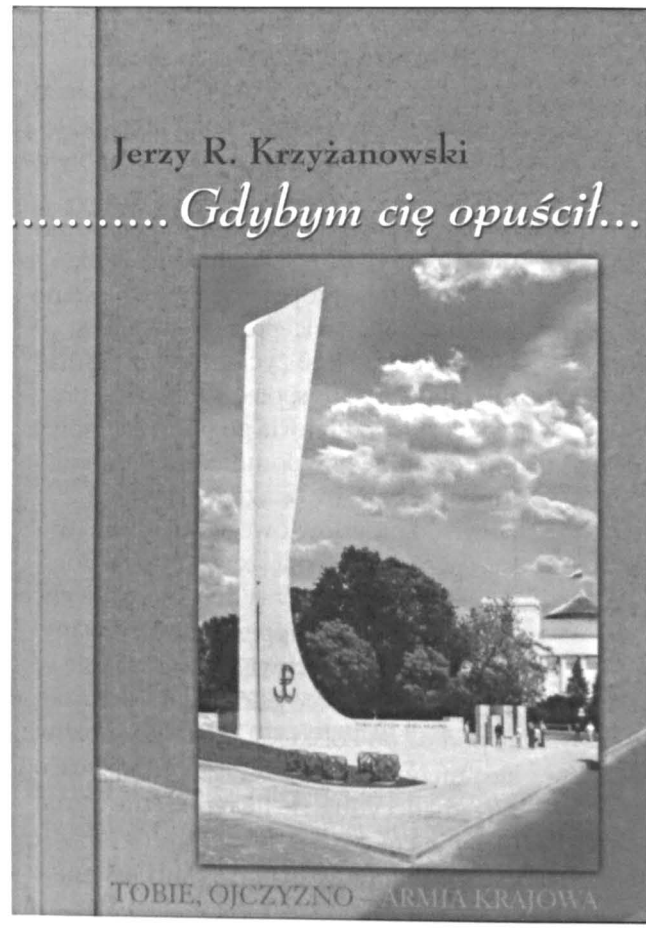
GENERACJA JERZEGO KRZYŻANOWSKIEGO

Jerzy R. Krzyżanowki jest autorem wielu powieści, opowiadań, esejów oraz prac krytycznych. Zaistniał nie tylko na rynku polskim, ale także za granicą m.in. w Anglii, Austrii, Niemczech, Francji, Kanadzie i w Stanach Zjednoczonych. Jego dorobek literacki został doceniony przez Związek Pisarzy Polskich na obczyźnie, a on sam został uhonorowany Nagrodą Literacką im. Bolesława Prusa w 1998 i 2006 r.

Wydana w 2007 roku powieść *Gdybym cię opuścił...* rozpoczyna się od ewakuacji mężczyzn z Warszawy. Główny bohater, siedemnastoletni Stanisław Ziembiński, na rozkaz pułkownika Umiastowskiego, wraz ze swoim ojcem opuszcza stolicę, by udać się do swojej ciotki do Lublina. Wędrówka z ojcem nie trwa jednak długo. Po messerschmittowskim nalocie ginie Ziembiński, a młody Stanisław, wraz z plutonem saperów, udaje się w dalszą drogę. Tutaj, po namowie kaprala Matusiaka, zgłasza się jako ochotnik do armii. Na razie nieoficjalnie, lecz wkrótce jego drogi miały się bohatersko skrzyżować z regularnym wojskiem. Doskwierająca noga nie pozwala jednak na kontynuowanie marszu przy saperach i młodzieniec, pomimo niezadowolenia Matusiaka, odłącza się od wojska. Poznaje przy tym pannę Krysię i wraz z jej siostrą oraz z pomocą miejscowego mleczarza udaje się do Lublina. Nie zabawia tu jednak długo, gdyż męczone nalotami miasto nie nadaje się do normalnej egzystencji. Po namowie panny Krysi wyjeżdża do Lwowa.

To tutaj właśnie oficjalnie wstępuje do polskiego wojska, by jako snajper zasilić grono Lwowskich Orląt. Po wkroczeniu Sowietów, zdemobilizowany, zasila szeregi konspiratorskiej Służby Zwycięstwu Polski odznaczonej Krzyżem Virtuti Militari miasta Lwowa, przekształconej później w ZWZ. Za działalność konspiracyjną zostaje zesłany w kwietniu 1941 roku. Po amnestii zasila szeregi armii Andersa, by przedostać się do Włoch i heroicznie walczyć pod Monte Cassino.

Po wojnie Stanisław Ziembiński, rozczarowany sytuacją polityczną w kraju i brakiem kontaktu z matką, postanawia osiąść w Anglii. Tutaj kształci się i „szlifuje język". Jednocześnie zanikają u niego odruchy patriotyczne i religijne. Pochłonięty karierą i nowym otoczeniem gubi się egzystencjalnie, żyjąc „na kocią łapę" z Cheryl Campbell, u której wcześniej wynajmował mieszkanie. Wówczas na pomoc Ziembińskiemu przychodzi porucznik Wiśniewski, niegdyś przełożony i towarzysz broni. „Czyniąc mu wyrzuty sumienia" zachęca do odwiedzenia Ogniska Polskiego. Tak też bohater czyni.



Odświeżenie znajomości kombatanckich miało rozpocząć nowy etap w życiu Stanisława. Spotkania z polonią doprowadzają do zerwania stosunków z Cheryll, a także umożliwiają pracę w ministerstwie na stanowisku księgowego. Tutaj, za namową Wiśniewskiego, zgadza się na wykrycie nieprawidłowości finansowych popełnianych przez generała Tatara. Ten jednak, zdradzając, ucieka do Polski przywłaszczając trzy miliony dolarów. Ku zadowoleniu Ziembińskiego generał w wyniku tzw. „spisku w wojsku", zostaje skazany na dożywocie za działalność w AK.

Praca w ministerstwie otwiera przed Stanisławem nowe horyzonty. Oto do Londynu przylatuje jego niedawny kompan broni, niejaki Żorka. Żorka osiedlił się w Kanadzie i bardzo szybko stał się potentatem części samochodowych. Jego firma zaczęła przynosić ogromne zyski, jednak brakowało w jej kadrach głównego księgowego. Namawia więc Stanisława do podróży na zachód. Ten, zawiedziony pobytem na wyspach, bardzo szybko ulega pokusie i wyjeżdża do miasteczka Windsor, położonego niedaleko Detroit. Tutaj poznaje Hannę Wysocką, z którą niebawem bierze ślub.

Małżeńskie życie nie przeszkadza Ziembińskiemu troszczyć się o swoją karierę. Bardzo szybko dostaje propozycję pracy na stanowisku zastępcy wiceprezesa w General Motors. Odtąd jego życie zmienia się diametralnie. Awans społeczny, jakiego doświadczył, przyprawia go o zawrót głowy. Próbuje sobie przypomnieć, jaką drogę musiał przejść, by osiągnąć tak wiele. Drogę od przysłowiowego pucybuta (w jego przypadku syna szewca), do milionera. Zapomina przy tym o kraju, nie chce nawet słyszeć o Europie. Zafascynowany amerykańską rzeczywistością rzuca się w wir pracy. Wkrótce jednak ma się okazać, że podróż do Polski jest nie tylko możliwa, ale i nieunikniona. Dostając propozycję od zarządu decyduje się na reprezentowanie firmy w Polsce...

Jerzy R. Krzyżanowski na przykładzie Stanisława Ziembińskiego opisał losy całego swego pokolenia, personalnie zróżnicowanego pod każdym względem. Pod każdym, ale w rzeczywistości świadomego swego patriotyzmu i miłości do Ojczyzny. Jednocześnie nie szczędząc pochwał dla uczciwych jednostek, nie omieszkał skrytykować zdrajców i tchórzy, którzy nad dobro kraju stawiali nie tylko swoje życie, ale niejednokrotnie własne interesy.

Stanisław Ziembiński w oczach czytelnika pojawia się jako postać tragiczna. Jest to jednak złudne. Zrozpaczonego można go jedynie zobaczyć w dwóch sytuacjach, po śmierci dwojga ukochanych ludzi: ojca i żony. W pierwszym przypadku jest jeszcze dzieckiem, a śmierć nadchodzi szybko i niespodziewanie. Tragizm tej sytuacji porusza czytelnikiem już na samym początku, gdy Ziembiński w drodze do Lublina uczy swego syna wiązania onucy, kiedy ten po długiej wędrówce nabawił się pęcherzy. Była to ostatnia rzecz, jaką ojciec nauczył młodzieńca. W drugim przypadku Stanisław spodziewał się odejścia żony, gdy ta osłabiona onkologicznie z wieloma przerzutami, przez kilka tygodni dogorywała swoich dni.

Sam Stanisław Ziembiński jest człowiekiem któremu wszystko się w życiu udaje. Sprzyjające szczęście poparte jest ogromem włożonej pracy. Wszystko to połączone z bardzo silną osobowością, czyni go niezwykle wyjątkowym, lecz nie bez wad. Te jednak autor wymawia Ziembińskiemu niezwykle rzadko.

Gdybym cię opuścił... nie jest tylko powieścią do przeczytania i odłożenia na półkę. To swoisty obraz bohaterskiej generacji, która praktycznie przez całe swoje życie była szykanowana i zniesławiana. To obraz Armii Krajowej i całej Polski Walczącej, który pozostawia głęboki ślad w umyśle czytelnika... na długo...

Jerzy R. Krzyżanowski, *Gdybym cię opuścił...*, Lublin 2006.



DANIEL KOWALCZYK

Teatr Niebo (Historia niemożliwa)

W teatrze **Niebo** Pan Bóg
Się zdrzemnął
I my mu się
Przyśniliśmy
Na firmamencie snu
Grając swoje role; mężczyzna
I kobieta
W spektaklu bez nadziei zapisanej
W didaskaliach
Na poczekaniu składający swe
Kwestie z puzzli słów
Rozrzuconych na rozedrganych wargach
I pozostający w tym chaotycznym
Przedstawieniu
Aż do momentu, kiedy
Bóg się obudzi
I
Spadniemy
Z
Afisza

Kobieta - wąż

w moim śnie
przypełzłaś
cichym
śliskim
zimnym
wężem
otarłaś się bokiem
o kaloryfer
bezpośrednia próba nawiązania kontaktu
<<iskry>>
iskrzą się
się coraz bardziej iskrzy świt w wymarłym mieście
idę tamtędy i patrzę
jak nikt nie wiwatuje na moją cześć
idę tamtędy
i widzę jak garną
się szczury do nogawek moich spodni
odpędzam sie nerwowo
a ty przypełazasz
najbliżej
jak tylko to możliwe
i patrzysz
tak litościwie, że
jeszcze ciepłym mięsem macicznym
ocieka ci spojrzenie

krzyk spełnienia
konwulsyjnym bezruchem
zastyga mi w gardle

Grand Prix

Spuszczam ze smyczy mój wiersz
Jest szybki
Uważaj, może Cię dopaść
I celnym ugryzieniem metafory
Wyszarpać Ci kawałek pośladka
Ten wiersz żywi się mięsem nieoznaczonych znaczeń
Dlatego nie będzie merdać do Ciebie ogonem
Przybiegnie i wyrwie Ci serce
Jeszcze nie wiem jak je przyprawię



MARZENA PODKOŚCIELNA

Niespodziewanie... jesień

twój wzrok dotyka
chłodem
jak wygasły blask słoneczników
ciepło słońca
nie przywróci pełni lata
nawet
przypływ falujących bioder

nie ocala

nas

Zmierzch

na horyzoncie
zanika
dzień

cisza

tylko
wskazówki czują
drżenie
bezpowrotnego czasu

* * *

nie sobie danych
wszystko dzieli

świt
zmierzch
pragnienia
które mijają się ze sobą jak przechodnie
marzenia
różne jak kolory oczu

a jednak
powłóczysz spojrzeniem za mną
nasuwasz okulary

a jednak
nigdy ich dla mnie nie zdejmiesz



X. JÓZEF BAKA

Rada wszystkim stanom

(fragm. utworu *Uwagi śmierci niechybnej*)

Wszystkie stany
Naprzemiany
Upadajcie
Wyciskajcie
Z powieki
Łez rzeki,
Sędziemu
Świętemu.
Bożkie rany
Jako ściany
Niech zasłonią
I obronią
Każdego
Grzesznego
Od kary
Nim mary.
I Maryja
Niech niemija
Wnętrznościami
Zasługami
Folgując,
Ratując
Człowieka,
Co czeka.

ZBIGNIEW SMÓŁKO

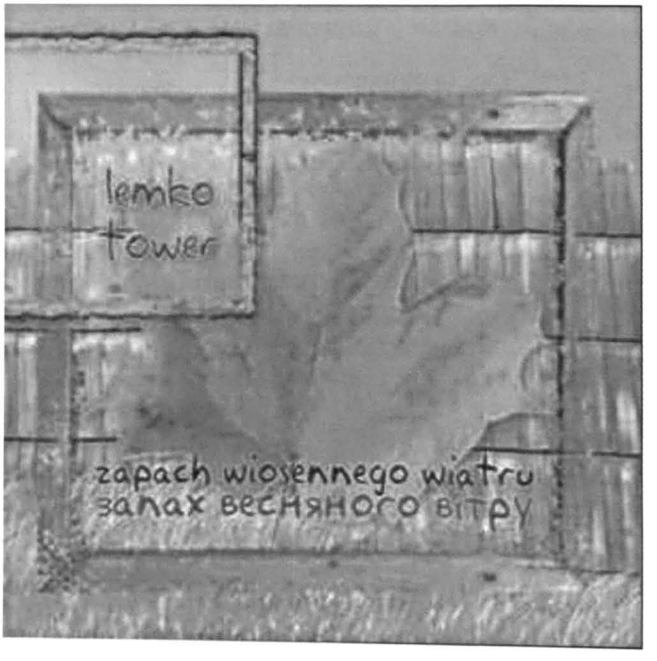
WIEŻA ŁEMKÓW

Niektóre przedsięwzięcia, zanim jeszcze zapoznamy się ze szczegółami, budzą intuicyjną sympatię. Tak jest w wypadku zespołu Lemko-Tower. No bo tak: temat numeru: *Ech żizń...* Znaczy, że na wschodzie. A tu wcale nie, bo w Strzelcach Krajeńskich. Ale jednak ze wschodu, bo Łemkowie. Czyli w porządku, ale zaskakują.

Działalność księdza Artura Grabana wiele razy była przedmiotem zainteresowania mediów. Młody duchowny prawosławny, Łemko, z rodziny wysiedlonej z Bieszczad na zachód Polski w ramach akcji Wisła, zbudował wokół swojej łemkowskiej wspólnoty znaczący ośrodek kulturalny. Wyremontowali cerkiew, we współpracy z samorządem zaadoptowali pomieszczenia w malowniczej wieży (to właśnie ta Lemko-Tower), założyli stowarzyszenie, stronę internetową a także dziecięco-młodzieżowy zespół folkowy. Pierwsza płyta zawierała wschodniosłowiańskie kolędy, dwie kolejne zaś (w moje ręce trafiły jednocześnie) to nowy repertuar (świecki) oraz zapis nagrań koncertu.

Zapach wiosennego wiatru jest dokumentem fascynującym. Raduje zachowanie wielkiej prostoty środków wyrazu, charakterystycznej dla tych, co to nawet być może znają tylko kilka nieskomplikowanych akordów, za to dobrze wiedzą, co z nimi zrobić. Cieszy ucho niepodrabialna spontaniczność i autentyzm młodych muzyków, która sprawia, że porównania np. z popularną swojego czasu ‚Arką Noego okażą się zupełnie chybione. 22-osobowa czereda tym co robi, bawi się świetnie. Wreszcie sam dobór materiału, pełnego zarówno melodii skocznych (testowałem w samochodzie ostrożnie z prędkością...) jak i kawałków bardziej emocjonalnych (z finalnym *Za horu sonce zahorjaje* - moim faworytem na płycie) daje pojęcie o pożytkach płynących z poszukiwań i konserwacji dawnej tradycji muzycznej. Przyjemnością wreszcie samą w sobie jest wsłuchiwanie się w melodykę języka łemkowskiego, z rozumieniem którego problemów nie mają nawet dzieci.

Lemko-Tower, *Zapach wiosennego wiatru* (*Zapach wiesnanoho witru*). **1.** *Hory naszy hory*; **2.** *A tam dołom pry jaroczku*; **3.** *Idu domił idu*; **4.** *Jak sobi zaśpiwam*; **5.** *Lisom, lisom*; **6.** *Ej pryd do nas szuhaju*; **7.** *Nese Hala wodu*; **8.** *Pid obłaczkom*; **9.** *Czerez pole szyrokoje*; **10.** *Tam u lisi*; **11.** *Tecze woda*; **12.** *Oj ne sama*; **13.** *Za horu sonce zahorjaje*.





MARIA KRYŃSKA - SZOSTAK

Połów

Chociaż ta zabawa na pierwszy rzut oka
Wygląda na kota i zwykłą mysz
Że zaraz mnie złapiesz na hak
Czy w intelektualną sieć
Mój syreni ogon połyskuje niemal jak twój
Błyszczyk przynęta, osobisty wdzięk

Więc pierwsze z twoich życzeń: ostry
I gorący seks, po drugie: ostry i gorący seks
Na koniec sen lub jeśli chcesz
Absolutną dam ci pamięć

Studium wszechświata

Cóż ci po kolorze moich oczu, krągłościach
Piersi, prężności mięśni pośladków, łydek, ud?
To ślepa ścieżka ewolucji, widmo
Rozpadających się światów, czerwona poświata
Zapadających się niebieskich konstelacji.
Pokochaj jedynie mój kosmiczny brzuch
O konsystencji miękkiej jak czarna dziura.
To tutaj rodzą się gwiazdy, planety
Myślące istoty
A światło na horyzoncie zdarzeń zapętla się
I biegnie po nieskończonym okręgu.



OSKAR SZWABOWSKI

El Consumento

wygoda kapci
seans łagodzi
prowięzienne przerażenie
powiadomościowe

fakty
potwierdzają kapcie
fotel jest najwygodniejszy
moja mała ojczyzna
o którą dbają wszyscy

wygoda kapci
ponura beztroska
wolnościowo narzuconej perspektywy
sens przetrwania zwanego życiem

Śpiew syren

uwodzony
przez przeszłość
nie ojców i nie matek
przeszłość bezpańską
bezgraniczną
jak czasem te bezproduktywne
zapatrzenia w przestrzeń
spoglądanie za horyzont
ponad podręcznikami fizyki
rządami wiecznych ławek
fabryczno-szkolnych

uwodzony
niczym młody kochanek
bez doświadczenia i nieopanowany
pałam nienawiścią do wszystkich krzeseł
każda pościel jest za krótka

mdli uwodzonego
płaskość codzienności
wytarte klisze filmów amerykańskich
skrupulatnie odgrywanych
pod bacznym okiem nieistniejącej
wszechwładzy

DOMINIKA LESZCZYŃSKA

EXIT
OMÓWIENIE Z DYGRESJĄ

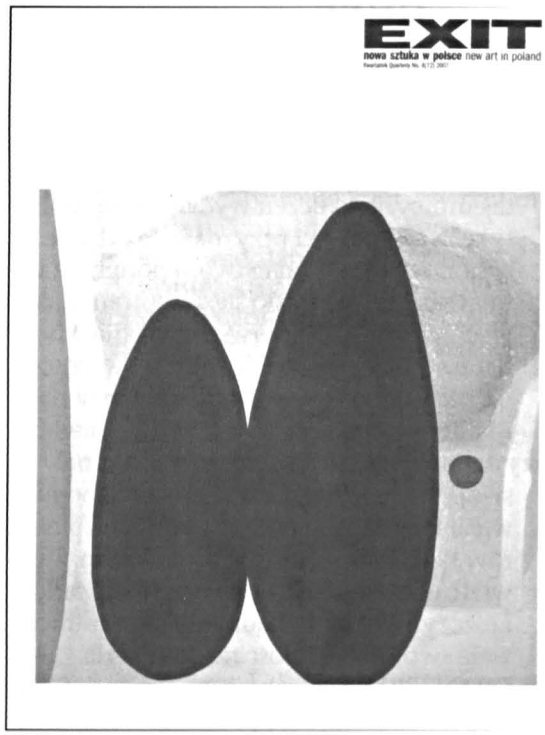
W nadesłanym do Redakcji EXICIE, kwartalniku traktującym o nowej sztuce polskiej (na co wskazuje podtytuł), szukałam momentów osobistych. Będzie to zatem recenzja emocjonalna.

Kwartalnik już od lat przyznaje rozpoznawalną w kraju Nagrodę *EXIT*, którą w ubiegłym roku uhonorowany został Marek Ejsmond-Ślusarczyk artykuł Dagmary Babińskiej o tym „malarzu zanurzonym w bezczasie" otwiera numer, który mam właśnie w ręku. Mnie, historyka sztuki, szczególnie ucieszyło uzasadnienie werdyktu: „za konsekwencję w tworzeniu własnego, niepowtarzalnego języka wypowiedzi oraz za nadzieję, którą dają jego obrazy, że we współczesnym świecie sztuki jest miejsce na malarstwo w najbardziej tradycyjnym tego słowa znaczeniu". Laureatem tej samej nagrody był przed laty (1994) nieżyjący już znakomity malarz Eugeniusz Markowski. Omówienie przez Natalię Werbanowską dwóch warszawskich wystaw retrospektywnych artysty skłania mnie do osobistej refleksji.

Zapewne mało który mieszkaniec Radzynia Podlaskiego - niewielkiego miasteczka położonego na południowym skraju Podlasia - słyszał, w jakich okolicznościach Eugeniusz Markowski trafił do tutejszego gimnazjum. W jednym z wywiadów, który opublikowano na łamach „Sztuki" (4/88) opowiada, że na rok przed maturą (1 połowa lat 30.) został usunięty z katolickiego gimnazjum w Sokołowie Podlaskim i to nie z powodu trudności w nauce ale „pewnego dość, jak się okazało, kontrowersyjnego wypracowania z polskiego". Znalazł się w sytuacji nie do pozazdroszczenia: „Nigdzie nie chciano mnie przyjąć, gdyż powody mojego zwolnienia były bardzo niejasne. Na szczęście jednak dzięki protekcji nauczyciela od polskiego dostałem się do gimnazjum w Radzyniu Podlaskim. Była to szkoła koedukacyjna, do której przy tym uczęszczało dużo młodzieży żydowskiej. Tak więc dla mnie wychowanka pragmatycznych księży był to dość duży przeskok. Z początku czułem się bardzo niepewnie, tym bardziej, że do Radzynia przyjechałem okryty nimbem tajemnicy, jako uczeń wydalony za „politykę"". Markowski przyznaje, że już wtedy pasjonowało go malarstwo, a ponieważ w miasteczku „rozniosło się, że potrafi malować", pojawiły się pierwsze zlecenia. Myślał o studiach w tym kierunku i wkrótce po zdaniu matury złożył dokumenty na Akademię Sztuk Pięknych w Warszawie.

Artysta zawsze z sentymentem wspominał swój „radzyński epizod". Opowiadał o nim wiele lat później podczas słynnych „plenerów końskich" w Janowie Podlaskim. Tak wieść dotarła do uszu mojego ojca, Marka Leszczyńskiego. W Radzyniu akurat inicjowała swoją działalność nowa Galeria ORANŻERIA. Potrzebowała „mocnego wejścia". Leszczyński podsunął wtedy ówczesnemu dyrektorowi Radzyńskiego Ośrodka Kultury, Bogdanowi Sozoniukowi: „Zaprośmy Eugeniusza Markowskiego!" W latach 90. dużo mówiło się o jego twórczości a galerie zabiegały o wystawianie prac artysty. Mogło się wydawać, że szanse na zorganizowanie takiej ekspozycji w małym prowincjonalnym miasteczku są mizerne. Tymczasem Markowski bardzo się tą propozycją ucieszył, co więcej - wyraził chęć odwiedzenia Radzynia, odbycia niecodziennej podróży sentymentalnej do miejsc, których nie widział od lat kilkudziesięciu. Mój ojciec wspomina wizytę w jego warszawskim mieszkaniu, dokąd pojechał w towarzystwie Bogdana Sozoniuka i Grażyny Regulskiej. Gospodarz okazał się niezwykle gościnnym, otwartym i kulturalnym człowiekiem. Pokazał swoje prace, szybko ustalili szczegóły wystawy. Markowski rozumiał, że powstająca Galeria może borykać się z ograniczeniami natury finansowej, nie liczył więc na katalog a prosił jedynie o druk eleganckiego zaproszenia.

Pamiętam styczniowy wieczór 1996 roku i wernisaż wystawy malarstwa i rysunku Eugeniusza Markowskiego. Artysta przyjechał do Radzynia na parę czy może kilka dni. Zrobiły na nim wrażenie piękne wnę-



trza XVIII-wiecznej Oranżerii, w której prezentowane były prace, zaskoczył wysoki poziom edytorski katalogu projektu Grażyny Regulskiej. Oprócz reprodukcji znalazły się w nim także odautorskie wypowiedzi Markowskiego i teksty krytyków. Na otwarciu barwnie opowiadał o Radzyniu lat 30. Wiem również, jak bardzo cieszyły go piesze wycieczki ulicami miasta. Towarzyszył mu Marek Leszczyński, który dzisiaj wspomina: „Oglądałem Radzyń jego oczami, za każdym rogiem czaiła się jakaś niesamowita opowieść. Markowski przywoływał ludzi, których już nie ma koledzy z czasów szkolnych, żydowscy sklepikarze, teatr objazdowy gdzie zatrudniano go jako charakteryzatora". Rozmawiali też o sztuce: Markowski ujawnił niezwykły talent pedagogiczny, udzielał m.in. wskazówek odnośnie malowania na folii. Oczywiście nie odmówił spotkania z licealistami, i nawet przełknął zadane z rozbrajającą szczerością pytanie jakiegoś ucznia: „Dlaczego Pan tak brzydko maluje?" Owocem radzyńskiej wizyty Eugeniusza Markowskiego był półgodzinny dokument, nakręcony przez telewizję WOT.

EXIT. Nowa sztuka w Polsce, nr 4, Warszawa 2007.



ALICJA ZEMANEK

Zegarmistrz

Zegarmistrz
nakręca srebrne kółka
miasto rozpędza się o świcie
ruszają tramwaje ulica
tyka krokami przechodniów

zegarmistrz w czarnym ubraniu
kto sprawdza wywrotowe myśli
wsączane w mózgi zegarów

godziny szaleństwa sprzedawane
w złotych kopertach niepotrzebne miłości
drapieżne minuty śmiertelną epidemię
rozsiewaną bakteriami sekund

Serce to samotny dom

Serce to samotny dom na rozstajach
podejdź bliżej w oknie pali się lampka
starzy rodzice wypatrują gwiazdy
garstka siana pod śnieżnymi polami obrusa

przy stole tyle ludzi roześmiane dzieci
młodzi chłopcy mężczyźni każdy z nich
jest tobą
tej nocy zasiadacie wszyscy do wspólnej
wieczerzy
na przeciw siebie siedzisz starszy o
piętnaście lat

przebacz sobie chociaż dawno marzenia
wyśmiałeś
uśmiechnij się do siebie choć pragnąłeś
śmierci
serce to samotny dom na rozstajach
zapal światło nad drzwiami
niech rozświetla noc

JACEK LEJMAN

O DWÓCH POSTAWACH INTELEKTUALISTY WOBEC ŚWIATA

Jaki winien być stosunek intelektualisty do świata, który go otacza? Omawiane dwa tomy „przeglądu filozoficzno-literackiego" pokazują dwie postawy, jakie może on przyjąć: nie uczestniczącą (indywidualistyczną) i uczestniczącą (poszukującą). Wyznawcą pierwszej zdaje się być wybitny pisarz niemieckiego pochodzenia Hermann Hesse (1877-1962), drugiej zaś polski filozof o światowej sławie Leszek Kołakowski.

Numer poświęcony Hessemu składa się z pięciu części. Pierwsza z nich zawiera teksty bohatera tomu, druga rozprawy jemu poświęcone lub zbliżone tematyką do problemów poruszanych przez Hessego, kolejne zaś (*Twórczość, Forum philosophicum, Recenzje i polemiki)* nie są powiązane tematycznie z głównym nurtem rozważań. Nie znaczy to, że czytelnik nie znajdzie w nich tekstów interesujących, jak chociażby Agnieszki Matusiak *Słowne piruety w twórczości pisarzy „Młodej Muzy"*, czy Jerzego Franczaka *Schulz - klasyczny i (po)nowoczesny*, jednak osią tomu jest dyskusja nad statusem intelektualisty (w tym wypadku Hessego) wobec zagrożeń rodzącego się i już dojrzałego niemieckiego XX-wiecznego totalitaryzmu (faszyzmu).

Hesse stoi na stanowisku, które można by określić jako indywidualistyczne. Już we fragmentach listów z lat 1930-1944 powiada, że nie należy oceniać ludzi wedle przekonań (większość ludzi ich po prostu nie ma), lecz charakteru. Życie każdego człowieka ma bowiem tyle sensu, ile on sam zdoła mu nadać. Stąd też jego krytyczny stosunek zarówno do faszyzmu jak i socjalizmu z ich kultem ciała (faszyzm) i ekonomii (komunizm) przy jednoczesnym braku szacunku dla ducha. Boks i wioślarstwo - powiada Hesse - nie zastąpią kultury.

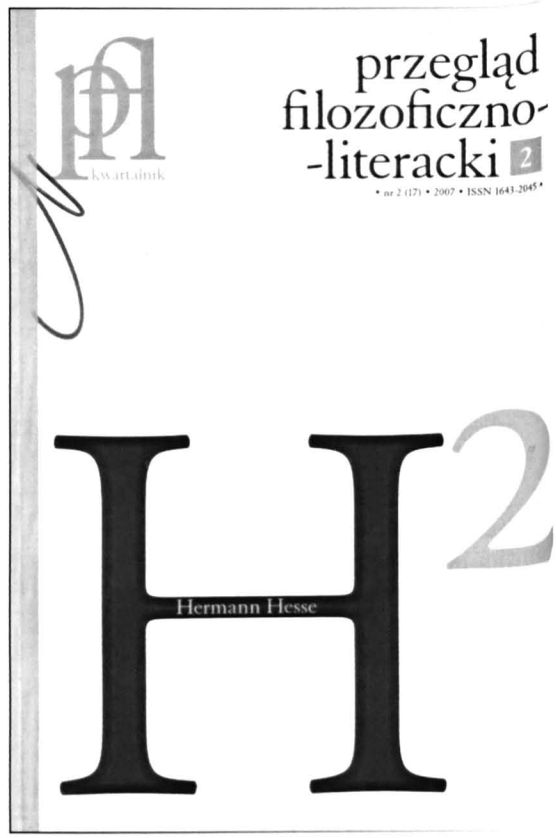
Przeprowadza zatem Hesse radykalną i trwającą kilkadziesiąt lat krytykę „ducha germańskiego", który zdaniem autora *Gry szklanych paciorków* doprowadził do klęski Niemiec zarówno w pierwszej jak i drugiej wojnie światowej. Już w analizie sytuacji, z jaką mamy do czynienia po pierwszej z wojen, razi go szczególnie brak wyrażenia nawet chęci skruchy za dokonane czyny, odpowiedzialności za nie. W ten sposób nie rozliczenie się z duchem niemieckim, który wiódł do pierwszej wojny światowej stanie się zaczynem powstania totalitaryzmu niemieckiego lat 30-40 XX wieku.

Wobec takiego stanu rzeczy można, jak zostało to już powiedziane, przyjąć dwie postawy: czynną i bierną (uczestniczenia i nie uczestniczenia). Hesse, także z racji pewnych okoliczności życiowych, przyjmuje drugą z nich. Jest krytykiem mentalności niemieckiej, ale krytykiem wygodnym z racji zamieszkania z dala od Niemiec w bezpiecznej Szwajcarii. Nie wiem na ile autor *Wilka stepowego* zgodziłby się z taką diagnozą. Przecież jego analizy zmierzają do wskazania na pewne czynniki obiektywne w drodze do postawy „politycznego introwertyka". I tak w *Historii Świata* powiada, że jest ona swoistym „oszustwem dorosłych". W kolejnym tekście (*Droga miłości)* twierdzi, że niedobór miłości jest wynikiem płynącego z braku szczerości powszechnego niedowierzania, które przepoczwarza w efekcie jej potrzebę w swoiście zdeformowany heroizm. Taką też sytuację odnajdujemy w słynnym *Powrocie Zaratustry*, gdzie głos Mistrza gubi się w „stadnym zachwycie i tumulcie tłuszczy". W rezultacie wola mocy, której siła leży w kształceniu osobowości, przeradza się w stadną wolę mocy, która charakteryzuje nie panów, ale niewolników; jest zatem wypaczeniem idei Nietschego. Nie formy rządów należy zatem budować - powiada Hesse - ale osobowości (człowieczeństwo). Jeśli będzie inaczej prorokuje ludzkość i państwa same unicestwią się w wojennej pożodze.

Czy zatem nie tu rola intelektualistów, nie w

tym, by nie tylko przestrzegać, ale i budować nowe społeczeństwo ducha a nie ciała? Po części odpowiedź na to pytanie daje zakończenie dziennika z Rygi (1945). Intelektualiści starych czasów zostali złamani i nie nadają się do odbudowy duchowej. Ich wkład może polegać jedynie na opisywaniu tego, co przeżyli, a wtedy - być może - Niemcy zrozumieją swe winy i nie popełnią błędu z roku 1918. Czy to jednak możliwe? Hesse przyznaje, że istotne jest tu swoiste wyznanie win, po którym dopiero może nastąpić rozgrzeszenie. Jednak w *Liście do Niemiec* (1946) wątpi w taką naprawę; przecież z listów, które dostaje od niemieckich intelektualistów wynika, że uważając Hitlera za winnego tego, co się stało, nie uznają przy tym siebie za współwinnych. Czy naprawdę - pyta Hesse - Niemcy odkryli cele Hitlera dopiero po 1933 roku?

Powstaje pytanie, czy nowy powojenny porządek będzie lepszy. Czy głos Hessego i innych niemieckich intelektualistów może być jakąś nauką? Czy mają dalej sens literackie dyskusje o polityce? „Dla świata kontrolowanego i rządzonego przez Amerykę i Rosję niemiecki literat pozostaje postacią uciążliwą" (s. 93), zaś owe dyskusje bezwartościowe. Państwa, które pełnią dominującą rolę w świecie powojennym popierają wprawdzie demokrację, ale tylko w tych krajach, które okupują (s. 99). W tym względzie Hesse jest krytyczny tak wobec kapitalizmu jak i socjalizmu, gdyż są one pewną, li tylko nowszą, wersją fanatyzmu. Tymczasem, jak powiada w liście z 1950 roku, „musimy twardo obstawać przy swoim, przy przekonaniu, że możliwa jest inna droga do pokoju, zapewnienia porządku i odtrucia świata, niż bomby i wojna" (s.103). Droga ta wiedzie, jak można mniemać, poprzez estetyczny w swej istocie postulat umiłowania jakości a nie ilości. Nie idzie bowiem o postęp, ale o kreowanie osobowości jednostki. Są bowiem dwie historie człowieka - polityczna i moralna. Apologeci nowego ładu, w oświeceniowym w gruncie rzeczy złudzeniu postępu, wierzą że poprzez politykę można zmieniać moralną naturę człowieka. Powielają zatem błąd swych poprzedników, co doprowadzić może - jak przestrzega Hesse - do odrodzenia się idei faszyzmu i to nie tylko w Europie. Cześć „klasyczną" tomu uzupełnia znakomicie współgrający z tezami Hessego tekst z 1919 roku autorstwa Hugo Balla *Krytyka niemieckiej inteligencji*, w którym przyjaciel Hessego poddaje krytyce samą idee pangermanizmu, powiadając, iż Niemcy nigdy nie były, nie są i nie będą „moralnym sercem świata".



Część druga omawianego tomu dopełnia obrazu zarysowanego w części pierwszej. I tak dla przykładu zarówno Jerzy Pabian jak i Maurice Blanchot przybliżają nam życie i twórczość Hessego, tekst Iwony Krupeckiej to nade wszystko analiza jednego z najważniejszych jego dzieł, jakim jest *Gra szklanych paciorków*, Robert Marszałek z kolei analizuje przesłanki myśli faszystowskiej ze względu na wyróżnioną kategorie autonomii.

*

Zasadniczą różnicą między Marksem i marksi-

stami a Hessem jest to, że pierwsi chcieli zmieniać świat, Hesse zaś człowieka (jednostkę). Przed tym, czy jest to rzecz do pogodzenia staje bohater drugiego z omawianych tomów, czołowa postać tzw. warszawskiej szkoły historii idei Leszek Kołakowski. W kolejnych artykułach znajdujących się zarówno w części *Świadectwa*, jak i *Inspiracje i dedykacje* ich autorzy zdają się odpowiadać na postawione powyżej pytanie, przyznając pośrednio, że mamy oto do czynienia z drugą z wyróżnionych przeze mnie postaw, którą nazwałem uczestniczącą (poszukującą). Analizując zarówno działalność jak i ewolucje poglądów Kołakowskiego, przyznają (Andrzej Walicki, Krzysztof Michalski), że historyzm Kołakowskiego i w dużej mierze całej szkoły jest, najprościej rzecz ujmując, polską wersją marksistowskiego rewizjonizmu. Jednakże w opisywanym przypadku mamy do czynienia z wyraźną ewolucją poglądów i filozofii Kołakowskiego, dzięki czemu dostrzegamy, że ów rewizjonizm był tylko wczesną formą poszukiwania (nadawania?) sensu świata. W *Obecności mitu*, *Horrorze metafizycznym (Horror metaphysicus)* czy wreszcie w *Jeśli Boga nie ma* ów sens odnajdujemy w religii i szeroko rozumianym micie, bo tylko one zdają się dawać uporządkowany obraz świata i naszego istnienia (Helena Eilstein, Jan Andrzej Kłoczowski OP, Małgorzata Szpakowska). Jednym z takich mitów był marksizm jako swoista (szkodliwa i w gruncie rzeczy fałszywa) „fantazja stulecia" (Jacek Zychowicz). Jej urok polegał na wprzęgnięciu filozofii w praktykę życia. Innymi słowy rozum odkrywa tu swą moc w praktyce, jednakże zarazem rozszczepieniu ulega sfera wartości i faktów, w efekcie czego owa praktyka zdaje się opierać na micie. Tak też marksizm jawić się może jako utopia, która w dalszym planie głosi, że bez owego mitu pozostaje jedynie postawa sceptyka (bez mitu wszystko zda się być dozwolone). Jak powiada w swym artykule Jerzy Niecikowski „każda filozofia jest wysiłkiem wartościotwórczym" (s. 192). Nie oznacza to jednak, że owo filozofowanie jest zarazem czymś niezmiennym. Kołakowski atakuje religię, potem zaś jej broni. Jak pogodzić te dwie postawy? Jak się wydaje, idzie o tzw. moralność humanistyczną - obronę człowieka indywidualnego przed zbiorowym. W tym znaczeniu autor *Jeśli Boga nie ma* to antyabsolutysta i moralista zarazem.

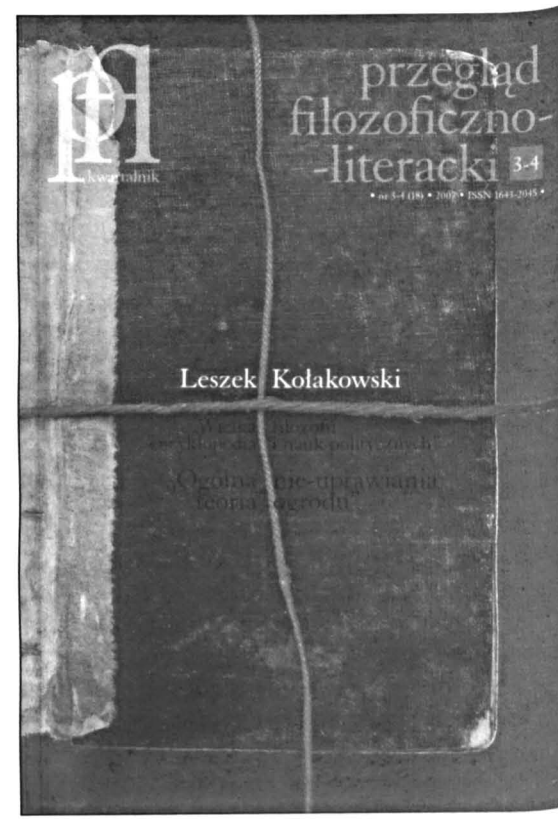
Kołakowski jawi się tu zatem jako filozof poszukujący, uwikłany w dyskurs między wiara a wiedzą. Uchwycona w *Horrorze...*, sceptyczna w swym zaraniu, dwoistość rozumienia sensu świata i ludzkiego życia przekraczana zostaje poprzez idee - jak sugeruje w swym artykule Janusz Dobieszewski - Absolutu i ludzkiej subiektywności (*cogito, ego, alter ego*). W efekcie sedno zamysłu intelektualnego Kołakowskiego tkwiłoby w samym poszukiwaniu prawdy jako celu filozofowania (Krzysztof Okopień, *Kantysta w świecie teraźniejszym*).

Kolejne artykuły, począwszy od zawartego jeszcze w *Świadectwach* testu Andrzeja Mencwela *Leszek Kołakowski: dzieło w cieniu* pokazują dalszy rozwój szkoły i pokrewnych z nią lub będących w pewnej opozycji nurtów filozofii polskiej. Wyłaniający się z nich obraz ukazuje nam, że dzieło filozofa nigdy nie jest skończone, jest zawsze w trakcie budowy, czynionej zarówno przez samego filozofa jak i czytelników jego prac. W tym znaczeniu filozofia jawi się nie jako rzecz ukończona (mit raz na zawsze dany), ale nieustanne poszukiwanie.

Na koniec spróbujmy odpowiedzieć na pytanie postawione na początku niniejszego tekstu. Jaka powinna być postawa intelektualisty wobec zastanego świata? Czy ma ów świat opisywać czy też kreować, zmieniać? W dzisiejszych czasach, gdy tak wielu przyznaje się do bycia intelektualistą (*vide*: strajk lekarzy), odpowiedź na to pytanie staje się szczególnie ważna. Po pierwsze - odpowiadając na powyższe pytanie - nie wszyscy roszczący sobie prawo do tego terminu owymi intelektualistami są. Oczywistym jest, że Hessego czy Kołakowskiego nazwać tak należy, jednak czy jakaś grupa zawodowa może rościć sobie do tego prawo - mam ogromne wątpliwości. Intelektualistą nie jest się bowiem z nadania lub uzurpacji, jest się

nim z uwagi na swoisty stosunek do świata, wiedzę i mądrość. Niestety, o czym filozofowie dobrze wiedzą, sowa Minerwy upiera się dalej, by wylatywać o zmierzchu, zatem to tylko prorocy wiedzą, że wiedzą. Filozof czy filozofujący literat mogą jedynie szukać odpowiedzi ostatecznych. A skoro tak, mogą się też i mylić. Ważne przy tym jest, by z owych pomyłek zdawali sobie sprawę. W efekcie ani postawa nie uczestnicząca, ani uczestnicząca nie są wyznacznikiem mądrości, jak chciał tego choćby Erazm z Rotterdamu (głupiec działa, mędrzec się waha), ale refleksja nad stanem swojej wiedzy, swojego stosunku do świata i tego, jakim on w istocie jest (każdorazowe nadawanie mu sensu). Co jednak, gdy świat, w tym i nasze życie sensu by nie miały? Wtedy warto by im było ów sens nadać.

„przegląd filozoficzno-literacki" nr 2 (17), Warszawa 2007, str. 437; „przegląd filozoficzno-literacki" nr 3-4, Warszawa 2007, str. 604.





KRZYSZTOF KWOCZKO

***

tak jakby istniała jakaś obiektywna prawda
mogąca brutalnie ingerować w moją nieświadomość
a co jeśli ci się tylko wydaje pytasz
niech mi się wydaje tak zawsze odpowiadam

***

wyrasta stąd
jak z jednej cebulki wyrasta
włos rozdwojony

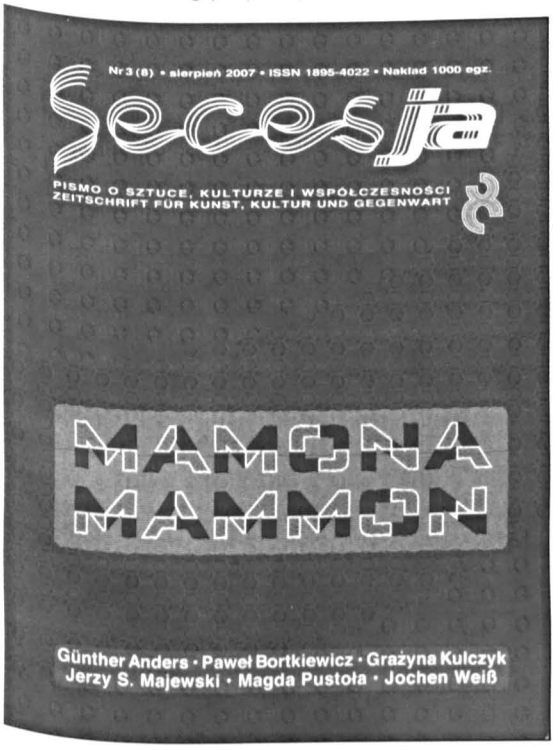
***

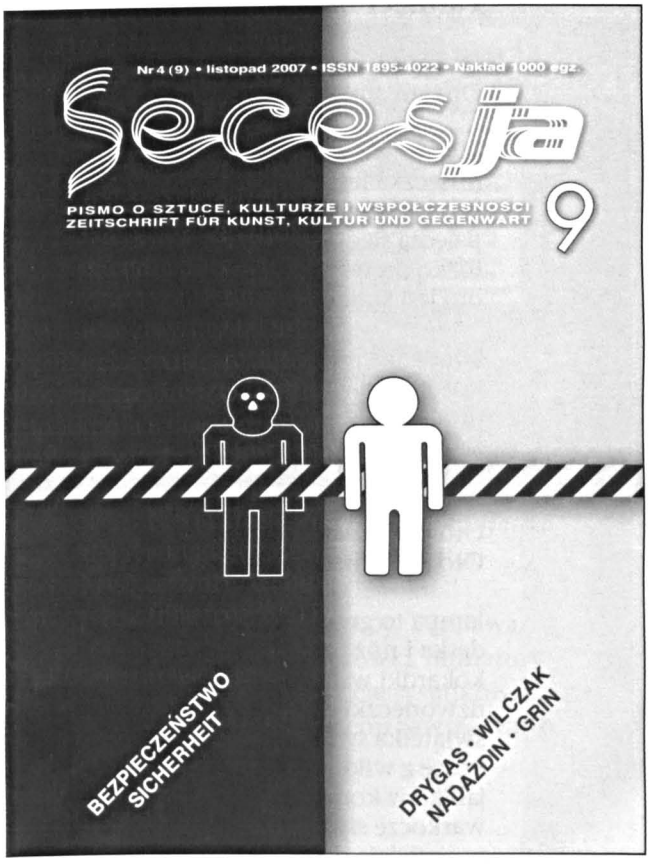
mam dość siły i narządów do przeszczepu
i choć po śmierci będzie ze mnie pożytek
to nie mam dość siły
mam dość i nie będę się bronił
zakopcie mnie z moim sercem
na śmierć na ulicy

DOMINIKA LESZCZYŃSKA

SECESJA

Dwa ostatnie numery dwujęzycznej (polsko-niemieckiej) SECESJI. PISMA O SZTUCE, KULTURZE i WSPÓŁCZESNOSCI nie od razu zachęciły mnie do lektury: skromna szata graficzna, szaro-makulaturowy papier... To zrozumiałe: należę do pokolenia rozpieszczonego przez kolorowe tabloidy. A jednak SECESJĘ przeczytałam od deski do deski. Założenia, które przyświecały wydawcom tego pisma, „zbudowania więzi pomiędzy Polską i Austrią, a następnie pomiędzy Polską i trzema krajami niemieckojęzycznymi Niemcami, Austrią i Szwajcarią", to w moim przekonaniu inicjatywa cenna i potrzebna. Zwłaszcza dzisiaj, kiedy w stosunkach polsko-niemieckich tyle niedomówień i zadrażnień. Z pewnością warto zajrzeć do wcześniejszych numerów tego kwartalnika, gdzie było o powstaniu warszawskim 1944, jubileuszu 25-lecia Solidarności, wydarzeniach poznańskich 1956 i ich związkach z powstaniem na Węgrzech, różnorodności religijnej, o tym kim był i jest dla





Austriaków Jan Paweł II, o reinterpretacji historii, seksualności, a w dwóch omawianych numerach o mamonie i jej roli „w społeczeństwie turbokapitalistycznym" oraz szeroko pojętym „bezpieczeństwie". To wszystko „okraszone" wywiadami z ludźmi kultury. Polecam zwłaszcza „Głębiej od naskórka" - rozmowę z reżyserem i scenarzystą Maciejem Drygasem, i „Nowy polski kryminał", o którym opowiada Ireneusz Grin - pisarz, fotograf i wydawca.

Tym bardziej żal, że numer dziewiąty SECESJI z listopada 2007 roku był ostatnią odsłoną tego dialogu.

„Secesja". Pismo o sztuce, kulturze i współczesności, nr 8 i 9, Warszawa 2007.



LESZEK SOKOŁOWSKI

Pamięci babci

Oto jest łyżka czarna jak chleb
Oto jest śmierć

kwiaty w wazonie z gliny czerwonej
miseczka łez
oto są drzwi z żelazną kołatką
pajęcza sieć
łóżko drewniane i stary siennik
oto jest śmierć

korale paciorki
koronki blade
dłonie
jaskółki kochane
miseczka łez

Oto jest łyżka czarna jak chleb
Oto jest śmierć

lampa to gwiazda
deska i nóż
kokardki wstążki
dzwoneczki dzioneczki
światełka świec
kosze z wikliny
jabłka w komodzie
warkocze siwe
w ogrodzie deszcz

Oto jest łyżka
Oto jest chleb

krucyfiks czarny
sukienki w szafie
kwiecisty maj
w sieni smak ziemi
słony
smak ziemi
miseczka łez
jaskółki kochane
różaniec i chusty
biała jak bez
cicha modlitwa

Oto jest śmierć

jeszcze ciszę opisać

tyle nocy, tyle snów
i aniołów już nie ma
znów brakuje słów
by ciszę opisać
i powietrza brakuje

buduję próżnię
wokół siebie
unoszę się i w dół opadam
jak liść bezwolny
bezszelestnie

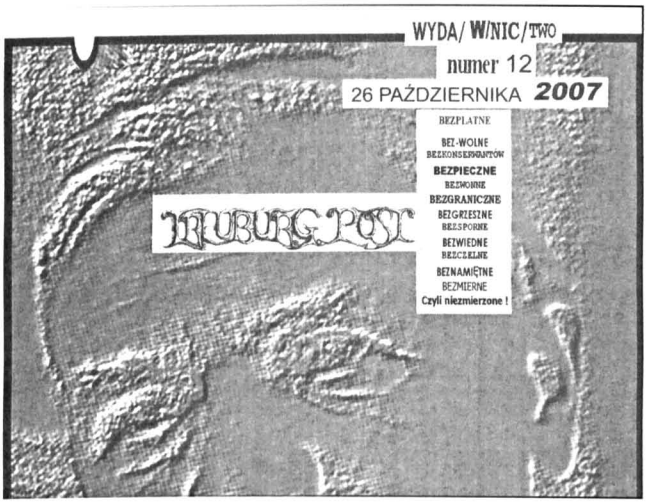
czekam na koniec świata
wiem, że nadejdzie o świcie
z wschodzącym słońcem
i śpiewem ptaków
w maju

wtedy opuści mnie smutek
i nadzieja

tyle snów, tyle nocy
straconych
bez miłości
tyle lęków daremnych
i modlitw
i słów tak mało
by świt opisać

DARIUSZ MAGIER

MENU Z OLECKA



„Treuburg Post" to wydawnictwo utrzymane w stylistyce menu jednego z tych anglorodzimych pubów, w którym treść jest zaledwie pretekstem do eksperymentów artystycznych z przekazem. Opierając się na mojej teorii, stworzonej wyłącznie na osobisty użytek, że pisma literackie dzielą się na „śmiertelnie klasyczne" (z aurą tej przykrej surowości rodem z socrealu) oraz na „śmiertelnie awangardowe" (wizualizujące przewidywalną dziwaczność), można by wydawnictwo z Olecka „wrzucić" do tych ostatnich. Zamierzony chaos, formuła jakby wycięta ze snu szalonego grafika lub anonimu z powycinanymi z gazet literami - oto cały Wiesław B. Bołtryk, dla którego „Treuburg Post" to zapis czasu, rejestracja zdarzeń, spotkań, przyjaźni i fascynacji ludźmi, a nade wszystko ich pracą twórczą. Bo gdy odrzucimy ten Bołtrykowski awangardowy szafarz znajdziemy przede wszystkim twórczość. I na szczęście to ona jest w tym wszystkim najważniejsza.

W numerze 12 z jesieni 2007 olecki zine artystyczny przypomina postać *robotnika sztuki* Andrzeja Partuma - neoawangardowego artysty, poety, kompozytora, *manifestatora* (autora manifestów) malarza, performancera, zmarłego w 2002 roku.

Poza tym duża porcja limeryków Wacława Klejmonta i Roberta Szecówki, miniatury Ewy Kozłowskiej oraz wiele rysunków.

Zamawiać, nie zamawiać menu zawsze warto przejrzeć.

„Treuburg Post", nr 12, Olecko 2007

ADAM ŚWIĆ

ANDRZEJ CORYELL
„GRONOSTAJ UBRANY W KRÓLA. AFORYZMY I MAŁA PROZA"

W KRÓLESTWIE KICZU NIGDY NIE DOCHODZI DO PRZEWROTU, choć *JEDNYM PISANY ANALFABETYZM, INNYM CZYTANY*. Jednak *PRZYWILEJEM KICZU JEST NIEZŁOMNY OPTYMIZM*, a *I PEGAZ PRAGNIE DORWAĆ SIĘ DO ŻŁOBU*. Mimo wszystko *MYŚLENIE NIE ZWALNIA OD MYŚLENIA*, jednakowoż *GRAFOMANKI WINNY ZARABIAĆ TYLE SAMO CO GRAFOMANI*.

Niniejsza „recenzja" składa się prawie wyłącznie z tendencyjnie dobranych cytatów z „recenzowanej" książki, mimo że - jak sam zauważył jej autor - *NIKT NIE MA CIERPLIWOŚCI DOCZYTAĆ KOGOŚ DO KOŃCA*.

Wydawnictwo „Jeden Świat", Warszawa 2007, rysunki w książce Andrzej Coryell, projekt graficzny Sylwia Caban - Wiater



JAKUB ANTOLAK

Matka boska groteskowa

w atmosferze niewątpliwie napiętej
między głowami pochylonymi w czoła
tępej jak gwóźdź
tęgiej jak dąb w kolorze
smutku

stała z językiem różowym
przyklejonym do ust

język jak język
prześwietlany był od wielu stron
można powiedzieć że ze wszystkich
jednak ani klęczący naiwnie ani krokiem
posuwistym idący w stronę przeciwną
nie czuli tej irytacji

oto bowiem
przed państwem
niby obraz cudowna jak pieczenie chleba
z ręką zdrętwiałą od trzymania dziecięcych
pośladków
udaje się jej wypiąć
spomiędzy warg szkarłatny mięsień

i nikt nie pyta o to
czemu czerwień bywa
tylko na początku

***

z bytości w będziość
Miron Białoszewski

to nie zwykły sen
tylko przywidzenie
nie takie
które we śnie widzisz
badając tęczówką
skrawek marzenia
tylko fragment westchnienia
który spadł
z jej czarnej rzęsy

to nie zwykły wyraz
czy formuła: prosta sekwencja
przekazu: miedzioryt
ilustracja
nawet nie zdanie
które odkrył
jakiś wielki uczony
zawierając w twierdzeniu
oprawionym w zaśniedziałe
ramki

to również nie zwykły przedmiot
typu lusterko czy stary kandelabr
z których ta zwykłość przebija na metr
bijąc w nozdrza głoskami
nieznanych cząstek czy
słowami poety w motcie wiersza

krople grafitu posturą
przypominają herosa
z odrąbaną ręką i piętą
przebitą strzałą

złamana strofa
którą skończę gdy ktoś
przetnie złotą nić

ESEJE



Marek Jawoszek



BOGDAN BOSKO

WSPOMNIENIE O MARIANNIE BOCIAN W 5 ROCZNICĘ ŚMIERCI

Ponoć chodziły słuchy, że miałaby duże szanse na literackiego Nobla. Nobla nie było, może dlatego, że nikt jej nie zgłosił. Nie zmienia to faktu, że Marianna Bocian to jedna z najlepszych poetek polskich drugiej połowy XX wieku. Urodziła się 24 kwietnia 1924 roku we wsi Bełcząc koło Czemiernik, w powiecie radzyńskim, w wielodzietnej rodzinie chłopskiej. Rodzice byli tzw. *kułakami*, za co spotykały ich szykany ze strony władz. To ukształtowało jej świadomość i stosunek do komunizmu. W 1962 roku ukończyła szkołę średnią, w latach 1962-1968 studiowała filologię polską oraz filozofię na Uniwersytecie we Wrocławiu. Z tym też miastem była związana, tu tworzyła i żyła. Od 1967 roku pracowała jako korektorka we wrocławskim oddziale PWN. Debiutowała w 1968 roku tomikiem wierszy *Poszukiwanie przyczyny*, który wydała pod pseudonimem Janusz Bełczącki. W latach 1972-1975 była koordynatorką ds. spotkań autorskich w Wojewódzkiej i Miejskiej Bibliotece Publicznej we Wrocławiu. Została usunięta z pracy z powodów politycznych.

Najbardziej twórcze były dla niej lata 70. Od 1973 aż do 13 XII 1981 roku działała w Związku Literatów Polskich. Publikowała m.in. w „Odrze". Od 1978 roku pracowała z dziećmi w dzielnicowej bibliotece publicznej. Napisała podręcznik literatury dla dzieci pt. *Narodziny słowa*.

Jako poeta i pisarka nigdy nie poszła na współpracę z władzami PRL. Nigdy też nie miała zrozumienia dla „męczenników komuny", którzy ubolewali na tym, że „zmuszano ich do kłamstwa". Od początku zaangażowana była w ruch solidarnościowy. Osobiście znała Kuronia i Modzelewskiego, choć później, w latach 90., ludzie ci głęboko ją rozczarowali...

Kolega ze studiów Marianny Bocian, Marek Garbala, wspomina jak zaimponowała mu na trzecim roku, kiedy zapisała się na seminarium, na które nikt inny nie miał odwagi się zapisać.

W latach 1967-1973 należała do grupy literackiej i pisma „Agora", założonego przez innego kolegę poetki ze studiów Lothara Herbsta. Było to pismo ZMS, choć sama była głęboko religijna i utrzymywała stały kontakt z ks. Bolesławem Kominkiem.

Literatura i sztuka były dla niej niezwykle istotne. „Sztuka to wzbudzanie sił boskich drzemiących w człowieku". „Przed kłamstwem człowieka zawsze chroni umysł rozumnie zdobywana wiedza i własna uczciwość. Dopiero poeta tak uzbrojony może wyznaczyć cele i zadania swojej twórczości" - pisała. Może dlatego ambiwalentne uczucia miała w stosunku do noblisty Czesława Miłosza, uważając, że w *Zniewolonym umyśle* rozgrzesza człowieka z jego winy wobec komunizmu przy pomocy „tanich idejek", podczas gdy przyczyną ulegania systemowi było lenistwo własnego rozumu. „Jestem przekonana - mówiła - że «bombardowania kultur», głębokiego regresu człowieczeństwa, a tym samym narastającego wyradzania się społeczeństwa w hordę, nie można wyjaśnić tylko zbrodniczym systemem politycznym".

Nigdy nie dążyła do tzw. *kariery literackiej*. Twierdziła, że interesuje ją Człowieczeństwo. Nie zabiegała o popularność, walczyła o prawdę i w tym względzie nie uznawała żadnych kompromisów. „Wiem, że w poezji jestem odmieńcem i samotnikiem, ale obierając taką twórczą postawę wiedziałam od początku, na co się piszę i jaką cenę za to zapłacę"- zauważała. Tą ceną były trudności w wydawaniu prac, kłopoty z cenzurą, potem ze sponsorami. Faktem jest, że całość utworów poetki nie została dotąd wydana i dopiero czeka na edycję. Być może ceną była także przedwczesna śmierć...

Marianna Bocian czuła się niezwykle silnie związana z ziemią rodzinną, którą nazywała „gniazdowiskiem". Uważała, że poeta, który wyrzeka się ojcowizny może być jedynie „papugą". Mieszkała i tworzyła we Wrocławiu w mieszkaniu przy ulicy

Ścinowskiej, jednak często wracała w rodzinne strony. Podkreślała, że jej droga twórcza to „stany bliskie i konieczne" człowiekowi. Przyjeżdżała w rodzinne strony, aby pracować na ziemi. Lubiła ciężką, fizyczną pracę w polu. Wykonywała nawet typowo męskie zajęcia, takie jak orka, chodzenie z pługiem za koniem. Powiadała, że wiele swoich utworów „wychodziła w polu". Praca na roli była dla niej źródłem natchnienia artystycznego. Wracała do Bełcząca, aby - jak twierdziła - „podładować akumulatory". Miała w zwyczaju rankiem, spacerując po pobliskim lesie, głośno śpiewać. Zwłaszcza *Kiedy ranne wstają zorze*, którą uważała za jedną z najpiękniejszych polskich pieśni. Jej ulubionym poetą był Cyprian Kamil Norwid, którego ceniła za racjonalizm. Odrzucała wszelki irracjonalizm, okultyzm, magię. Może dlatego nazywana jest czasami „Norwidem w spódnicy". Ale równie mocno inspirował ją Juliusz Słowacki. Jej twórczość jest wszechstronna. Potrafiła zarówno redagować dobre teksty dziennikarskie, pisać dla dzieci i młodzieży, jak również olśnić koneserów literatury. Bożena Budzińska odnotowywała, że „Marianna Bocian wierzy w odrodzenie sztuki, w zdolność człowieka do odzyskania pełnego porozumienia z absolutem, choćby u stóp wieży Babel. Podobnego zauroczenia sztuką, jako komunikacją, zjednoczeniem, harmonią myśli, nie było w literaturze polskiej od czasów Jana Kochanowskiego". Jej mądrość wynikała z prostoty bycia i wypowiedzi. Potrafiła w bardzo trudnych sprawach mówić i pisać w sposób prosty, przy pomocy zrozumiałych powszechnie słów. Jak w tym trójwierszu:

„W świecie pełnym troski i zmartwień
znajdziesz ludzi (w Bełczącu) ludzi
utrudzonych
ale szczęśliwych że oto dzięki Bogu uprzątnęli
siano".

Odznaczała się przy tym odwagą, nigdy nie wahała się nazywać rzeczy po imieniu, choćby nie przysparzało jej to przyjaciół. Śmierć poetki była zaskoczeniem dla osób z jej otoczenia, choć ona sama wiedziała o nowotworze, który rozwijał się w jej ciele i przed ostatnim przyjazdem do „gniazdowiska" zwierzyła się przyjaciołom: „Chyba już długo nie pożyję". Aktywna jednak była do końca. Jeszcze w środę udała się na zwyczajowy targ do pobliskiego Radzynia Podlskiego. W piątek poczuła się źle, zabrało ją pogotowie. Zmarła w sobotę 5 kwietnia 2003 roku w wieku 61 lat.



W pamięci osób, które ją znały, pozostanie obraz kobiety z nieodłączną fifką, w dużym, czarnym kapeluszu, w okularach w grubej rogowej oprawie. A czytelnikom spuścizna w postaci pokaźnej ilości literatury - wydanej i tej, która czeka jeszcze na swego edytora.

Publikacje Marianny Bocian:

- *Poszukiwanie przyczyny* (1968), jako Janusz Bełczącki
- *Wieża Babel Pospolita* (1972)
- *14 wierszy* (1973)
- *Narastanie* (1975)
- *Proste nieskończone* (1977)
- *Scalone z rozkładu* (1978)
- *Actus hominis* (1979)
- *Strzępy fotografii* (1979)
- *Ograniczone z nieograniczonego* (1982)
- *Odczucie i realność* (1983)
- *Spojenie* (1988)
- *Stan stworzenia* (1989)
- *W kręgu stanów ludzkich* (1995)
- *Bliskie i konieczne* (1998)
- *Narodziny słowa* (1991)

Proza:

- *Odejście Kaina* (1979)
- *Przebudzeni do życia* (1984)
- *Ciągła odsłona* (2004)



ALEKSANDER SHAUL ROZENFELD

angelus

Gdybym mówił
językami ludzkimi
i anielskimi-
to byśmy się dogadali...

W Twoich oczach
dostrzegam płonące
błękitem Niebo-
to za którym wszyscy
tak tęsknimy...

A w dłoniach
mocno ściskasz gwiazdy,
których blaskiem otulasz się
jak w zimową porę
ciepłym kocem...

Gdybym tylko mówił
jezykami ludzkimi
i anielskimi-
to powiedziałbym wszystko
o wiele jaśniej...

na początku/Izrael Jaffo I 2006

gdzie świt budzi ze snu
szum fal nadaje rytm sercu
wdzięczny jestem za głód
i że zziębnięte ręce
zdolny złożyć do modlitwy
stawiam stopy na piasku
idę ku słońcu jak na bój
za życie za kolejny dzień
jeszcze jeden uśmiech
skradziony meczetowi o poranku
salom alejkum
i tobie dobry człowieku
jestem pyłkiem
diamentu



KAZIMIERZ LINDA

Dzieciom Zamojszczyzny

(inspirowane twórczością Cz. Główki)

zagubione lata utracone losy
kluczą wśród bezdroży zapomnienia
w poszukiwaniu sfałszowanych życiorysów
w pamięci szczątki zdarzeń
zderzają się z rzeczywistością
gdzieś głęboko w podświadomości
tkwi stukot kół długiej podróży
echem dzwonią resztki mowy rodzimej
przesłonięte nakazami i zakazami
teraz gorycz wspomnień
poszukiwanie śladów dzieciństwa
niektórzy nie wierzą co zgotował im los

***

Mój świat
Kurczy się coraz bardziej
Topnieją horyzonty
Słowa opadają jak liście
Jeszcze parę dni
I zmieścisz go
W swojej dłoni

***

zagubiłem się w myślach
nie wiem czy twarz ukryć w dłoniach
czy oddać litosferze resztę egzystencji
gdzie droga powrotna
ktoś drogowskaz skradł
po co iść dalej kiedy cel ucieka
zatrzymać się w pustce
witać cię czy żegnać



IZABELA KOCZKODAJ

ROZTERKI SYNA CERKWI

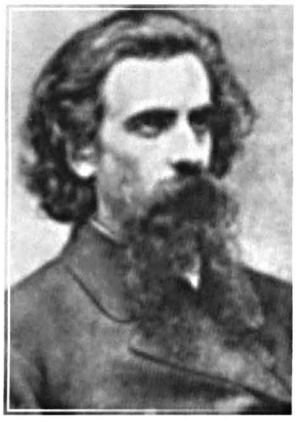
Prawosławni oskarżali Sołowjowa o *papizm* i *jezuityzm*. Katolicy postrzegali go tylko jako konwertytę (którym w istocie nie był). W końcu „pomysł zjednoczenia Kościołów jest ideą piękną, którą wszak tylko cud mógłby urzeczywistnić jak powiedział papież Leon XIII..."[1]

Tymczasem „piękna idea" zjednoczenia Kościołów była stale obecna w refleksji niemarksistowskich filozofów rosyjskich przełomu dziewiętnastego i dwudziestego wieku. Katolicyzm fascynował: tak odmienny, a zarazem tak bezpiecznie bliski prawosławiu, kojarzył się przede wszystkim z wytęsknionym przez wielu Zachodem. Wybór *europejskości* był dla Rosjan zwłaszcza tych bardziej światłych czymś zupełnie naturalnym: „Nasze cudzoziemskie wykształcenie do tego stopnia zmusza nas do trzymania się Europy, że, choć nie przyswoiliśmy sobie jej idei, nie mamy innego języka, prócz tego, którym mówi ona; w ten sposób nie pozostaje nam nic innego, jak posługiwać się tym językiem" stwierdził nieco wcześniejszy od Sołowjowa myśliciel, Piotr Czaadajew.[2] Co więcej, rozdźwięk pomiędzy potrzebami *duszy rosyjskiej* a organizacją ówczesnej Cerkwi stawał się coraz bardziej widoczny. „Ograniczoność wpływu na życie społeczne, izolacja od nurtów oraz tendencji umysłowych i filozoficznych oraz niepodatność na przemiany światopoglądowe i aspiracje, przejawiane przez inteligencję stały się źródłem odcięcia prawosławnej Cerkwi od żywotnych problemów współczesności. Z upływem czasu coraz bardziej niepokojące stawało się oderwanie myśli teologicznej od życia, gdyż drażniła jej nieżyciowa uczoność".[3]

19 lutego 1896 roku Włodzimierz Sołowjow potajemnie przyjmuje komunię z rąk



Tomasz Młynarczyk



księdza katolickiego obrządku wschodniego. Wątpli-wości, czy Sołowjow przeszedł tym samym na katolicyzm, nie zostały do końca rozstrzygnięte. Osobiście wydaje mi się przekonująca argumentacja W. Hryniewicza, który decyzję przyjęcia Eucharystii postrzegał przede wszystkim jako wyraz „rozczarownia inercją Kościołów, niezdolnością do podejmowania śmielszych decyzji".[4] *Zjednoczenie Kościołów w sobie* jest jednak nie tylko aktem osobistej odwagi, ale również potwierdzeniem istotności jednostki w procesie zlewania się wyznań w jeden Kościół Powszechny. Sołowjow przypo-mina, że rozdział katolicyzmu i prawo-sławia na charakter jedynie historyczny: orzeczenia siedmiu soborów powszech-nych potwierdzają, iż między Kościołami nie ma różnic dogmatycznych; różnice polegają tylko na rozumieniu pewnych dogmatów. Bezzasadne są, według niego, zarzuty o wprowadzeniu przez Kościół Zachodni już po siedmiu soborach no-wych twierdzeń, których Kościół Wscho-dni nie uznaje. Posiłkując się teorią o rozwoju dogmatu, myśliciel przekonuje, że wszystkie te zmiany stanowią jedynie rozwinięcie *pradogmatu* o Bogoczłowie-czeństwie[5]. Filozof twierdził, że dogmaty nie są ustanawiane, lecz odkrywane[6]. Odkrywał więc a ścieżka jego duchowych poszukiwań była długa i kręta. Wychowany w atmosferze admiracji dla prawosławia, już jako czternastolatek przeżył swój pierwszy kryzys religijny. Namiętna chęć zaprzeczenia istnieniu świata duchowego doprowadziła nasto-letniego ateistę do świętokradztwa: w obecności kolegów Sołowjow niszczy iko-ny, przed którymi modlił się jako dziecko. Akt świętokradztwa jest w istocie dobro-wolnym zrzeczeniem się możliwości obco-wania z Nieprzedstawialnym; przypomnę brzmienie dogmatu o Wcieleniu: „Przed-tem Boga nie przedstawiano na obrazie, gdyż był bezcielesny i bezkształtny. Skoro jednak teraz Bóg został ujrzany w ciele i zamieszkał między ludźmi, przedstawiam Boga widzialnego"[7]. Młody Sołowjow nie zamierzał tłumaczyć się ze swoich demon-stracji; Sołowjow dojrzały zmuszony był odpierać intensywne ataki tych, którym nie w smak były jego prokatolickie sym-patie na łamach „Новое время" filozof publikuje list, w którym potwierdza swoją przynależność do kościoła prawosław-nego[8]. Na łożu śmierci Włodzimierz Sołowjow przyjmuje komunię po raz pierwszy - i ostatni - od 1896 r.; tym razem jest to komunia z rąk duchownego prawo-sławnego. „W eucharystii Chrystus jest obecny realnie i jedyny możliwy sposób uobecnienia Jego obecności to dosłowne zjednoczenie z Nim dzięki spożyciu hostii, co znaczy, że prawdziwa obecność Chry-stusa w hostii nie jest obecnością widzial-ną, która domagałaby się jakiejkolwiek wizji"[9]. Zaledwie obietnica pełnej obecno-ści Chrystusa i całkowitego z Nim zjedno-czenia, jaką kryje w sobie *okno* pośredni-czące między Bogiem i człowiekiem iko-na, za sprawą ostatniej Eucharystii Soło-wjowa zmienia się w rzeczywistość; dwie komunie, z rąk duchownego świata Zacho-du i duchownego świata Wschodu, sym-bolicznie domykają w duszy myśliciela spór, spowodowany podziałem Kościołów, który Włodzimierz Sołowjow „przeżywał jako osobisty duchowy dramat i trage-dię"[10]. Być może utopijna idea Bogoczło-wieka - „zjednoczenia Bóstwa z naturą człowieczą w jednej indywidualnej osobie - nie jest początkiem, konieczną podstawą i ośrodkiem"[11] przemiany życia, lecz - jego kresem...

Harmonia i symetria. Taki był Sołowjow *dzienny*. Ale istniał też Sołowjow *nocny*; Mikołaj Bierdiajew (któremu ten podział zawdzięczam) pisał: „Sołowjow pisał tak, jakby nie znane mu były otchłanie wątpienia, jak gdyby nie wiedział, co to sprzeczność. Wszystko szczęśliwie mu się harmonizowało. Wiemy jednak, że Soło-wjow był mistykiem, że jego doznania religijne nie były wolne od sprzeczności, że obfitowało w paradoksy jego życie tak pełne udręki"[12]. Przeżycia religijne Włodzi-mierza Sołowjowa istotnie można uznać

za niezwykle głębokie i skomplikowane. W maju 1882 roku (jest to czas, gdy Stolica Apostolska nie utrzymuje z Rosją zerwanych przez Watykan w proteście za represje, jakie spotkały Polaków po stłumieniu powstania styczniowego) Sołowjowowi śni się, że spotyka na jednej z moskiewskich ulic biskupa rzymskokatolickiego i prosi go o błogosławieństwo. Rok później do Rosji przyjeżdża nuncjusz apostolski, który ma uczestniczyć w koronacji Aleksandra III w Moskwie. Sen filozofa sprawdza się w stu procentach: poproszony o błogosławieństwo biskup udziela go Sołowjowowi publicznie. Od tego momentu w życiu myśliciela zaczyna się zupełnie nowy rozdział: walka o jedność Kościołów[13]. Mikołaj Bierdiajew słusznie zauważa jednakże, że Sołowjow zbyt dużą wagę przywiązywał do formalnych umów pomiędzy hierarchiami obu wyznań, zbyt mocno zaangażował się w zażegnywanie sporów dogmatycznych, by dostrzec, w czym tkwi istota różnicy pomiędzy katolicyzmem i prawosławiem mam tu na myśli samą podstawę doświadczenia religijnego, jaką jest mistyka oraz stosunek do Chrystusa. Katolickie doświadczenie mistyczne (zmysłowe, widowiskowe, antropocentryczne) jest wznoszeniem się do Boga, świadomym wysiłkiem, jaki musi podjąć jednostka, by doznać łaski zjednoczenia. Na Wschodzie to wygląda inaczej: Bóg przychodzi bowiem do człowieka i sytuuje się w nim prawosławie nie naśladuje Chrystusa, bo Chrystus nie jest zewnętrznym obiektem, ale uwewnętrznionym podmiotem[14]. Katolicyzm - to głód Boga, prawosławie - ciepło Boga.

Wspomniany już Bierdiajew stwierdza, że „całej oryginalności chrześcijańskiego dzieła życia W. Sołowjowa należy upatrywać w tym, że powrócił on do wiary ojców i stał się obrońcą chrześcijaństwa po zaistnieniu takich zjawisk jak humanistyczne doświadczenie nowożytności oraz samoutwierdzenie się ludzkiej wolności w wiedzy, twórczości i społecznym budowaniu. Przyjął to doświadczenie, odrzuciwszy jego złe owoce, i wprowadził je we własną głębię to, co przeżył wprowadził do swego chrześcijańskiego światopoglądu"[15]. W czasach, gdy jednostka uświadamia sobie, że przywołując słowa Marksa „wszystko, co stałe, rozpływa się w powietrzu"[16], Sołowjow szuka w świecie pierwiastka, mogącego scalić w jedno kawałki rozbitego lustra rzeczywistości. Z perspektywy rzeczywistości, o której mówi się, że jest postmodernistyczna, bardzo łatwo ocenić tego filozofa jako naiwnego idealistę (co więcej, tak oceniało Sołowjowa wielu jemu współczesnych). Trzeba jednak pamiętać, że Włodzimierz Sołowjow nieustannie wybiegał w swoich rozmyślaniach i prognozach w przyszłość. Jak daleką, nie wiemy...

Włodzimierz Sołowjow (1853-1900), rosyjski myśliciel, teolog, publicysta i poeta. Wykładał filozofię w Moskwie i Petersburgu. Podejmował zagadnienia Bogoczłowieczeństwa, teokracji, sofiologii i ekumenizmu. Wydał między innymi: *Krizis zapadnoj filosofii: protiw pozitiwistow* (1874), *Istorija i buduszczност' tieokratii* (1887), *Kratkaja powiest' ob Antichristie* (1899), *Stichotworienija* (1891), *Ex oriente lux* (1890).

Przypisy:

[1] Zob. G. Przebinda, *Teokracja ekumeniczna Władimira Sołowjowa*, w: tegoż, *Między Moskwą a Rzymem. Myśl religijna w Rosji XIX i XX wieku*, Universitas, Kraków 2003, s. 65.

[2] P. Czaadajew, *Полное собрание сочинений и избранные письма*, Moskwa 1991, t. 1, s. 443, za: M. Broda, *Rosja i Zachód: o problemach wzajemnego zrozumienia*, w: *Wokół Leontjewa i Bierdiajewa*, red. J. Dobieszewski, Wydział Filozofii i Socjologii Uniwersytetu Warszawskiego, Warszawa 2001, s. 53.

[3] J. Kapuścik, *Sens życia. Antropologiczne aspekty rosyjskiego renesansu duchowego XX wieku w świetle prawosławia*, Wydawnictwo Uniwersytetu Jagiellońskiego, Kraków 2000, s. 16.

[4] *Nad przepaścią niewiary. Z ks. W. Hryniewiczem rozmawiają E. Adamiak i J. Majewski*, Kraków 2001, s. 195, za: J. Dobieszewski, *Włodzimierz Sołowjow. Studium osobowości filozoficznej*, Wydawnictwo Naukowe „Scholar", Warszawa 2002, s. 49.

[5] Zob. J. Krasicki, *Bóg, człowiek i zło. Studium filozofii Włodzimierza Sołowjowa*, Fundacja na rzecz Nauki Polskiej, Wrocław 2003, s. 218.

[6] Zob. G. Przebinda, dz. cyt., s, 58.

[7] J. Damascenus, *De imaginibus oratio* I, 16, w: *Patrologia Graeca*, ed. J.P. Migne, Paris 1857-1866, 94, szp. 1246, za: M.P. Markowski, *Pragnienie obecności. Filozofie reprezentacji od Platona do Kartezjusza*, słowo/obraz terytoria, Gdańsk 1999, s. 80.

[8] Zob. J. Dobieszewski, dz. cyt., s. 42.

[9] M. P. Markowski, dz. cyt., s. 79.

[10] Zob. J. Krasicki, dz. cyt., s. 221-222.

[11] Wł. Sołowjow, *Jewriejstwo i christianskij wopros*, s. 36, za: M. Kita, *Klucz do żywych przekonań. Chrystologia filozoficzna Włodzimierza Sołowjowa*, Wydawnictwo Uniwersytetu Jagiellońskiego, Kraków 2005, s. 21.

[12] M. Bierdiajew, *Zagadnienie Wschodu i Zachodu w świadomości religijnej Włodzimierza Sołowjowa*, w: *Wokół Leontjewa i Bierdiajewa...*, s. 228.

[13] Zob. http://www.kosciol.pl/content/article/20040427220933908.htm stan na dzień: 18.04.2008 r.

[14] Zob. M. Bierdiajew, dz. cyt., s. 240-241.

[15] Za: http://www.gnosis.art.pl/e_gnosis/ex_oriente_lux/bierdiajew_o_so%B3owiowie.htm, stan na dzień: 18.04.2008 r.

[16] Zob. M. Berman, *Wszystko, co stałe, rozpływa się w powietrzu. Rzecz o doświadczeniu nowoczesności*, przeł. M. Szuster, wstęp A. Bielik-Robson, Kraków 2006.



ANNA NOGAJ

Kiedy przychodzi człowiek

granicą takiego spotkania biegnie uczucie
przychodzisz
i dzielisz się chlebem słowa

krajobraz wtedy jest głębszy
i czulej niż zwykle tulę niepokój miasta
w ramionach

teraz raźniej płynę w myślach
wiosłując ciepłą ciszą
nie potykam się już o próg wschodu

o krok od siebie
klękam
i proszę o kolejną kromkę wiary

Gdy byłeś młodszy, opasywałeś się sam i chodziłeś, gdzie chciałeś. Ale gdy się zestarzejesz, wyciągniesz ręce swoje, a inny cię opasze i poprowadzi dokąd nie chcesz.
J 21,19

Przedświt

pęka dojrzały owoc.
zamykasz oczy aby nie widzieć

zbyt wąska jest droga od wtedy do
teraz, kiedy nie słyszysz szeptu
biblijnych wersetów.

nie lękaj się. każda łza jest ziarnem
zrodzi drzewo życia, szumiące psalmem
Dawida i ufną modlitwą pasterzy

w dzieży chleb dojrzewa. rozpęknie się
światłem, kiedy odnajdziesz w nim siebie
i uwierzysz.



EWA BAJKOWSKA

Stare kobiety (II)

Stare kobiety
całe życie mieszczą
w jednej szufladzie
staromodnej komody
w małej kawalerce
ze ślepą kuchnią.

Uparcie zgarniają
rozproszone myśli
ale te niesforne
ulatują w przestrzeń
gdzie czas były i obecny
egzystują z sobą
pod rękę za pan brat.

Rozleciała się barwna
mozaika odległego wczoraj
rozproszyły szkiełka
w kosmosie zdarzeń.
Jakże trudno przywołać
zamierzchłe pejzaże
zza zaćmy czasu
gdy pamięć powolna
a wątki rwą się
jak zetlałe szmatki.
Cienie spraw i ludzi
przesuwają się wolno
blade i bezcielesne
przez małą kawalerkę
ze ślepą kuchnią.

Przeszłość żyje realnie
w szufladzie komody:
zasuszony płatek
broszka bez zapięcia
kawałek listu
którego autor
zginął na wojnie

Zegarek który stanął
wpół drogi
okulary kogoś
kogo kochało się
bardziej niż siebie
obrączka
Całe życie w kawałeczkach
kawałeczki rzewne
kawałeczki smutne
kawałeczki jak cierń
jak szloch
drobne szkiełka
rozbitej mozaiki
szkiełka ułamki miłości.



ARKADIUSZ KULPA

TROCHĘ INACZEJ ORYGINALNE

Quaestus ab arte qualibet debeat esse procul.
(Myśl o zysku powinna być daleka od prawdziwej sztuki)
Klemens Janicki

Prawdopodobnie wielu z nas widziało film Juliusza Machulskiego pt. *Vinci*. Jeśli jednak są i tacy, którzy nie wiedzą, o czym jest ten film, to króciutko przedstawię jego motyw przewodni. Cuma, złodziej dzieł sztuki na zdrowotnym urlopie z więzienia, dostaje zlecenie na kradzież najcenniejszego obrazu, jaki znajduje się w Polsce - „Damy z łasiczką" Leonarda da Vinci. Cuma zwraca się o pomoc w robocie do byłego kompana - Szerszenia. Jednak nie wie o tym, że Szerszeń podczas jego odsiadki został policjantem i ma skrupuły dotyczące kradzieży i wywiezienia z Polski tak wielkiego dzieła. Plan zakładał, że w miejsce oryginału zostanie podłożona kopia. W tym celu dwaj kompani zwracają się o pomoc do starego fałszerza obrazów Hagena, żeby wykonał dokładną kopię „Damy z łasiczką". Nie będę więcej rozpisywał się na temat filmu „Vinci". Proponuję go zobaczyć, bo to dobra komedia. Napiszę jeszcze tyle, że po wielu perypetiach obraz został na swoim miejscu i wszyscy byli zadowoleni (oprócz zleceniodawców kradzieży, oczywiście).

Dlaczego jednak nawiązałem do tego filmu? Nie dlatego, że jest to dobra komedia, ale dlatego, że bardzo ciekawa wydała mi się postać starego fałszerza Hagena i jego proceder - fałszowanie obrazów.

O ile Hagen był osobą fikcyjną, wymyśloną przez scenarzystę, to mistrzowie „od malowania tego, co już namalowane", których sylwetki chcę tutaj przybliżyć, byli jak najbardziej prawdziwi i potrafili naprawdę nieźle namieszać w świecie sztuki. Jeżeli chodzi o „malowanie tego, co już namalowane" to chcę od razu zaznaczyć, że proceder fałszowania obrazów nie polega na kopiowaniu obrazu, który wisi w jakimś muzeum i próbie sprzedania go jako oryginału. Coś takiego zrobiłby wyjątkowy idiota. Fałszowanie obrazu to malowanie „nowego", nieistniejącego obrazu przy użyciu odpowiednich środków, w stylu danego artysty, postarzanie go i wprowadzenie go na rynek jako przypadkiem odnalezione po wielu latach nieznane dzieło. Fałszerstwem jest też naniesienie podpisu sygnatury znanego malarza na obraz, którego on nie namalował.

O tym jak powstały dzieła „trochę inaczej oryginalne" przekonamy się na przykładzie działalności mistrzów fałszerskiego procederu.

Fałszerz sztuki to zawód z tradycjami. Najwcześniejsze zapisy o fałszerstwach pochodzą z egipskich papirusów z 5000 roku przed Chrystusem. Dotyczyły one zastępowania kamieni szlachetnych przez sztucznie barwione szkiełka.

Państwo rzymskie budując swoje imperium wykupywało od Greków najcenniejsze zbiory. Nie wszystko jednak Grecy chcieli sprzedawać, więc Rzymianie zaczęli podrabiać greckie dzieła sztuki. Seneka w swoich notatkach zapisał, że w Rzymie za czasów Cezara działało kilka warsztatów fałszujących rzeźby i kamienie szlachetne. Powstawały w nich rzeźby noszące podpisy Praksytelesa lub Skopasa, które przetrwały do naszych czasów jako oryginały.

W następnych stuleciach proceder fałszowania dzieł sztuki całkowicie zaniknął, aby odżyć na nowo w epoce renesansu. Wtedy to plagiatorami byli nawet wielcy artyści. W tamtych czasach nie uważano takiej twórczości za przejaw oszustwa, wręcz przeciwnie, podziwiano ją jako przejaw geniuszu potrafiącego stworzyć dzieło dorównujące wspaniałością np. rzeźbom antycznym. Co ciekawe, proceder ten cieszył się dobrą reputacją niemal do XIX wieku, a fałszerz był artystą, który oddaje cześć i hołd wielkim mistrzom. Przykładem takiego plagiatora niech będzie jeden z największych artystów renesansu Michał Anioł. Gdy był 20-letnim młodzieńcem na zlecenie jednego z Medyceuszy wykonał na wzór antyczny



„Uczniowie w Emaus"- pierwszy falsyfikat Vermeera, który namalował Meegeren. Kielich, który na obrazie stoi na stole przed Jezusem, policja znalazła w domu Meegerena podczas rewizji w 1947 r.

rzeźbę „Śpiącego Kupidyna". Następnie spreparował ją tak, że wyglądała na 1500 lat. Tak postarzone dzieło sprzedał handlarzowi, który wywiózł je do Rzymu i sprzedał kardynałowi Rafaelowi Riaro. Gdy Michał Anioł przyznał się do fałszerstwa, nie tylko nie ściągnął na siebie gniewu kardynała, lecz zdobył podziw i szacunek jako wspaniały rzeźbiarz. Mało tego, został zaproszony do Rzymu, gdzie stworzył wiele wspaniałych dzieł i dorobił się majątku.

W wiekach późniejszych z usług kopistów i fałszerzy wciąż chętnie korzystali wielcy tego świata. Kopie i falsyfikaty najsłynniejszych obrazów świata ozdabiały ściany pałaców watykańskich, cesarskich i królewskich. Były tak znakomite, że jeszcze niedawno eksperci mieli problemy z rozróżnieniem oryginału od kopii.

W całej Europie, począwszy od XV wieku, pracownie malarskie były fabrykami produkującymi obrazy. Uczniowie pracujący w pracowniach mistrzów kopiowali i naśladowali swoich nauczycieli. Bywało też, że mistrz podpisywał prace swoich uczniów, gdy stwierdził, że są dobre. Komisja Rembrandtowska stwierdziła, że autentyczna sygnatura Rembrandta widnieje na wielu pracach jego uczniów. Wielu mistrzów kopiowało swoje dzieła. Bartolomeo Strozzi wymalował 15 replik wizerunku Św. Wawrzyńca. Podobnie postępował El Greco. Istniało też wiele manufaktur falsyfikatów, głównie we Włoszech, które zakładali handlarze sztuką. Zatrudniali oni tam miejscowych artystów, którzy w niemal taśmowy sposób i za zwykłą dniówkę produkowali kopie lub falsyfikaty znanych mistrzów.

Wszystkie skończyło się, gdy fałszerze zaczęli oszukiwać kolekcjonerów i podstępnie wyciągać od nich duże pieniądze. Wtedy to środowisko twórców i kolekcjonerów jednogłośnie okrzyknęło ich złodziejami. Mimo tego proceder nie zanikł, ale wraz z rozwojem techniki rozwijał się coraz lepiej. Wielu krytyków uważa, że wiek XX można nazwać wiekiem fałszerzy, ponieważ takiej ilości kopii i falsyfikatów nie było w żadnym innym stuleciu.

Już na samym początku XX wieku zaistniał incydent, który wielu uznało za fałszerstwo stulecia. Nie dotyczył on wprawdzie sfałszowania obrazu, lecz warto o nim wspomnieć właśnie dlatego, że było to fałszerstwo stulecia i że narobił niezłego zamieszania. Pokazał też jak omylni bywają eksperci. Dotyczył on „tiary Saitafernesa" - ważącej 460 g, szczerozłotej trzyczęściowej korony władców scytyjskich. Tiara pojawiła się nagle w Wiedniu w 1880 roku przybrana w dość wiarygodną, historyczna legendę. Miała ona powstać w II wieku przed Chrystusem. Wtedy to patrycjusze Obili, greckiej kolonii leżącej przy ujściu rzek Hypanis i Borysthenes (obecnie Boh i Dniepr), ofiarowali królowi Scytów Saitafernesowi trójczęściowy złoty hełm - dowód swej uległości i wdzięczności.

Później przez 2000 lat nic nie było wiadomo o tiarze, aż nagle w 1880 roku wypłynęła w Wiedniu. Wtedy to nikomu nieznany Rumun chciał odsprzedać klejnot kolekcjonerom. Jednak to mu się nie udało. Tiara miała wspaniałe ornamenty i inskrypcje potwierdzające, że jest to dar dla królewskiego namiestnika. Kolekcjonerom wydało się to podejrzane, że przedmiot mający ponad 2000 lat ma jedynie drobne uszkodzenia i to w miejscach pozbawionych ornamentów. Stąd wywnioskowali, że są to sztucznie wywołane wgniecenia.

To co nie udało się w Wiedniu kilka tygodni

później udało się w Paryżu. Eksperci orzekli, ze tiara jest autentyczna i dyrekcja Luwru kupiła ją od tajemniczego Rumuna za 200 tys. franków w złocie.

W 1903 roku w paryskim czasopiśmie artystycznym „Les Arts" pojawiły się reprodukcje wspaniałego złotego rogu, złotej klasycznej rzeźby „Achilles i Minerwa" oraz złotego naszyjnika. Eksperci oświadczyli, że wszystkie te klejnoty wyszły spod ręki tego samego mistrza 2000 lat temu. Jednak wielu miało już wątpliwości.

Prawdziwa afera wybuchła, gdy jeden z paryskich jubilerów oświadczył publicznie, że już od wielu lat zna rumuńskich antykwariuszy, którzy zlecili wykonanie tych „etruskich" arcydzieł pewnemu odeskiemu jubilerowi Izraelowi Ruchomowskiemu. Rumuńscy zleceniodawcy dostarczali Ruchomowskiemu podkładek graficznych do ornamentów, które on później wykorzystywał przy produkcji klejnotów. Ruchomowski osobiście przyjechał do Paryża i potwierdził wykonanie arcydzieł, lecz i tak nie wszyscy eksperci mu uwierzyli. Dopiero, gdy na ich oczach wykonał jeszcze jedno wspaniałe „etruskie" arcydzieło, przekonali się ostatecznie, że dali się oszukać genialnemu fałszerzowi.

W latach czterdziestych XX w. w kościele Najświętszej Marii Panny w Lubece, odkryto i odrestaurowano wspaniałe czternastowieczne freski. Przez niemal 500 lat były ukryte pod warstwą zaprawy. Zostały odsłonięte dopiero po bombardowaniu miasta w 1942 roku, kiedy ze ścian kościoła poodpadał tynk.

Pracami konserwatorskimi kierował prof. Dietrich Fey, za co od kanclerza Konrada Adenauera otrzymał Krzyż Zasługi. Światowa prasa rozpisywała się o dobrym zachowaniu fresków, świetlistości i świeżości barw.

Jakiś czas później współpracownik Feya Lothar Malskat oświadczył, że tak naprawdę odnaleziono prawie gołe ściany, które on i Fey sami zamalowali. Oświadczenie to wywołało prawdziwą burzę. Fey oczywiście zaprzeczył, lecz sąd nie dał mu wiary i skazał go na dwadzieścia miesięcy pozbawienia wolności. Malskat dostał osiemnaście miesięcy więzienia. Obaj bardzo zadrwili sobie z opinii publicznej. Okazało się nawet, że malując postacie wzorowali się na osobach żyjących w XX wieku.

Podczas śledztwa wyszło na jaw, że to nie jest ich pierwsze fałszerstwo. Pod koniec lat trzydziestych pracowali nad renowacją wczesnogotyckich fresków z katedry w Szlezwiku i prawdopodobnie użyli za mocnych środków myjących, ponieważ po ich użyciu freski po prostu zniknęły ze ścian. Bojąc się odpowiedzialności, postanowili sami je namalować. Po udostępnieniu fresków niektórzy wprawdzie zastanawiali się skąd na fresku wziął się indyk skoro w średniowieczu ten ptak nie był jeszcze znany w Europie, ale wśród ogólnego zachwytu nikt nie zaprzątał sobie tym głowy.

O ile Ruchomowski dokonał fałszerstwa stulecia to miano fałszerza stulecia należy jednak do kogo innego. Obwołano nim holenderskiego malarza Hana van Meegerena (1889-1947) człowieka, który narobił chyba największego zamieszania w świecie sztuki i wystawił na pośmiewisko najpoważniejsze autorytety z dziedziny historii sztuki.

Już jako dziecko cały czas rysował, mimo sprzeciwu ojca, który chciał żeby Han został architektem. Gdy miał trzynaście lat, zaczął pobierać nauki rysunku i malarstwa u Bartusa Kortelinga. To właśnie od niego przyjął staromodną, klasyczną manierę malowania.

Wciąż malował, gdy wyjechał na studia do Delft. Nie miał zamiaru posłuchać ojca i zostać architektem. Wyjechał z domu, żeby być wolnym i móc uczyć się malarstwa.

W 1912 roku ożenił się z Anną de Voogt. Rodzinę utrzymywał z malowania portretów. Ich sytuacja poprawiła się, gdy Meegeren zdobył nagrodę wystawy Akademii w Hadze i dostał złoty medal. Wtedy posypały się zamówienia. Jednak Han zaczął prowadzić dość rozwiązłe życie. Mimo dobrych zarobków popadał w długi. O wszystkie swoje niepowodzenia winił całe swoje otoczenie, które o nim zapomniało, krytykę, która milczała na temat jego obrazów, żonę i dzieci, które były przeszkodą do jego wolności.

Wtedy znowu przyszedł sukces, znowu zaczę-

ły napływać liczne zamówienia. Niektóre dzienniki nie napisały jednak o jego sukcesie. Wtedy to Meegeren znienawidził wszystkich krytyków. Zawaliło się też jego życie rodzinne. Rozwiódł się z Anną i poślubił swoją kochankę, byłą żonę pewnego krytyka sztuki, aktorkę Jo van Valraven.

Wyjechał z Holandii. Podróżował po Anglii i Francji. Na malowaniu portretów zarabiał duże pieniądze, lecz nic poza tym. Krytyka odrzucała jego obrazy, nazywała go świetnym fotografem pracującym pędzlem i starała się unikać jego osoby. Doprowadzało go to do szału. Chciał zemsty.

Pomysł odegrania się na krytyce podsunął mu jego przyjaciel Theo van Wijngaarden. Pewnego ranka po przepitej nocy Theo opowiedział Hanowi pewne zdarzenie, którego był uczestnikiem. W jego obecności dr Abraham Bredius, największy w Holandii krytyk sztuki i znawca malarstwa klasycznego uznał za falsyfikat oryginalny obraz Fransa Halsa. Podsunęło to Theo pewną myśl. Kazał przemalować na Rembrandta jakiś stary obraz i przedstawił go Brediusowi. Krytyk uznał go za oryginalny i podpisał odpowiednie oświadczenie. Wtedy to Theo na jego oczach zniszczył obraz i udowodnił Brediusowi, że to nie jest żaden Rembrandt. Meegeren słuchając tej historii uśmiechał się blado. Miał już gotowy plan zemsty. Postanowił zrobić to samo, tylko chciał poprowadzić sytuację dalej. Chciał, by jego dzieło zawisło w galerii przy największych mistrzach i gdy wszyscy będą je podziwiać, wtedy on przyzna się do tego, że zrobił z krytyków i ekspertów durniów. Ta myśl pochłonęła go bez reszty. Chciał namalować Rubensa lub Rembrandta, lecz przypominał sobie miasto swoich studiów - Delft i to, że to właśnie Delft wydało jednego z największych mistrzów malarstwa holenderskiego. Wybrał Johanesa Vermeera.

Dążąc do tego celu Meegeren całkowicie zmienił tryb życia. Gromadził pieniądze i cały czas studiował dawnych mistrzów i techniki ich pracy.

Żeby pracować w tajemnicy, wyjechał z żoną z Holandii do Nicei, gdzie w miejscowości Roquebrune kupił stojący na uboczu domek, który przygotował do swojej pracy. Swój wyjazd uzasadnił względami zdrowotnymi, w co wszyscy łatwo uwierzyli, ponieważ hulaszczy tryb życia i kilka niszczących nałogów poważnie nadszarpnęło jego zdrowie.

Wciąż się uczył. W antykwariatach wyszperał dwie stare książki: A. M. de Wilda „Technika Vermeera" i prof. A. Eibnera „ O tłustych olejach", które pomogły mu poznać stare recepty malarskie. Meegeren liczył się z tym, że jego „nowoodkrytego Vermeera" nauka podda wszelkim badaniom za pomocą wszelkich dostępnych środków. Musiał malować tak, żeby jego obraz wyglądał na trzysta lat.

Zaczął też odwiedzać antykwariaty udając, że chce kupić stary obraz do swojego domu. Nie interesowało go jednak malowidło, lecz autentyczność płótna, na którym było wykonane. W końcu znalazł. Kupił lichy obraz „Wskrzeszenie Łazarza". Płótno bez wątpienia pochodziło z XVII wieku. Miało wymiary 125 x 127. Takie właśnie wymiary będzie miał pierwszy „Vermeer" Meegerena „Uczniowie w Emaus".

Kupował mnóstwo chemikalii. Kupił też całą kolekcję pędzli do golenia z borsuczego włosia, bo wiedział, że jeden włos świńskiej szczeciny znaleziony w warstwie farby przekreśli jego dzieło. Gromadził też stare puchary, kielichy, naczynia, tkaniny. Miały być to rekwizyty do jego falsyfikatu, który musiał być autentyczny w najdrobniejszych szczegółach.

Pracę nad obrazem Meegeren rozpoczął jesienią 1932 roku w swoim domu w Roquebrune, gdzie zamieszkał tylko z żoną Jo. Nie pozwolił trzymać w domu służącej. Nie chciał mieć żadnych świadków.

Pierwszym etapem pracy było usunięcie starej farby z płótna. Trzystuletnie farby zeschły się na kamień i nie można ich było rozpuścić ani alkoholem ani terpentyną. Trzeba je było zetrzeć papierem ściernym i pumeksem. Zajęło mu to kilka tygodni. Po wzmocnieniu płótna zaczął malować. Szczegółowo starał się naśladować Vermeera. Technikę mistrza tak sobie przyswoił przez lata studiów, ze stała się jego własną techniką. Przez okres pracy Meegeren żył jak alchemik. Sam wyrabiał farby, spoiwa i werniksy na podstawie siedemnastowiecznych receptur. Sam wytworzył słynny

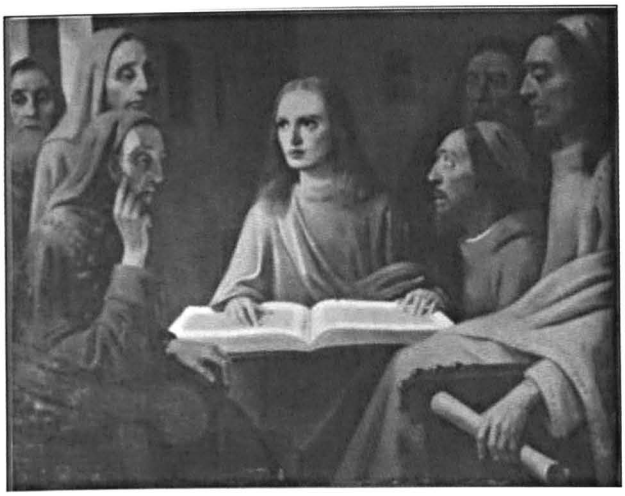
błękit Vermeera ze sprowadzonego z Londynu i bardzo drogiego lapis-lazuli, który sam z trudem roztarł w moździerzu. Do produkcji sykatyw używał olejku z bzu i przez to po domu rozchodził się intensywny zapach. Aby go zamaskować, w każdym pokoju domu było mnóstwo kwiatów bzu. Nie prowokowało to żadnych pytań gości.

Najwięcej trudności Meegeren miał z szybkim i trwałym wysychaniem farb. Wiele miesięcy zajęło mu badanie reakcji na ciepło i żar farb, werniksu i płótna. Do farb dodawał fenolu i formaldehydu, co powodowało, ze farba schła mu niemal na pędzlu, a ostatecznie na kamień podczas „wypiekania" obrazu w piecu. Używanie fenolu i formaldehydu niosło pewne ryzyko. Substancje te zjawiły się dopiero dwieście lat po Vermeerze. Ich wykrycie w farbach zniweczyłoby całą pracę. Meegeren sądził jednak, ze bardzo trudno będzie znaleźć ślady tych substancji w skamieniałych farbach.

Dużym problemem była też sprawa modeli. Nie chcąc ryzykować wydania tajemnicy musiał się oprzeć na malowanych wzorach. Twarze uczniów udały mu się znakomicie, lecz twarz Chrystusa przysparzała mu dużo trudności. Przez przypadek do tej postaci pozował mu żebrak, który przyszedł prosić o pomoc do domu Meegerena.

Po półrocznym malowaniu obraz był ukończony. Teraz trzeba było go tak potraktować, żeby wyglądał na trzysta lat. Zaczął od pokrycia malowidła werniksem sporządzonym według starej receptury. Następnie wsadził obraz do pieca, który własnoręcznie zbudował i powtórnie suszył w temperaturze 110°C. Gdy płótno ostygło nawinął je na rurę. Wtedy ukazały się cienkie jak włos spękania i wykruszenia, w które wtarł zwilżony kurz zmieszany z ciemną farbą. Po rozprostowaniu płótna, część farby została wyciśnięta ze spękań tak, ze można ja było zetrzeć z obrazu. Jej reszta pozostała w spękaniach i zespoliła się z warstwami farby, w których spoczywała.

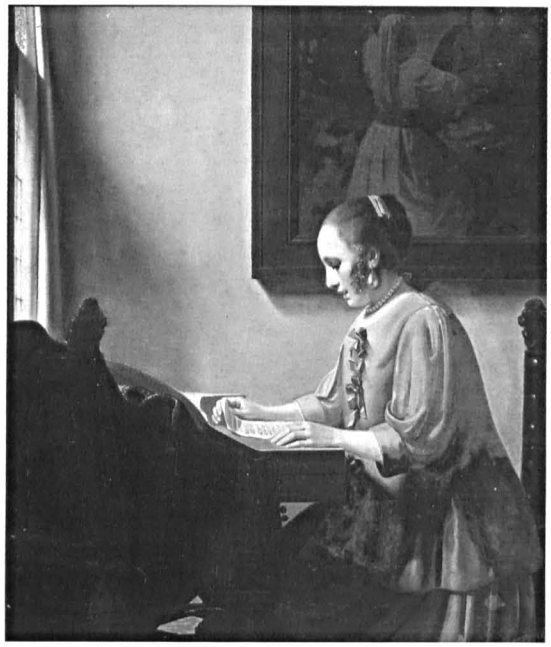
Po upływie kilku dni zamocował Meegeren płótno na oryginalnym siedemnastowiecznym krośnie, ręcznie kutymi siedemnastowiecznymi gwoździami. Teraz należało przemycić obraz na rynek artystyczny. Aby tego dokonać wymyślił historyjkę, ze obraz został odnaleziony w zbiorach prywatnych włoskiej rodziny patrycjuszowskiej, niderlandzkiego pochodzenia, której nazwisko musi pozostać tajemnicą. Pośrednik o nic więcej nie pytał. Jednak decydującym momentem powodzenia była ekspertyza, którą miał przeprowadzić jedyny kompetentny autorytet - dr Abraham Bredius.



„Chrystus nauczający w świątyni"- obraz namalowany przez Meegerena pod kontrolą policji na potrzeby sądu w 1947 r.

Bredius wnikliwie zbadał dzieło i uznał je za oryginalnego Vermeera. Był nim tak zachwycony, że w „ The Burlington Magazine" w rozprawie *A New Vermeer* pisał „To wspaniały moment w życiu miłośnika sztuki, kiedy nagle znajduje się przed dotychczas nieznanym dziełem wielkiego mistrza, nietkniętym, na oryginalnym płótnie i bez jakichkolwiek napraw, tak jakby dopiero co opuściło pracownię malarza!". Opinia tak wielkiego i doświadczonego naukowca jak dr Abraham Bredius spowodowała, że nikt nie kwestionował autentyczności „ Uczniów w Emaus".

Obraz zakupiło Stowarzyszenie Rembrandta za sumę 550 tys. guldenów i przekazało go do Boymans Museum w Rotterdamie. Na wystawie w 1938 r. z okazji uczczenia jubileuszu panowania królowej Wilhelminy „Vermeer" wisiał wśród 450 klasycznych arcydzieł niderlandzkich i był chlubą wystawy. Miesięcznik „Panteon"



„Kobieta czytająca nuty"- falsyfikat Vermeera namalowany przez Meegerena.

pisał, że: „[...] żadne dzieło sztuki nie zdobyło nigdy w tak krótkim czasie tak powszechnego rozgłosu".

Obraz Johanesa Vermeera „Uczniowie w Emaus" pędzla Hana van Meegerena wszedł do historii sztuki. Aby dopełnić zemsty Meegerenowi pozostawało tylko ujawnić publicznie całą prawdę. Lecz tutaj na przeszkodzie stanęły pieniądze. Meegeren nie chciał ich utracić. Żonie, która nie wiedziała o fałszerstwie, wytłumaczył przypływ takiej gotówki historią o włoskiej rodzinie. Po jakimś czasie pieniądze się rozeszły i Meegeren zdecydował się na ponowne fałszerstwo. Tym razem „stworzył" dwa obrazy Pietra van Hoogha „Grupę pijaków" i „Grających w karty". Zarobił na tym 345 tys. guldenów. Gdy namalował kolejnego Vermeera „Ostatnią wieczerzę" wybuchała wojna. Meegeren z żoną mieszkali wtedy niedaleko Amsterdamu. Gdy Niemcy zajęli Holandię Han został odcięty od swojego warsztatu, lecz szybko zmontował drugi i dalej prowadził swój fałszerski proceder.

Traf chciał, że jeden z „Vermeerów" - „Chrystus i Jawnogrzesznica" trafił przez kilku pośredników do bogatej kolekcji dzieł sztuki marszałka Rzeszy Hermana Goringa.

Ostatnim fałszerstwem Meegerena był obraz „Umycie stóp" też przypisywany Vermeerowi. Pod koniec wojny Han van Meegeren zamieszkał w Amsterdamie. Dużo pił, był uzależniony od morfiny, cierpiał na rozstrój nerwowy, miał wiele kochanek. Doprowadziło to w końcu do rozwodu z Jo.

W 1945 roku w kopalni soli Alt-Ausse w Austrii wojska alianckie odnalazły kolekcję Göringa. Wśród dzieł van Dycka, Rubensa, Botticelliego, odnaleziono nikomu nieznane dzieło Vermeera - „Chrystus i Jawnogrzesznica". Allied Art Commission - komisja odpowiedzialna za odnalezienie ukrytych dzieł zrabowanych przez hitlerowców trafiła w końcu do Meegerena jako jedynego z ludzi, którzy sprzedali dzieło Goringowi i tym samym dopuścili się kolaboracji. Groziła za to kara nawet dożywotniego więzienia, więc Meegeren wybrał mniejsze zło i przyznał się do tego, że to on namalował ten obraz, a tym samym nie dopuścił się kolaboracji, a wręcz przeciwnie - oszukał wroga. Przyznał się też do sfałszowania ośmiu innych obrazów Vermeera, dwóch obrazów Hoogha, jednego obrazu ter Borach i jednego obrazu Halsa.

Prokuratorzy nie bardzo wierzyli w to tłumaczenie, więc Meegeren pod okiem policji w swoim domu namalował jeszcze jednego „Vermeera" - „Chrystus nauczający w świątyni". Mimo, że był to najgorszy falsyfikat, jaki wykonał- nie było wątpliwości, że Meegeren byłby w stanie tworzyć takie fałszywki. Ponadto podczas rewizji znaleziono w domu Meegerena naczynia i inne przedmioty, które znajdowały się na rzekomych obrazach Vermeera.

Han van Meegeren został oskarżony o nielegalne zdobywanie pieniędzy i fałszowanie podpisów. 12 listopada 1947 roku został skazany na rok więzienia. Adwokat złożył do królowej prośbę o ułaskawienie, lecz do ułaskawienia nigdy nie doszło, ponieważ genialny fałszerz stulecia zmarł w więziennym szpitalu 30 grudnia 1947 roku.

Chaos, w jakim znajdowała się Europa po zakończeniu działań wojennych dawał szerokie pole do popisu fałszerzom obrazów. Wiele kolekcji było rozpro-

szonych, wiele dzieł zaginęło lub uległo zniszczeniu. W takiej sytuacji Han van Meegeren znalazł szybko licznych naśladowców.

Do ich czołówki należy zaliczyć Elmira de Hory, węgierskiego arystokratę mieszkającego na Ibizie. Namalował on ponad tysiąc obrazów wzorowanych na dziełach największych malarzy świata. Jego specjalnością był francuski impresjonizm i postimpresjonizm. Mówił o sobie, że nie jest fałszerzem tylko kontynuatorem mistrzów, którzy go inspirowali, że przedłuża ich sztukę. Twierdził też, że nigdy sam nie fałszował sygnatur. Ten proceder zarzucił marszandom i pośrednikom. Kolekcjonerzy dzieł sztuki i eksperci uważają go za jednego z największych fałszerzy, jakiego znała historia sztuki. Jego fałszywki były tak dobre, że miały świadectwa autentyczności wystawione przez żyjących krewnych malarzy.

Sąd nie udowodnił mu ani jednej celowej próby oszustwa. Elmir de Hory został skazany na dwa miesiące więzienia za „wejście w kontakt z przestępcami i utrzymywanie się z niewiadomych źródeł".

Innym równie genialnym fałszerzem obrazów był szanowany nowojorski marszand Dawid Stein. Podrobienie obrazu Picassa, Chagalla czy Miro nie było dla niego najmniejszym problemem. Namalował olbrzymie ilości kopii. Swoje wspaniałe falsyfikaty sprzedawał w swoich galeriach we Francji i w Stanach Zjednoczonych.

Stein swój fałszerski proceder rozpoczął od sprzedania za 300 dolarów rysunku wykonanego w stylu Jeana Cocteau. Zmusił go do tego brak pieniędzy. Szybko zauważył, ze może na tym procederze sporo i szybko zarobić. Następny był pastel van Dongena. Sprzedał go za 700 dolarów. Antykwariuszowi, który go kupił powiedział, że obraz należy do ciotki, która do niedawna mieszkała w USA, lecz przedtem mieszkała we Francji i osobiście znała słynnego malarza. To wystarczyło. Zaczął taśmowo wykorzystywać rysunki na serwetkach restauracyjnych w stylu Picassa, które mistrz zwykł zostawać na pamiątkę właścicielowi lokalu. Bywało, ze sam Picasso potwierdzał ich autentyczność.

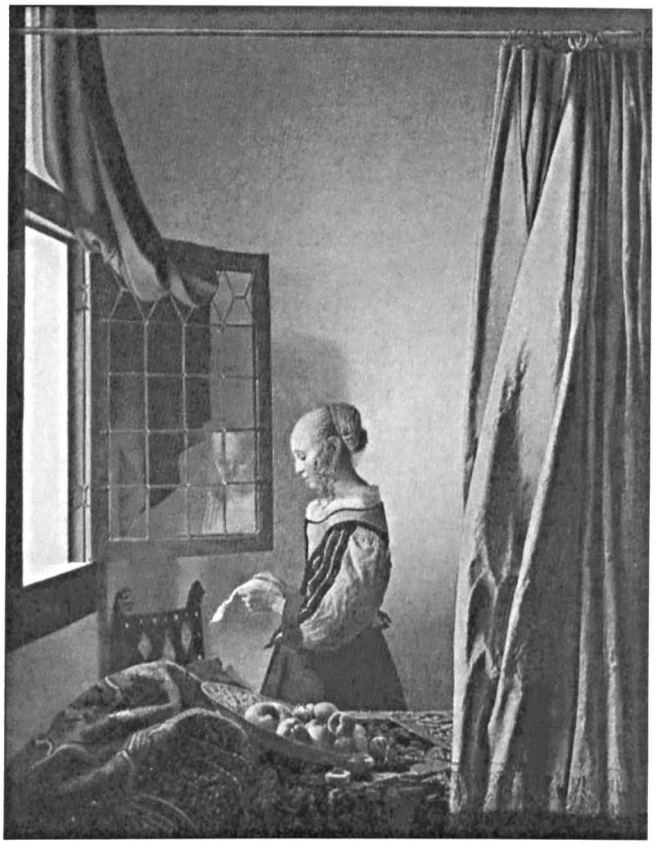
Stein malował szybko i dużo. Szybko i dużo też zarabiał. Otworzył galerię w centrum Nowego Jorku, miał Rolls-Royce'a, sekretarzy, nianie do dzieci, wiele posiadłości i ponad milion dolarów rocznego obrotu. Robił też eksperymenty. Jego pracownia przypominała trochę laboratorium. Używał farb, płótna, papieru, które trzeba było odpowiednio spreparować. Pod mikroskopem sprawdzał efekty swoich prac. Cały czas się uczył jak postarzać papier mocząc go w herbacie lub jak przy pomocy lampy kwarcowej spowodować zestarzenie się płótna, na którym namalowany jest obraz. Wpadł w 1967 roku. Sąd zarzucił mu wielokrotne fałszerstwo dzieł sztuki i skazał go na sześć lat więzienia.

Wydawać by się mogło, że czasy obecne, w których technika rozwija się w olbrzymim tempie uniemożliwia dokonywanie fałszerstw. Nic bardziej mylnego. Zawsze znajdą się spryciarze, którzy zechcą zarabiać na naiwniakach, którzy szukają tzw. okazji.

Takimi spryciarzami byli dwaj Anglicy: John Drewe i John Myatt. Drewe wymyślał historyjki dotyczące pochodzenia obrazów, a Myatt kopiował dzieła takich mistrzów jak Picasso, Matisse, Chagall, Dubuffet. W sumie namalował ponad 200 falsyfikatów. Oszuści wykorzystywali naiwność ludzi i ich pęd za okazjami. Kupując obraz nie zauważali nawet, ze nie jest on namalowany farbami olejnymi. Myatt był na nie uczulony. Gdy ich używał zaczynały łzawić mu oczy. Dlatego swoje fałszywki malował zwykłymi farbami emulsyjnymi do malowania ścian. Postarzał je za pomocą herbaty, ziemi ogrodowej i kurzu z odkurzacza. Myatt zarobił prawie dwa miliony funtów. Był tak wspaniałomyślny, że dwadzieścia tysięcy funtów przekazał galerii Tate, gdzie był uważany za „poważnego badacza" i „znawcę sztuki".

Fałszerze wpadli w 1999 roku. Za oszustwa Drewe został skazany na sześć lat więzienia (wyszedł po dwóch), Myatt na rok (wyszedł po czterech miesiącach). Odsiadując wyrok Myatt malował portrety współwięźniów i zarabiał.

A jak sytuacja fałszerstwa obrazów wygląda w Polsce. Okazuje się, że jest to najbardziej bezkarne przestępstwo przeciwko dziełom



„Młoda kobieta czytająca list" - oryginalny obraz Vermeera

sztuki. Dlatego pokusa jest niemała. Sprzedaż dobrej podróbki to zarobek nawet kilkudziesięciu tysięcy złotych. A jest u nas komu je wciskać. Polscy nowobogaccy słabo znają się na sztuce i mają mnóstwo pieniędzy. Wystarczy wmówić im, że obraz namalował Kossak czy Malczewski i łapią okazję nie zdając sobie sprawy, że padają ofiarą oszustwa. Właściciele galerii czy antykwariatów nie zawsze im pomagają. Zdarza się, że oni też bywają w zmowie z fałszerzami.

Podrabiane są prace, które łatwo sprzedać, tj. Zygmunt Menkes, Eugeniusz Zak, Alfred Wierusz-Kowalski, Józef Brandy. Ostatnio ulubieńcem fałszerzy stał się prymitywista z Krynicy - Nikifor. Znawcy szacują, że Nikifor przez 50 lat malowania stworzył kilkadziesiąt tysięcy obrazków. Wiele uległo zniszczeniu z biegiem lat, a wiele spalono umyślnie, gdyż bano się gruźlicy, na którą cierpiał malarz - a Nikifor miał zwyczaj pluć do farb. Do naszych czasów mogło przetrwać od pięciu do dziesięciu tysięcy. A ile fałszywek krąży po rynku?! Trudno oszacować. Po sukcesie filmu Krzysztofa Krauzego *Mój Nikifor*, biedak z Krynicy stał się modny i popularny. Wtedy nastąpił prawdziwy wysyp fałszywek Nikifora. Domy aukcyjne cały czas odnotowują wzrost zainteresowania jego pracami. Fałszywy Nikifor sprzedawany jest wszędzie - na deptakach miast, w internecie, w galeriach. Jego fałszowaniem masowo zajmują się studenci sztuki.

Na rynku pojawiają się też obrazy takich mistrzów pędzla jak Jacek Malczewski, Józef Pankiewicz czy Olga Boznańska, lecz ich dzieła jest trochę trudniej sprzedać i wiąże się to z kosztami. Żeby wprowadzić na rynek polski fałszywy obraz Malczewskiego, trzeba go wywieźć za granicę i sprzedać w którymś z małych domów aukcyjnych w Europie. W ten sposób tworzą fałszywą historię sprzedaży obrazu. Obraz kupiony na aukcji w Zachodniej Europie w Polsce nie budzi podejrzeń, a powinno być odwrotnie, powinien budzić podwójną czujność.

Naukowcy przeciwko fałszerzom stosują coraz nowsze metody walki. Badania w podczerwieni czy ultrafiolecie to już metody klasyczne, ale wciąż stosowane. W ultrafiolecie widać wszystkie poprawki i późniejsze domalowania. Istnieją coraz lepsze i dokładniejsze metody datowania różnych substancji. Dzięki spektrofotometrii (analizie pochłaniania promieniowania świetlnego) można określić rodzaje spoiwa, żywice, kleje, woski i pigmenty, które stosował malarz. Dzięki temu można też czasami odkryć to, że w obrazie są składniki, których w czasach artysty jeszcze nie było. Wtedy jest dowód, że to fałszerstwo. Komputery też pomagają w walce z fałszerzami. Analiza fragmentaryczna to skanowanie i powiększanie powierzchni obrazu i badanie grubości malunku oraz prowadzenia duktu pędzla.

Ale i fałszerze mają dostęp do nowinek naukowych i coraz lepszego sprzętu komputerowego, czasem nawet lepszego niż naukowcy. Dlatego wojna kolekcjonerów i naukowców z fałszerzami wciąż trwa. Kto wygra?



JOANNA BUKOWSKA

***

w moim miasteczku
tak wielkim jak podstawka od kwiatka
być kimś
ale nie od razu
człowiekiem
co sapie i sapie
i gna coraz prędzej
do taktu
to tak tu
o tak
o tu
czym prędzej czym prędzej

podnosić głowę w górę
ale nie przez dumę
tylko wśród zgiełku
odejść krok od schematu
że śmierć
to nie powód
do rozgrzeszenia

na poziomie

dedykowany Księżycowi

wiosłujemy w trawie
krzykiem murowanych balkonów
tu nie ma zakrętów
tu nie ma raju
chłodnymi ustami całujesz mi stopy
zasilając kwitnące progi
opiewaj mi ostatnie ja ostatnie ty
zanim rozłąka zmieni pory roku
spojone bezkresnym wołaniem
przystrój kwiatem
który wątły zanim wrócisz
ubierze się w nowo dostany
bez pretensji
że dopiero
że pieszo
oblej rumianym policzkiem
leniwie wydmę usta
cierpliwie trzymając
palce stóp w pionie
przyjmując twą wilgoć



MARIUSZ SOKOŁOWSKI

KIM BYŁEM, JESTEM

Myślę o sobie
Tamtym
Kim byłem
Dwudziestoletni?
Tym
Któremu się zdawało

Teraz
Zbliżam się do czterdziestki
Kim jestem?
Tym
Któremu się zdaje

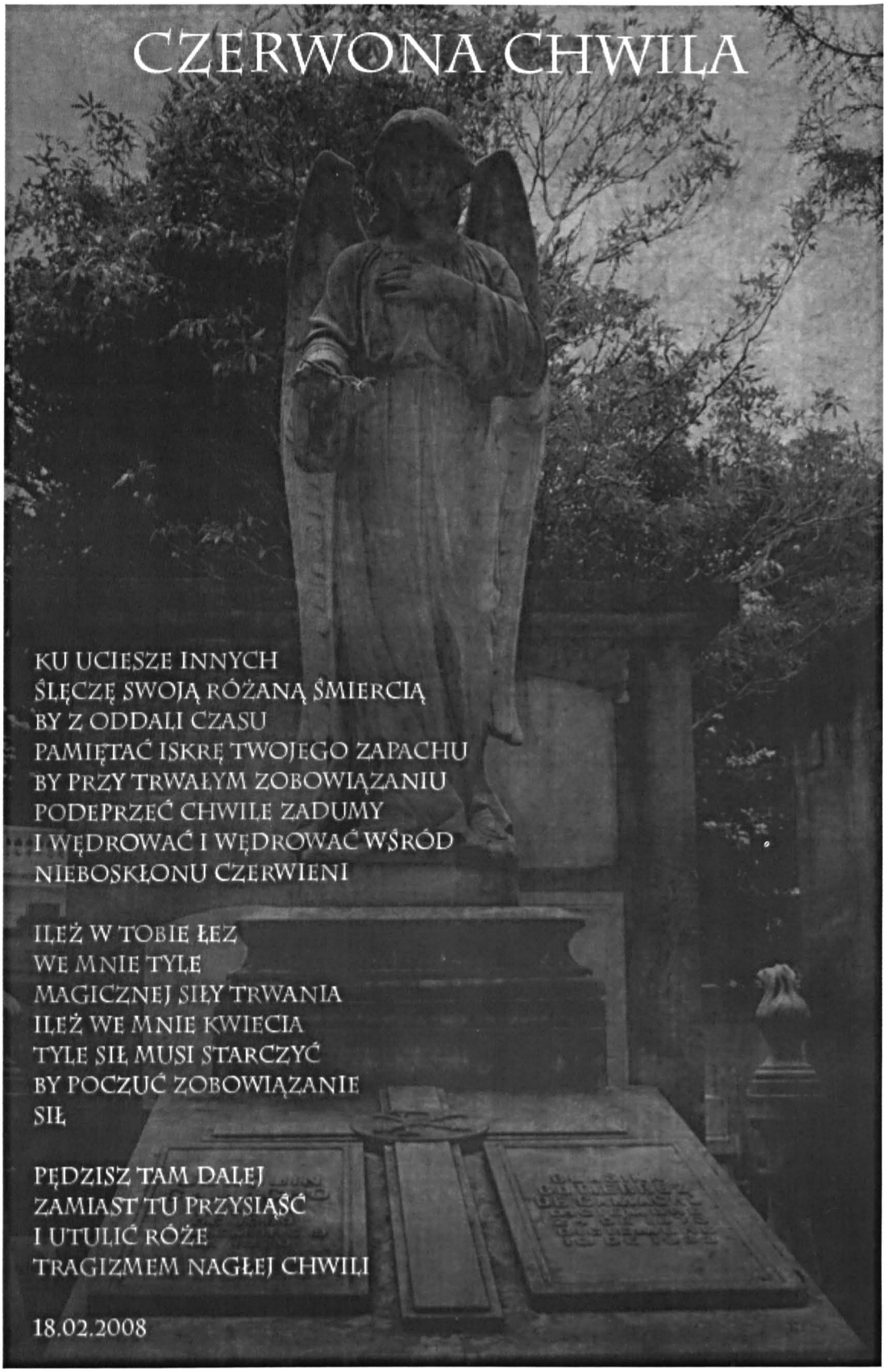
Znałem tylko pościg
Goniłem
Idee czyli
To
Co nam się wydaje

CZARNA ŁADA

Gdy odpada świat, zostaje Jaźń.
Pewna rzeka
Z dzieciństwa,
Nazwana imieniem pogańskiej bogini.

x x x

Lubię drugą połowę sierpnia.
Życie i śmierć wydają się być
w idealnej harmonii.



Axis Art Project

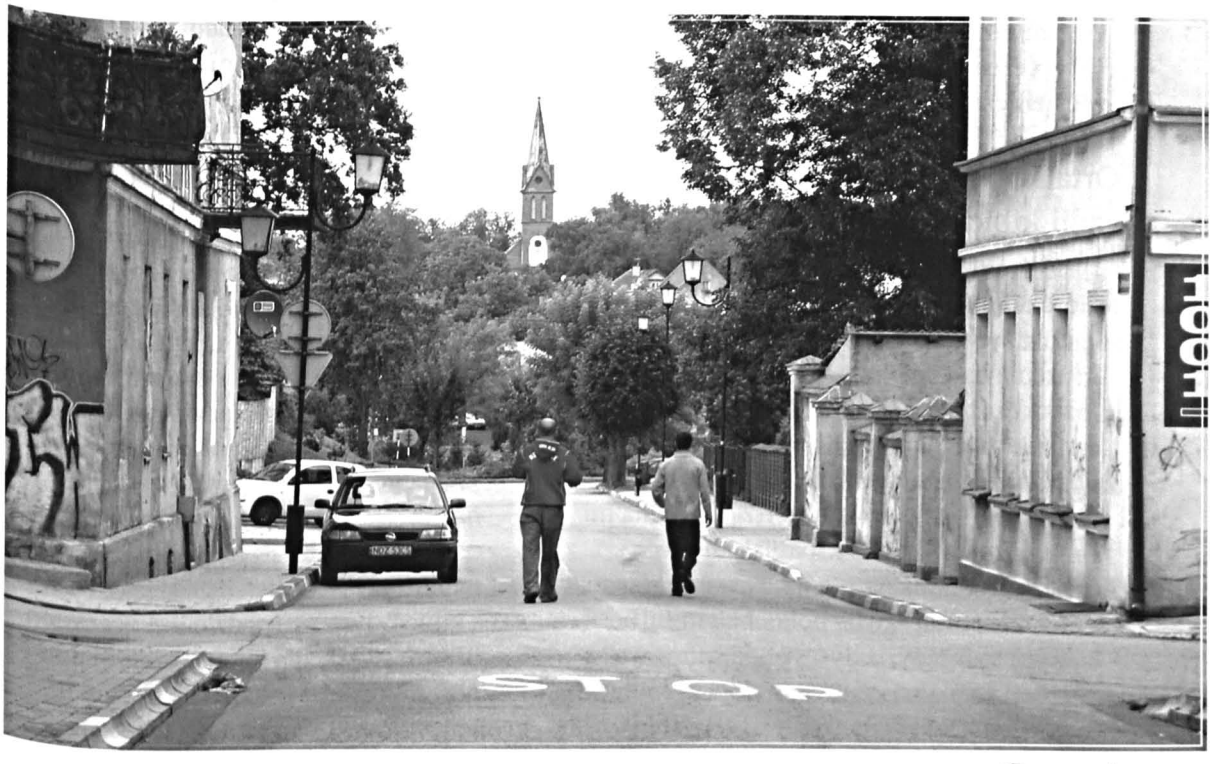


JAKUB HAPKA

JA - KIBIC PIŁKARSKI

Nie czytam partytury boiska jak futbolowy praktyk
Czy teoretyk czytam ja jak najzwyklejszy kibic.
Przeważnie nie wiem, kogo na boisku trzeba zmienić.
To znaczy wiem, ale na ogół zmieniają innego.

Prócz fascynacji literaturą, kultem tasiemcowych fraz Tomasza Manna, podziwem dla narracyjnego kunsztu Milana Kundery czy Bohumila Hrabala, Jerzy Pilch jest wielkim fanem piłki nożnej. Ta dyscyplina sportu, elektryzująca niemal cały świat bardzo mocno wpłynęła na felietonistę. Otaczającą rzeczywistość, literackie i życiowe fakty autor postrzega przez pryzmat prawdziwie futbolowej manii. Skąd taki wniosek? Przykładów można by mnożyć. Sam pisarz swoją wcześniejszą pracę w „Tygodniku Powszechnym" określa jako „reprezentowanie krakowskich barw", krótka charakterystyka początkującego debiutanta przemienia się w opis piłkarza, który „techniczne braki nadrabia sercem do gry". Powszechną nieznajomość starotestamentowego proroka uzasadnia stwierdzeniem, że „Nehemiasz nie grał w pierwszej lidze". Własne pozytywne usposobienie porównuje do doskonałego piłkarskiego podania: „poczułem się jak Lubański, któremu Szołtysik podaje piłkę". Wybitny myśliciel określany jest: „Wielkim Rozgrywającym myśli współczesnej". Słowem, piłka nożna kształtuje ogląd rzeczywistości będącej areną futbolowych zmagań. Piłkarskie felietony Pilcha układają się w dwie grupy: jedną z nich tworzą te, dotyczące pierwszych fascynacji tą dyscypliną sportu, statusem kibica sprzed lat, druga to analiza obecnego stanu polskiej piłki, nierzadko gorzkie refleksje



Paweł Żochowski



Paweł Żochowski

związane z ostatnim udziałem naszej reprezentacji na Mistrzostwach Świata w Niemczech, w 2006 roku.

Ortalion, płaszcz i gazeta, czyli kibic sprzed lat

Miłość do piłki nożnej u felietonisty zaczęła się dość zwyczajnie. Zanim rozpoczął on śledzenie meczów poprzez ekran telewizora, sam próbował sił w tej dyscyplinie. „Pamiętam jak graliśmy na boisku przy basenie, gdzie były nawet bramki z siatkami i nagle piłka jak trzeba spadła mi na nogę i oddałem wspaniały strzał, którego bramkarz nie był w stanie złapać. To wtedy naprawdę pokochałem futbol, bo to była jedyna dyscyplina sportowa, w której rzeczywiście byłem dobry a odniesiony sukces w jakimś sensie dawał mi awans społeczny. Chociaż nadal byłem małym okularnikiem, w oczach kolegów stałem się przecież również zdolnym piłkarzem". Futbol dodał autorowi wiary we własne umiejętności; występująca w nim prawidłowość, iż słabszy własnym zaangażowaniem i ambicją potrafi niekiedy pokonać z pozoru lepszego przeciwnika.

Początki piłkarskiej pasji opisuje Pilch jako wkraczanie w nieokreśloną, niemal mityczną rzeczywistość. Jak sam przyzna: „Byłem absolutnie pewien, że boisko w okręgówce jest większe od boiska A-klasowego, że w trzeciej lidze są znacznie od okręgowych większe bramki itd. Wizję ekstraklasy miałem całkowicie bezkarną: zdawało mi się, że po boiskach wielkości lotnisk biegają nadludzie; skrzydlaci w sensie ścisłym tak wynikało z transmisji radiowych bramkarze swobodnie fruwają (...) a poprzeczki są tak wysoko, że prawie nie widać ich z ziemi". Poznawanie nieznanej wcześniej sportowej rywalizacji na boisku felietonista kreuje jako mit początku (obejrzany po raz pierwszy mecz nazywa *prachwilą*). Walczący piłkarze stawali się ucieleśnieniem mitycznych bohaterów. We wspomnieniach Pilch powraca do swego stanu zauroczenia, stwierdzając, że „blask bijący od tych mitycznych postaci był (...) nadprzyrodzony". W młodzieńczych wizjach rozpoczęcie piłkarskiego spotkania powodowało zmiany aury, świat dopasowywał się od dyscypliny, nazywanej najważniejszą z nieważnych rzeczy: „przestało padać, obraz świata był jakby wyraźniejszy, zielona koszulka Legii, w której grał Gmoch, miała jakiś wyjątkowy kontrast, było tak krystalicznie i przejrzyście, że było słychać nawet słowa, jakimi ten nie do przejścia obrońca zwracał się do bezradnych napastników Wisły".

Pasję kibicowania autor dzielił z ojcem, ten ostatni stał się dla Pilcha wzorem podporządkowania piłce rozkładu dnia. W mnożących się pytaniach felietonista próbuje dociec tajemnicy tak wielkiego

poświęcenia się krakowskiej piłce (Kraków był miejscem, w którym po raz pierwszy zetknął się on z piłką na ligowym poziomie). „Jak ten poważny facet po czterdziestce był w stanie lecieć na Wisłę, potem na Cracovię, potem na Garbarnię, a jak Wawel grał u siebie na Bronowiczach, to jeszcze na Wawel? (...) Jak to było możliwe? Tramwajem? Autobusem? Na piechotę? Bez względu na pogodę? Z parasolem? W płaszczu ortalionowym? Ze starą gazetą celem wyścielenia trybun w garści?" Początkowe zdziwienie ustępuje jednak z chwilą zadania ostatniego, kluczowego pytania: „Jak mogliśmy tak żyć? (...) Lepiej i precyzyjniej zapytać: Jak mogliśmy tak kochać?" Świadczy ono, iż z biegiem czasu syn zaczął podzielać pasję ojca.

W interesujący sposób Pilch spoglądał na miejsca piłkarskich zmagań. Opisując pierwsze wrażenia z obserwacji architektury ówczesnego stadionu Cracovii (na którym bywa do dnia dzisiejszego), przyzna, iż była to: „budowla, jakiej nigdy potem nie widziałem w życiu skrzyżowanie monstrualnej werandy, gigantycznego góralskiego balkonu, którego projektu nie powstydził by się Witkiewicz ojciec z greckim amfiteatrem".

Dyskusje o stanie naszego rodzimego futbolu zawsze kończą się na konfrontowaniu zamierzchłej przeszłości, kiedy odnosiliśmy światowe sukcesy z teraźniejszością, która staje się coraz dramatyczniejszą pogonią za europejską czołówką. Pilch z humorem odnosi się do ciągle przypominanych dawnych czasów glorii polskiej piłki. Ciągłe nieudane próby odegrania większej roli na kolejnych mundialach ukazuje jako „niewiarygodną klechdę opowiadaną przez sędziwych kibiców. Kiedyś (...) bajali ci białowłosi starcy(...) w czasach tak przedpotopowych, że z ziem europejskich dopiero co cofnął się lodowiec, kiedyś przed wiekami, jeden jedyny raz się zdarzyło, że Polska grała na mistrzostwach świata!" Snuta opowieść „mówiła o jakimś baśniowym meczu, który podobno na jakimś prehistorycznym, chyba pod Trojąmundialu Polska rozegrała z Brazylią". Snute wspomnienia z odległych dni chwały także opatruje zastrzeżeniem, iż: „nieraz z całych sił staram się (...) unikać nostalgicznej tonacji pradziada z lirą, co urodził się parę lat po powstaniu styczniowym i śpiewa o tamtych czasach". Felietonista ma świadomość, iż niektóre przypominane przez niego mecze dawno zaginęły już w otchłaniach niepamięci.

Jedną z charakterystycznych cech piłkarskich zapaleńców jest to, iż w osobliwy sposób porządkują historię Polski i świata. Nie inaczej jest u Pilcha, zachowujący pamięć o ważnych wydarzeniach ze względu na odbywające się wówczas mecze. Opis własnej osoby jako takiego właśnie piłkarskiego fana, który „dzięki wielkim meczom i wielkim turniejom orientuj się zarówno w historii powszechnej, jak i historii własnej intymności". Aby nie być gołosłownym, podaje od razu jeden z wielu przykładów. „Na pierwszym ligowym meczu w 1962 roku i nic na to nie poradzę, ale wydaje mi się, że z tego powodu wiem, kiedy umarł Faulkner i kiedy dostał Nobla Steinbeck".

Obserwowane u felietonisty częste przenikanie się piłki z literaturą świadczą o dwóch największych pasjach autora. Ukuta przez niego formuła: „życie ludzkie jest najwyższą wartością, wyżej stoi tylko piłka nożna" świadczy jednak o tym, iż futbol staje się dla autora ważniejszy. Charakterystyka sposobu gry reprezentacji Czech podczas Mistrzostw Europy w 2004 roku, nasuwa Pilchowi porównanie do najlepszych dzieł literatury naszych południowych sąsiadów: „wszystko jest dokładne i coraz bardziej skoordynowane (...) Czesi snują swoją opowieść, która jest logiczna, bezlitosna i kipiąca życiem. Całkiem jak czeska proza". Autor stwierdza wręcz, iż szkolne lektury wpłynęły na jego kibicowską manię: „wychowany bowiem zostałem (m. in. przez obowiązkowo wszech-



Paweł Żochowski

stronną lekturę tak kanonicznych tekstów jak nowela «Latarnik») w ten powszechnie od stuleci znany sposób, że nie ma rzeczy ważniejszej, jak ojczyzny dopingowanie, ojczystym krajobrazom kibicowanie, naszych do boju zagrzewanie, swojskich drużyn podziwianie". Jako „lokalny" patriota, Pilch nie będzie pasjonował się europejskimi pucharami czy rozgrywkami na Zachodzie. To głównie kibic polskiej reprezentacji, uważny obserwator wielkich piłkarskich imprez.

Umiejętność autoanalizy pozwoliła felietoniście na dokonanie swoistego studium futbolowego kibica, który w trakcie oglądania spotkania jest całkowicie pochłonięty boiskowymi wydarzeniami. Autentyczne zdarzenie zatonięcia promu wskutek oglądania przez załogę piłkarskiego meczu, Pilch tak oto podsumowuje: „najzwyklejsi w świecie kibice piłki nożnej to są ludzie, którzy w kluczowych sytuacjach pozbawieni są jakiejkolwiek możliwości wyboru, możliwość wyboru nie ma dostępu do ich jednostronnie ukierunkowanych dusz i umysłów ( ) Najzwyklejsi na świecie kibice piłki nożnej po prostu oglądają mecz i nic poza tym ich nie interesuje. Na kuli ziemskiej trwają wojny, giną ludzie, spadają samoloty, toną okręty, oni tego nie zauważają". Także i sam autor żyje każdymi piłkarskimi mistrzostwami. Czerwcowe felietony, publikowane w 2004 (Euro w Portugalii) i 2006 (czempionat globu w Niemczech) mówią najczęściej o wrażeniach i odczuciach autora kibica, pilnego obserwatora futbolowych zmagań. W pewnym miejscu, Pilch posunie się nawet do parafrazy słynnej biblijnej formuły, stwierdzając iż: „kto nie ma nic wspólnego z piłką nożną, nie ma też nic wspólnego ze mną".

Futbolowy sybaryta

Relacja z meczu dziennikarzy „Polityki" stała się dobrą okazją do zauważenia swoistej antynomii pomiędzy piłkarskimi „bombardierami a sybarytami". Do tych ostatnich zalicza się Pilch, który w krótkim opisie sposobu gry, charakteryzuje własną filozofię futbolu. Zalicza się do „rasowych sybarytów grających dla urody gry, ni dla zwycięstwa, daremnie przeciwstawiający subtelną technikę zwierzęcej sile, natchnione improwizacje przedkładający ponad prostackie strzelanie bramek przeciwnikowi". Ten oryginalny sąd o prawdziwym pięknie tej najpopularniejszej dyscypliny sportowej, pozwala nam dostrzec w felietoniście romantyka futbolu, najbardziej ceniącego boiskową finezję, kunszt, element szaleństwa, słowem - autentyczną radość z gry. Wspomniane cechy przynależne są jednak tylko piłkarskiej elicie, którą polska reprezentacja wciąż próbuje gonić.

Prawdziwym testem jakości skuteczności polskiego futbolu są Mistrzostwa Europy i Świata. Na każdy początek takich właśnie zmagań felietonista reaguje z wielkim entuzjazmem. „Mistrzostwa się zaczęły i wszyscy i ci na trybunach, i ci przed telewizorami, i ci w studiach telewizyjnych zniewoleni magią futbolu jesteśmy, staliśmy się jedną wielką rodziną". Autor zwykłym piłkarskim rozgrywkom przypisuje moc zmieniania oblicza naszej historii. Utrzymana w kronikarskim charakterze relacja z występu Polski na Weltmeisterschaft '74 przepełniona jest wiarą w niesłychany wkład futbolu w dzieje Europy: „reprezentacja nasza nie tylko pojechała na mistrzostwa do Niemiec, ale pokonawszy w małym finale [spotkaniu o trzecie miejsce] Brazylię zdobyła srebrny medal Polska, nie tylko (...) Polska Piłkarska, ale cała Polska w sensie ścisłym wstąpiła do nieba. Stał się cud i był to cud, który zapowiadał wszystkie następne cudy: wybór polskiego papieża, wyjście Polski z niewoli moskiewskiej... W innym miejscu autor podkreśla własne irracjonalne spojrzenie na piłkarskie zmagania. Według niego: dogrywka to taka faza gry, w której zawodnicy już nie biegają sami, ale coś (metafizyka i prawda futbolu) nimi biega".

W śledzeniu meczów z udziałem polskiej reprezentacji autor dostrzega pewien relatywizm wymagań, który na przełomie lat dramatycznie się zmieniał. Pilch nawołuje do pewnego przeorientowania oczekiwań, upomina się o docenienie zapominanego dziś sukcesu Polski w 1978 roku, chociaż w tamtym czasie „Polska nie została mistrzem świata. W kraju uznano to za klęskę, co do dziś nie tylko dla mnie pozostaje niepojęte. Ludzie! Wmyślcie się w to, co myślicie! Jaka to klęska była! Piąte miejsce na świecie! Nie pierwsze! Gdzie dziś wobec tamtych aspiracji są nasze zamiary? Ka my są? jak mówią nie tylko beskidzcy górale" kończy gorzką refleksją autor, odnosząc się do dzisiejszych aspiracji naszego społeczeństwa, które marzy by Polska wyszła z grupy, czy choćby wygrała chociaż jeden mecz na mistrzostwach.

Ciągłe rozczarowania grą biało-czerwonych autor upatruje w jednej z naszych narodowych wad niepoprawnym marzycielstwem oraz przecenianiem dawnych sukcesów. Zamiast patrzeć w przyszłość, Polacy odwracają wzrok na minione triumfy, nie spostrzegając zmian, jakie zaszły w ciągu dziesięcioleci, także w piłce. Znamienny jest już sam tytuł felietonu, poruszającego kwestię naszej mentalności „Gdy rozum śpi, budzi się Wembley". Autor dystansuje się od sposobu naszego myślenia, podważa znaczenie historycznego remisu z *dumnymi synami Albionu*: „za sprawą świętej, chyba przeklętej, pamięci sławnej remisowej wiktorii na Wembley odnieść można wrażenie, że gramy z Anglikami bez przerwy. I że większego celu niż kolejny jakiś zwycięski remis z Anglikami polska piłka nie ma".

Utworzone oksymoroniczne wyrażenie (*zwycięski remis*) jest jednoczesnym zarzutem wobec polskiego minimalizmu, brakiem wiary we własne umiejętności.

Poszukiwania przyczyn naszej rozczarowującej postawy Pilch szuka nawet w losach świata, zapisanych z góry przez znudzonego Boga: „jakby Pan Bóg dał nam do wyboru mistrzostwo świata albo remis z Anglikami specjalnie na wskrzeszonym dla naszej chwały Wembley bierzemy to ostatnie. I wbrew pozorom nie byłby to dowód na ciemnotę naszą, ale na, do cna oślepiającą władze poznawcze, potęgę mitu".

Sam felietonista z chwilą rozpoczęcia kolejnej imprezy piłkarskiej, daje się ponieść ogólnonarodowemu hurraoptymizmowi, który odrzuca wszelkie racjonalne przesłanki o naszym faktycznym „stanie posiadania". Na kilka dni przed startem ubiegłorocznego mundialu, Pilch ogarnięty wspomnianym entuzjazmem, stwierdza: „Istotą piłki jest pytanie: jak wypadną nasi? Po chwili studzi jednak polskie nadzieje, przeformułowując mnożące przez kibiców pytania: Ciekawe, jak wypadną nasi? Prędko?" Zastosowana tu gra zmiany znaczenia słowa „wypaść" (z „odegrać rolę" na „odpaść") jest głosem rozsądku, wśród sztucznie nadmuchiwanego balonu oczekiwań i nadziei.

Porażka przynosi otrzeźwienie, przywraca władzę racjonalnemu myśleniu. Pilch reaguje na nią, podobnie jak większość piłkarskich fanów, ogromnym rozczarowaniem i żalem wobec polskich piłkarzy. W sposób niezwykle ironiczny, krytykuje tych, którzy po raz kolejny zawiedli nadzieje milionów rodaków. Wiara zamienia się w rozpacz , nadzieja w wielką pogardę wobec nieudolnych piłkarzy. Autor pozwala sobie na humorystyczny obraz ich boiskowych poczynań. O jednym z naszych futbolistów powie, iż jest to „zawodnik o sile bawołu i takimż umyśle". Graczy formacji defensywnej prosi: „żelbetowa linio obrony, weź się całkiem rozsyp. Ekwadorczycy [pierwsi rywale grupowi Polski] i tak biegali między wami, jakbyście byli kupą gruzu, weźcie całkiem się splantujcie". Nie unika też soczystych określeń: „to jest mocna tradycja polskiej piłki: jak podstawowi gracze spieprzą wszystko, co jest do spieprzenia, wchodzą rezerwowi i graja świetnie. Tylko nie wiadomo po co".

Ratunkiem wobec obserwowanej mizernej gry reprezentacji staje się dla Pilcha sentymentalna podróż w czasy dzieciństwa. W lata, w których obowiązywała wyższa kultura dopingowania. Wspominanie dawnych krakowskich derbów [pojedynków między Wisłą a Cracovią, której kibicuje felietonista] jest okazją do wykreowania niemal sielankowego obrazu lokalnych potyczek: „nostalgicznie wspominam bratobójcze mecze z lat 60.: w najdramatyczniejszych momentach cały stadion wył niepoczytalnie: Sędzia kalosz! Sędzia kalosz! Jak jakiemuś zwyrodniałemu gówniarzowi wyrwało się wulgarne: Ty łobuzie! natychmiast był przez sektor przywoływany do porządku; siedzące pomiędzy mężczyznami żony, matki i siostry leniwie opalały się w zachodzącym za Kopcem Kościuszki słońcu...".

Z niesmakiem obserwując powszechne chamstwo i agresję wśród „kibiców" piłkarskich, autor powie o sobie, iż: „jestem z innego świata. Jestem ze świata, w którym kibica poznawało się po ortalionie, gazecie i parasolu". Piłka nożna, pomimo nie zawsze właściwej postawy jej fanów, pozostanie dla felietonisty niezbywalną wartością. Sposobem na życie, gdyż jak sam przyzna: „Lepiej żyć piłką, niż żyć, jak się żyje".



LIDIA ŻUKOWSKA

Siew

na barkach góry
stoi nasz dom
patrzy w zieleń lasu
cień jego snuje się
po dzikich łubinach
w zachodzącym słońcu

tutaj się nasze życie splątało
pod wysokim niebem
gdzie wiatr słuchał skowronka
a ziemia zakwitała gwarem pszczół

teraz wszystko ucichło
chodzę po polach
rozsiewam pamięć
może przeszłość wyrośnie

Wymyślone słowa

Są słowa codzienne
i te odświętne
są słowa poetów
które znaczą więcej inaczej
w metaforze
są słowa
które budzą miłość
i te wywoływane z pamięci
bolesne śmieszne oskarżające
są tez słowa których się nie wypowiada
a które śnią się po nocach



MIROSŁAW PISARKIEWICZ

Okno Beatrycze

patrzy codziennie pijąc poranną kawę
na okno rozdarte przez czas
koślawy płot z wiecznym cieniem kota
wróble kłócące się na blaszanym
parapecie

kawa bez cukru
koniecznie rozpuszczalna
Beatrycze od dawna nie wróży z fusów
niczego dobrego
artefakt obłoku przesuwa się w poprzek
uchylonej okiennicy

napój kończy się
trzeba umyć szyby
myśli dziewczyna
spłukać z nich
widok klucza ptaków

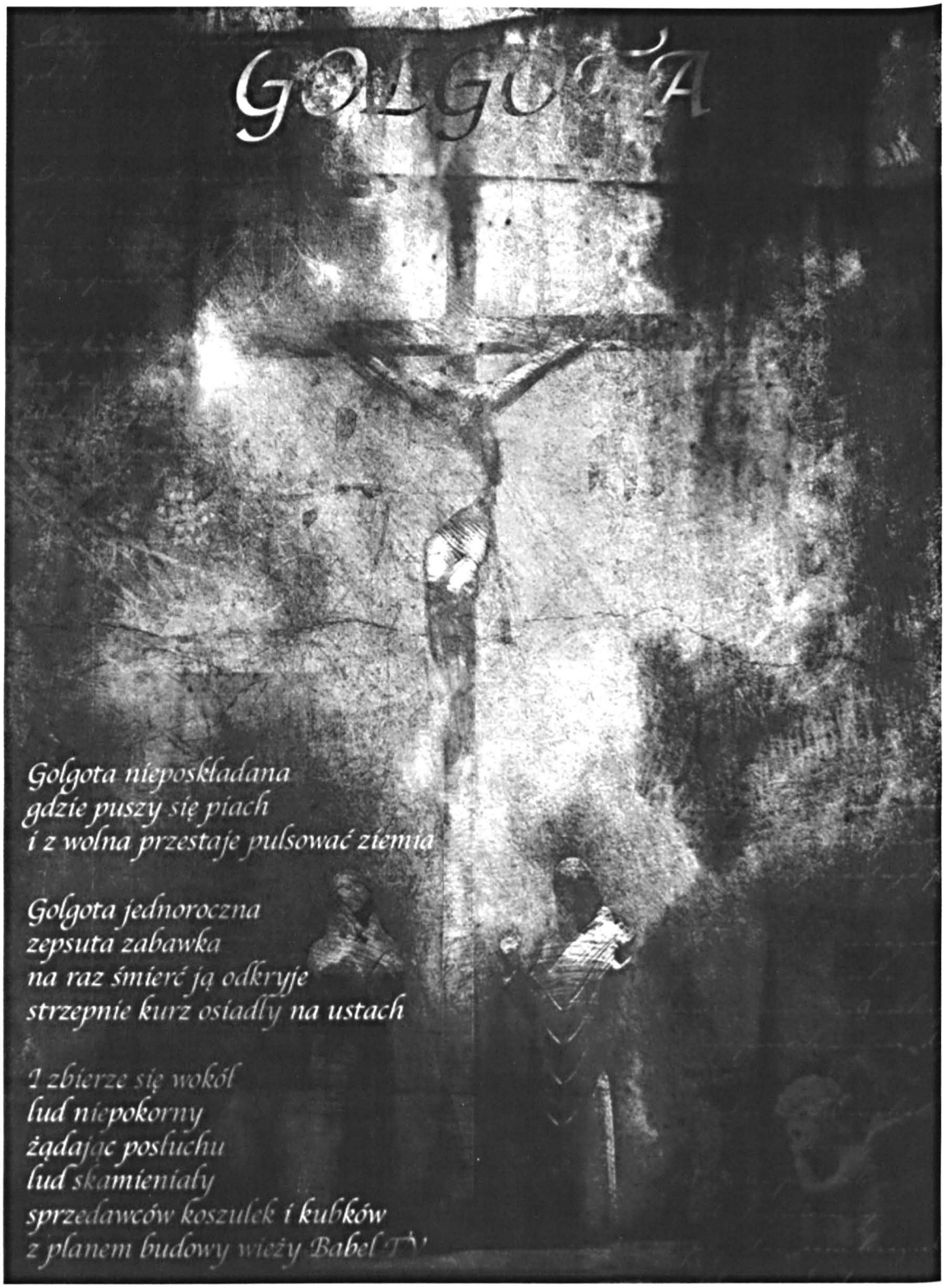
Beatrycze odstawia porcelanową
filiżankę
jeszcze pachnącą przebudzeniem

...i na cóż mi ta cała wolna wola
kiedy nie panuję nawet nad snami
mówi cicho
odgarniając z czoła niesforny kosmyk

Spowiednik

leciwy prałat idzie przez stary kościół
wypalony od modlitw
pochylony stąpa noga za nogą
jakby przygniotły go opowieści
niesione z konfesjonału
te od których i wiarę stracić by można
gdyby była mała

prałat stąpa po dywanie słonecznych
odbić z witraży
plama niebieska to z sukienki Panienki
Przenajświętszej
żółta od szatki Pana Jezusowej
stopy niosą kapłana po rozedrganych
barwach
a on mdli się za tych
którzy nie wiedzą co czynią
i nie widzą
aniołów w pęknięciach podłogi



Axis Art Project



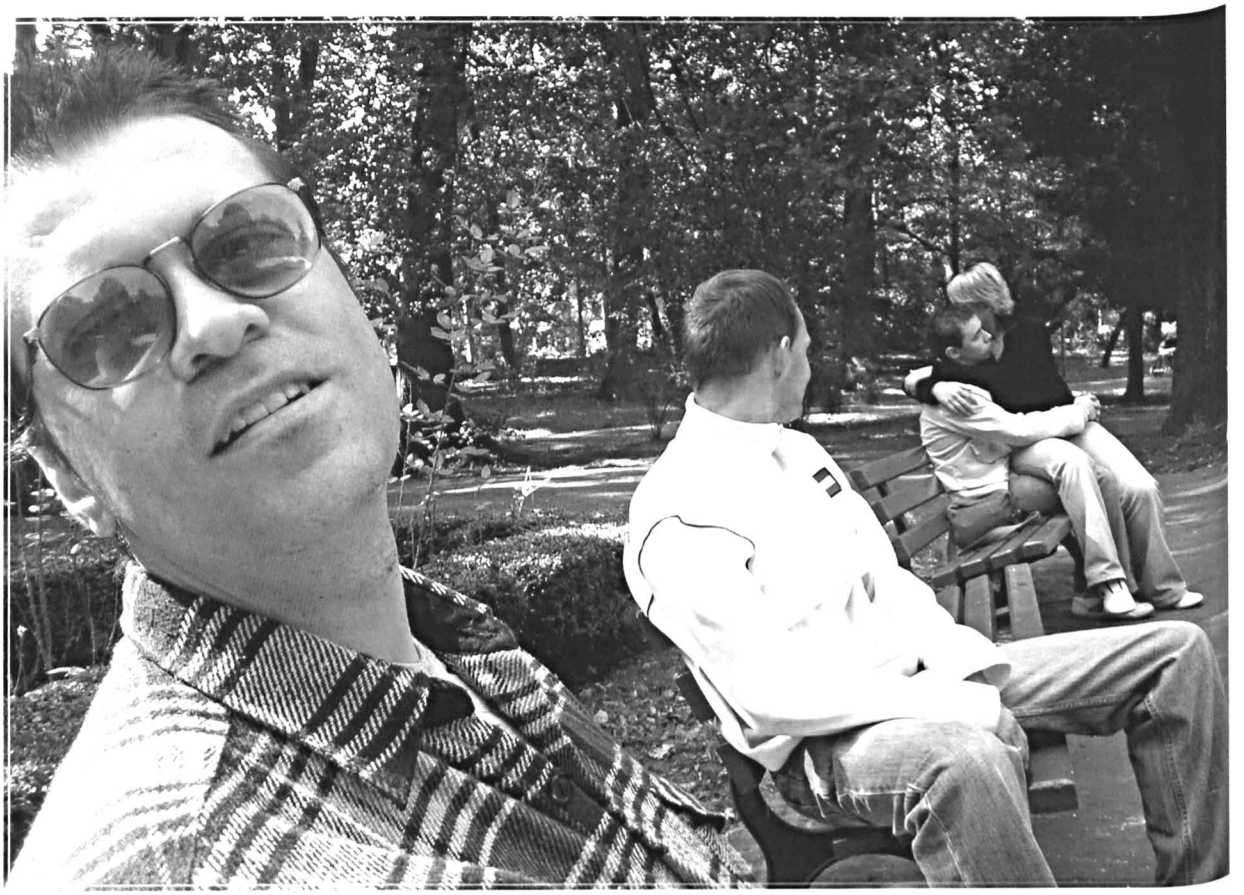
KLAUDIA BĄCZYK

CZEKANIE MA MĘŻCZYZNĘ MITOLOGICZNEJ DANAE, CZYLI O KOBIECIE UWIKŁANEJ W MIŁOŚĆ

Kobieta jakże dziwne to zjawisko... A jeszcze dziwniejsze jest to, iż rozpoczynam moje pisanie jak typowy mężczyzna. Tylko brakuje, bym nazwała ans „puchem marnym", ale nie, tego nie zrobię, choć może powinnam?! Dlaczego? Zaraz postaram się to wyjaśnić, o ile w ogóle można przekazać to za pomocą jakichkolwiek słów. Tego, bowiem, należy po prostu doświadczyć, mieć w sobie tę cząstkę ujarzmionej kobiety, która w pewnym momencie krzyknie: „Tak! Jestem puchem marnym, tworem mężczyzny, uwikłanym w świat symboli i schematów!" (tylko proszę od razu nie klasyfikować mnie, wrzucając do „wora feministek" bądź innych -izmów naszej współczesności...). Jak to się dzieje, że same zgadzamy się na owo pozbawienie niezależności? W czym tkwi ta wielka siła mężczyzn, że potrafią oni sterować naszym życiem, w zależności od własnych pragnień, dając rozkosz, innym razem natomiast skazując nas na cierpienie?!

Noc to okrutna pora, podczas której nachodzą człowieka przeróżne myśli. Niczym ksiądz Sieciech wędrujemy po ścieżkach umysłu, starając się nadać naszemu życiu jakikolwiek sens. Sądzę jednak, że nie zawsze owe tematy mają podłoże o tematyce czysto religijnej, egzystencjalnej, ale po prostu uzupełniają nas „od środka", będąc rozwinięciem naszych wcześniejszych myśli, zaobserwowanych sytuacji. Każdemu z nas, bowiem, chociaż raz zdarzyło się rozważać własne postępowanie przy świetle księżyca. A może się mylę?

Mam okrutną (a może nie tak znowu złą?) tendencję do szukania zakończeń przeczytanych tekstów. I tak ostatnio przeczytałam opowiadanie Jerzego Andrzejewskiego pt.: „Intermezzo" (jedno z tych nocnych zawirowań, podczas których bohaterowie nagle budzą się z marazmu życia). Z pozoru jest to typowa opowieść o małżeństwie, które podczas wojny ucieka w kierunku Włodawy. On - dumny mężczyzna, dostrzega nagle, że całe jego wcześniejsze aspiracje zawodowe legły w gruzach. Za całą tą sytuację zdaje się winić swą partnerkę, która nie miała odpowiedniej ilości środków materialnych, by owe plany zrealizować. Ona jakże prostolinijna osoba, nie ma aż tak wielkich pragnień, chcąc jedynie być z nim. Niestety, jak się okazuje, także i ona chciała zbyt wiele, bowiem los skazuje ją na samotność. W pewnym momencie, bowiem, budzi się w mężczyźnie jakiś głos, mówiący, iż tak naprawdę nic do niej nie czuje. Zośka, jego żona (cóż za określenie „bycie żoną", jakby nie miała w sobie nic więcej... jakże to właśnie ja mogłam tak napisać?), zdaje się całkowicie przesiąknięta tym światem schematów, w którym się znalazła. Sama wielokrotnie podkreśla: „Ja wiem, że ty mnie nie kochasz. Ale dla mnie nie ma już innego życia". Mąż jej, nie zwracając uwagi na jej uczucia, pod osłoną nocy decyduje się ją opuścić, zostawiając kobietę na pastwę wojny i co najgorsze samotności... Długo owo opowiadanie nie dawało mi spokoju. Co zrobi Zosia, gdy się obudzi? Czy świt uratuje ją przed samozagładą? Czy odnajdzie sens życia? Wydaję mi się jednak, że będzie ona czekać, leżeć na stogu siana, nasłuchując, czy jej mąż wraca... Aaa! krzyczy mój głos wewnętrzny za każdym razem, gdy o tym pomyślę. Chciałoby się rzec: „głupia, nieszczęśliwa kobieta, uzależniona od towarzystwa mężczyzny"... Jak to możliwe, że pod wpływem uczucia decydujemy się czekać na choćby gest z ich strony? Jak to możliwe, że owładnięte pragnieniem bliskości, zatracamy się w tej drugiej osobie, traktując ją jako sens życia? Jak napisał B. Pascal: „Ukochany wypełnia sobą cały horyzont świata. Nie dostrzega się poza nim nic równie wielkiego". Zapewne jest to prawda, jednakże by to sprawdzić, postanowiłam przy-



Joanna Bukowska

patrzeć się mitologicznej Danae, która zdaje się doskonałym przykładem czekania na mężczyznę.

Samą Danae i jej oczekiwanie uwieczniano w literaturze i sztuce bardzo często, ja jednak postanowiłam przyjrzeć się z bliska obrazowi Tycjana, który w niezwykle przejmujący sposób opisał K. Przerwa-Tetmajer. Najsłynniejszy malarz weneckiego renesansu, Tycjan, był najwyżej, obok Michała Anioła, cenionym w szesnastowiecznej Europie artystą. Obracał się w elitarnym kręgu wybitnych humanistów włoskich i możnych ówczesnego świata cesarzy, papieży, królów, książąt, arystokratycznych i patrycjuszowskich rodzin weneckich. Pracował m.in. dla króla Hiszpanii Filipa II, papieża Pawła III oraz cesarza Karola V. To właśnie dla tego ostatniego w 1544 roku wykonał słynny mitologiczny obraz „Danae". Owo wielkie dzieło było bardzo szczególne, bowiem w migawce męskiego postrzegania kobiety i jej chęci spełnienia, ukazuje uczucia niezwykle silne, których nie można okiełznać. Zanim jednak zbliżymy się do tejże postaci, warto przypomnieć, kim była owa mitologiczna piękność, by tym samym lepiej zrozumieć obraz i jego literacki odpowiednik. Otóż, Danae była córką króla Argos, Akrizjosa. Z racji swego piękna, sam Zeus szef Olimpu zwrócił na nią uwagę i zapragnął ją zapłodnić. W wyniku przepowiedni wyroczni delfickiej, kobietę zamknięto, odgradzając ją od świata. Największego z bogów nie zniechęciło to jednak. Wymyślił on zatem, że ów akt seksualnej rozkoszy przeżyją zupełnie inaczej, a on złączy się z nią pod postacią złoto-srebrnego deszczu pełnego boskiego, życiodajnego nasienia, z którego w przyszłości urodzi się Perseusz.

Obraz ukazuje spoczywającą na łożu nagą niewiastę, a także stojącego u jej stóp bożka miłości. Owo proste zestawienie wyizolowanych postaci karze zwrócić uwagę na sam ich wygląd, spojrzenie, ukryte pra-

gnienia - K. Przerwa-Tetmajer tak oto wprowadza nas w świat mitologicznej piękności:

Na miękkim puchu białego posłania
Promienna cała od słońca pozłoty,
Danae, Zeusa spragniona pieszczoty
Z osłon swe ciało dziewicze odsłania.

Patrząc na tycjanowską wizję owego momentu, widzimy dokładnie ową nagą kobietę, leżącą na posłaniu. Biel zdaje się być nie tyle tłem dla leżącej kochanki, ile jej przedłużeniem. Danae, mając lekko okrytą prawą nogę tymże posłaniem, staje się jego częścią, stanowiąc z nim niejako jedność. Widzimy zatem nie posłanie i kobietę, a po prostu leżącą istotę, wtapiającą się w dziewiczy koloryt. Zdaje się także, iż wspomniany przez K. Przerwę-Tetmajera promień „pozłoty" jest jedyną próbą, by kobieta stała się widoczna na tle pastelowych barw otoczenia, by mogła przywołać do siebie boskiego Zeusa. Poeta zwraca się uwagę na odsłonięte ciało wybranki, podkreślając przy tym jej cnotę. Samo ujęcie kolorystyki Danae oraz owego posłania sprawiają wrażenie, iż widz zdaje się zostać przeniesionym w ów dziewiczy zakątek świata, gdzie jedynym pragnieniem stają się pieszczoty największego z bogów, Zeusa. Zmysłowe ciało Danane, pomimo porcelanowo gładkiej i zimnej karnacji, uderza siłą i intensywnością rządzącego nią podniecenia. Jest ona piękną kobietą, jakby starającą się wyjść z własnego ciała, by tylko przyciągać do siebie kochanka, oddać się mu bez reszty. Będąc zamkniętą, Danae stara się zapomnieć o świecie, o okrutnej rzeczywistości, zatapiając się w ogrodzie miłości. Owo uczucie daje jej poczucie zatracenia w nowym, baśniowym świecie, tworzy inne otoczenie... Człowiek jest postacią niezwykle zagadkową. Całe życie winien on odkrywać siebie swe ciało i wnętrze. Częstokrotnie czyni to zestawiając swój światopogląd ze spojrzeniem innych ludzi, szczególnie dotyczy to osób nam bliskich, zamkniętych z nami w owej oazie miłości. Wzrok ukochanego nadaje nam prawności siebie pokazuje nasze walory, nie zapominając także o wadach. Jakież to paradoksalne, że dążąc do odkrycia siebie, tak naprawdę chcemy odszyfrować spojrzenie innych na nas samych. To ono, bowiem, nas kształtuje, nadając życiu lepszy sens, częstokrotnie głębszy wymiar. Cały czas szukamy więc tych oczu, które spojrzą na nas łagodnie, pozwalając na zapomnienie. Czy to nie miłość daje nam możliwość poznania siebie w oczach innych? Czy nie to właśnie uczucie kształtuje nasz światopogląd, buduje nasze wnętrze? Czy oczy wpatrujące się w nasze ciało, pieszczące nas swym pożądaniem nie są wzrokiem Erosa? Będąc w stanie ekstazy uczuciowej, ufając drugiemu człowiekowi, oddajemy mu się bez reszty, zapominając, że z pozoru jest to taka sama osoba, jak milion innych. A jednak nie! Dziś ta osoba wydaje nam się niezwykłą, jakże dobrze znającą nas samych. Jej dotyk kieruje naszym postępowaniem, jej spojrzenie ubiera nas w piękno miłości, jej egzystencja otwiera przed nami bramę do lepszego świata. To właśnie w jego oczach, dłoniach, ustach odnajdujemy swoją Arkadię. To ogarnięcie przez drugą osobę, zatopienie się w jej ramionach, staje się schronieniem przed otaczającym nas światem. Móc zamknąć oczy, poczuć zapach kochanka, pozwolić oddać się namiętności stają się naszymi pragnieniami. Chcemy trwać w bezruchu, zatrzymać czas, by móc choć przez chwilę być obok ukochanego. Wówczas świat mógłby przestać istnieć, byle tylko owe ramiona mogły zatrzymać nas w wiecznym przytuleniu. Ucząc się kochać, sami jesteśmy w stanie zbudować definicję miłości, zawierając w niej całą prawdę o nas samych, o owym uczuciu i więzi, jaka powstaje między ludźmi. Ten stan ma zatem ogromną siłę, potrafiącą zniekształcać naszą codzienność. Tego właśnie pragnie Danae, marząc, by choć na chwilę przestać być uwięzioną kobietą, a stać się kochanką, podwładną miłości, owego rajskiego uczucia, które mogłoby nad nią panować. To właśnie on wspaniały kochanek mógł-

by całkowicie odmienić tę stateczną przestrzeń, nadając jej życie, uzupełniając o dodatkowy koloryt.

Z niebios się ku niej świetlny obłok słania
I nagle deszcz zeń na nią spada

jak ujmuje ową scenę poeta. Danae oświetlona zostaje magicznym deszczem, który ma dać jej niezapomnianą rozkosz. Miłość staje się dla niej chwilą ulotną, ściśle związaną nie tyle z psychicznym przywiązaniem, ale przede wszystkim z fizycznością. Danae zdaje się inaczej rozgraniczać owo uczucie pomiędzy mężczyzną i kobietą, pragnąc uwolnienia z marazmu życia. Zeus pod osłoną złocistego deszczu nie dokonuje jednak od razu owego magicznego aktu spełnienia, pragnąc przypatrzeć się swojej wybrance:

to bóg miłosnej czując żar tęsknoty
zwisł nad cichego pełnią pożądania.

Kobieta staje się narzędziem dionizyjskiego upojenia, pragnąc żyć w ekstazie. Zeus chce dokonać owego aktu seksualnej rozkoszy, wiedząc, że jego wybranka pragnie go najmocniej nad życie, że nie widzi przed sobą innego celu, aniżeli oddania się, całkowitego poświęcenia. Dlatego właśnie spokojnie czeka, wypatrując odpowiedniego momentu. Danae ogarnięta owym spojrzeniem, zdaje się przybierać odpowiednie pozy, by jak najszybciej przyciągnąć do siebie kochanka. Kładzie się wygodnie na łożu, eksponując nagie piersi, oświetlone boskim spojrzeniem. Pod wpływem wciąż narastającego podniecenia w jej źrenicach pojawia się pewien „przymglony" blask:

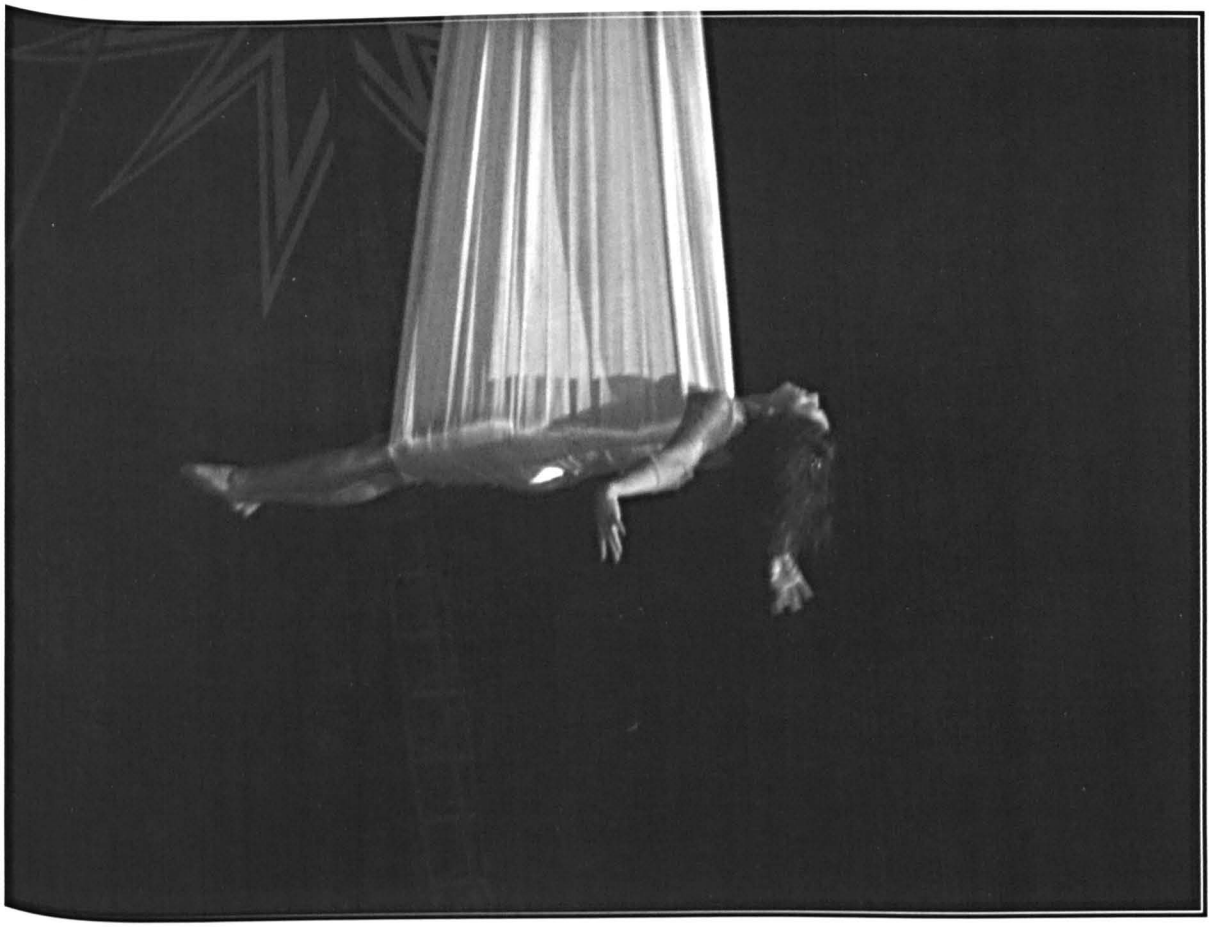
senny, wśród boskiej rozkoszy zachwytu.

Jej pożądanie osiąga moment kulminacyjny, a ciało staje się jedynie bezwładnie rzuconym kawałkiem mięsa, czekającym na spożycie. Nawet wzrok przestaje kontrolować otaczającą rzeczywistość. Kobieta, będąc ujarzmioną męskim spojrzeniem, ogląda świat za mgłą, skupiając się jedynie na wciąż rosnącym podnieceniu. Miłość w tym przypadku nie jest spokojnym obdarzaniem się uczuciem, stając się jedynie odpowiedzią na zrywy spragnionego pieszczot ciała. Danae znajduje się już w takim momencie swego podniecenia, że zdaje się być całkowicie obojętna, czy ktoś na nią patrzy. Wydaje mi się, że to niezwykłe pragnienie tak nią owładnęło, że niezależnie od ilości osób, które mogłyby ją obserwować, wciąż pozostałaby tylko zgadzającą się na wszystko kobietą, a raczej ciałem, czekającym na najmniejszy nawet dotyk. Danae wpatruje się w jakiś martwy punkt, marząc tylko o jednym, o owej tajemniczej rozkoszy, której nigdy wcześniej nie miała okazji przeżyć. Owo czekanie zdaje się być nie tylko przyjemnością, ale także okrutnym aktem, podczas którego pragnie się wybawienia. Kobiecie nie przeszkadza zależność od mężczyzny, poddaje się jej bez reszty, chcąc wreszcie uspokoić swe rozgrzane ciało. Poeta omija niejako temat samego aktu seksualnej rozkoszy i boskiego orgazmu Danae. Wskazuje natomiast na „spłonionego" Amora, który wraz ze świtem odchodzi od pięknej kobiety:

Przed złotym deszczem, od słonecznej strony,
U stóp jej białym, podobny do świtu
Gdy dnieje: Amor uchodzi spłoniony.

Bożek miłości, zaprezentowany jako mały chłopiec spogląda w górę, gdzie znajduje się złocisty deszcz. Otwarte usta Amora świadczyć mogą o nagłym uświadomieniu sobie, iż akt się zakończył, a jego rola dobiegła końca. Tycjan namalował go w ruchu, chcąc ukazać odejście bożka, który patronował owej wspaniałej chwili miłości. Danae wciąż leży bezwładnie na łóżku, całkowicie nie zwracając na młodego boga. Ten natomiast jakby gnał się do ucieczki, pragnie pozostawić spełnioną kobietę, przed którą otworzył się niezwykły świat zmysłowych doznań.

Tycjan za pomocą pędzla zaprezentował przepiękny ogród rozkoszy kobiety, ogarniętej chęcią miłości. Ograniczając barwy, zaprezentował on wspaniałe napięcie mitologicznej piękności, chcącej po prostu doznać magicznej chwili seksualnego spełnienia. Czerwienie i biele, ukazane na obrazie, są proste, pozbawione efektu nakładania, przełamywania bądź mieszania kolorów albo odcieni. Owa mocna ekspresja złotego deszczu i złociście połyskliwej bieli stworzyła podstawę dla końcowego efektu dzieła, którym miało być spełnienie oczekiwać kobiety, dając jej rozkosz i poczucie oderwania od rzeczywistości... Danae poprzez owo czekanie stała się uzależnioną od mężczyzny kobietą, bowiem tylko on mógłby wybawić ją od uwikłania w szarość ludzkiej egzystencji. Zosia nie miała tyle szczęścia, nie mając możliwości spełnienia własnych pragnień... Jak więc wytłumaczyć kobiecie czekanie na mężczyznę? Czy jest ono wstydem, bowiem prezentuje owo ujarzmienie i sprowadzenie ich do roli zależnych od mężczyzn? Sądzę, iż niezależnie od tego czy jest ono jakiegoś rodzaju poświęceniem się, z całą pewnością stanowi nieodłączny atrybut miłości, rządzącej się prawami lojalności i oddania. Jak napisał S. Weil: „Miłość oblubieńcza polega na oddaniu się bez reszty. Kto tak się oddaje, przestaje istnieć, przestaje więc być kochany. Kto tak się nie oddaje, nie dość kocha. Miłość jest więc jednocześnie głodem i przesytem". Z całą pewnością lepiej zatem odczuwać ów głód mężczyzny niż z góry skazywać siebie na wieczne czekanie na miłość...



Paweł Żochowski



MAŁGORZATA OSAK

***

strach
strzępy wspomnień
rozpacz życia
koniec w nieskończoności
cisza

idę za milczeniem

cisza

Odchodzenie

Lubimy codzienność, nudną ciągnącą się jak flaki i nie chcemy jej zmieniać. Każdego dnia rano przeliczamy domowników, znajomych, rzeczy. Z niezmienionym stanem spokojnie czekamy nocy. A kiedy ktoś lub coś się wyłamuje? Wtedy wpadamy w panikę. Nie wiemy kim i czym mamy wypełnić pustkę. Ostatecznie nie pozostaje nam nic innego jak przyzwyczaić się do braków, żyć dalej i nie myśleć kiedy nas obejmą.



ROBERT MARCINKOWSKI

Góry: tam nie patrz

szepce przekornie
a poleciało oko

i odległość zmogła mnie
niezmożona.

Tęskność
nieprzetęskniona.

Echo pieskim
leżące na sercu.

Ostrogrzbiet
obolały.

Wilgotne niebo
w pustym oku.

* * *

Z kłębka niedocieczonej przyszłości
cierpliwie wysnuwam nitkę drogi.

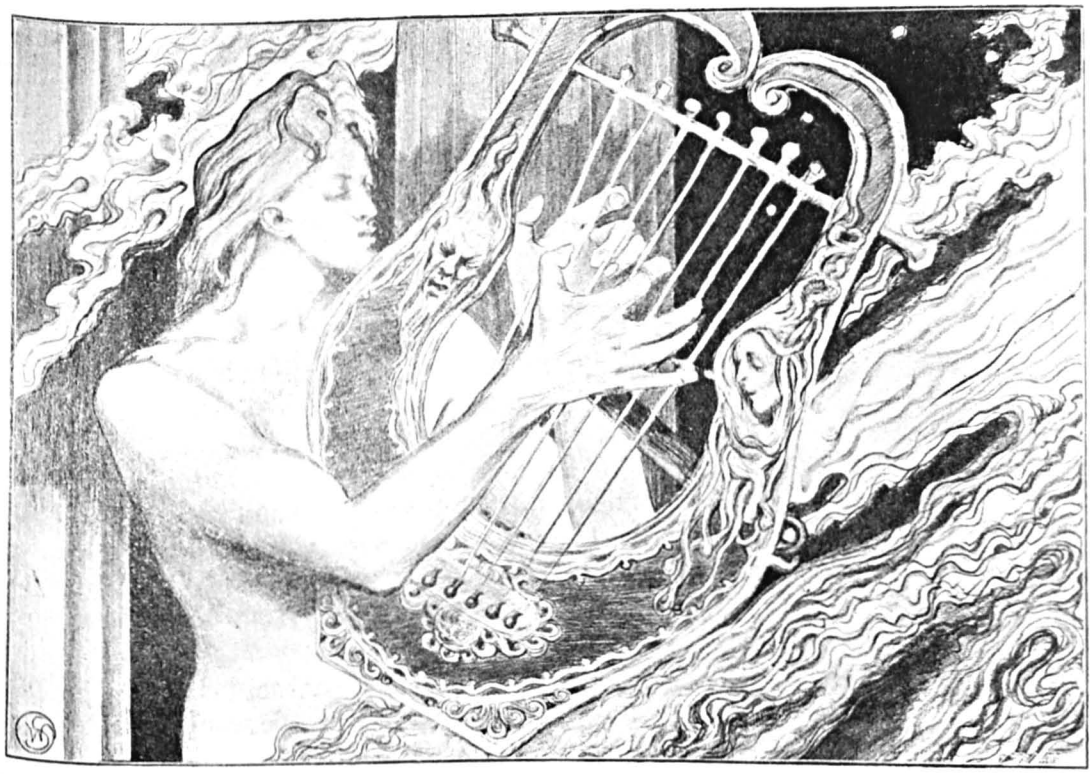
Już wyłania się kształt...
To pętla: zwyciężają wspomnienia.

Droga spleciona w węzły
ma własną, osobliwą logikę:
pozwala błądzić.
Uwalnia od zbyt prostych zakończeń.

Nie muszę gnać na złamanie karku,
by dogonić siebie.

Muchy: na rozpalonym ciele
punkty dotyku.

Trwa niemożliwe
i w nowo odkrytym odludziu
przepełnia mnie słońce.



Oczy.



Głębokie są oczy twoje, jak to morze, co się przed nami roztacza, w dal idące bezkresną...

Błękitne są, jak to niebo, które w dzień letni nad nami kopułę swoją przejrzystą rozpina, błękitne, jak to marzenie, które w nich mieszka.

O, moja — —

Niewysłowioną pieszczotę mają dla mnie źrenice twoje, niewysłowioną moc czaru mają nade mną.

Głaszczą mnie oczy twoje aksamitnem dotknięciem spojrzenia: patrząc w nie — czuję nieuchwytny zapach kwiatów polnych, rosą poranku operlonych, słyszę pieśni harfiane, omdlewające w powietrzu sennego południa, widzę białemi liliami usłane łoże rozkoszy w wysmukłej sali maurytańskiej...

Ku temu łożu idę...

O, moja — —

Włosy.



łosy masz złote, pachnące i takie miękkie, jak przędza jedwabista z wrzeciona zaczarowanej królewny, córki słońca.

Tak lubię, kiedy je rozrzucisz i kaskadą spadną na twoje ramiona, czyniąc płaszcz królewski dla twoich kształtów wysmukłych.

Tak lubię brać ich pasma do ręki i do ust je przyciskać.

Cudowne masz włosy i upajające zapachem.....

Są one, jak struny harfy złocistej, i zda mi się, że gdybym je rozpiął na narzędziu muzyckiem i naciągnął do stroju jednego, a potem palcami w nie uderzył — głosby wydały piękniejszy, niźli wszystkie dotąd znane głosy pieśniarzy tej ziemi.

Są one, jak promienie jutrzni złotej, przenikające w mrok duszy mojej, kędy tyle kwiatów umarło w latach rozłąki.

Teraz się tam dzień staje i wiosna...

Cudowne masz włosy i upajające zapachem...

Kiedy je rozsypiesz na białej poduszce i głowę dasz mi na nich położyć — marzę.

Marzę o jakiemś królestwie nie z tej ziemi, o jakiejś rozkoszy, która przyjdzie dusze nam uśpić i uniesie je z sobą w krainę baśni i snów czarodziejskich. —

Usta.



iedy w pierwszym pocałunku dotknąłem ust twoich — dotknąłem płomienia.

Takie były gorące wargi twoje — i drżały, jak płatki róży w tajemniczej chwili, w której kwiat jej z pąka w kielich się otwiera.

Drżały nie wybuchem pożądania, nie dreszczem przeczutej rozkoszy, ale trwogą wielkiej, idącej ku nam przez pocałunek, godziny miłości.

Drżały, jak serce ptaka, kiedy poczuje strzałę, co mu pod skrzydłem utkwiła i ciężarem swoim ku ziemi go ciągnie — —

O, moja!

To drżenie ust twoich poszło za mną i w każdym nowym dniu miłości naszej mówiło mi, że cię z błękitów na ziemię prowadzę, że ci anielskość twoją odbieram.

O, moja!

Usta twoje są krynicą niewyczerpaną i moc mają przyciągania taką, że gdybym w przepaść lecąc na nich zawisnął — utrzymałbym się do końca istnienia bez troski o śmierć czyhającą...

Usta twoje są, jak wiecznie żywe źródło miłości, nad którem przesyt niema władzy — i pijąc z nich nie powiem nigdy smutnego słowa *„dość"*.



RYSZARD KORNACKI

Wczoraj...

Wczoraj Cię wymyśliłem
z kieliszkiem koniaku
w dłoni
ze światłem Clode Moneta.
Mocno się zamyśliłem
w czerwonej pelargonii
nad znakiem zodiaku.

Wczoraj Cię zaskoczyłem
gdy niosłaś wiosnę
łąki
impresję Edgara Degasa.
Znienacka cię przytuliłem
w słonecznym biegu rumaka
Ech, życie... i rozłąki.

Wczoraj Cię uwikłałem
zwyczajnie tak jak stałem,
na brzegu
nastroju Pissarro
aż serce rwie się do walca.
Więc mocno Cię uściskałem,
na miłość skazałem
jak brankę lub zesłańca.

Ech, życie - pożycie

Wielki poeta Czechowicz
mawiał przed laty:
Mój Panie,
sypiać najlepiej
na sianie.

Sen łatwo tu przychodzi
No i zdrowiu nie szkodzi

W tym względzie nam
własne zdanie i
jestem pewien
niezbicie

Ech, życie!
Ech, przeżycie!
Ech, dobre pożycie!
Najlepiej kochać się
w życie.



MATEUSZ WIECZOREK

***

na przeciwległym końcu ulicy przed murem z bezimienną rysą stoi nieboszczyk
trzyma kartkę z niewyraźnym napisem
przechodzę na drugą stronę on stoi jakby czekał na hejnał z wieży
obok niego przebiega łoś nieboszczyk podstawia mu nogę
łoś odlatuje do ciepłych krajów burząc mur zupełnie nieważny w tej opowieści
kwiaciarka kupuje papierosy matka idzie po dziecko do przedszkola ołówek spadł ze stołu

wracam do siebie

***

wchodzę w korytarz ciemno i zimno
mruczę wiatr w kącie deszcz kaszle rynną
drzwi zamykają za mną podłogi
most się układa w busolę drogi
półprzytomności kwitną we włosach
w kącie zgarbiona tkwi lampa bosa
szmer skrzydeł pachnie w pokoju miętą
idę w przestworza uliczką świętą

Opowiadania







ANDRZEJ W. WODZIŃSKI

NIĆ ARIADNY - WIKTORII

Bonjour! Albo dzień dobry, babciu, jeśli wolisz, ależ dzień okropny -pada śnieg z deszczem, a do tego jeszcze cała Warszawa zablokowana przez strajkujących górników, pielęgniarki, lekarzy, nauczycieli i chyba nawet celników, ale tego nie jestem pewien, czy i oni protestują i przestali pilnować naszych granic? Ale tak, jak obiecałem ci telefonicznie - przyjechałem do ciebie obliczyć te twoje podatki w PIT, pomimo, że jestem straszliwie zalatany, niczym nasz sympatyczny listonosz, pan Zenek, będący aktualnie na zastępstwie w nieswoim rewirze pocztowym na warszawskiej Sadybie Oficerskiej. Klnie ten pan Zenek na trzeźwo, jak szewc po pijaku w szewski, czy murarz w murarski, poniedziałek. Klnie swój los i zastępstwo za złodzieja-kolegę, które naczelnik poczty mu wyznaczył, a właściwie wtrynił bezczelnie za karę za to, że nie chciał roznosić paczek z płatnymi ulotkami wyborczymi. Paczki te były ciężkie, jak życie pana Zenka, a pieniądze za to wyborcze roznosicielstwo lekkie, jak piórko wróbelka. A pan Zenek ma już ponad 60. lat i mówi: „Gdy po kopie, to i po chłopie". Poza tym, gdziekolwiek poszedł w tym nowym rewirze z listami, to starsi ludzie pytali go, czy jego kolegę-złodzieja - tego dawnego - listonosza - policja już złapała z ich ukradzionymi emeryturami? Te pytania emerytów i rencistów pana Zenka doprowadzają do rozpaczy, bo raz, że sam nie wie, na jakim etapie jest śledztwo policyjne, a dwa to, że jest osobiście człowiekiem uczciwym, aż można powiedzieć: do pewnej przesady. Ano tak, bo kiedy mu jakaś emerytka chce dać pięć złotych za przyniesienie emerytury w wysokości 500 zł, to zdecydowanie odmawia „koszyczkowego dla listonosza" i mówi: „A niech pani da spokój i za te pięć złotych kupi sobie kilo bananów, jabłek czy pomarańczy".

Tego poprzedniego listonosza, który przywłaszczył był sobie emerytury naszych seniorów i uciekł do Anglii, dotknął może „syndrom ciekawości świata" kolejarza z utworu Reymonta, który - jak pamiętam przez mgłę ze szkoły - ciągle odprawiał pociągi we wszystkich kierunkach świata. W końcu, ciekawy przygód, zdefraudował jakieś pieniądze z kasy kolei i wyjechał do Paryża, a tam zobaczył, że wszędzie na świecie jest - niestety - tak samo, tylko w innych trochę dekoracjach. Po tej przykrej konstatacji, gdy skończyły mu się środki pieniężne - położył się na torach pod pędzącą lokomotywę w celach samobójczych. Oby tego listonosza-defraudanta nie spotkał los podobny do tragicznego losu kolejarza z utworu Reymonta!

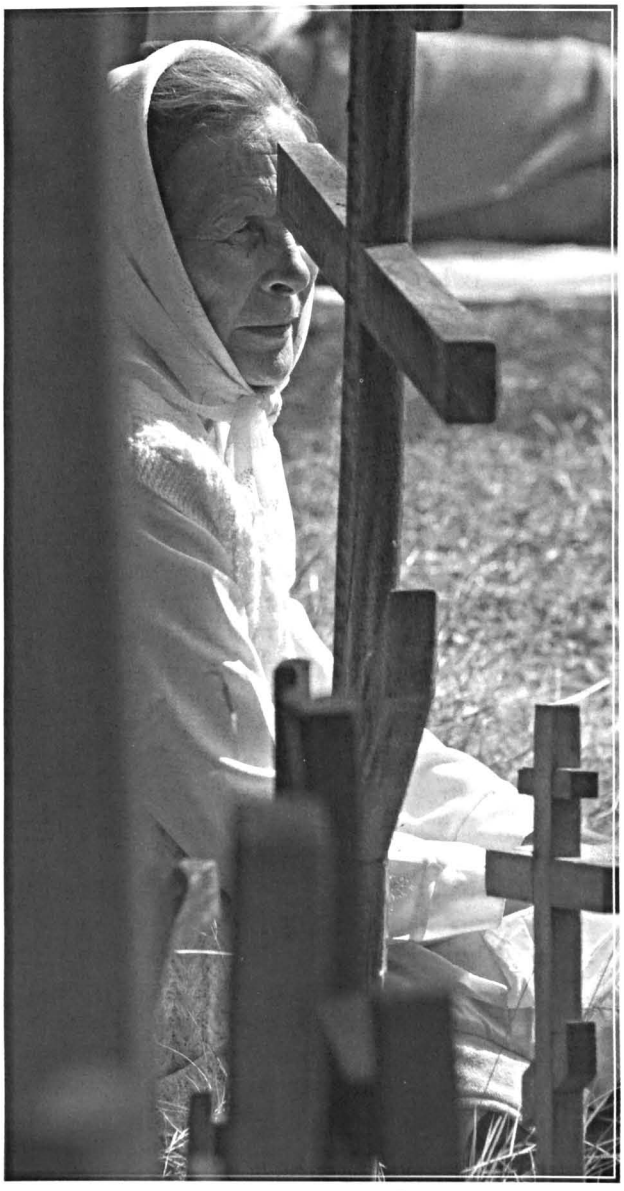
Spóźniłem się ze dwie godziny, ale wybacz mi, babciu, to przez te strajki, pogodę i zalatanie - tak właśnie, na jednym oddechu, wyrecytowałem babci Wiktorii - jak pani nauczycielce w szkole podstawowej - swoje usprawiedliwienie za spóźnienie, no, i te ogólne nasze dzisiejsze współczesne zabieganie. Babcia Wiktoria po moich słowach i przeprosinach nie wydawała się być w jakikolwiek sposób czymś zdenerwowana, czy też jakoś rozczarowana, a na jej rumianej pogodnej twarzy nie zauważyłem nawet małego grymasu zawodu, czy wyrzutu. Odłożyła na orzechowy stolik nocny trzymaną właśnie w ręku książkę w języku francuskim i łagodnie uśmiechając się, powoli zaczęła cicho mówić, jakby chciała za chwilę zdradzić mi jakąś dawno ukrywaną tajemnicę rodzinną.

- Siadaj, kochany wnuczku, powiedziała miękko. Bardzo się cieszę, że mnie wreszcie odwiedziłeś. W tym tygodniu drzwi mojego domu po prostu nie zamykają się - goście walą do mnie, jak (nie przymierzając) na imieniny do ex-prezydenta Wałęsy. Po co oni do tego, dawnego elektryka, tak walą, tego nie wiem. Pewnie, żeby się tam u niego na-walić, jak nawala się bezustannie, niczym jakiś dawny wsiowy fornal, następny ex-prezydent Aleksander Kwaśniewski. Dziś wszyscy tak się bardzo spieszą! W poniedziałek odwiedził mnie w expressowym tempie glazur-

nik, który poprawiał to, co spartolił szybko tydzień temu, a we wtorek był hydraulik i naprawił błyskawicznie nowy prysznic zakładany przez niego pospiesznie dwa tygodnie temu. W środę przyszedł z kolei żwawo młody ksiądz z kolędą. - O! On to miał za zadanie naprawić szybko moja duszę, ale nic z tego, niestety, nie wyszło. Po standardowej modlitwie, poświęceniu mieszkania i pobraniu koperty ze stuzłotowym „co łaska", oraz podarowaniu lakierowanego obrazeczka ze świętą rodziną - ksiądz zapytał mnie nieopatrznie, co u pani słychać, i jeszcze: jak się pani czuje? A ja, głupia, rozczuliłam się tym pytaniem, bo w minionym miesiącu nikt mnie, wyłączając ciebie, wnuczku, o to nie zapytał.

Nie pomyśl sobie czasem, *mon ami*, że zaczęłam owemu młodemu księdzu żalić się, jaka to ja jestem samotna, stara i chora. Jeszcze do tego stopnia nie zgłupiałam i doktor Alzheimer nie ma na razie co u mnie szukać. Choć w jakiejś niedalekiej przyszłości, któż to wie? Powiedziałam tylko, że dziękuję mu serdecznie za jego zainteresowanie moją, nic nie znaczącą osobą, i że w czasie II wojny światowej i zaraz po niej przechodziłam mały kryzys wiary. Nie mogłam po prostu zrozumieć -zresztą nie tylko ja jedna, jak dobry Bóg mógł pozwolić na te wszystkie zbrodnie i okropności, które wyprawiali z nami Niemcy i Rosjanie.

Opisałam mu też w kilku żartobliwych słowach swoją obecną kondycję fizyczno-psychiczno-transcendentalną - wspominając *malgre tout*, czyli wiesz, mimo wszystko, że kilka dni temu szukałam czegoś na dolnej półce w starym, jak ja, kredensie, i w związku z tym szukaniem musiałam, chcąc nie chcąc, uklęknąć na dwa kolana, niczym do żarliwej modlitwy! A z uklęknięciem to jest tak, jak z wejściem na górę - pomimo, że trudno to się robi, a więc wchodzi na ową górę, to jeszcze trudniej jest z takiej góry zejść lub powstać z klęczek, zwłaszcza, jak ma się tyle lat, co ja mam. I tak klęczałam z dobre pół godziny - nie mogąc powrócić do pozycji stojącej, wyróżniającej nas wśród naczelnych i ssaków, chodzących na czworaka.



Tomasz Młynarczyk

Kiedy tak klęczałam, nie z własnej przecież woli, lecz raczej z powodu mojej fizycznej niesprawności, to przypomniałam sobie niespodziewanie, co powiedział niegdyś „papież uśmiechu", czyli dobrotliwie mądry Jan XXIII, i zacytowałam jego słowa młodemu księdzu : „Nigdy człowiek nie jest tak wielki, jak wtedy, gdy klęczy". Ja, oczywiście, z tym pięknym stwierdzeniem „papieża uśmiechu" w pełni się zgadzam, ale tylko w tym wypadku, gdy mamy na myśli własną modlitwę do Pana Boga, a nie w ogóle życiową postawę. Nasz naród

przez kilkaset lat klęczał i klęczał, i nadeszła najwyższa pora, by wstał z kolan, ale to już inna opowieść. Zupełnie niepotrzebnie na końcu przypomniałam i powiedziałam uczynnemu księdzu, co mówił mój zabawny przyjaciel-agnostyk z czasu studiów na Uniwersytecie, że mianowicie: „Dusza i tak jest nieśmiertelna, jak twierdzą przecież katolicy, więc dbajmy starannie o ciało i dobre samopoczucie". To stwierdzenie nieomal rozjuszyło księdza-gościa (po kolędzie) i zaktywizowało go do tym staranniejszej ewangelizacji mnie. Zupełnie niepotrzebnie, bo ja i tak w ogóle wierzę w Boga i zmartwychwstanie Pana Jezusa, no, ale cóż, ten ksiądz był w pracy i wykonywał swoje obowiązki pracowniczo-apostolskie, co jest zgodne z jego powołaniem i zrozumiałe dla każdego. Z pewnym zapałem, a nawet określiłabym to: z zapalczywością, ten młody kapłan zaczął mi opowiadać o jakimś mieczu, który ostrzymy o kamień przed bitwą -a więc może Pan Bóg i los polski nasz nas tak ostrzy, jak my ów miecz - trąc klingę nieszczęściem i wtedy - STAJEMY SIĘ! - wykrzyknął z emfazą.

Trzeba przyznać, że to ładna metafora i przenośnia, lecz nigdy bym nie pomyślała, że ktoś mnie kiedyś porówna do miecza; do pochwy na miecz, to tak, może i zgoda, ale ja jako miecz? Nic z tego nie rozumiem. Ale zostawmy w spokoju tego uduchowionego młodego kapłana, gdy opowiadałeś mi, *mon ami*, o tym zalatanym listonoszu z warszawskiej Sadyby, to przypomniał mi się zaraz również w nieco inny sposób „zalatany listonosz" z Buska Zdroju, o którym opowiadano, gdy byłam tam na leczeniu sanatoryjnym. Ten pracowity doręczyciel pocztowy zwykł ponoć mówić do młodszych, atrakcyjnych rencistek i przynajmniej od strony wizualnej przedwczesnych emerytek: „ja jestem taki zalatany i mam tak mało czasu, że pani powinna być rozebrana od pasa w dół, gdy spodziewa się mojego przyjścia ze świadczeniem zusowskim". Słyszę i widzę, że babcię nie opuszcza humor przerwałem babuni, gdyż pomimo, że przebywałem w jej domu dopiero niecałe dziesięć minut, jakoś, nie wiedzieć czemu, zmarzłem i poczułem nagle przejmujące zimno. Co się stało, babciu - kaloryfery u babci nie grzeją? - spytałem.

- *Oh, mon Dieu! Merci bien*, wnuczusiu, że tak się martwisz o starą kobietę - odparła babcia. A jeśli chodzi o kaloryfery, to minionego lata nasza stara warszawsko-żoliborska kamienica przeżyła prawdziwą rewolucję. Przeszła gruntowny - można śmiało powiedzieć, życiowy remont. Ocieplono i otynkowano ściany zewnętrzne, wymieniono okna, rury wodociągowe i kanalizacyjne, oraz zainstalowano nowe kaloryfery. Wszystko to za sprawą pracy nowych, dynamicznych administratorów oraz faktu, że po pół wieku odłączyliśmy się od wielkiej spółdzielni mieszkaniowej, marnotrawiącej nasze środki, i założyliśmy z sąsiadami małą spółdzielczą wspólnotę mieszkaniową. Do tego wszystkiego jeszcze czynsz obniżono o 1/3, ponadto jest czyściej, bezpieczniej, bo mamy dwa domofony. Do tej prawie idylli trzeba dodać, że dochodząca pani dozorczyni jest osobą pracowitą, dyskretną, sympatyczną. W tej beczce miodu jest jednak jedna łyżka dziegciu i to są te nieszczęsne kaloryfery. Ileż ja tu miałam różnych komisji budowlano-wodociągowo- grzewczych, czy jak je tam nazwać. I co ? Nic. Niby od strony technicznej wszystko jest znakomicie, lecz w praktyce źle, czyli raz ciepło, innym razem zimno. Badano te kaloryfery, czy nie są zapowietrzone, czy nie mają jakiejś wady technicznej. Była komisja z Instytutu Techniki Grzewczej Politechniki Warszawskiej. Ba! Przyjechał tu nawet na miejsce ich producent, gdyż są na okresie gwarancyjnym. Badał, czy są zainstalowane prawidłowo, zgodnie z normami, czy jego kontrola techniczna nie przepuściła aby jakiejś fuszerki. Stwierdził - tak, tak, w specjalnym raporcie - że spełniają niezbędne warunki techniczne, materiałowe, ekologiczne, unijne i... odjechał. Prywatnie ponoć powiedział, że chyba ktoś je tutaj zaczarował. I zaklął. Zadał im coś, zamówił, zły urok rzucił. Może trzeba nałożyć na te tu kaloryfery czerwone wstążeczki, jakie czasami niektóre zwariowane młode mamy i starsze zabobonne damy zakładają na rączki swoim małym dzieciom lub pieskom? Aby je odczarować, odczynić

niedobry urok i przepędzić od nich złe moce i niedobre spojrzenia?

Ano, tak. Tak było jeszcze długo po wojnie - bano się, żeby ktoś na dziecko nie rzucił „złego uroku" źle wpłynął na jego losy, choćby samym spojrzeniem. Przecież mówi się do dziś - „na psa urok". Może tu mieszka jakiś ZŁY, *genius loci*, czyli jakiś złośliwy Gieniuś Lok - brat Kaja, tego, co go tak źle potraktowała Królowa Śniegu - zażartowała. Ale ja mam inną teorię na ten temat, lecz o tej teorii, którą nazwałam na własny użytek „Teorią Narodowego Ciepełka" - powiem ci, wnuczku, za czas jakiś, a teraz nastawię szybko wodę na herbatę lub kawę, włączę dwa elektryczne słoneczka i zrobi się za chwilę cieplutko jak w Afryce. Ale zanim to uczynię, to jeszcze w tej lodowatej, arktycznej temperaturze opowiem ci, drogi, co przeczytałam sobie w miesięczniku „Żyjmy dłużej"; był to numer grudniowy, a w nim pięć rad na rozgrzewkę.

Rzuciłam się na te rady, jak spragniony już nowej wody wielbłąd na pustyni Sahara. W tym artykule poradzono m.in. czytelnikom, że: „nawet najgrubszy sweter jest gorszy niż dwa cienkie, założone jeden na drugi. Radykalne odchudzanie zimą to zły pomysł, bo pozbawiając się kalorii, dodatkowo zmarzniemy. Angielskie filmy i specjalnie wybrana literatura pokazują służbę, wkładającą pod pościel lorda lub jakiejś *milady* butelki z gorącą wodą. Jeśli marzniemy, spróbujmy tego sposobu, zastępując butelki z gorącą wodą bardziej nowoczesnym termoforem". Ja, jak widzisz wnuczku, już się zastosowałam do tych rad. Jestem ubrana na tzw. „cebulkę", nigdy się nie odchudzałam, bo jestem i tak chuda, a w nocy podgrzewam się poduszką elektryczną. Przedtem wypijam jednak nie żadne ziółka, ale jednego normalnego głębszego z wytwórni winnic koniaków z okolic Bordeaux. Lub łyczek własnej nalewki.

Najbardziej w tych poradach prasowych zainteresowało mnie takie stwierdzenie, że „zimno konserwuje - tak na przykład generałowa Aleksandra Zajączkowa (1754 - 1850) przez całe życie sypiała przy szeroko otwartych oknach na łóżku, którego materac był wypełniony lodem. Myła się wyłącznie lodowatą wodą, nie jadała gorących potraw. W wieku 70. lat miała cerę dwudziestolatki i o połowę młodszego kochanka. Zachowując urodę, zdrowie i żywy umysł dożyła 96. lat". To była chyba właśnie ta Królowa Śniegu, tylko po reinkarnacji. Ja jej nie zazdroszczę wcale tego o połowę młodszego kochanka, zdobytego bez trudu w wieku 70. lat, ale tego, że taka była zahartowana. Dziś to ona mogłaby być śmiało prezeską owego, znanego ci Stowarzyszenia Morsów z naszego Wybrzeża, którzy w Nowy Rok co rusz kąpią się w przerębli na jeziorze, i pokazuje to z należną uwagą i komentarzami Telewizja Polska. Wiesz dobrze, drogi, że ma to odrębny „aspekt społeczny", jakkolwiek trudno sądzić, co też ludzie z tego później spamiętają.

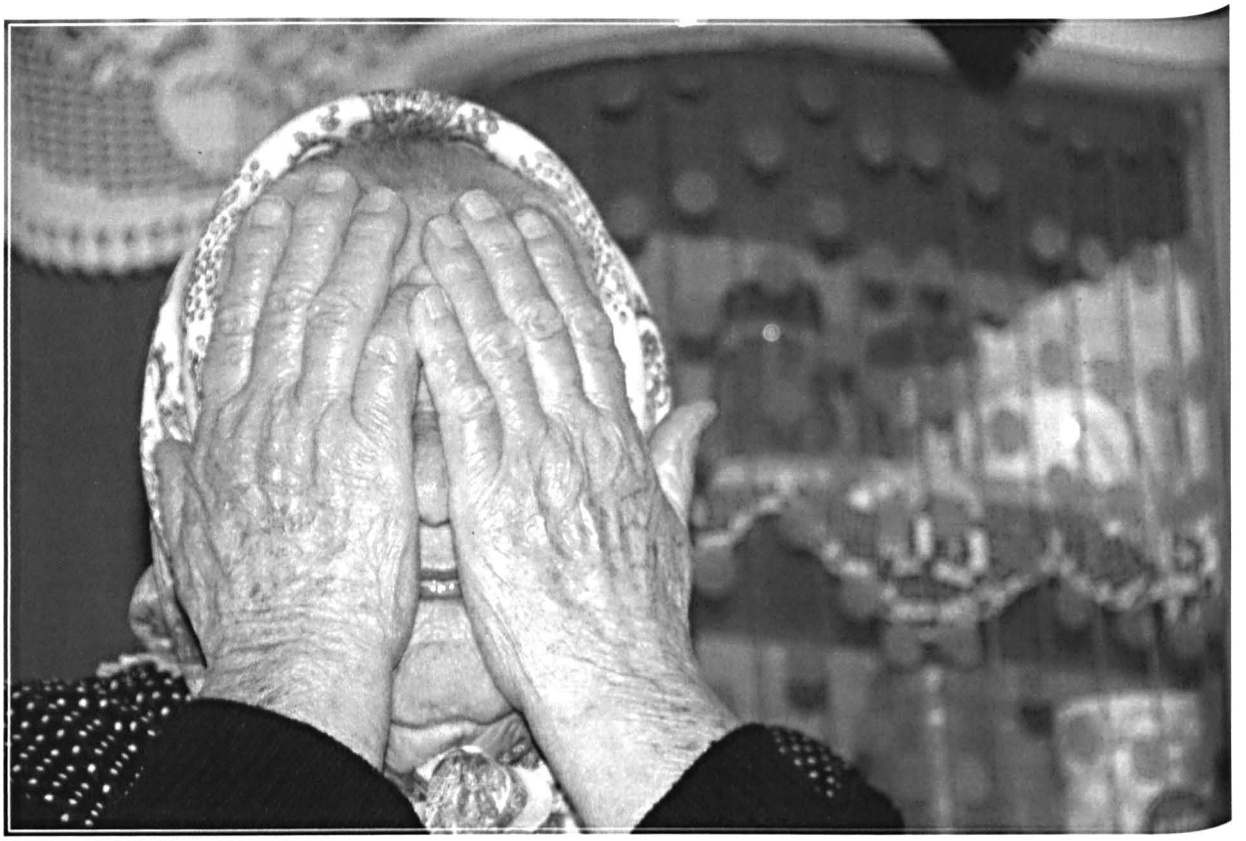
Wtedy prawdopodobnie każdy telewidz, siedząc w cieplutkim domku przed telewizorem, gdy zobaczy „Morsów" mówi: brr! I po cichu ich podziwia szemrząc sobie pod nosem: „no, ci to, cholera, mają zdrowie, jak jasny gwint!". Ale ja przez pięć lat na Syberii mówiłam: brr! Przy mrozie około 50 stopni Celsjusza, a dla małej, zwykłej tam rozgrzewki z koleżankami szkolnymi jeszcze ze średniej szkoły muzycznej w klasie fortepianu w Grodnie - ścinałam potężne drzewa kilkupiętrowe. Czym się dało i nie dało. I nikt mnie nie filmował - nie robił ze mną wywiadów telewizyjnych, istniałam całkowicie anonimowo. Byłam bezimiennym dla strażników numerem w Archipelagu Gułag, na „nieludzkiej ziemi". A napisano o tym dopiero nieco później, tak, później nieco.

Babciu - wpadłem w słowo babuni - wtedy nie było tam telewizji, a gdyby nawet była jakaś kamera na statywie, to by babcię jako wroga ludu nie sfilmowano do radzieckiej kroniki filmowej, ale to nie powód, aby dzisiaj cierpieć i marznąć! Jeszcze nie skończyłem mówić, a już babci nie było w pokoju. Minęło może niecałe pięć minut, a przede mną stała porcelanowa filiżanka z parującą herbatą, na talerzyku obok leżały kruche francuskie ciasteczka obok miseczki z wiśniowymi konfiturami. Po niedługiej także chwili znalazłem się pomiędzy

dwoma elektrycznymi grzejnikami - zrobiło się ciepło, przytulnie, no, po prostu domowo. Czekając na babcię, a nie znosząc bezczynności umysłowej, wyjąłem z plecaka „Rzeczpospolitą" i zacząłem ją pobieżnie, szybko przeglądać. „Setki tysięcy graczy giełdowych wstrzymało oddech - giełdą rządzą rozchwiane emocje drobnych ciułaczy, którzy ulokowali pieniądze w funduszach inwestycyjnych" - przeczytałem. Ja nie wstrzymywałem żadnego oddechu, bo nie mam pieniędzy i nie gram na giełdzie - pomyślałem, i czytałem dalej: „telefony rozgrzane do czerwoności, oczy inwestorów wpatrzone w monitory z najnowszymi notowaniami, ale przede wszystkim strach malujący się na tysiącach twarzy. Giełda z czwartku na piątek poleciała w dół, a wraz z nią stopniały oszczędności Polaków". Biedni ludzie - bogaci ludzie - powiedziałem głośno do wchodzącej właśnie do pokoju babci Wiktorii, niosącej na srebrnej niewielkiej owalnej tacy butelkę koniaku oraz dwa pękate kieliszki, i odłożyłem gazetę.

O jakich biednych ludziach mówisz, *mon ami*? - Spytała z ciekawością babcia i ostrożnie położyła srebrną tacę z butelką i kieliszkami na stole przede mną. Przeczytałem właśnie, babciu, w gazecie, że polscy inwestorzy nerwowo, a właściwie panicznie zareagowali na kolejne wieści o spadkach wskaźników za oceanem i rzucili się do masowej ucieczki. Indeksy zanotowały gigantyczne spadki. Wskaźnik Dow Jones w USA na amerykańskiej giełdzie spada na łeb na szyję. - A co mu się stało? Zapytała ponownie babcia Wiktoria. No, jest recesja, babciu, w Stanach Zjednoczonych. - Ręce - co? Dopytywała się z powagą. Recesja, babciu, to okres spadku i zastoju w rozwoju gospodarczym, charakteryzujący się obniżeniem poziomu produktu narodowego.

- Nie wiem, jak to jest, *mon ami*, z tą gospodarką - z kpiącym uśmiechem mruknęła nieco z przekąsem babcia - ale jeszcze wczoraj słyszałam w radiu, jak nowy premier mówił, że jest dobrze, a będzie jeszcze lepiej. Co prawda, to prawda, nie powiedział, ko-



Dariusz Hankiewicz

mu będzie lepiej, ale ja zrozumiałam, że będzie lepiej wszystkim Polakom. Nie znam tego Dow Jonesa - czy to może jest jakiś krewny tego świetnego piosenkarza pop, Toma Jonesa? O, tego to poznałam i polubiłam, bardzo ładnie śpiewa, no, i bardzo przystojny, pamiętam jego piosenkę *Its Not Unusual* i *Delilah*. Kiedyś jego bardzo udatnie naśladował nasz polski pieśniarz, Krzysztof Krawczyk. Otwórz, *mon ami*, z łaski swojej ten koniak i nalej do kieliszków - wczoraj otrzymałam go w prezencie od mojej studentki, która przyjechała z Paryża i na chwilę wpadła do mnie z wizytką. Wstałem zza stołu, otworzyłem butelkę koniaku i rozlałem go do dwóch pękatych kieliszków. Babcia łagodnie uśmiechnęła się, a ja jeszcze przed zamoczeniem ust w złoty trunek postanowiłem odpowiedzieć na jej pytanie.

- Ten Dow Jones, babciu - wyjaśniłem - nie sądzę, aby był jakimś krewnym piosenkarza Toma Johnsa. To jest wskaźnik ekonomiczny amerykańskiej giełdy. Krótko i łopatologicznie mówiąc - wskazuje, czy na giełdzie kursy akcji zwyżkują, czy spadają. Czy w danej chwili jest tak zwana bessa czy też hossa - nie można mylić tej ostatniej z hosanną, bo to co innego. I jest to okrzyk wyrażający w religii chrześcijańskiej radość i triumf. On jest, ówże wskaźnik, jakby termometrem włożonym pod pachę amerykańskiej gospodarki - mierzącym dokładnie temperaturę jej ciała. Wskazuje, czy nie ma gorączki, czy jest zdrowa

- Dobrze, dobrze, przerwała mi babcia - wszystko rozumiem, nie męcz się już, wnusiu. Amerykanie, gdy się spotykają, to nieustannie pytają siebie: „Jak się masz?". I zawsze odpowiadają sobie, że świetnie. No, i ten ich nieodłączny uśmiech na gębie, choćby przed chwilą spalił im się dom, wywalono ich z pracy, a żona uciekła z kochankiem. - Ja wolę Greków, którzy gdy się widzą, to pytają: „Jak się męczysz?". Więc nie męcz się, wnuczku, bo ja się męczę, gdy ty się męczysz tłumacząc mi zawiłości ekonomii. Wskaźnik, wskaźnik to ja znam tylko ze szkoły, to był taki kijek do pokazywania jakiejś miejscowości na mapie. Nie sądzę, czy o tym, wnuczku wiesz, ale taki wskaźnik nauczyciel geografii złamał na plecach twojego ojca. Dlatego, że tata nie umiał tym wskaźnikiem pokazać Stalingradu.

To był rok 1953 i jeszcze żył towarzysz Stalin, a ten nauczyciel wtedy krzyczał do twojego ojca i pytał: „Jak można w drugiej klasie szkoły podstawowej i w dodatku mając na imię Józef w ojczyźnie robotników i chłopów nie umieć pokazać bohaterskiego *goroda* Stalingradu? Twój ojciec miał wtedy siedem lat i tuż po tym, jak ten bandzior geograf złamał na nim wskaźnik - uśmiechnął się przebiegle, spryciarz, i niedbale pokazał palcem Stalingrad, ale nie ten sowiecki, lecz ten polski, na Śląsku. Czy o tym wiesz, wnuczku, ale w tym czasie ludzie wiernopoddańczy sowietom, tak zwani po cichu: liżydupy partyjne, nasi rodzimi komuniści na Stalingrad przemianowali poczciwe polskie Katowice. Ten wierny janczar komunistów geograf, gdy zobaczył, że twój ojciec - wtedy mały przecież chłopiec - zakpił sobie z niego, dostał szału i z pianą na ustach zaczął twojego ojca wyzywać od zaplutych karłów sanacji. Nazwał go Kolumbem przed odkryciem Ameryki i jeszcze takie i inne inwektywy wykrzykiwał w jego stronę.

Lecz twój ojciec, Józek, był już uodporniony na takich osobników - w domu zaszczepiliśmy go przeciw gruźlicy komunistycznej i uczyliśmy wszystkiego. Przygotowaliśmy go na najgorsze. On, pomimo że miał wtedy metrykalnie tylko lat 7, to tak naprawdę miał może ze dwadzieścia, może i więcej. Dobrze, poza tym, że ten geograficzny troglodyta nie wiedział, że twój ojciec, Józef, ma jeszcze na drugie imię Ludwik, bo dopiero by sobie na nim użył, odwołując się do Wielkiej Rewolucji Francuskiej i do ścięcia Ludwika XVI. Byłby takim jakobińsko-stalinowskim Dantonem czy Robespierrem. Jakaś gilotyna znalazłaby się z pewnością, a dyspozycyjny kat był przecież na miejscu.

Za niedługi czas, w marcu 1953, ludobójca Stalin zmarł. I mam nadzieję, że poszedł tam, gdzie jest jego miejsce, czyli do piekła. Był śniegowo-deszczowy marzec 1953. Wracałam od lekarza - wioząc twoją ciotkę, a moją córkę Marysię w wózku - miała

wtedy ze dwa lata i zachorowała na zapalenie oskrzeli. Przechodząc przez zatłoczone Aleje Ujazdowskie w Warszawie zatrzymałam się na chwilę pod megafonem na słupie - ażeby przepuścić jadące kolumny wojskowych samochodów z żołnierzami. Z megafonu-szczekaczki leciała muzyka poważna, był to chyba Czajkowski, przerywana partyjnymi komunikatami o śmierci Stalina. Pod słupem stała grupa kilkudziesięciu pogrążonych w żałobie ludzi, niektórzy płakali, autentycznie - sama to widziałam na własne oczy i słyszałam na własne uszy, ten ich płacz. Naprawdę! Nie udawali, nikt ich do smutku i do tej żałoby nie zmuszał. Nie mogłam w to wprost uwierzyć, ja, która cudem boskim przeżyłam 5. lat łagru sowieckiego na Syberii.

To byli też Polacy, tacy jak i ja! Jedna z płaczących kobiet zapytała mnie, łkając: „Jak my bez niego będziemy żyli?". Myślałam, że się wyrzygam - *oh, pardon* - zwymiotuję się na nią. Na domiar złego, chora mała Marysia w wózku zaczęła płakać, a ja już, tak ogłupiała do reszty, poczęłam ją uspokajać i uciszać. Wtedy usłyszałam zza pleców głos innej kobiety: „Niech towarzyszka nie uspakaja tego dziecka - ono też płacze, jak my, po największej stracie, jaką mogła ponieść postępowa ludzkość". Obejrzałam się myśląc, że ktoś kpi, że robi sobie ze mnie jaja, jak powiada dzisiejsza postępowa młodzież, ale nie. Kobieta, która wypowiedziała owe słowa płakała - z oczu leciały jej rzęsiste duże, jak grochy łzy, które wycierała białą chustką, wielką, jak poszewka do poduszki. Miała ze 30 lat - rumianą twarz, a na szyi czerwony krawat. Pomimo prośby towarzyszki w czerwonym krawacie, uciszałam Marysię - a już po latach mówiłam jej, że płakała, a właściwie to ryczała po śmierci Stalina. Polej, *mon ami*, z łaski swojej po kropelce koniaku jeszcze, a ja może zrobię ci kilka kanapek z bułką, szynką, z sałatą - zanim zjemy za godzinę lub dwie obiad.

Podziękowałem babci za troskliwość i przypomniałem sobie, że ja do niej nie przyjechałem też przecież z pustymi rękoma. Dawniej uczyła mnie, że jak się do kogoś przyjeżdża - obojętnie - z daleka czy bliska, to się przywozi „staropolski gościniec". Na Placu Wilsona kupiłem więc ciastka w cukierni Bliklego, które zostawiłem w reklamówce w korytarzu na półce pod lustrem. Oznajmiłem o tym babci, lecz ponownie, zanim skończyłem mówić, nagle, niczym duch, babcia znów zniknęła z pokoju. Pychota! - Usłyszałem zaraz z głębi korytarza głos babci, która tak, jak prędko wyszła z pokoju, tak równie szybko wróciła z powrotem - już tradycyjnie z tacą w rękach, na której były oczywiście zakupione przeze mnie ciastka w cukierni od Bliklego. No, no, nie wiesz nawet, *mon cher*, radosnym głosem wyszeptała głośno, jaką zrobiłeś mi frajdę przynosząc te ciastka, coś takiego słodkiego chodziło za mną od kilku dni - mam na myśli jakieś świeże ciasto lub ciastka, a nie takie kruche, jakie ci podałam do herbaty.

Jeśli nie chcesz teraz kanapek, to w odwróconym porządku rzeczy zacznijmy obiad od deseru. Proszę, poczęstuj się własnymi ciastkami, ja rezerwuję sobie, jeżeli pozwolisz, kremówkę, eklerkę i torcik Marcello. Ja wiem, że to wszystko prędko idzie w biodra i w cholesterol, ale gorsze są nałogi na świecie, a co mi w końcu, cholera, zostało z tego życia? Ja, kochany wnuczku, jestem osobą dawną - coraz bardziej i coraz częściej uświadamiam to sobie. Dużo spraw już nie rozumiem z dzisiejszego dnia chociaż naprawdę się staram, ale najgorzej jest, gdy stary człowiek wycofa się z bieżącego czasu. Oczywiście, pomijam takie sytuacje, gdy jest już tak obłożnie chory, czy niepełnosprawny, że nie może tego robić. Lecz, niestety, nie wymażę gumką-myszką w zeszyciku pod tytułem „Życie" tego, co przeżyłam pięć lat na Syberii w gułagu, następnie po II wojnie w Polsce, te dekady za komunistów. Ale przez cały czas niosłam w sobie swój przedwojenny szlachetny, rodzinny dom na Lubelszczyźnie, on dawał mi siłę, by przeżyć niejedno upokorzenie i niejedną tragedię. Chociaż byłam jak gdyby kobietą wędrowną, ale ten dom rodzinny we mnie, to były fundamenty całej mnie. A te fundamenty, to także cała moja dobra rodzina dziadkowie, rodzice, rodzeństwo, nauczyciele, księża katecheci, sąsiedzi - Polacy, Żydzi, Ukraińcy, Białorusini, Ormianie i Rosjanie. Ze wszystkimi tymi



Tomasz Młynarczyk

nacjami żyliśmy przed II wojną światową, jak jedna wielka rodzina. Oczywiście, jak w każdej rodzinie, były nieporozumienia i draki ktoś kogoś oszukał, ktoś komuś na zabawie dał po gębie, bo odbił mu dziewczynę. Żyd oszukał Polaka i odwrotnie. Ukrainiec zaorał pole na dwa łokcie sąsiadowi Białorusinowi, tak jak Kargul Pawlakowi, w słynnym filmie *Sami swoi* itd. itp.

Niczego nie upraszczam. To się wszędzie na świecie zdarza - nawet we Francji słynącej z elegancji. Coś o tym wiem, jako nauczycielka i tłumaczka francuskiego. Ale ja lubię, jak słowa stoją obok siebie i się sobie nie dziwią - podobnie lubię, jak słowa stoją obok czynów i zgadzają się ze sobą - nie dziwiąc się sobie. Że słowa co innego określają, a co innego wykonują czyny? Nie! Innymi słowy mówiąc słowo się rzekło, to i kobyłka u płota. Tu występuje zasada akcji i reakcji, ale musi istnieć również naturalność i swoboda podejmowania decyzji bez przymrużania oka na prawdę. Po II wojnie, tak jak ci już mówiłam, *mon cher* przechodziłam niewielki kryzys wiary. Był to okres szalejącego stalinizmu ze wszystkimi jego konsekwencjami i skutkami dla ludzi myślących nieco inaczej niż komuniści. Na jakichś rekolekcjach wielkanocnych w Laskach pod Warszawą pewien stary ksiądz z wielkim garbem na plecach radził mi, by dziś: „umieć pięknie milczeć". Oburzyło mnie to, czyli jakże to? Mam na złotą kłódkę zamknąć sobie pomalowane propagandową szminką uśmiechnięte usteczka - różowe jak moja pizdeczka - zapytałam? Tak, odpowiedział, i radził mi pokorę. Wtedy byłam jeszcze młoda, nie wytrzymałam i stwierdziłam, że pokora to jest czasem boża podszewka, wewnętrzna strona w płaszczu pychy. Pokiwał wówczas głową i krótko odparł - że tak rzeczywiście czasami jest, jednak zależy też, kto ma jaki płaszcz i jak ten płaszcz nosi.

Dziś, po latach, przyznaję mu rację. Trzeba było wtedy pięknie milczeć - przetrwać ten szkaradny czas i już się więcej nie wykrwawiać. Wystarczyła hekatomba polskiej krwi w całej wojnie - Wrzesień, Westerplatte, Katyń, Powstanie Warsza-

wskie i obozy zagłady. Ponadto nastąpiło ucięcie głowy Polsce przez likwidację warstwy jej inteligencji, a wiadomo, co robi ciało bez głowy. Jest tylko Golemem, jakimś Frankensteinem. Jest chore na Alzheimera!

Niedawno, jak wiesz, *mon cher*, obchodziłam 85. urodziny i występowałam przez czas jakiś w roli wisienki na urodzinowym biało-kremowym torcie. To bardzo przyjemna rola - zwłaszcza, że ja urodziny obchodzę raz na cztery lata, bo urodziłam się 29. lutego w roku przestępnym, ale nie występnym. Dobrze miał ze mną twój śp. dziadek, Feliks, co już z samego imienia oznacza, że szczęśliwy, bo przecież łatwiej kupować żonie prezent urodzinowy raz na cztery lata, niż co roku. Ja mu już po latach mówiłam, że dobrze, żeśmy się nie pobrali właśnie 29. lutego, bo i rocznicę ślubu mielibyśmy też co cztery lata. A on wtedy odpowiedział mi, że to nie jest taki zły pomysł i że szkoda, że nie pomyślał o tym przed naszym ślubem. Zwierzak, ale bardzo go kochałam za poczucie humoru i inne liczne zalety charakteru.

Ale, po cóż tamto wspominać - choć może należy mówić - to jednak, cholera, wszystkie te chłopy są takie same! Myślą tylko o jednym i chcą jak najwięcej zaoszczędzić na rodzonej żonie. Oczywiście, *mon cher*, potraktuj tę wypowiedź jako nieporadny żart starej kobiety! Czy aby cię nie nudzę, *mon ami*? - zapytała nieoczekiwanie babcia Wiktoria i, jakby znając moją odpowiedź, że nie - poprosiła o nalanie jeszcze po kropelce koniaku pięciogwiazdkowego. Chyba się nie uchlamy przed obiadem mam małe wyrzuty sumienia, że ty nic konkretnego, wnuczku, nie jadłeś, tylko te ciastka i ciastka - stwierdziła po chwili rozbawionym głosem babcia. Ależ, babciu - zapewniłem - jadłem obfite śniadanie w domu i nie jestem głodny, no i ciastka od Bliklego, co tu dużo mówić, też mają swoje kalorie. Niech babcia mówi dalej, poprosiłem, bo naprawdę chciałem coś jeszcze dowiedzieć się, czego nie wiedziałem o dziadku Feliksie i o powojennych wspólnych losach babci i dziadka.

Jeśli chcesz, *mon cher*, to w takim razie trochę jeszcze, jak głuszec czy bażant będę tokować historyczno-filozoficznie. Jak ci już kiedyś zapewne, mój drogi, mówiłam - francuski Żyd, Claude Levi-Strauss, filozof i publicysta, nie jest bohaterem mojego romansu, lecz kiedyś przenikliwie napisał, cytuję: - *Le regard eloigne*, - to jest „spojrzenie z oddali". Publicysta polski, który też nie jest z mojej bajki, napisał esej na temat tych słów Levi-Straussa - mam go tu przed sobą, więc przeczytam ci kilka zdań z tego artykułu: "Ludzi starych i doświadczonych przez dzieje posądza się często *a priori* o konserwatyzm i zachowawczość. Oni tymczasem żyją dużo szybciej - im człowiek starszy, tym bardziej czas przyspiesza, znają więc cenę przemijania, bo wiedzą, że mogą nie zdążyć. Jednocześnie jednak widzieli zbyt wiele i tylu najedli się zatrutych owoców, by dawać się porywać ulotnym emocjom i modom. Nie są skłonni do potępień, bo nazbyt wiele widzieli i znana jest im słabość kondycji ludzkiej. Zyskali, co tylko z wiekiem przychodzi, zrozumienie proporcji i uwarunkowań przemijających zdarzeń". Pełna zgoda na te słowa i na owo błogosławione zrozumienie, ale mam też mały sprzeciw w tej sprawie - nie każdy, pomimo podeszłego wieku - doznaje łaski owego błogosławionego zrozumienia. Siwe włosy jeszcze o niczym nie świadczą, czyli o mądrości i refleksji nad dopiero co (zda się) minionym i teraźniejszym życiem. Poza tym, tak sobie myślę wieczorami przed snem i pacierzem do Wszechmocnego Pana, że prawdziwie zła, okropna starość, to jest wycofanie się, brak ciekawości świata. Przekonanie, że już nic dobrego nas nie spotka, nie zdarzy się, nie zaskoczy, nie zdziwi, nie rozśmieszy. Nie otrzymamy nigdy jakiejkolwiek, dotyczącej nas radosnej informacji - nawet takiej, że nie chorujemy na raka, ale „tylko" na przykład na schorzenie, które może wyleczyć współczesna medycyna.

Prawdziwie zła, niedobra starość, która jako jedna z niewielu spraw nie udała się Panu Bogu to pogodzenie się ze złudzeniem, że musimy zaakceptować tragiczny przypadek, tragiczny los, to brak ochoty i woli do walki o „jutrzejszy dzień", o następną choćby godzinę bez bólu istnienia. A przecież życia i swojego losu nie wybieramy, choć niektórzy żartownisie twierdzą, że

wszyscy jesteśmy kowalami własnego losu. Nic bardziej mylnego i fałszywego. Wszystko zależy od tego kiedy i gdzie, i w jakiej rodzinie człowiek się urodził. Ja poza tym wierzę w przeznaczenie, na przykładzie ludzi, których znałam i którzy nie zasługiwali na swój dobry, pyszny los - tj. spaceru przez życie po dywanie z płatków róż. W porównaniu z ludźmi, którzy przerastali ich o głowę, o niebo charakterem, sercem i wiedzą. Lecz zginęli.

A gdy jeszcze porównam tych szczęściarzy do niezwykle szlachetnych i nawet bohaterskich, wartościowych ludzi, którym się nie udało i ich unicestwiono, to jestem przekonana, że jest jakiś rodzaj ludzkiego przeznaczenia. Nawet to, jak poznałam twojego dziadka Feliksa, to był kosmiczny, żeby nie powiedzieć boski przypadek. Gdy wracałam z sowieckiej Rosji, późnym latem 1945., a dokładnie to wracałam wtedy z Syberii pociągiem towarowym do Polski, wraz z innymi nieszczęśnikami polskimi i wypędzonymi *repatryjantami*, już za Bugiem, czyli w granicach mojej nowej Ojczyzny - wysiadłam z bydlęcego wagonu, aby przynieść wody na herbatę i do umycia się. Było to na stacji kolejowej Włodawa. Woda była - nabrałam jej w jakieś wiadro, ale gdy wróciłam do eszelonu - mojego pociągu już nie było. Po prostu odjechał sobie w siną dal. W tym pociągu znajdowały się jeszcze dwie moje przyjaciółki, z którymi przeżyłam najcięższy czas syberyjski. Na tej stacji kolejowej po raz pierwszy od wybuchu II wojny światowej - rozpłakałam się!

Nie uroniłam ani jednej łzy przez ponad pięć lat w gułagu na Syberii. Na moich rękach i oczach umierali ludzie, ale nigdy nie zapłakałam, a tu, proszę, stałam i ryczałam na peronie jak cielę, któremu zabrali matkę na rzeź. Wtedy, gdy tak płakałam, a może nawet zanosiłam się płaczem - podszedł do mnie wysoki, młody mężczyzna w mundurze leśnika i spytał mnie - dlaczego płaczę? Nie wiedziałam dlaczego płaczę, ale przez łzy - tak sobie patrzę, że stoi przede mną przystojny, wyższy ode mnie blondyn.

Patrzył na mnie współczująco uważnymi, inteligentnymi, chabrowymi oczami i mówił do mnie językiem polskim znamionującym, że przeczytał w życiu chyba więcej niż dwie książki. I co najważniejsze - to nie to, że młody i przystojny, ale wyższy ode mnie. A ja przecież prawdziwa „wieża Eiffla", jak mnie celnie nazywano w przedwojennym liceum. Wzrost: 183. cm, a wtedy mało było mężczyzn nawet równych mi wzrostem - nie mówiąc o wyższych. A gdy ten wysoki, przystojny młody leśnik ujął mnie za rękę i zabrał mi wiadro i wyrzucił je za tory - przedstawił się i pocałował mnie w rękę - to tam na stacji kolejowej we Włodawie doznałam tego, co Francuzi nazywają *coupe de foudre*, czyli uderzeniem pioruna i miłością od pierwszego wejrzenia. I komu to się przytrafiło, ta - *l' amour fou* - prawdziwie szalona, i nieco absurdalna miłość 22. letniej dziewczynie, która przeszła nieludzkie piekło Kołymy i przy swoim wzroście 183. cm ważyła 42 kg oraz uszła setki razy śmierci spod łopaty?! Kobiecie, która była ubrana, owszem, nie w jakąś normalną sukienkę od krawcowej, lecz w pozszywany parciany worek, dziewczynie z odmrożonymi rękami, nosem, uszami i nogami. A przede wszystkim z odmrożonym sercem i zamrożonym mózgiem. Leśnik zaprowadził mnie do klasztoru Paulinów, gdzie pierwszy raz od ponad pięciu lat wykąpałam się w wannie z gorącą wodą, zjadłam kolację na śnieżnobiałym obrusie z porcelanowego talerza i poszłam spać do łóżka z czystą pościelą bez wszy. Zanim zasnęłam, znów się rozpłakałam, ale na szczęście nikt już tego nie widział. Choć słyszał to Bóg, w to wierzę. Dlaczego się znów rozpłakałam?

Dziś wiem, dlaczego - bo wreszcie coś we mnie pękło - wróciłam do jakiejś zwykłej ludzkiej normalności - po prostu odreagowałam te przeklęte pięć lat znieważania, zagrożenia życia, głodu, upodlenia własnej kobiecości, poniżania godności ludzkiej, upokorzenia, bycia parocyfrowym numerem obozowym. Zanim doszłam z młodym, wysokim leśnikiem do klasztoru lubelskich Paulinów we Włodawie - obiecał mi po drodze, że się dowie, gdzie mój pociąg pojechał. Na szczęście od Boga

jedynego - miałam przy sobie swoje dokumenty, a w pociągu zostało tylko pudełko po butach, a w nim kilka moich nic nie znaczących drobiazgów. Przyjaciółki z obozu na Syberii spotkałam dopiero w Krakowie, po wielu latach - bo wtedy nie było telefonów komórkowych i Internetu, żeby do siebie zatelefonować czy napisać e-maila.

Przy słowie „Internet" babcia Wiktoria dyskretnie wyjęła chusteczkę z trójkątnej kieszonki w beżowej wełnianej sukience i otarła nią oczy - ale nie płakała tak, jak latem 1945. na dworcu we Włodawie. To była chyba jeszcze jedna łezka z wielkiego słonego zbiorniczka wspomnień, ale gdy spostrzegła, że zauważyłem jej chwilowe nadmierne wzruszenie uśmiechnęła się trzpiotowato niby mała dziewczynka, która coś spsociła w domu pod nieobecność rodziców. Zauważyła pogodnie: dziś, *mon cher*, ludzie mówią, że gdy nie wiadomo, o co chodzi, to chodzi o pieniądze. Ale ja jestem w poprzek obiegowym banalnym stwierdzeniom i opiniom, jestem osobna, lecz nie żebym była jakąś zawalidrogą na drodze do szczęścia ludzkości. Ja twierdzę, że jednak - *cherchez la femme*! A więc: szukajcie kobiety! Jeśli nie widać jawnej przyczyny jakiejś sprawy. To już niegdyś zauważył pierwszy raz stary poczciwy Aleksander Dumas, i ja mu przyznaję rację - bo wszystko na świecie kręci się przez te złe lub dobre baby. Kręci się to wszystko raz w dobrą, a raz w bardzo złą stronę. I one same to wiedzą, i powinny o tym pamiętać.

Poczynając od łakomej na owoce biblijnej Ewy, przez piękną Helenę i Kleopatrę. Wtedy mamy natychmiast do czynienia z przerwaną fabułą życia lub komuś urywa się nagle film - tak, jak mnie się może urwać, gdy jeszcze wypiję jeden kieliszek koniaku, ale co mi tam - nalej, *mon ami*, jeszcze kropelkę. Twoja babcia, nie pomyśl sobie, że jest alkoholiczką, ale ma po prostu dzisiaj dobry „koniakowy ciąg", no, i nastrój do wspominków. Polałem po dużej kropelce koniaku, także sobie - myśląc w duchu, że dziś to chyba nie obliczę podatków babci Wiktorii, ale co tam podatki, te zawsze nas dogonią, jak dawno wystawiony weksel - ważniejsze są korzenie i drzewa rodzinne, te mogą nagle z wiosny przejść w przykrą jesień. Pychota, ta eklerka od Bliklego - zauważyła babcia Wiktoria, głaszcząc się wolną swą lewą ręką w okolicach brzucha - po chwili wzięła do drugiej ręki kieliszek z koniakiem i zaczęła powoli upijać.

Snuć i prząść mam dalej, kochany wnuczku, wątek wspomnień, jak w tej piosneczce chyba do słów zapomnianego Czeczota z muzyką Moniuszki, snują dawne prządki? „U prząśniczki siedzą jak anioł dzieweczki, przędą sobie, przędą jedwabne niteczki" zanuciła zupełnie niespodziewanie babcia i coś dalej, ale zapomniałam, jak to dalej idzie - mówiła. Nie bój się. Nie będę, wnuczku, śpiewała, coś mnie tak nagle naszło, nie wiem dlaczego? To może od trunku i radości, że tu jesteś i chcesz mnie słuchać. Dziś starych ludzi nikt nie chce słuchać, starzy siebie nie słuchają, bo to oczywiste - po co mają to robić, jak przeżyli podobne sprawy i czasy, ponadto coraz mniej ich jest z racji „biologicznych". A młodych to nudzi - choć na szczęście są chlubne wyjątki, takie jak ty, dzięki Bogu najwyższemu! Kilkanaście lat temu na jakimś sympozjum w paryskiej Sorbonie - francuska studentka z dawnych kolonii, ciemnoskóra Murzynka, zapytała mnie - czy bardzo nienawidzę Rosjan za to, co mnie zrobili na Syberii i moim rodakom w ogóle? Dziś odpowiedziałabym jej krótko - aforyzmem Władimira Wojnowicza, rosyjskiego pisarza i satyryka: „Fajnie jest trzymać swoje sumienie w cudzym ciele". - Tak powiedziałabym dziś tej studentce, ale wtedy po tym, jak prezydent Rosji Borys Jelcyn przeprosił Polskę za Katyń - mówiłam jej, że historia Rosji przypomina sinusoidę. Raz jest liberalizacja, tendencje wolnościowe, a potem - ba-bach! - trach - odebranie wolności! A wokół trupy.

Car Aleksander I - *oh, la, la!* - liberalizuje, a jego następca Mikołaj I - rach, ciach, ciach - przykręca śrubę. Społeczeństwo zaczyna ledwo dyszeć, słabnąć, po prostu zwyczajnie gnić, więc pod panowaniem następnego cara Aleksandra II znowu przychodzi odwilż, po czym przychodzi Aleksander III i bierze wszystkich za twarz, a właściwie za buzię lub jak kto woli: za mordę. W czasach tzw. sowieckich było

toczka w toczkę to samo. Stalinizm, potem pewna tylko liberalizacja Chruszczowa, w epoce Breżniewa i dalej przykręcanie śruby. I zastój, czyli stojące, cuchnące bajoro aż do pierestrojki Gorbaczowa, liberalnych rządów Jelcyna i do rozpadu i katastrofy ZSRR.

Tak się wtedy cieszyłam, że prezydent Rosji przeprosił Polaków za Katyń i nawet udostępnił nam, Polakom, choć niepełne, to jednak ważne dokumenty dotyczące tej ludobójczej zbrodni. Lecz teraz, onegdaj, gdy kilka dni temu przeczytałam w prasie, że plemię dawnych kanibali z Papui-Nowej Gwinei przeprosiło miesiąc temu Kościół metodystów za zjedzenie czterech ich misjonarzy w XIX wieku, to pomyślałam sobie, że jeżeli nawet ludożercy przepraszają za konsumpcję duchownych - to dlaczego nie chce zrobić tego obecny nadprezydent Rosji, Putin, i wydać z archiwum Łubianki dokumenty dotyczące pięciu tysięcy zabitych polskich oficerów, i ujawnić gdzie spoczywają?

A ci duchowni z Fidżi zostali wysłani na wyspę w 1875 roku przez brytyjskiego pastora Browna, i przez trzy lata namawiali tubylców do wstąpienia do Kościoła metodystów. W 1878. napotkali plemię Tolai. Pierwszy kontakt był zarazem ostatnim: duchowni zostali zabici, ugotowani i zjedzeni. Smacznego! - *mon ami - oh, la, la* przepraszam cię, ale mnie poniosło, i tak mi się jakoś głupio zażartowało - poniżej pasa - oczywiście, to byli najprawdziwsi ludożercy. Lecz z pewnością nie żartował wódz plemienia Tolai, przepraszając przedstawiciela władz Fidżi za czyn swoich przodków sprzed 132 lat. Przeprosiny zostały przyjęte, a ceremonii przeprosin przyglądały się tysiące mieszkańców Papui, więc proszę, jak się chce przeprosić, to można przeprosić, nawet za dość dawne, zawsze jednak nieprzedawnione



Paweł Żochowski

ludożerstwo!

Ja wtedy na paryskiej Sorbonie mówiłam jeszcze tej murzyńskiej francuskiej studentce, że jestem daleka od nienawiści do Rosjan, których jako ludzi szanuję i nawet lubię, jak Słowianka Słowian, i którzy w czasie mojej gehenny na Syberii bardzo pomogli mi przetrwać. Byli to ludzie prości, szczerzy, o otwartym sercu i głowie. Tam zawinił system komunistyczny, który posiany na glebę biedy i rozpaczy wydał takie tragiczne owoce. Problemem jest to, że nie wszyscy jednakowo pamiętają. Inna jest pamięć zająca czy sarny, a inna myśliwego. Jeszcze inna tych, którzy bez mrugnięcia okiem korzystają z przyniesionych przez niego na stół zdobyczy. Lecz nieomal całe społeczeństwo rosyjskie nie ma świadomości własnych zbrodni. A przecież jesteśmy ssakami z elementami ducha, choć tak prawdę mówiąc - myślę, że nie wszyscy posiadają te znamiona. Lecz skoro Bóg stworzył wszystko, to człowiek powinien być spójny charakterologicznie, bo przecież został stworzony na podobieństwo samego Pana Boga.

Rosjan kulturę szeroko pojętą - podziwiam. Uwielbiam powieści Tołstoja, Dostojewskiego, kocham sztuki i opowiadania Czechowa, poezję od Puszkina do Achmatowej i Brodskiego. Odpowiada mi wisielczy humor i siermiężny żart Sałtykowa-Szczedrina oraz *12 krzeseł i Złote cielę* Ilfa i Pietrowa. Kupiłam i słucham całe mnóstwo płyt z bardami rosyjskimi: Biczewską, Okudżawą i Wysockim. Aha, och! *A propos, mon cher*, Włodzimierza Wysockiego - gdybyś tylko chciał, to mogę ci podarować kilka płyt CD z piosenkami Wołodii Wysockiego w jego wykonaniu, gdyż mam komplet dublujących się egzemplarzy, więc cóż, zgoda?

Jesteś kochana, babciu - podziękowałem za podarunek, lecz wiesz, jak tak sobie myślę - o tym, co mi przed chwilą mówiłaś, że twój brak jakichkolwiek roszczeń moralnych i pretensji do Rosji ma głębsze podłoże - jest to podłoże chrześcijańskie. Coś jak apel polskich biskupów do biskupów niemieckich, owo pamiętne: „Wybaczamy i prosimy o wybaczenie"! To jest europejsko-chrześcijańska istota rzeczy. Ale, *life is brutal and full of zasadzkas* - że tak - powiem szyderczo po angielskiemu, i nie wiem, co potrzeba by zrobić, ażeby sam prezydent Putin wykształcił z siebie - *spasiba* oraz wygrzebał z archiwum KGB na Łubiance listy i dokumenty pomordowanych polskich oficerów? Przyjmę z ochotą od ciebie, babciu, i z wdzięcznością płyty Wysockiego, a tak na marginesie w ogóle: gdy słyszę to nazwisko, wówczas mam natychmiast w związku z nim potrójne skojarzenia. Pierwsze skojarzenie, to oczywiście Piotr Wysocki, instruktor w warszawskiej Szkole Podchorążych Piechoty i przywódca spisku, który doprowadził do wybuchu Powstania Listopadowego, a za karę skazany został przez carat na 20. lat Sybiru. Na którym odcierpiał prawie 18. lat. Drugie skojarzenie związane z tym nazwiskiem, to naturalnie rosyjski poeta, pieśniarz i aktor, wspomniany Wołodia Wysocki. Trzecie skojarzenie, to również Piotr Wysocki, ale nie ten przywódca z Powstania Listopadowego, lecz mój kolega z liceum w Aninie pod Warszawą.

Ten „mój" Piotr Wysocki również, jak jego słynny imiennik - mówiąc eufemistycznie i delikatnie, nie lubił Rosji, a dokładnie Związku Radzieckiego, bo było to w drugiej połowie lat 60. XX wieku. Jego neuralgia i niechęć do sowietów objawiała się w postaci bojkotowania języka rosyjskiego. Nie byłoby w tym nic groźnego, nawet w czasach późnego Gomułki w Polsce, gdyż miliony Polaków nie cierpiało Ruskich, lecz bojkot języka rosyjskiego - sam w sobie niewinny przecież - był groźny dla mego kolegi, Piotra Wysockiego. Jak pamiętam, przez całą dziewiątą i dziesiątą klasę w liceum anińskim kolega Piotr Wysocki nie ukrywał swojej głębokiej niechęci do języka Puszkina i Lermontowa, ale i zbrodniarzy Berii i Stalina. Demonstrował tę swoją głęboką niechęć do języka rosyjskiego i sowietów w ogóle unikając lekcji tego pięknego języka, ale trzeba jednocześnie przypomnieć, że owe lekcje były przymusowe.

Można było sobie, owszem, wybrać w liceum anińskim drugi język obcy, na przykład: angielski, francuski czy niemiecki, a nawet dodatkowo jako trzeci język łacinę, lecz pierwszy język obcy - przymusowo - był

językiem rosyjskim. A gdy uczeń nie zaliczył go co najmniej na marną tróję - nie otrzymywał promocji do następnej klasy. Co takiego robił kolega Wysocki i jak unikał lekcji języka rosyjskiego? Tak się jakoś dziwnie składało, że nasza klasa lekcje z tego przedmiotu miała zawsze w grafiku albo jako pierwsze, albo jako ostatnie danego dnia. Kolega Wysocki w związku z tym planem lekcji nie przychodził na pierwszą lekcję, albo uciekał z ostatniej lekcji w dniu, kiedy w planie dnia akurat był rosyjski, a było to dwa razy w tygodniu. Lecz w końcu musiał się kiedyś objawić i przyjść na znienawidzone zajęcia.

O, to osobny wątek, bo wtedy profesor Ławrynowicz - nauczyciel języka rosyjskiego, odczytując listę obecności przy nazwisku Wysocki głośno wykrzykiwał: „Jakiż zaszczyt nas dziś spotkał, proszę państwa, co za wspaniały dzień i niebywałe szczęście, o którym kredą w kominie trzeba by zapisać - trafienie szóstki w Toto-Lotka, to przy tym betka - bo złożył nam wizytę towarzysko-kurtuazyjną pan Wysocki! Co się z panem działo, gdy pana nie było - stęskniliśmy się za panem? Może nie wszyscy nawet stęsknili się w równym stopniu za panem, ale sądzę, że najbardziej stęskniła się za panem gramatyka rosyjska. Co u pana słychać i gdzie się pan podziewał, gdy pana nie było - na przykład tydzień temu - kiedy nie zaszczycił pan swoją obecnością mojej ostatniej lekcji?". Kolega Wysocki stojąc przy ławce zaczynał wyjaśniać profesorowi Ławrynowiczowi powód swojej ostatniej nieobecności na lekcji przy akompaniamencie porykiwania całej klasy. A właściwie gromkiego, nieskrępowanego niczym śmiechu.

Usprawiedliwienia swoich nieobecności na lekcjach rosyjskiego kolegi Wysockiego bywały różne, lecz można śmiało powiedzieć, że monotematyczne i to był jego błąd. Nie posiadał bowiem, jak byśmy dziś określili, wyobraźni do konfabulacji, no, po prostu, powiedzmy po ludzku, że zwyczajnie chłopak nie umiał kłamać. Mawiał: „ja nie mogłem być na lekcji rosyjskiego w ubiegły wtorek, bowiem umarła nasza sąsiadka z III. piętra -bardzo, bardzo z moją rodziną zaprzyjaźniona - i w związku z tym tragicznym wydarzeniem byłem na jej pogrzebie" - tak usprawiedliwiał dla przykładu kolega Wysocki swoją nieobecność na lekcji języka rosyjskiego. Pogodna dotychczas twarz profesora Ławrynowicza po takim usprawiedliwieniu przybierała wyraz smutku i współczucia dla ucznia Wysockiego - składał kondolencję od siebie i klasy koledze Wysockiemu i prowadził lekcje dalej. Lecz my, uczniowie, koledzy Wysockiego, w ogóle nie wyglądaliśmy na pogrążonych w smutku i nieutulonych w żalu -wprost przeciwnie - zarykiwaliśmy się do rozpuku. Profesor Ławrynowicz zdawał się nie dostrzegać reakcji klasy - przywracał porządek i prowadził lekcje tak, jak gdyby nigdy nic.

Był to człowiek charakteryzujący się swego rodzaju słowiańską wewnętrzną pogodą ducha i wyrozumiałością dla ludzi - tolerancyjny i mądry. Mądry mądrością życiową, jaka jest udziałem nielicznych, uzupełniona ponadto wiedzą pochodzącą z gruntownego wykształcenia. Pochodził z Kresów wschodnich, gdzieś z Wileńszczyzny - miał za sobą jakieś walki o Polskę, prawdopodobnie w oddziałach 27. Dywizji wileńskiej AK, ale tak, jak to było w tych czasach, chyba się tym nie chwalił nadmiernie, a może nawet nikomu, a czego nie trzeba, nie mówił.

Lecz wracam do kolegi Piotra Wysockiego. Otóż, gdy któryś kolejny raz usprawiedliwiał się profesorowi Ławrynowiczowi i jako powód swojej nieobecności na lekcji języka rosyjskiego podał nagłą śmierć i pogrzeb sąsiada czy sąsiadki z kamienicy, w której mieszkał - profesor Ławrynowicz nie wytrzymał i przy akompaniamencie tubalnego śmiechu całej klasy podzielił się z nami swoimi przemyśleniami na temat kolegi Wysockiego. - „Zapada noc - zaczął profesor Ławrynowicz i mówił dalej - w oknach domów zapalają się, co jest oczywiste, światła, bo przecież ludzie żyją, a jak żyją to przygotowują kolację. Niektórzy słuchają radia lub oglądają telewizję. Inni nawet, ale to chyba bardzo nieliczni, czytają książki przy lampce nocnej, zaś młodzież odrabia lekcje. A pewna starsza dama może i dzierga na drutach szalik dla wnu-



Erwin Policha

ka, gdy na jej kolanach siedzi kotek i wymrucza jej miłe kocie serenady. Fabryki o ruchu ciągłym pracują w nocy pełną parą dla pomyślności naszej ludowej Ojczyzny. Taki jest obraz i pejzaż bohaterskiej stolicy Warszawy Anno Domini 1967. Na tym urokliwym obrazie stolicy, jest tylko jedno pęknięcie, otóż miejsce budzące niepokój, przerażenie i strach. Ba! Powiedziałbym - prawdziwe zatrwożenie, a jest to czteropiętrowa kamienica, w której mieszka Piotr Wysocki. Gdyż, kiedy zapada noc i wszędzie wokół w oknach bloków i domów jednorodzinnych palą się światła, to w tej czteropiętrowej kamienicy pali się światło jedynie w jednym mieszkaniu, tam gdzie mieszka Wysocki. Reszta okien straszy przechodnia czarną głęboką czeluścią - może nawet przepastną otchłanią śmierci. Bo lokatorzy tych mieszkań zmarli śmiercią nagłą, a więc jeśli nagłą, to niespodziewaną, co jest same w sobie logiczne lecz i prawdziwie tragiczne! Tak więc, gdy kiedyś zdarzy wam się, kochani, iść przypadkowo ulicą w nocy i zobaczycie z oddali czteropiętrowy dom, w którego oknach pali się tylko jedno światełko, to będzie nieomylny znak, że mieszka tam z pewnością uczeń Piotr Wysocki".

Tak profesor Ławrynowicz z nieodłączną pogodną ironią opisał nam tragizm sytuacji w jakiej znalazł się nasz kolega Wysocki i cała klasa tak to właśnie odczytała - to była ironia z naciskiem - na zdemaskowany humor. Profesor Ławrynowicz sarkastycznie i dowcipnie tę kiepską tragedię przemianował na zabawną i pouczającą farsę w dobrym stylu. Nawiasem mówiąc, od tego już czasu - a była to chyba dziesiąta klasa licealna - kolega Wysocki nie opowiadał już nigdy więcej o przerwanych fabułach życiowych swoich sąsiadów i jakby nożem uciął, tak, skończył z niewprawnymi konfabulacjami. Przychodził grzecznie na wszystkie lekcje języka rosyjskiego i zdał maturę w przewidzianym czasie. Obecnie, o ile wiem, mieszka w USA i w Kanadzie, gdzie jest znanym profesorem kardiochirurgii. Wykłada też na Yale i na Howard Uniwersity. Wniosek i morał z tej opowieści płyną takie, że żartem, kpiną, łagodną, inteligentną ironią można więcej osiągnąć z ludźmi niż nakazami, krzykiem i poszturchiwaniem w bok. Można więc ich ładnie z humorem zawstydzić gdyż śmiech ma większą „siłę rażenia" niż największego kalibru armaty i tyle poręczna, ile prostacka nahajka. Lecz trzeba mieć w sobie to, co Francuzi nazywają jednym słowem - *esprit*.

Bogu dziękuj, *mon ami*, że miałeś takich nauczycieli, jak profesor Ławrynowicz- podsumowała moją opowieść babcia Wiktoria, i nie byłaby sobą, aby coś do niej nie dodać, a właściwie zamknąć i dowcipnie podsumować owo moje licealne wspomnienie. Przypomniał mi się, mój drogi, żart po twojej opowieści o profesorze Ławrynowiczu i uczniu Wysockim - dziś już też profesorze - zaczęła mówić babcia. Otóż, wyobraź sobie biuro, w którym szef poważnie pyta młodego pracownika - czy wierzy pan w życie po śmierci? - Tak, naturalnie, proszę pana - odpowiada młody pracownik. - W takim razie wszystko w porządku - odpowiada szef. - Po tym, jak wczoraj wyszedł pan wcześniej z pracy na pogrzeb babci, wpadła tutaj, by pana zobaczyć!

Należy tylko żałować, że do profesora Ławrynowicza nie wpadł któryś ze zmarłych sąsiadów ucznia Wysockiego, by zobaczyć tego kłamczucha! - Ale wszystko dobre, co się dobrze kończy, i stare szkolne zaklęcie - paluszek i główka, to szkolna wymówka - było, jest i będzie jeszcze długo użyteczne. Mnie na przykład najbardziej zdumiało w USA i w Anglii to, że uczniowie tam w ogóle nie ściągają od siebie i nie podpowiadają sobie. Tak, jak się dzieje w Polsce. Może ten fakt ma jakieś ważne przełożenie na ich późniejszą uczciwą i godną postawę życiową? Zaraz muszę wstać od stołu i wziąć się za obiad, kochany wnuczku, ale zanim to zrobię, to jeszcze chcę małym słówkiem odnieść się do tego, co powiedziałeś o Rosji, i już mnie nie ma! Idę do kuchni, gdzie jest najwłaściwsze miejsce dla każdej kobiety. Lecz również te słowa babci nie zabrzmiały jednak całkowicie poważnie.

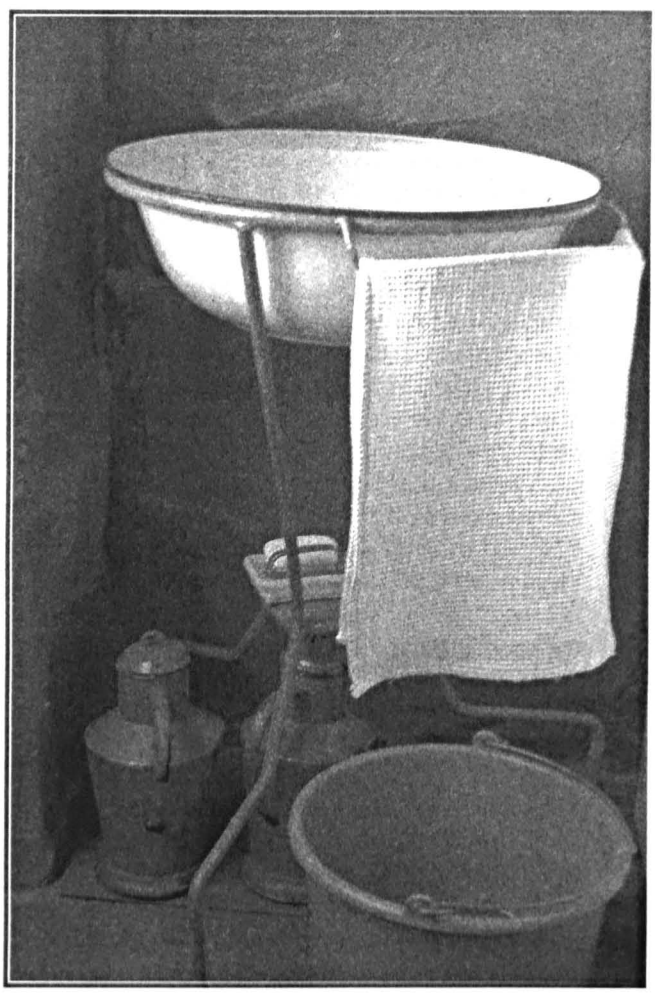
Niedawno wpadła mi do ręki książka o Rosji, w której przeczytałam nieznaną mi wcześniej opinię Lenina, wygłoszoną wkrótce po odepchnięciu wojsk bolszewickich z ziem polskich w 1920. Zanotowałam ją sobie tu, w swoim zeszyciku dla potomności, i zacytuję ci ją teraz, bez troski o precyzję. Oto ona: „Im silniejsza Polska będzie, tym bardziej nienawidzić ją będą Niemcy, a my potrafimy posługiwać się tą ich niezniszczalną nienawiścią. Przeciwko Polsce możemy zawsze zjednoczyć cały naród rosyjski i nawet sprzymierzyć się z Niemcami". Czytając te słowa założyciela Związku Radzieckiego można teraz zrozumieć, że dały one „fundament" i judaszowską podwalinę pod IV rozbiór Polski, czyli układ Ribbentrop - Mołotow w 1939. Należy też przypomnieć, że Lenin, choć wiecznie żywy, z grona naprawdę żywych odszedł w styczniu 1924. Te słowa i daty dają dużo do myślenia, do myślenia nam, Polakom, oczywiście. Czy kładziona obecnie gazowa rura pod Morzem Bałtyckim - na czym zresztą się nie znam - nie jest pokłosiem słów tego „wiecznie żywego"?

Lecz zostawmy rurę gazową w spokoju. Teraz młodzi mężczyźni, tacy jak ty, *mon cher*, są zainteresowani raczej taką rurą, na jakiej tańczy nie całkiem ubrana (a raczej całkiem rozebrana, ze względu na „przyczepność") panienka. Już całkiem na koniec opowiem ci, wnuczku, o „Hipotezie Owłosienia", która całkiem udatnie dowodzi i przekonuje, że Rosją rządzą na zmianę łysi i owłosieni. Wszyscy łysi byli romantykami i utopistami, z kolei owłosieni pragmatykami i konserwatystami. „Wiecznie żywy" Lenin był utopistą, tak jak Chruszczow i Gorbaczow. Jednak romantycy - pomijając owłosionego Stalina, byli o wiele gorsi od cyników. Dlatego, że romantycy są fanatyczni - na przykład dzisiejsi terroryści islamscy wysadzający siebie i innych wokół - są przecież także swego rodzaju romantykami! Czy dzisiaj prezydenta Putina można uznać za „łysiejącego utopistę"? Pożyjemy - zobaczymy! Ważny również cudzysłów! Najgorzej, gdyby się okazało, że jest on łysym pragmatycznym utopistą. W psychiatrii tacy osobnicy określani są chyba jako schizofrenicy? Ale - co tam - bogów na świecie stworzył naprzód strach! Tak, tak, wiem - *passons au deluge* - „przejdźmy wreszcie do Potopu" - skracaj się na miłość boską, pani, zwięźlej mów, madame Wiktorio!

Już idę do kuchni gotować obiad, który prawdę mówiąc, to mam przygotowany od wczoraj, lecz już tak naprawdę na koniec - jak Boga kocham! - obwieszczę ci niniejszym - „Teorię Ciepła Wiktorii". Niech ta teoria będzie nawiązaniem, paralelą do tego wskaźnika giełdowego nazwanego nie od nazwiska piosenkarza Toma Jonesa, tylko od imienia jakiegoś innego pana, o którym mi dziś mówiłeś. Pamiętasz chyba, *mon cher*, jak na początku naszej rozmowy opowiadałam ci o remoncie naszej żoliborskiej kamienicy, i o kaloryferach, które raz grzeją, a innym razem za Boga jedynego - nie grzeją. Żeby nie wiem co się stało, nie chcą i już. Otóż, mają te kaloryfery szczególną cechę, że raz grzeją jak oszalałe, więc trzeba je nawet regulatorem przykręcać - wtedy, gdy rządzi Polską prawica. Natomiast zimne są, jak „zimne nóżki" z lodówki, gdy Polską żądzą postkomuniści. Ja ową prawidłowość odkryłam już jakiś czas temu, lecz jest tak absurdalna, że wstydzi-

łam się o tym mówić komukolwiek - poza tobą, teraz.

Gdybym opowiedziała to komuś z poza mojego kręgu rodzinno-towarzyskiego - wysłano by mnie do wariatkowa i pewnie miano by własne, acz znakomicie bezosobowe po temu racje. Lecz na własny użytek - między nami mówiąc, stwórzmy „Teorię Ciepła Wiktorii". Będzie ona w oparciu o wskaźnik ciepłoty moich kaloryferów wskazywać poziom nastrojów i napięć społecznych w naszej Polsce. Będzie to wskaźnik Wiktorii badający stan realizacji marzeń życiowych Polaków. - Niestety, babciu, wszedłem w słowo babci Wiktorii - możesz badać tym wskaźnikiem nastroje i „realizacje marzeń" rodaków tylko w zimie. Na wiosnę, latem albo w czas polskiej złotej jesieni -nie masz do badania takiego instrumentu, takiego, hm - wskaźnika, bo wtedy kaloryfery nie grzeją... Pozostaje ci tylko barometr, termometr i wyniki badań opinii publicznej. *Excuzes-moi*, babciu!



Dariusz Hankiewicz

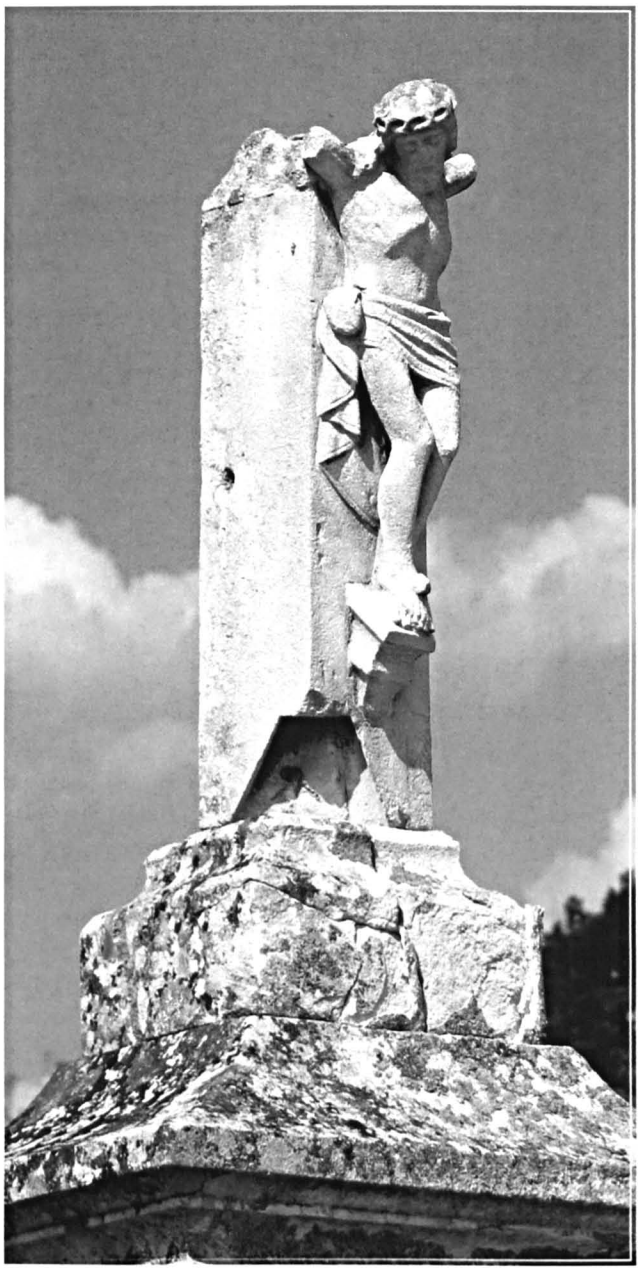
Ależ właśnie, *a propos de bottes* - coś na temat butów, czyli trochę bez związku z głównym tematem, choć może nie do końca. Przepraszam, że ci chcę wejść z owymi „butami" w twoje osobiste sprawy domowe, ale powiedz mi szczerze - kiedy to ostatnio była u ciebie sprzątaczka, pani Mela? - Ona przychodzi raz w tygodniu na dwie-trzy godziny, co czwartek, i jest to dla mnie zawsze „tłusty czwartek", gdyż wcinamy prawie zawsze pączki, które ona kupuje w świetnej cukierni na swoim osiedlu, ale ja zwracam jej za te słodkości pieniądze. Pewnie dla mnie zdrowiej byłoby dla ciała i ducha, gdybym uczęszczała zamiast na tłuste czwartki, to na jakieś „Czwartki literackie", takie jakie były u ostatniego naszego króla-Stasia. Lecz po co właściwie tak po próżnicy, o literaturze gadać, czy nie lepiej po prostu ją czytać w zaciszu domowym? Pani Mela to jest niezwykle pracowita niewiasta, czyściocha, że aż do przesady - nieraz muszę nieomal ją powstrzymywać od roboty, gdy zacznie sobie szaleć z odkurzaczem, ścierką i laptopem.

Z mopem, poprawiłem babcię Wiktorię, a ona uśmiechnęła się znów tak miło, z wdzięcznością. Może i ja powinienem wykazać się wdzięczną wyrozumiałością dla sprzątaczki, pani Meli, lecz nie byłem tak wyrozumiały - wykrzykując nagle do babci Wiktorii - *Oh, par exemple, l' araigne!* - Jaki przykład, jaki pająk, gdzie pająk? - zapytała zdziwiona, zaskoczona babcia. - Tam, nad regałem z książkami, niczym dawna przodownica pracy - prządka łódzka - uprządł sobie całkiem pokaźną pajęczynę. Dobrze mu tam chyba i zacisznie, bo nikt mu nie przeszkadza i nie niepokoi go niepotrzebnie, a sądząc po rozmiarach jego solidnego, sporego ulotnego pajęczego domku, jest tam od dłuższego czasu. Jeśli mógł zbudować takich rozmiarów siedzibę o wielkości cielęcego sznycla wiedeńskiego, jaki ze smakiem jadłem tydzień temu w stolicy Austrii, który też, jak ta pajęczyna był delikatny, panierowany i o podobnej wielkości...

Excuzes-moi, babciu - o wielkości klapy od sedesu! Mówiłaś mi, *oh, ma cherie*, o swojej „Teorii Ciepła Wiktorii" - ciągnąłem swoją wypowiedź, śmiejąc się już prawie przez łzy - ja wytknąłem ci jej słabe strony oraz, że w miesiącach letnich czy wiosennych - nie będziesz miała instrumentu do zmierzenia realizacji marzeń Polaków, bo kaloryfery wtedy nie grzeją... Lecz jest wyjście z tej patowej sytuacji - to będzie - nić Ariadny-Wiktorii! Ona będzie wskaźnikiem - wartością określającą jakieś zjawisko. A ty, babciu, niczym Ariadna, córka króla Krety, zamiast, jak ona pomagać Teze-uszowi wydostać się z labiryntu, dając mu kłębek nici do znaczenia drogi, ty, babciu skorzystasz z nici, z kłębka, a właściwie z pajęczyny pająka, który spokojnie mieszka nad twoim regałem z książkami. Będziesz jak Ariadna depozytariuszką kłębka nici pajęczej do znaczenia drogi powrotnej z labiryntu, w jakim znalazła się Polska.

Lecz chcę cię tak w ogóle pocieszyć, babciu, w dzisiejszej prasie przeczytałem, że sondaże wskazują, iż Polacy są coraz bardziej bogaci i zadowoleni z życia. To napawa optymizmem - prawda? - Może i prawda - zależy kto, dla kogo, robił ten sondaż, kto, komu, dlaczego i kiedy go zlecił, i kto za niego zapłacił, mruknęła niechętnie, już wychodząc z pokoju do kuchni babcia Wiktoria, lecz nagle zatrzymała się w drzwiach, znieruchomiała - wyprostowała dumnie, stanęła na baczność i jakby deklamując wiersz jakiegoś naszego wieszcza na akademii szkolnej - wyrecytowała w tonie nieco podniosłym: ja w życiu bardzo się już wymarzłam - na przykład przez pięć lat na Syberii. Na szczęście nie zamarzło mi tam serce. Dlatego dla mnie sezon grzewczy trwa cały okrągły rok, a bogaci, kochany wnuczku, to są ci, którzy na kogoś czekają. Ja jestem dla przykładu bardzo bogata, gdyż ja zawsze czekam na ciebie, twoich rodziców, moją córkę, moich przyjaciół. Niektórzy są żebrakami z pieniędzmi, którym nikt nie chce dać żadnej jałmużny ze swojego serca...

A powiem ci jeszcze, kochany wnuczusiu, że tak naprawdę to wnętrze człowieka, czyli dusza, czyni ludzi bogatymi. Wnętrze



Grażyna Hankiewicz

można rozumieć także jako pomieszczenie, na które składają się meble, tkaniny, obrazy, książki, kwiaty, witraże oraz pająk w misternej sieci pajęczyny. On jest moim żywym *panneau* - tkaniną dekoracyjną - wypukłą lub wklęsłą płaszczyzną ścienną, w zależności od pogody, pory dnia, mojego samopoczucia - a więc od tego, czy *Le regard eloigne*, czyli moje spojrzenie z oddali nie zachodzi zanadto zaćmą lat na me stare oczy.



JACEK PIOTROWSKI

galopujące drzewa

(wg obrazu Sylwii Góry)

pęd
pędów
pni
pienie
szczęk
sęków
i rżenie
korzeni

walec drogowy

Ciężki ogromnie, wielki, stalowy
przejechał po mnie Walec Drogowy.
Stanął, zawrócił na jednej nodze,
potem się smętnie zadumał srodze
i na dywanik u stóp usłany
patrząc, wyszeptał:
Wybacz, kochany!

Fraszka o czasie na czasie

Bywało czasem, i nie raz,
że ktoś mnie spytał: Czy masz czas?
Mijały lata jak we śnie;
teraz to raczej czas ma mnie!

* * *

Pewien poeta, co z wierszy słynął,
pisał: *Gdybym był młodszy, dziewczyno!*

Mój los na razie znacznie jest słodszy,
bo ja, Dziewczyno, ja
jestem młodszy!

Limeryki

Pewien mim z podkrakowskiej Skawiny
Zawodowo robił głupie miny.
A że przy tym swawolił,
W końcu jedną spartolił
I wybuchła bez widocznej przyczyny.

W małym mieście Biegonice
Poplątane są ulice.
Gdy przebiega stado słoni,
Nigdy nie wiesz ciebie goni
Czy może inną dziewicę.

Spytał kogoś pielgrzym koło Kostrza:
Czy do Kostrza prosto, czy na skos trza?
Ten mu na to odrzecze:
Idźże na skos człowiecze,
Bo do Kostrza to droga najprostsza.



Axis Art Project



VALDENS

W TAKĄ CISZĘ

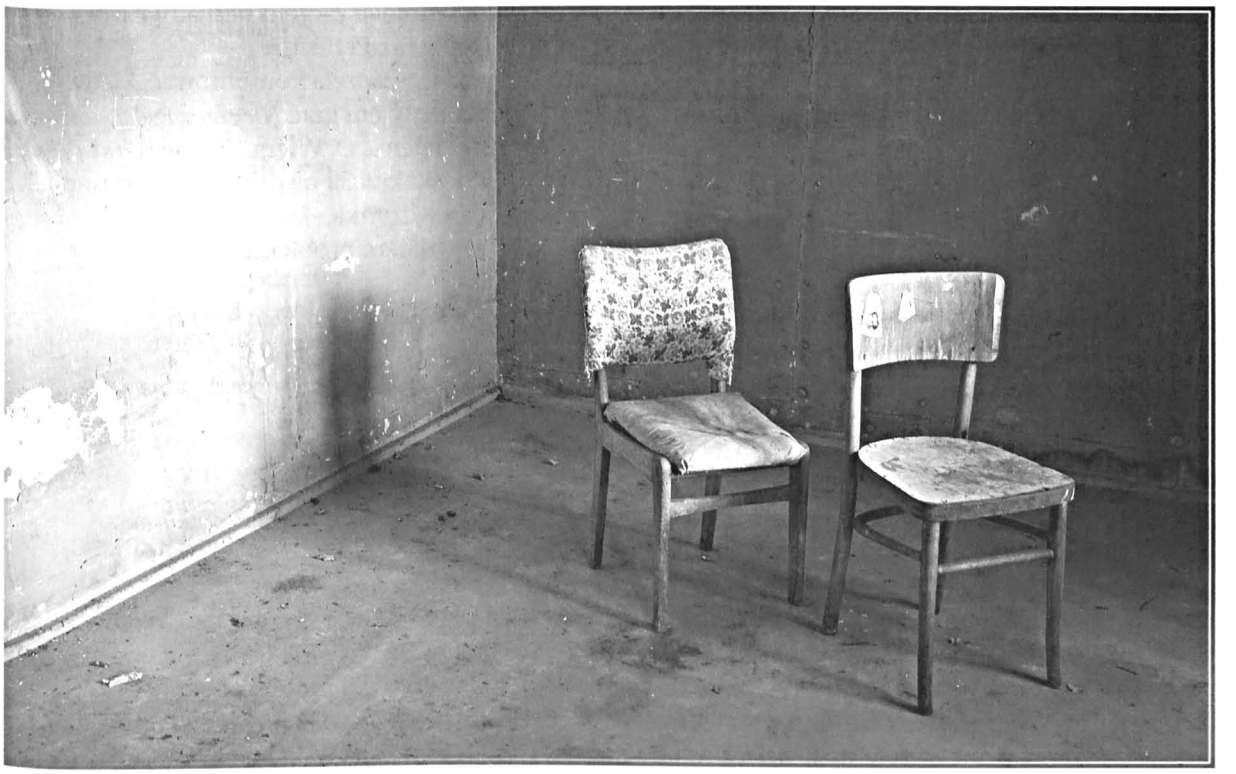
– Zostaw! - krzyknęła Kasia, ale pilot był już w mojej ręce.
– Co zostaw? - odburknąłem przełączając na dwójkę.
– Dawaj go!
I w tym momencie nasze dłonie zetknęły się na pilocie. Jakże obrzydliwy był to dotyk, i jak nie na miejscu - jak zetknięcie szczura z ropuchą. Pomyśleć, że trzy lata wcześniej marzyłem o tym, by podała mi dłoń.
Odpuściłem. Natychmiast wyrwała mi pilota z ręki i z powrotem przełączyła na Polsat. Akurat kończyły się reklamy.
– Jak chcesz oglądać mecze, to sobie kup telewizor... - A potem zaczęła wypominać, że ten jest jej i tak dalej.
Telewizor rzeczywiście był jej, bo wzięła go z domu, ale ani pralki, ani kuchenki, ani lodówki nie wzięła z domu. Ja to wszystko kupiłem, a ona korzystała!
– Kurwa, no i ten serial dla idiotek! - Właśnie się zaczynał.
– Sam jesteś idiotą, pijaku! Umyj sobie zęby, jak do mnie mówisz.
– Spierdalaj! - I wyszedłem do przedpokoju.
- No. I idź sobie pograć w te swoje gierki, dzieciaku. - Doścignęło mnie szyderstwo na progu drugiego pokoju.

***

Na ten akurat mecz kupiłem sobie trzy piwa - Warka Strong. Teraz w siatce były już tylko dwa. Wydawać by się mogło, że już i tak nie potrzebne, ale nic bardziej mylnego. Na takie nerwy przydałyby się jeszcze ze dwa albo trzy więcej - co najmniej. I tak właśnie, powolutku, wpadałem w alkoholizm.
Włączyłem komputer. Nic innego mi nie pozostało. Butelka i komputer - jedynymi przyjaciółmi - od kiedy żona stała się wrogiem. A kiedy się stała? Nie dziś, nie wczoraj. To działo się stopniowo.
Myślę, że zaraz po ślubie, kiedy w naszym M2 zaczęła kręcić się pralka, kiedy lodówka zaczęła świecić pustkami, a kosz pod zlewem śmierdzieć śmieciami - proza życia.
Nie to jednak było najgorsze. Najgorszy był brak dziecka, które miało się przecież pojawić najdalej rok po ślubie. Tymczasem mijał już drugi rok i nic. Zaczynały się docinki o moją męskość, a w odpowiedzi na to, równoprawne przecież, wątpliwości co do jej kobiecości.
Tak oto spirala nakręcała się i oddalała nas od siebie. Nie było już najmniejszych szans na dziecko. No chyba, że z kimś obcym.
Mało tego - nie było nawet widoków na psa. Nawet najmniejszego kundla. Mam alergię, więc znów moja wina.
Otworzyłem piwo, włączyłem komputer i kliknąłem w ikonę gadu-gadu.
Ja> czesc kika
Kika> hej dziubku



Marek Jawoszek



Mirosław Koczkodaj

Ja> masz jakieś plany na dziś?
Kika> hmm raczej nie. a co?
Ja> może byśmy się spotkali?
Kika> na żywo!!??
Kika> a co ci się stało!?
Ja> nic się nie stało. jest piątek
Kika> no ale hmm... ale dziś? musiałabym no wiesz...
Kika> ale mnie zaskoczyłeś!
Kika> :)
Ja> to jak?

Sięgnąłem po piwo i zanim wziąłem łyka... zgasło światło! W jednej chwili zrobiło się cicho i zupełnie ciemno.

– Ocho - usłyszałem głos Kasi z „dużego" pokoju. - Światło wyszło.

Odstawiłem piwo po omacku na biurku i wstałem.

– I to chyba na całym osiedlu - kontynuowała żona, wyglądając przez balkonowe okno.

– Darek, w kuchni są chyba świece. Ale ty i tak ich nie znajdziesz.

A ja byłem już w kuchni, już ich szukałem, i rzeczywiście miałem dość mroczne pojęcie, gdzie one mogą być.

Podejrzewałem, że w którejś z szuflad przy kuchence, bo tam je kiedyś widziałem i tam właśnie próbowałem je wymacać.

Kasia już stała koło mnie i także szperała w szufladach. I wtedy nasze dłonie spotkały się, znów się spotkały i byłoby tego już za wiele, gdyby nie to, że TEN dotyk był jakiś... inny.

Trzymałem rękę na jej dłoni, a ona trzymała w niej świecę.

– Pierwsza! - wykrzyknęła radośnie, przysiągłbym, że głosem sprzed trzech lat.

Dotyk trwał za długo, podejrzanie, więc odsunąłem rękę.

Strzelił zapalnik, rozpalił gaz w kuchence. Od niego Kasia odpaliła świecę. Że też wcześniej nie pomyślałem, żeby włączyć palnik! Wtedy nasze ręce nie spotkałby się... Człowiek traci rozum, kiedy znika elektryczność!

Staliśmy naprzeciwko siebie, długo - za długo jak na zwykłe okoliczności. Myślałem, czy świeca, która płonęła teraz między nami, przywodziła jej na myśl to samo, co mnie. Ja myślałem o ognisku, na którym się spotkaliśmy pierwszy raz. Wtedy ogień,

który dzielił nasze spojrzenia, był dużo większy, ale ten blask w oczach jakże podobny!

– I co teraz? - szepnęła.

– Co teraz?

– Nie mamy drugiej świecy. Będziesz siedzieć po ciemku?

– A może ty...

– O nie, mój drogi...

– Wiem, wiem, ty kupiłaś świecę - zażartowałem ironicznie.

Kasia wybuchła śmiechem.

– Chodź do pokoju. - zaprosiła po chwili.

I podążyłem jak ćma za światłem, przedziwnie wesoły i niezwykle pijany, jak na jedno piwo - nawet jeśli reklamuje się je, jako „mocne".

Usiedliśmy razem, przy szklanym stoliku. Kasia ułożyła ręce na kolanach i westchnęła. Pewnie i jej w głowie kłębiły się teraz pytajniki i niewiadome: „O czym tu teraz rozmawiać? Czy siedzieć i nie rozmawiać? Czy głupia świeca to powód, by rozmawiać?"

– Mam pomysł - rzuciłem.

– Pomysł?

– Tak. Tylko się nie śmiej - ostrzegłem niby groźnie.

Już zaczęła się śmiać.

– Nie śmiej się. Obiecaj.

– Ok, ok. Nie będę - zapewniła.

Wyszedłem do przedpokoju. Po omacku otworzyłem dużą szafę i zagłębiłem się w jej wnętrzu. Po chwili stanąłem na progu pokoju z gitarą w rękach.

Kasia parsknęła, ale natychmiast zakryła usta ręką i przestała. Pamiętała, co obiecała. Spoglądała teraz to na mnie, to na gitarę.

– Poczekaj. Ja też mam pomysł - odezwała się w końcu. Chwyciła świecę wraz z talerzykiem, na którym była przylepiona, wstała, weszła na środek pokoju i ustawiła talerz na dywanie.

– Siadaj. - Uśmiechnęła się i ukucnęła na ziemi. - I zaśpiewaj mi. Znów zakryła usta dłonią, ale raczej nie śmiała się.

Chwilę później pudło rozbrzmiało dźwiękami strojenia, a kiedy wszystko już było w porządku, poszedłem po piwo - dla żony i dla mnie - i zaczęło się. Lady Pank, Led Zeppelin, Perfect...

– A teraz... - zaczęła kombinować, kiedy skończyłem grać *Nie płacz Ewka*. - Hmm... nie wiem... O! Wiem... Teraz: *W taką ciszę*. - Podskakiwała na dywanie niczym mała dziewczynka. - No weź...

Nie widziałem problemu.

– *Nie o uśmiech mi chodzi*
Bo się śmiałaś nie raz
Ale o to, co kiedyś otworzyło się w nas

Coś co przyszło tak szybko
I przeszło jak wiatr
Czego właśnie najbaaardziej mi brak...

Przerwałem na łyk piwa.

– Ej! Daleeeej! Ejjjj! - krzyczała. - W taką... ciszę... - śpiewała.

– Śpiewaj, co dla mnie zrobisz!

Odstawiłem piwo i znów chwyciłem gitarę.

– *W taką... ciszę... wszystkie gwiazdy na nieebie wyliczę*
Ciebie... wołam... ale cisza i pustka dookoła.

– Ojej - wymówiła, gdy skończyłem. - Wiesz co Darek?

– Co?

– Jeszcze raz. Od nowa. Proszę.

I poszło od nowa. Tym razem śpiewaliśmy już razem:

– *W taką... ciszę*
Wszystkie gwiazdy na nieebie wyl...

I wtedy zapaliło się światło, włączył się telewizor, a w drugim pokoju zaskrzeczała drukarka. Gitara brzmiała głupio. Przerwałem.

Kasia wstała, wyprostowała się i przetarła oczy. Podeszła do stolika, wzięła pilota... wyłączyła telewizor i zgasiła światło.

Trzydzieści trzy tygodnie później przyszedł na świat Damian - nasz syn.



MAŁGORZATA ŻURECKA

dogonić czas

jestem cyfrowym imigrantem
data urodzenia:
sprzed rewolucji cyfrowej
uczę się nowego języka
rytuału i protokołu
w połowie drogi
do Pokolenia Kciuka
cyfrowych tubylców
wyrażających odruchowo emocje
kliknięciem klawisza
zapisujących miłość
w formacie sms

***

prześnić kocim kłębkiem
na piecu wieczności
udając
że nie ma
ostateczności

***

Już nie tak
jak kiedyś cieszą

deszcz zmorą
śnieg przekleństwem
liść śmieciem
słońce szkodliwym promieniowaniem

nawet róże pachną sztucznie

życie jest serią wypaczeń



PIOTR BINKOWSKI

układy

kawał dobrej poezji kiwasz głową z uznaniem

z ciebie też niezła sztuka
znasz wiele słów i wiem że lubisz
rozkładać się na językach i wchodzić do głowy
przy tobie wszystkie tomiki gubią znaczenie

oboje jesteśmy niepoprawnie zdolni to prawda
odkąd nie możemy się rozejść każdy widzi więcej i jest mądrzejszy o kilka schematów
co tak naprawdę nic nie daje

jest wyjście
zróbmy sobie romans pozwólmy na wiele
poprowadzisz mnie lekko wzdłuż prostych zasad
bez pytań i żądań w związku z przyszłością
i będą z tego wiersze

wiesz przecież że nic
nie wchodzi ci tak dobrze jak ja

nauka pisania

nie sposób pominąć ojca bo to dobry temat
kto inny potrafi przerwać lata milczenia
zadzwonić z pytaniem co słychać?
a potem znów się nie odzywać

może w pewnym wieku człowiek
nie potrzebuje już ojca
powiedziałem mu że nie mam ochoty rozmawiać
i zapisałem sobie numer to mi wystarczy

z pewnością mam ukryty żal i nadzieję
że nie pisał wierszy
wolę myśleć że zawdzięczam mu wszystkie gorsze cechy



BARBARA MEDAJSKA

KLUCZ DO KSIĘGI ŻYCIA*
(OPOWIADANIE INSPIROWANE MITOLOGIĄ SŁOWIAŃSKĄ)

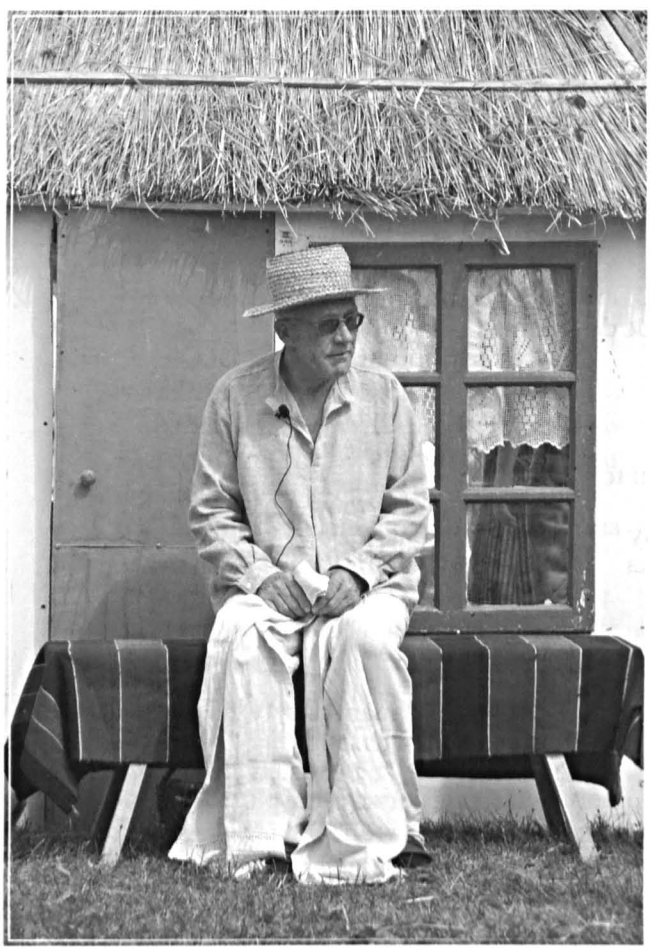
Do zamkniętych okien starego człowieka, który całe życie mieszkał na wsi, uczciwie pracował na roli i kochał przyrodę, nagle ktoś zapukał.

Wstał z łóżka, choć nie było mu łatwo, i poszedł do drugiego pokoju, z którego rozlegało się to dziwne pukanie. Stanął zdziwiony, bo nie pojawiła się żadna postać, a mimo to pukanie nie ustawało.

– Kim jesteś?

– Jestem Weles[1]. Proszę, żebyś coś dla mnie zrobił, i jeśli to spełnisz, nie będziesz cierpiał, a twoja dusza pójdzie od razu do niego.

– Do kogo? - spytał przestraszony staruszek.



Tomasz Młynarczyk

– Do Peruna[2], który rządzi niebem.

– Jestem już stary, nie mam siły, oszczędź mnie - prosił staruszek.

– Tylko ty możesz spełnić moją prośbę.

– Jestem prostym rolnikiem, ciężko mi nawet ustać na własnych nogach. Dlaczego ja?

– Bo jesteś bliski śmierci...

– O tak, myślę, że masz rację... każdy dzień zbliża mnie już do tego, co nieuchronne.

– No więc chyba nie chcesz, uczciwy człowieku, stracić tego wszystkiego, nad czym całe życie pracowałeś? I nie chciałbyś zapewne stracić swojego dobrego imienia?

– A dlaczego miałbym je stracić?

– Bo klucz do księgi twojego życia został ukradziony i mogę zmienić każdą stronę, zapisując ją innymi faktami, niż były. Mam to zrobić?

– Nie, nie rób tego, gdyż księga mojego życia to także splot różnych wydarzeń w życiu innych ludzi, którzy się na mojej drodze pojawili... narobiłbyś strasznego zamieszania.... skrzywdziłbyś ludzi, z którymi się przyjaźniłem, którzy mi pomogli, a na to ci nie pozwolę.

– Właśnie. Dlatego musisz spełnić to, o co cię poproszę. Jesteś gotowy do wysłuchania mojej prośby?

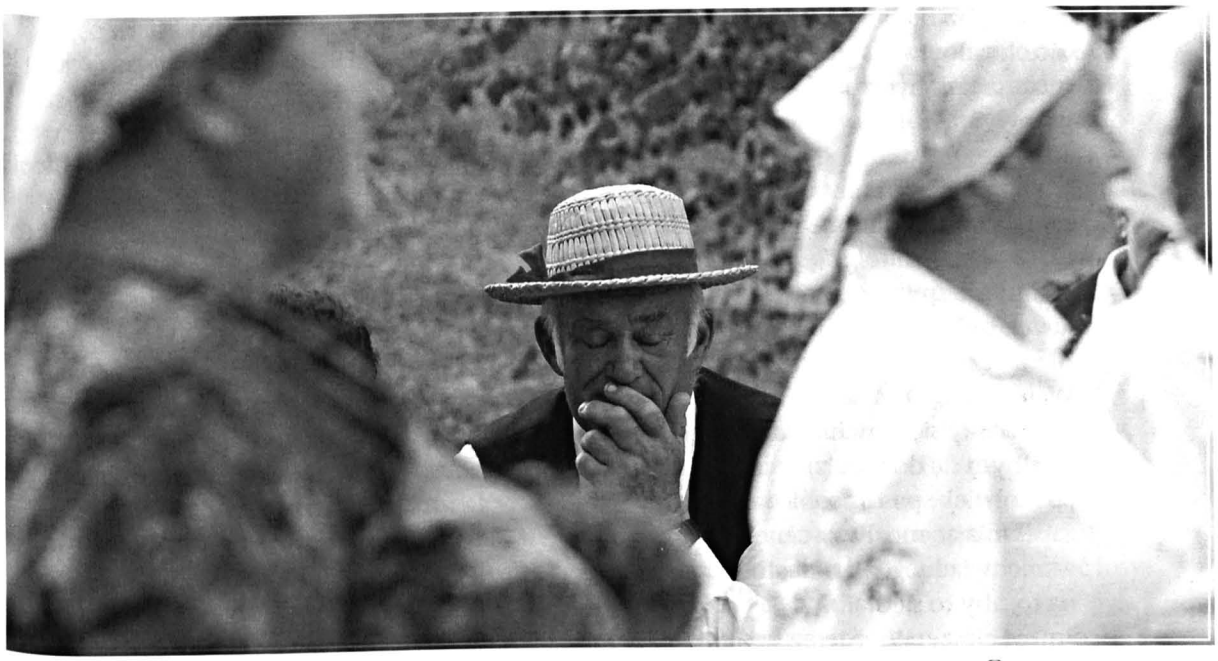
Staruszek nie odpowiedział. W jego oczach pojawiły się łzy i choć Weles je zauważył, nie przejął się nimi zupełnie.

– Pytam jeszcze raz, czy jesteś gotowy do wysłuchania mojej prośby?

– Nie.

– W takim razie, skoro nawet nie chcesz usłyszeć, skoro gardzisz moją dobrą wolą, że powiadomiłem cię o tym, że Demony Śmierci ukradły klucz do księgi twojego życia, skoro nie chcesz się w niczym mi przysłużyć, to pomimo najszczerszych chęci jestem zmuszony do otwarcia kluczem...

– Nie! Zaczekaj, mów, o co ci chodzi!



Tomasz Młynarczyk

– A jednak! Nie jesteś takim bezlitosnym starcem, jak myślałem i pomożesz mi choć jeden raz w życiu! Nigdy nie mogłem liczyć na twoją pomoc, całe życie odwracałeś się ode mnie.

Staruszek nagle zobaczył przez szybę swojego okna wielki, złoty klucz. Gdy tylko Weles dotknął nim księgę oprawioną w złoto, zawartość księgi stawała się przeźroczysta. Na tytułowej stronie ujrzał swoje zdjęcie z młodości i swój podpis. Wzruszył się, gdy zobaczył obrazy ze swojego życia, swoją młodą matkę, która kołysała go w kołysce uplecionej przez ojca, trud ich pracy na roli, swoje pierwsze kroki, dróżkę, którą razem z kolegami szedł do szkoły... Wtem zobaczył koguta, który dziobnął go w rękę, gdy był mały... Niestety Weles schował klucz i nagle księga nie była już przeźroczysta. Zrobiło mu się smutno, bo bardzo się rozmarzył.

– Pokazałem ci, że trzymam twoją księgę i klucz do niej mam tylko ja. Nie oszukałem cię. Dlaczego więc posmutniałeś?

– Bo chciałbym spotkać moich bliskich... którzy mnie kochali, a ich groby są daleko i ciężko mi już do nich dojść. Tylko raz w roku, w Święto Zmarłych, zapalam na ich grobach świeczki... Nie masz pojęcia, jak za nimi tęsknię i jak chciałbym ich teraz spotkać...

– Ja też chciałbym, abyś mógł ich spotkać, ale najpierw musisz spełnić moją prośbę.

– Skąd masz klucz do księgi mojego życia?

– To bardzo skomplikowana historia - odpowiedział Weles, którego nie było widać.

– Proszę, powiedz mi.

– Skoro pytasz, mogę ci powiedzieć. W moim królestwie śmierci mieszka od niedawna demon Akijo, którego kiedyś spotkałeś w swoim życiu pod postacią koguta. To on dziobnął cię w rękę, jak byłeś mały, abyś zapamiętał jego istnienie na zawsze. Sprawdź teraz, czy pozostał w tym miejscu, gdzie cię dziobnął, ślad.

Staruszek włożył okulary. Dawno się nie przyglądał swojej skórze, toteż sam był ciekawy, czy ma jakikolwiek ślad. Minęło już prawie osiemdziesiąt lat, odkąd podszedł do niego kogut i z całej siły go dziobnął. Ręce staruszka wykonały przez te lata wiele ciężkiej pracy, były nieraz odmrożone i spalone słońcem, pełne odcisków i pomarszczone. Ale ślad po kogucie wyróżniał się wśród miliona zmarszczek, był jaśniejszy i wyraźnie widoczny, co go zaskoczyło.

– Tak, ślad pozostał.
– Akijo chciałby, abyś trafił do nieba, ale nie możesz tam być dotąd aż... jesteś już gotowy?
– Tak, jestem.
– ...aż nie zabierzesz tam także i jego.
– O nie! Nie może demon śmierci iść do nieba! Co miałby tam robić?
– Chciałby się zmienić.

Staruszek był człowiekiem prostodusznym i nie wyczuł podstępu w tym, co powiedział Weles.

– Jeśli chciałby się zmienić na lepsze i ja miałbym się do tego przyczynić w jakikolwiek sposób, sobie samemu zapewniając możliwość ujrzenia wszechwładnego Peruna, to zgadzam się na to, aby to się stało.
– To mnie cieszy. Więc teraz posłuchaj. Akijo nie może tam się pokazać, więc wejdzie on w ciebie, przez to znamię, które masz na lewej dłoni. A potem, będąc już w niebie, po prostu natniesz leciutko tę bliznę, aby mógł wyjść z ciebie cały i się go pozbędziesz... dobrze?
– Dobrze. Ale powiedz mi, dlaczego Akijo chce być w niebie i z kim tam będzie obcował? – zapytał mądrze staruszek.
– Akijo nie chce już być demonem śmierci. Chce nauczyć się od innych, jak żyć w zgodzie.
– Ale przecież będą go wszyscy unikać. Będzie jak czarna wrona wśród białych gołębi. Nie będzie miał przyjaciół ani nikogo bliskiego... czy na pewno to miejsce jest dla niego...
– Może tak będzie. Ale nie martw się o jego los. Ja też chcę się go pozbyć, bo jest to najbardziej uciążliwy z demonów. Zgadzasz się więc, aby wszedł w ciebie Akijo?

Staruszek nie przewidział, dlaczego Weles to powiedział i jaki był plan Welesa. Demon Akijo był tylko sługą Welesa. Staruszek nie zdawał sobie sprawy, że godząc się na wejście w swoją skórę choćby jednego demona (a następnego dnia miał umrzeć i pójść do nieba), godzi się na rzecz, która narobi wielkiego zamieszania w królestwie Peruna, zawsze wolnego od demonów.

– Tak, zgadzam się. Przyprowadź tego Akijo - tylko wtedy, gdy będę umierał.
– Będziesz umierał jutro w południe. Przyrzekasz, że nie zmienisz jutro zdania.
– Przyrzekam, gdyż nie chcę być mieszkańcem twojego królestwa.

Staruszek wrócił do swojego pokoju. Położył się, bo był bardzo zmęczony. Nie miał już żadnych bliskich, ani nikogo, komu mógłby opowiedzieć o wizycie Welesa. Jego żona zmarła wiele lat temu, a jedyny syn zginął w pożarze. Był niezwykle zasmucony tym, co się wydarzyło, ale wiedział, że nie ma odwrotu od tego, co się już raz przyrzekło. Był człowiekiem uczciwym i chociaż czuł smutek, wiedział, że postąpił zgodnie ze swoim sumieniem, które nakazywało mu pomagać upadłym.

Pod wieczór, odpoczywając swobodnie w swoim łóżku, obejrzał jeszcze raz kilka



Tomasz Młynarczyk

zdjęć w albumie rodzinnym. Cieszył się, że już jutro spotka swoich bliskich, a szczególnie matkę i ojca, których najbardziej kochał.

Słońce powoli opuszczało się i zapanował zmierzch. Staruszek odsłonił firankę okna, przez które rozmawiał z Welesem. Tylko sucha gałąź starego drzewa szeleściła za tym oknem. Yła już późna jesień. Liście opadały na ziemię kołysane zimnym wiatrem, który to wzmagał się, to ustawał.

Gdy przyszła noc, staruszek umył się i uczesał. Wyjął z szafy ciemny garnitur, białą koszulę i krawat. Nie bał się śmierci, gdyż od wielu lat był już przygotowany na spotkanie z nią. Zdrowie miał coraz słabsze i nieraz prosił Peruna, aby zabrał go już do swojego królestwa, w którym nie przebywały żadne cienie, mary, zjawy ani demony. Spotkał ich w życiu mnóstwo i całe życie dzielnie się im przeciwstawiał.

Nadszedł ranek, a potem południe. Nagle zerwał się silny wiatr, zakołysał drzewami, liście zawirowały w powietrzu. Staruszek, odświętnie ubrany, stał i czekał pokornie przy oknie na nadejście tego, co wczoraj zostało mu objawione.

- Ja jestem demon Akijo. Widzisz mnie? - usłyszał nagle.

- Jakże mam cię widzieć, skoro jesteś duchem?

- Na chwilę stanę się kogutem, dziobnę cię w to samo miejsce, w które już raz cię dziobnąłem, i wejdę w twoją skórę.

Tak się stało. Szyba, przy której stał już od samego ranka staruszek, nagle pękła, kogut wskoczył na jego rękę, dziobnął go aż do krwi i wśliznął się w ranę. Po chwili staruszek umarł. Ziemia zatrzęsła się, a dom, w którym mieszkał, nagle runął i nie pozostało po nim nic oprócz małego kawałka szkła, przez które wszedł do środka demon Akijo.

Spotykając Peruna, staruszek dowiedział się, że popełnił błąd zgadzając się na prośbę Welesa, gdyż Akijo będzie przebywał w niebie razem z nim, bo nie ma możliwości rozdzielenia ich od siebie. Akijo, aby wyjść z nieba, musi otrzymać zgodę Welesa, który wysłał go do nieba, aby Akijo mógł rękoma staruszka wykradać klucze do ksiąg życia, mieszając w ten sposób losy ludzi dobrych ze złymi. Weles zazdrościł Perunowi królestwa, które nigdy nie było puste i pragnął pomieszać losy mieszkańców nieba ze swoimi duchami, mieszkańcami królestwa smutku, ciemności i ciągłego umierania, dlatego wymyślił ten przebiegły plan.

Staruszek codziennie nacinał bliznę na ręce, ale Akijo nigdy z niego nie wychodził. Prosił także Peruna, aby strącił do królestwa śmierci, bo miał poczucie winy, że całe życie będąc uczciwym człowiekiem, zgodził się i to na dzień przed śmiercią na coś, co teraz miało zaszkodzić wielu ludziom i pomieszać losy dobrych ze złymi.

Perun, znając uczciwość staruszka, nie mógł strącić go do królestwa śmierci, gdyż byłoby to w jego mniemaniu niesprawiedliwe. Wszyscy się męczyli w niebie z powodu ginących ksiąg życia i pojawiających się tam co jakiś czas demonów, wysłanników Welesa.

Tylko Chors[3], bóg księżyca, zaradził tej sytuacji. Pewnej nocy zaprosił do siebie staruszka. Staruszek zobaczył, że Chors chce mu pomóc i oddał mu cały swój blask, a Akijo, złodziej ksiąg życia, spłonął od razu. Czasem, w jesienne noce, widać na księżycu postać zamyślonego staruszka. Kiedy Chors mocno świeci to znak, że staruszek dzieli się z ludźmi swoim blaskiem.

* Wyróżnienie w I edycji turnieju literackiego "Chichot Chimery" (2007).

[1] Weles - jedno z naczelnych bóstw mitologii słowiańskiej, wymieniane w kolejności jako drugie po Perunie. Weles jest bogiem przysięgi, magii i zaświatów. Rządzi królestwem, które się nazywa Nawie, i jest zamieszkałe przez dusze umarłych.

[2] Perun - najważniejszy bóg mitologii słowiańskiej. Jest bóstwem nieba, piorunów i wojny.

[3] Chors - bóstwo lunarne mitologii słowiańskiej. Kult księżyca obecny był na całej Słowiańszczyźnie, szczególnie wschodniej.



ROBERT KONCA

I staje się noc

Włożyłaś błękitną czapkę nieba
I jest ci w niej ładniej
Niż słońcu

Pod szczytem Łomnicy
Wiatr urządza nam lekcję pokory

A tu schronisko zamknięte
Nie będzie elektrycznej herbaty
Z destylatem z leśnego runa
Gospodarz
Pan Laco Kulanga
Pewnie utknął gdzieś na szlaku
Z dwustukilowym ładunkiem
Na szerokich plecach
A my z naszych atomów i próżni
Musimy uformować jedno ciało stałe
By wiatr nie zdmuchnął nas z grani

Śliskie kamienne stopnie
Ewidentnie wiodą do nieba
I to dobrze że jesteśmy
Bardziej zdziwieni niż rozczarowani
Gdy skalna ścieżka znienacka
Obiera niemal infernalny wektor

Lesista dolina
Pełna jest mgieł i wątpliwości
Rozkładamy kolorową mapę
Dzieło sztuki abstrakcyjnej
By znaleźć drogę do wieczoru w bazie
Gdzie kaflowy piec już czeka
Na wzniecenie ognia
Jak poeta na łaskę natchnienia

I staje się wieczór
Piec szepcze czule
W kaflowym narzeczu,
Wrze woda na herbatę

To chwila kiedy ufam
Że na nic entropia
Ucieczka galaktyk
Paroksyzmy czasu
Próbujące ukraść nam młodość
Piękno i wszelką nadzieję

Czy jesteśmy razem
Nie wiem
Ale czy są samotne
Dwie cząsteczki wygnane
Na przeciwległe krańce kosmosu
A jednocześnie tak bliskie
Bo przecież oddziałują na siebie
Zaginając czasoprzestrzeń
Jak kartkę papieru

I staje się noc
A nasze oczy
Śnią się nawzajem

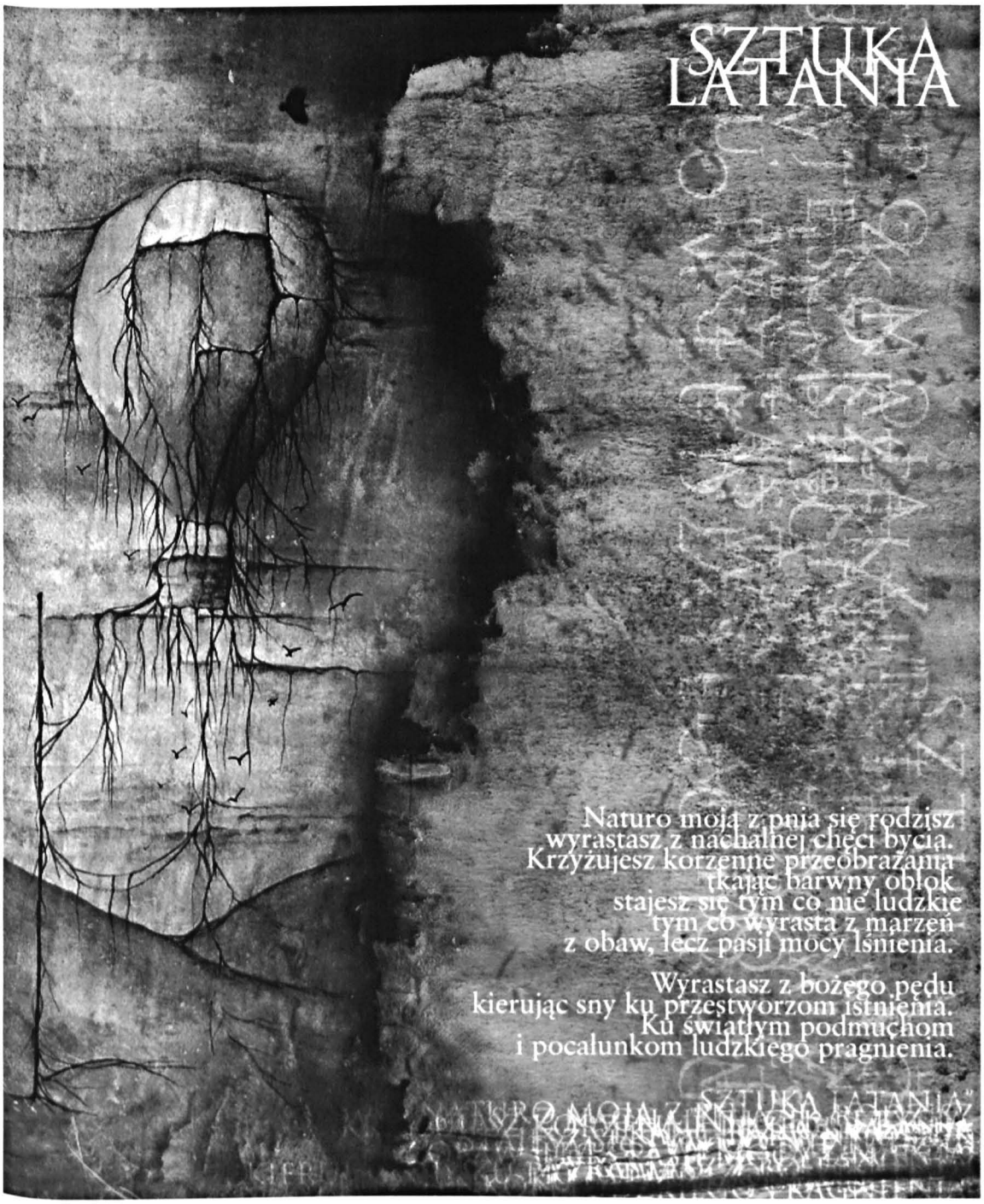
Klucze

wczoraj byłem na dworcu

jakiś człowiek opowiadał mi
głosem rozdartym od denaturatu
że przez wiele lat wędrowania
między dworcem kolejowym a parkiem
znalazł dużo różnych kluczy
na ulicy

śmiał się
gdy mi je pokazywał i mówił:
mam je zawsze ze sobą
tak jak nosi się klucze
do własnego mieszkania

minęła północ
człowiek wstał nagle z ławki
i powiedział: pójdę
może znajdę wreszcie drzwi
które otworzę jednym z nich



Axis Art Project



JERZY REUTER

RURA

Mikułowa sprzątała. Sześć klatek schodowych, wpisanych w tydzień. Każdego dnia jedna, z góry na dół, na „glanc", jak mówił jej mąż, dozorca bloku, wielki pan. „Jestem gospodarzem budynku" - oświadczał z dumą i szedł się upić. Tak było od zawsze. Mikułowa, otępiała w swej złości i bezsilności, zaciskała zęby i pracowała. Zmywała ludzkie brudy, wymiatała śmieci z pokorą pokutnicy, bo tak trzeba, tak ma być. Mikuła w knajpie, a ona z lekkim, przyklejonym do ust uśmiechem, pochylała się nad kamienną posadzką... i na glanc, jak pan Bóg i Mikuła przykazali. Kłaniała się zawsze pierwsza, najczęściej prostokątom drzwi, czasami lokatorom. On nawet okien nigdy nie umył. Sama wdrapywała się na piramidę krzeseł i ściągała ludzkie oddechy z brudnych szyb. Lokatorzy patrzyli na nią z zimną obojętnością, a nawet z pogardą. Zaszczyty zbierał mąż. To jemu kiwali głową z daleka, poklepywali po plecach i częstowali papierosem. Mikuła był człowiekiem szanowanym, nawet za żonę, tę pracowitą, cichutko stąpającą z pochyloną pokornie głową. Uśmiechała się na to wszystko i w tajemnicy połykała łzy.

– Pani Mikułowa! Jest pani tam? - ktoś biegł po schodach do góry. - Szybko!

– Jestem! - zawołała, przechylając się przez poręcz.

– Dobrze, że panią znalazłam. - To była pani Kotek z pierwszej klatki. Zawsze wystrojona i pachnąca. – Coś się stało! - Stanęła na półpiętrze. - Pani mąż! On tam jest... Na starej fabryce jest... Boże!

– A co mój mąż? Pije w ruinach? Pani najlepiej wie, co on lubi - dodała. Nienawidziła Kotkowej. Za jej bogate stroje, jej miły zapach, wyniosłość i za to coś najważniejszego. Za romans, z Mikułą. – Jeżeli już, to pił, miła pani. Teraz już nie, bo wpadł do jakiejś rury i siedzi tam zakleszczony, kilka metrów pod ziemią.

– Mój Boże! - udała przerażenie - I co? Pomogła mu pani?

– Ja? No też coś, a co mnie to obchodzi? Nie mój interes, dobra kobieto. Nie wtrącam się i już.

– To, co ja mam teraz... No, co ja mam robić?

– Trzeba tam iść... Tam trzeba kogoś wezwać. Może straż pożarną? Ale, jak mówiłam, nie moja sprawa. No! Zostaw pani te szmaty i wiadro. Do męża, już! Nic mnie to... A jak pani załatwi, to proszę dać mi znać.

– Już on sam da znać - odparła cicho Mikułowa. - Mąż zna pani adres.

– Niech pani dziękuje Bogu, że akurat spotkałam dzieci. One tam chodzą na skróty, do szkoły. To te dzieci mi powiedziały.

– Była pani tam, przy Mikule? - zapytała, wykręcając szmatę.

– No też coś! Ja? Mnie to nie interesuje. Męża trzeba sobie pilnować, może nie? Wiem tylko, że ta rura jest obok hydrantu. Resztę sobie pani sama znajdzie. Mikułowa powoli pozbierała swoje narzędzia pracy.



Agata Salwa

Postanowiła iść do starej fabryki i zobaczyć, co się stało. Była przyzwyczajona do takich, nieoczekiwanych wiadomości. Wiele razy prowadziła do domu, słaniającego się na nogach męża. – Mam nadzieję, że nikomu pani nie mówiła?

– No nie! Tego chyba za wiele! Ja? Ja nie opowiadam... Jak to robią niektóre. - Kotkowa obróciła się na pięcie i pobiegła na wyższe piętro. Po chwili wróciła i dodała. - A byłam tam, byłam. Dałam mu wody, bo kto się interesuje? Kto by mu dał? – po czym uciekła truchtem. – Sama jesteś jak ta rura - cichutko powiedziała Mikułowa i powoli zeszła schodami.

***

Stara fabryka, a właściwie jej szczątki, mieściła się tuż za osiedlem. Rozebrana z wszelkich metalowych elementów, na wpół zburzona, była siedliskiem bezpańskich psów i „klubem" miejscowych pijaczków. Zarośnięta dzikim zagajnikiem, zazdrośnie strzegła tajemnic swoich mieszkańców i gości. Jedynym czynnym urządzeniem fabryki był hydrant, gdzie mieszkańcy myli swoje samochody. Mikułowa bez trudu, tuż przy hydrancie, znalazła kwadratowy otwór. Drewniana klapa leżała odrzucona kilka metrów dalej. Sprawdziła czy zawór wodny działa i podeszła do studzienki. Spojrzała w dół. Głowa męża znajdowała się około metr, poniżej krawędzi włazu. Rura, o której mówiła Kotkowa, była starą studzienką kanałową, przykrytą drewnianym włazem. Mikuła stał w dziurze, zakleszczony, z rękoma uniesionymi w górę. Oddychał ciężko i jęczał.

– Mikuś! To ja! - zawołała w głąb. - Jak ci tam? Ty żyjesz jeszcze?

– No! Nareszcie jesteś, gdzieś się szlajała, co?

– Szlajała się, mówisz? – odparła spokojnie. - Pracowałam, za ciebie pracowałam, Mikuś.

– Jezu! - jęknął. - Uratuj mnie, kobieto... Zawołaj kogoś, sam nie wiem, co.

– Ja wiem, Mikuś, ja wiem, co trzeba zrobić. Wszystko wiem. – Ktoś odsunął te cholerną klapę i nawet nie wiem, kiedy...

– Ja wiem, kiedy - przerwała. - Już ja wiem, kiedy wpadłeś. Wiesz, kiedy? Jak się uchlałeś, wtedy. Ale dobrze, że tak się stało.

– Co, kurwa, dobrze? Co cię napadło? Ratuj mnie, a pogadasz sobie potem!

– Mogłeś prosić Kotkową.

– Co Kotkową? Co mogłem prosić?

– No... Skoro ci dupy daje...? To mogła cię ratować, nie?

– Co mi daje? Dupy daje? Czyś ty oszalała? Przyszła tutaj, przyszła, bo jej jakieś dzieci powiedziały. Podała mi wody i poszła. – Ja też ci dam wody, Mikuś.

Podeszła do hydrantu i odkręciła zawór. Przez chwilę wpatrywała się w strumień, po czym odkręciła kurek do końca. Stanęła przy otworze studzienki.

– To chcesz tej wody? - zapytała cicho.

– Nie zadawaj głupich pytań! Nalej do butelki i podaj mi do ręki!

– Masz, Mikuś, wody nie będę ci żałować - włożyła czarny wąż do dziury.

– Ja pierdolę! Co? Co? Co robisz!

– Wody ci daję, mężu kochany.

– Czego ty chcesz? Już mam do kostek!

– Pogadać chcę, Mikusiu. Odpowiesz mi na kilka pytań, a potem się zobaczy. Po każdym pytaniu odstawię węża, ale pamiętaj draniu, zła odpowiedź to leci woda. Można powiedzieć, że swoje życie masz w rękach, własnych rękach.

– Niech cię szlag trafi! Pytaj!

– Gdzie są twoi koledzy?

– A co mnie oni obchodzą? Nie wiem!

– Zła odpowiedź - odparła i wsadziła wąż w otwór.

– Pojebało cię? Przestań! Śpią w ruinach, na drugim końcu!

– No widzisz? - wyjęła wąż. - Jak łatwo ci idzie, dobry Mikuś. To teraz, kochanie, powiesz mi o Kotkowej, dobrze?

– Co mam powiedzieć? - odpowiedział płaczliwym głosem. - Co mi do Kotkowej... Czasami coś jej naprawiłem w domu... Co mi do niej? – zanim dokończył zdanie, struga wody wlała się do środka. – Nie kłam! Bo będzie bardzo mokro. Teraz odstawię wodę, a ty odpowiesz na pytanie. Staraj się, Mikuś.

– Ona mnie uwiodła. Upiła, a potem wykorzystała. Przysięgam. Nie! Nie lej wody! Tak, chodziłem do niej, ale kocham



Paweł Żochowski

tylko ciebie - zapłakał i poczuł zimny strumień spadający na głowę.

– To za kłamstwo. Nie wymawiaj słowa „kocham" w mojej obecności, łajdaku. – Co ty robisz? Czego chcesz? Ratuj mnie, a nie zadawaj pytań.

– Pomyślałam sobie, że przyszedł czas - odpowiedziała spokojnie. - Jesteś w moich rękach i już się nie wywiniesz kłamstwem. Mam cię, że tak powiem, w garści. Rozliczymy sobie nasze piętnaście lat, panie Mikuła. Do ciebie mówię draniu. Zapamiętaj sobie, bucu jeden, że skończyło się moje więzienie. Jesteś pod butem. Może nawet zamieniliśmy się miejscami. Ja kilkanaście lat siedziałam w takiej dziurze, a teraz ty, Mikuś.

– Tak źle ci było? Dałem ci dom!

– Gówno mi dałeś! Sama odpracowałam. Nawet palcem nie kiwnąłeś. To ja wstawałam w zimie i śnieg odgarniałam. Ja zamiatałam, zmywałam i wszystko inne. Ty tylko przepijałeś. Szmaciarzu!

– Poczekaj, kretynko! Niech tylko stąd wyjdę, juz ja ci dam! Przypomną ci się wczasy w Piwnicznej, oj przypomną.

– Ty mi Piwnicznej nie przypominaj. Do dzisiaj bolą mnie połamane żebra.

– Rany boskie! Wodę mam do pasa! - zawołał Mikuła. - Doczekałaś się, koniec z tobą!

– To ty się bój. O Piwnicznej jeszcze dzisiaj pogadamy. Kopałeś mnie bydlaku!

– Nie musiałaś mnie śledzić, wariatko. Łaziłaś za mną jak jakaś menda, a po co? Jezu! Ta woda idzie coraz wyżej! – Boś się wycierał po krzakach z kucharkami, a ja sama siedziałam w pokoju. Mikuś, Mikuś, ale cię przyłapałam i co? Pobiłeś mnie na oczach tej dziwy!

– Nie z kucharkami, tylko z jedną, a ta była intendentką. Jak chcesz wiedzieć. Wypuść mnie natychmiast! Kurwa mać! Jak stąd wyjdę dam ci łaźnię! Spiorę cię, rozumiesz? Nawet dzieci nie mamy. Taka jesteś kobieta.

– No tak, Mikuła - wyjęła wąż i zakręciła wodę. - To ja ci teraz coś powiem.

– Głupia jesteś! Ze wsi cię wziąłem, od biedy i wszy! Teraz mi płacisz? To ja ci coś powiem! Ożeniłem się, bo mnie twoi bracia zmusili, tak, zmusili za dług! Ja ciebie, wariatko, przegrałem w karty! Nie miałem, z czego oddać i bracia mnie podstawili tobie. Tak było!

Mikułowa usiadła, obok dziury, na kamieniu i zapłakała. Po chwili umyła twarz zimną wodą i uważnie rozglądnęła się wokół. Było zupełnie pusto. Spojrzała na zegarek i postanowiła działać. Początkowo chciała tylko wystraszyć męża, wydobyć z niego chwilę skruchy i słowa przeprosin. Zrozumiała jednak, że droga jest tylko jedna. Przez chwilę spacerowała po placu i szukała czegoś na zakurzonej ziemi. Gdy już znalazła podeszła do studzienki.

– Posłuchaj mnie, Mikuś. Musisz coś zrobić, bo

jak nie, to cię utopię. - Wypowiedziała słowa tak spokojnym tonem, że Mikuła poczuł gorące dreszcze, pomimo chłodu wody.
- Mów! - rzucił krótko. - Mów, a potem mnie wyciągnij.
- Powiedziałeś, że nie kochasz Kotkowej, tak... Tak powiedziałeś. Myślę sobie, że możesz to teraz udowodnić.
- Udowodnię, przysięgam i też, że już nigdy, no wiesz, z Kotkową.
- Może wody ci dolać? Co? Znowu kłamiesz! Ale dam ci szansę, dam. Nie kochasz Kotkowej?
- Nie!
- To masz tu gwóźdź i pisz na ścianie. Podyktuję ci. Masz to tak wyskrobać, żeby nie znikło nigdy, rozumiesz?
- Szlag by to wziął! Dawaj ten gwóźdź.

Podała mu gwóźdź zaczepiony na patyku. Była ostrożna. Mikuła dygotał z zimna i patrzył w górę, oczekując na dalsze polecenia.

- Teraz pan Mikuła się podpisze - rzekła z uśmiechem.
- Jak to?
- Najpierw się podpiszesz, draniu, wiem, co mówię.
- No dobrze, masz! Podpisuje się.
- Mocniej, Mikuś, ma być wyraźnie.
- Zrobione!
- Pięknie. To nad tym podpisem napiszesz „Kotkowa"



Joanna Bukowska

- Co Kotkowa?
- Pisz!
- Jest „Kotkowa"
- Dopisz „winna"
- Dopisuję
- Teraz przeczytaj.
- Kotkowa winna, Mikuła.
- Mówiłeś, że nie mamy dzieci? Że nie jestem kobietą?
- Może mówiłem, już nie pamiętam
- Głupiś, Mikuła, głupiś jak ten cały świat. Miałam spiralę, przez cały czas, gnoju jeden, z tobą dzieci? A czym sobie zasłużyłeś? Pilnowałam się przez piętnaście lat, żeby nie urodzić takiego, drugiego Mikułę. Było o jednego za wiele, a ty byś chciał jeszcze?
- Przestań już pierniczyć! - wrzasnął. - Poczekaj hadro, niech tylko stąd wyjdę. Już ja ci to wszystko wyłożę.

Mikułowa, bardzo spokojnie podeszła do hydrantu i odkręciła wodę. Jeszcze raz uważnie rozejrzała się wokół i podeszła do dziury.

- Był Mikuła i nie ma Mikuły - zanuciła i wetknęła wąż do studzienki. Następnie zatkała otwór drewnianą klapą. Odczekała kilka minut, aż ustały wrzaski Mikusia, zakręciła wodę i wyjęła wąż. Przeżegnała się i odmówiła „Wieczne odpoczywanie", po czym poszła powoli w kierunku miasta.

***

- Komenda miejska policji, słucham.
- Dzień dobry. Chciałam zgłosić morderstwo.
- Tak? Poproszę o nazwisko i adres, z którego pani dzwoni.
- Dzwonię z budki, a nazwiska nie podam. Może kiedyś.
- Więc, o co chodzi?
- Proszę pana. Na terenie starej fabryki, obok osiedla Ułanów, utopiono człowieka. Tam jest taki placyk z hydrantem i tam go... Rozumie pan. – Pani to widziała?
- Mordercą jest Alicja Kotek. Mieszka na osiedlu, w dwójce, pod numerem sześć. Proszę pytać dzieci, one ją tam widziały, jak szły do szkoły. To tyle, co wiem. Do widzenia.
- Halo! Jest pani tam? Halo!



IZABELA KOCZKODAJ

szalom, Salom[e]!

1.
jak można być
tak bardzo

niedotykalskim

żeby nie tańczyć?

(*szalom, Salom*[e]!)

2.
jak
z j e d n e j
wielkiej miłości
można chcieć wszystkich [zadowolić]?

nie o turystach

ciało niedoświadczane
boli najbardziej

dlaczego

tym z palcem w mapie
tym... japończykom
wystarczy że
widzą?



WIESŁAW BOŁTRYK

Brodski

Pozytywne uczucia są
Nie do zniesienia
Nie
Wiadomo co Robić
Powiedział Brodski
Na kanale Kultura TV i obudził wszystkich
W cicho śpiącym bloku zamierzchłych
czasów.
Nas
Którym dobro leży na sercu
To znaczy co! Wiadomo?
Ci artyści sami nie wiedzą Co
Począć
Z napisanym wierszem
Z nie napisanym
Takoż.
Ale nie ma pewności
Skromnie patrzą nam na ręce
Na skronie nasze i twarze pocięte
Rolą
Odbiorcy cenzora wydawcy profesora
Wykidajły z Restauracji numer 5
Na dalekim Sybirze
Gdzie w pociągu nie spotkasz pijanego
konduktora
Jak do Moskwa - Pietuszki
Jerofiejewa.
Ale nie ma pewności
Tylko
Siebie zobaczysz po raz pierwszy Naprawdę
Czyli w słupie zdumionej soli mórz I lasów
słonych
Od potu
Który ozdobą chorego ciała Nie jest
Tylko brakiem sił do czegokolwiek
Jedynie w książkach znajdziesz moc i
przetrwasz
Do jutra Bo jutro
Będzie futro I tak do następnego
Rana
Nie goi się nigdy Można ją zaleczyć
Fleksją i budową Pod osłoną nocy
Zdania.
Ale nie ma pewności
W dzień zaś uśmiechać się należy
Do drzew które pilnują Nas
Całą dobę
Byśmy czegoś złego nie zrobili sobie
I innym
Przy pisaniu Na torach wykolejonego
Kolejnego wiersza
Potrzebnego nam i Niejakiemu
Noblowi Czy jak mu tam!
I pamiętaj Bądź
Sobą
I pisz wiersze.

Axis Art Project



GRZEGORZ ŻAK

WIESZCZYCA

"Wiedźma, wieszczyca, bo wieszczeniem przyszłości się trudni"
Aleksander Brueckner *Mitologia słowiańska i polska*

"Gdy chcą mieć deszcz, bierze piasek w ręce,
miece przez się, obróciwszy się tyłem
ku wschodu słońca, a gdy chce mieć grad,
tedy krzemienie, kiedy ludzi chce zwadzić albo małżeństwo,
tedy drwa poprzek kładzie przeciw onemu domowi"
Postępek anonim z roku 1570.

Staruszka oparła się o słup sygnalizacji świetlnej dysząc ciężko. Wiedziała, że koniec jest bliski. Widziała to.

Była wysoka, blada i szczupła niemal jak nastolatka. Przy tym pochylona i pomarszczona, ubrana w stary wełniany płaszcz nieokreślonego koloru. Długie i zadziwiająco gęste, siwe włosy spływały jej swobodnie na plecy. Tylko grzywkę, puszystą, gęstą i dokładnie zasłaniającą czoło, miała równo przyciętą tuż nad brwiami. Dziwna doprawdy fryzura dla kobiety w tak podeszłym wieku.

Minęła kolejna zmiana świateł, a ona ciągle stała przed przejściem dla pieszych, patrząc zamglonym wzrokiem na przechodniów.

– Co pani jest? – usłyszała kilka razy – Wezwać pomoc?

– Nie, nie – odpowiadała natychmiast pewnym siebie głosem – nic mi nie jest.

Nie pragnęła współczucia.

Nie, z całą pewnością nie pragnęła współczuia. Zresztą wydawało się, że mimo pewnych objawów słabości cała postać staruszki emanuje jakąś wewnętrzną mocą. Mijający ją ludzie wyczuwali to. Widziała to w ich oczach. Wiedziała. Wiele wiedziała. Przecież była wiedźmą – tą, która wie. Wieszczycą - tą która wieszczy.

Miała jeszcze jedno bardzo ważne zadanie do wykonania w tym życiu.

Nie czekała długo. Ta blondynka była w odpoiednim wieku, była też dość wysoka i zdawała się być bardzo ładna. Powinna wzbudzać szacunek. Zresztą wiedźma nie miała wielkiego wyboru, a czas naglił. Nagle wyprostowała się, w nadspodziewanie szybkim tempie podbiegła do dziewczyny, stanęła przed nią, złapała ją żelaznym chwytem za ramiona i spojrzała prosto w mocno pomalowane niebieskie oczy. Blondynka nigdy nie widziała takiego spojrzenia.

– Czego chcesz starucho?! – krzyknęła przestraszona.

Wieszczyca nie zwalniała uchwytu. Widziała, że jej wybór był trafny – dziewczyna nie tylko nie straciła języka w gębie, ale jeszcze się odgryzała. Nadawała się.

– Będziesz wiedzieć – syknęła.

Dziewczyna szamotała się i próbowała wyrwać. Bezskutecznie. – Będziesz wiedzieć – powtórzyła wiedźma.

Wokół gromadzili się zawsze głodni nowych wrażeń gapie. Ktoś usiłował rozdzielić obie kobiety, ktoś się śmiał, jakaś starsza pani stwierdziła:

– Ja bym też wnuczki w takim stroju z domu nie wypuściła.

Wieszczyca nie zwracała uwagi na otoczenie. Ciągle patrzyła na swoją wybrankę:

– Będziesz wiedzieć. I widzieć – jej szept przenikał.

Teraz mogła już puścić.

Jak w zwolnionym tempie obserwowała swoją następczynię, poprawiającą nerwowo czarną, krótką spódniczkę i pomarańczową, błyszczącą bluzkę z dużym dekoltem. Widziała, jak rzuca w nią pełnymi nienawiści spojrzeniami i słowami. Nie słyszała ich. Nieważne. Liczyło się to, że ktoś przejmie jej wiedzę, że tradycja nie umrze.

Kiedyś jej na tym nie zależało. Ba – buntowała się przeciwko zwyczajowi poszukiwania, wyznaczania i szkolenia następczyń. Dlatego przez całe swoje długie życie nie zdążyła przysposobić żadnego dziecka do

roli wiedzącej. Wiedźmy, jak mówiono potocznie. Wieszczycy – jak same siebie nazywały. Opamiętanie przyszło późno, być może zbyt późno – niemalże w dzień własnej śmierci zrozumiała, że wiedza nie może zaginąć, że tradycja przekazywana od wieków nie może urwać się przez jej buntowniczy charakter. Zrozumiała, że tradycja ma sens.

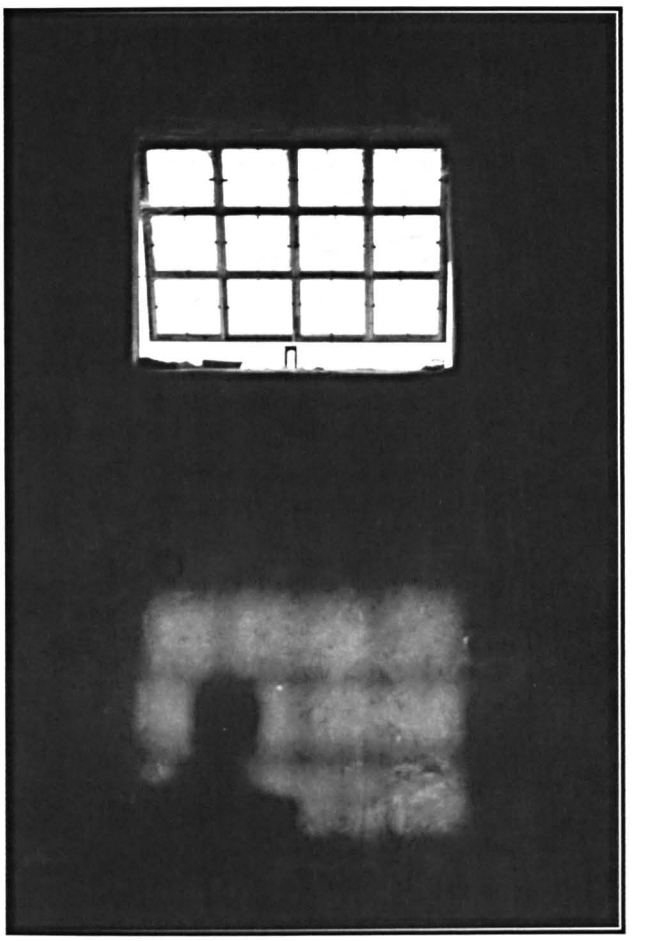
Dzień własnej śmierci... Jakże żałowała, że nie będzie mogła wskazać temu dziecku drogi wiedzy! Przez jej egoizm dziewczyna będzie musiała sama zmagać się z problemami inicjacji. Z problemami, których ona sama z pewnością nie przezwyciężyłaby bez pomocy starej Róży. Bez przewodniczki to, co zobaczy młoda adeptka, może okazać się trudne, wręcz niemożliwe do zaakceptowania. Ale Dar Widzenia wymaga ogromnych poświęceń. Ona nie mogła już pomóc. Dzień jej własnej śmierci był tuż. Godzina własnej śmierci. Moment własnej śmierci...

Stara, wysoka kobieta upadła twarzą na chodnik. Wokół rozległ się jęk zaskoczenia i grozy. Jakiś przechodzień szybko przewrócił ją na plecy, przyłożył ucho do piersi. W tej samej niemal chwili rozpoczął reanimację. Pięć uciśnięć, usta – usta, pięć uciśnięć, usta – usta, pięć uciśnięć, usta - usta... Trwało to jakiś czas. W końcu przechodzień podniósł się i rozłożył ręce. Tłumek zrozumiał. Nie zrozumiał, dlaczego przechodzień jeszcze raz klęka przy staruszce i stuka zgiętym palcem mocno w jej pierś. W gwarze rozmów nikt oprócz litościwego przechodnia nie usłyszał dźwięku przypominającego stukanie w żeliwny kaloryfer. Nikt więcej nie poczuł nienaturalnej twardości jej pomarszczonego ciała.

– Chyba trzeba zadzwonić po karetkę – stwierdził ktoś.

– Już jedzie – ktoś inny odstawiał komórkę od ucha.

Gapie rozchodzili się powoli do swoich zajęć. Blondynka w pomarańczowej bluzeczce z dekoltem też.



Dariusz Dorosz

***

To nie był dla niej dobry dzień.

Miała na imię Wioletta, osiemnaście lat i chodziła do drugiej klasy ogólniaka już po raz drugi. W zeszłym roku nie zdała z polskiego, angielskiego i chemii. Interesowała się modą i muzyką – tak przynajmniej mówiła, jeśli ktoś o to zapytał. Do szkoły nie uczęszczała zbyt regularnie – wychodząc z założenia, że ona drugą klasę już widziała, wie co i jak, zna układy i wszystko zdąży załatwić na czas. Najczęściej widywano ją w drogich samochodach starszych kolegów. To był jej styl i jej świat – świat mody i muzyki. Modą były krótkie spódniczki i wydekoltowane bluzki, muzyką mocno basowy szybki rytm aktualnych i popularnych przebojów rodem z VIVY i MTV. Tylko jej starsi koledzy mieli w swoich drogich samochodach odpowiedni sprzęt do słuchania takiej muzyki. Imponowali

jej – swoim luzem, muskulaturą przebijającą z każdej części ciała, począwszy od mięsistych karków a na łydkach skończywszy. Imponowali jej stylem bycia, zawsze czystymi dresami, zapachem perfum, jaki rozsiewali, schludnymi, eleganckimi fryzurami i pieniędzmi, które zdobywali nie wiadomo gdzie i w jaki sposób. Doskonale zdawała sobie sprawę, że nigdzie nie spotka bardziej męskich i bardziej zaradnych facetów niż oni. Niż ten jedyny, niż jej ukochany Marcin.

Siedzieli pod szkołą w swoich samochodach. Rozparci na siedzeniach, przy otwartych drzwiach, słuchali głośnej muzyki. „Muzy" – jak sami mówili. Nawet oni nie śmieli nazwać tego muzyką.

– Siema! – podeszła do zielonego mercedesa – Cześć Marcin.

– No cześć, kurwa, Wiolka! – Marcin wyciągnął z ust papierosa i chuchnął dymem – Znasz moją, kurwa, cizię, Wojtek? – spytał siedzącego obok masywnego chłopaka w czapce z daszkiem i w granatowych dresach.

– Nie – Wojtek miał głos połykacza ognia. Bas jak z głębi pieca. – No to, kurwa, to jest Wiolka – ciągnął Marcin, wysoki choć krępy, krótko ostrzyżony brunet w ciemnych okularkach ze złotymi oprawkami – a to mój ziomal Wojtek.

Wioletta uśmiechnęła się. Tak, tutaj czuła się dobrze. Tu byli jej przyjaciele. Tu mogła zapomnieć o tej starej babie, która uwiesiła się na niej rano. – Nie uwierzycie, co mi się dzisiaj, kurwa, przydarzyło – powiedziała prawie wesoło – jakaś stara baba zaczepiła mnie, kurwa, na przejściu i zaczęła mi, kurwa, coś pierdolić, że będę wiedzieć, a potem coś, że widzieć, a potem wzięła, kurwa, i umarła. Na moich oczach !

– Pierdolisz – rzucił krótko Marcin – zmyślasz coś jak zwykle.

– No, kurwa, przysięgam! – naburmuszyła się Wiolka.

Marcin i Wojtek zaśmiali się krótko i chrapliwie. – Idziesz do budy? – spytał Marcin.

– Nie – burknęła – nie mam siły. Dużo dzisiaj przeżyłam.

– To może się gdzieś garniemy, co?

– Pewnie – rozchmurzyła się – a gdzie?

– Zobaczymy – Marcin wyrzucił niedopałek na ulicę – No, Wojtek, wypierdalaj, jadę się przejechać.

– Chyba przelecieć – parsknął Wojtek i wyszedł na ulicę, przeciągając się leniwie. Jakiś kierowca o mały włos go nie potrącił, zatrąbił odruchowo i chciał pogrozić ręką. Jednak szybki rzut oka wystarczył, by przyspieszył i czym prędzej opuścił ulicę koło ogólniaka.

Chłopcy wybuchli śmiechem. Po chwili zielony mercedes ruszył z piskiem opon. Przez otwarte szyby uderzał w uszy mechaniczny dźwięk najnowszego przeboju stylu określanego jako "techno-pop". Siedzącym w wozie nie przeszkadzała ilość decybeli. Marcin i Wioletta z dumą wystawili łokcie przez okna. W ich minach była duma rzymskich bogaczy pokazujących przepych swojej wyjściowej, kapiącej od złota lektyki, niesionej przez dobranych według wzrostu i koloru oczu niewolników. Pogardliwa świadomość przewagi nad śmierdzącym plebsem.

– No i gdzie śmigamy? – Marcin niby mimochodem spojrzał na dekolt Wiolki.

– Bo ja wiem... – Wioletta wyprostowała się, założyła ręce za głowę i wypięła biust. Potem wygięła się na bok, pokazując udo i spory kawałek zgrabnego pośladka.

Marcin ściągnął ciemne okulary.

– Ale ty, kurwa, laska jesteś – gwizdnął przez zęby.

– A co – blondynka była świadoma swoich walorów. Znała też kilka sposobów na ich uwydatnienie. Z torebki wyciągnęła kosmetyczkę i zaczęła poprawiać sobie makijaż zerkając do bocznego lusterka. Nagle z jej twarzy zniknął uwodzicielski wyraz i pojawiło się przerażenie.

– Zobacz! – krzyknęła panicznie – Albo lepiej nie patrz! – Co jest? – spojrzał na nią. Chowała twarz w dłoniach.

– Jakiś, kurwa, wielki pryszcz na czole! Wieź mnie do kosmetyczki!

– No co ty, przecież mieliśmy jechać...

– Wieź mnie, mówię ci! To pewnie ta stara nachuchała na mnie, kurwa, jakimś syfem! A może do szpitala od razu?!

– Wiolka, uspokój się, przecież to, kurwa, tylko pryszcz...

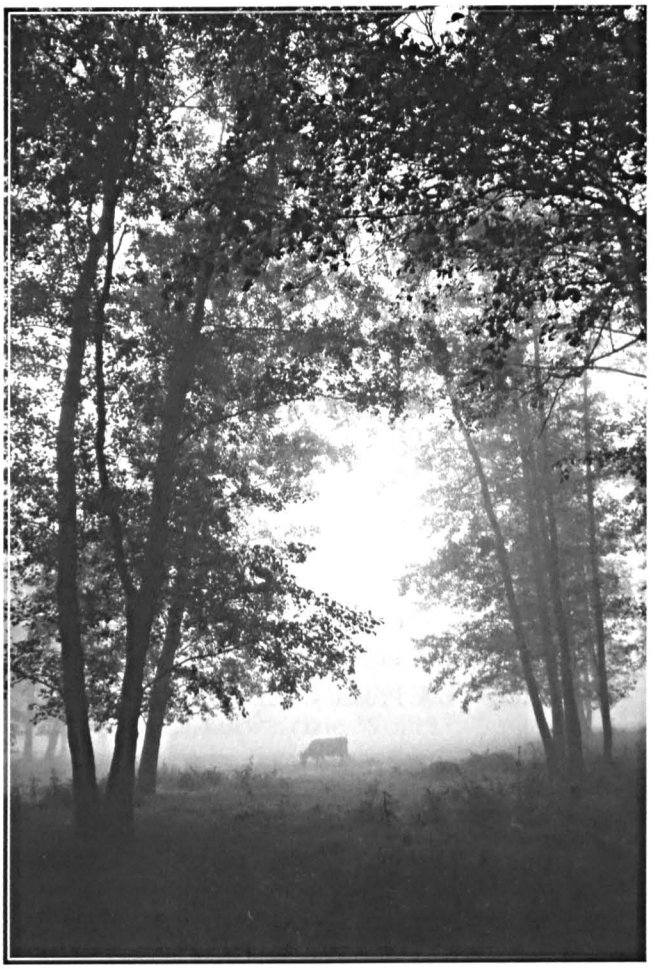
– Zamknij się, nic nie wiesz. To pewnie jakiś syf, gnój mi się na czole zrobi i gówno!
Zielony mercedes zawrócił w miejscu i ruszył w kierunku szpitala.

***

– Kto to jest? – ordynator szpitala patrzył na przykryte białym całunem ciało.
– Nie znaju – powiedział doktor Fiodor Iwanowicz Stepiczow, doskonały młody chirurg, trzydziestoletni imigrant z Białorusi – nikakich dokumientow nie było. – A dlaczego kazał mnie pan zawołać, doktorze? – ordynator dobrze wiedział , że Białorusin nie wyzwałby go w błahej sprawie.
Stepiczow odsłonił białe prześcieradło i wskazał przyczynę.
Ordynator wziął głęboki wdech, policzył do dziesięciu. „To niemożliwe" – pomyślał. Dowód na to, że jednak się myli, leżał przed nim.
– Spotkał się pan kiedyś z... z czymś takim, doktorze? – Niet – brzmiała krótka odpowiedź – Eta nie wsio. Pasmatricie zdzies – stuknął palcem w klatkę piersiową. – Twarda – stwierdził ordynator.
– Twiorda – przytaknął lekarz – szto z niejo dzielamy?
– Nie wiem... Dajcie ją do chłodni, spróbujemy odnaleźć rodzinę. Jak zmarła?
– Serce. Tak skazali. Adin chocziel zratować, nie zdołał. – Może zrobić sekcję? Ona jakaś nienaturalna.
– Da, nienaturalna.
– Może jakieś odkrycie nam zaliczą? – snuł ordynator – Może coś do prasy fachowej napisać?
– Kak sobie żełajecie. Można i napisać.
– Dobrze. Dziękuję panu – ordynator otarł czoło chustką – ja zajmę się resztą. I niech pan nie mówi nikomu o tym... – wskazał na głowę denatki.
– Nie nada – zgodził się Fiodor Iwanowicz – patamu szto nikto tak ili inacze nie pawieri. – Tak. Proszę ją nakryć. Zrobi pan sekcję?
– A acetylnyj palnik u was jest? – Co? – ordynator potrząsnął głową w zadumie –



Dariusz Dorosz



Dariusz Dorosz

Co pan mówi? Palnik? Nie, nie ma.
– No to sekcji toże nie budziet.

***

To nie był dla niej dobry dzień.
– Podwieź mnie do domu!
– Dobra, już cię, kurwa, wiozę!
Zielony mercedes musiał mieć naprawdę dobre opony, zważywszy, ile razy ruszał z piskiem i ze smrodem palonej gumy. Marcin zmieniał biegi gwałtownymi szarpnięciami i wciskał gaz niemal do deski. Od czasu do czasu rzucał na siedzącą obok dziewczynę pełne złości spojrzenie. Wioletta siedziała z zaciśniętymi wargami i patrzyła prosto przed siebie. Na twarzy miała przylepiony plaster – duży opatrunek zasłaniający bez mała pół nieskazitelnego do niedawna czoła.
Sto osiemdziesiąt na godzinę w terenie zabudowanym nie było rozsądną prędkością. Wyprzedzani kierowcy stukali się wymownie w czoło, rodzice spacerujący z dziećmi po osiedlu mieli przerażone miny i trzymali swoje pociechy profilaktycznie przy sobie.
– Marcin zwolnij – odezwała się Wioletta – proszę cię.
– Przestań! – nie słuchał jej. A właściwie to słuchał. I robił na złość.
Sto dziewięćdziesiąt na godzinę. Dziewczyna czuła narastający niepokój. Nie chodziło o prędkość samą w sobie, bo przecież nie pierwszy raz zdarzało im się tak jeździć. Wiedziała, że Marcin odpręża się za kierownicą, że dobrze mu to robi. Nie chciała mu w tym przeszkadzać, ale... Miała dziwne przeczucie, czuła jakąś presję. Nie potrafiła tego opanować. Sprawdziła, czy mają zapięte pasy. Dziwnym trafem mieli oboje. Nie mogła dłużej wytrzymać. Nagłym i niespodziewanym ruchem nacisnęła z całej siły na hamulec. Rozległ się pisk. Potem po raz kolejny był smród palonych opon i dym. Ktoś coś krzyczał.

***

Kiedy gra się w kosza, łatwo dać się ponieść emocjom. Paweł był dobrym koszykarzem i lubił sobie pobiegać. Gdy zbierała się porządna paczka ludzi, którzy umieli i chcieli pograć, robili dwie piątki i grali krótkie mecze do dwudziestu, ze zmianą stron. Do pięciu wygranych. Teraz było cztery – trzy dla drużyny Pawła i szansa na zwycięstwo. Gdyby jeszcze nie to, że boisko do kosza na osiedlu było położone między blokami, a dokładniej rzecz biorąc, między blokiem a ulicą. Jasne, że marzyła im się siatka wokół boiska, taka, jakie są w Stanach. Niestety, warunki były takie, jakie były i trzeba się było przystosować.
Kiedy gra się w kosza, łatwo dać się ponieść emocjom. Piłka znowu wyleciała na ulicę. Paweł pobiegł po nią, myśląc, jak rozegrać być może ostatnią akcję tego meczu. Nagle poczuł smród palonych opon i dym. Jeszcze wcześniej był pisk hamowania. Zielony mercedes zatrzymał się kilka centymetrów od niego. – Paweł!!! – ryknął ktoś z boiska.

Na szczęście nic mu się nie stało. To było tylko i wyłącznie szczęście. Bo cóż innego mogło sprawić, że rozpędzony samochód zacznie hamować już pięćdziesiąt metrów wcześniej?

***

Marcin rzadko wpadał w taki stan – nic nie mówił, nie palił, nie włączał muzyki na cały regulator. Nie przeklinał. Rzadko to za często powiedziane. To mógł być jego pierwszy raz – kiedy siedział, pił sok jabłkowy i patrzył przez okno swojego samochodu.

– Nawet na niego nie krzyczałeś – powiedziała Wiolka. Nie pojechała do domu, chociaż była strasznie głodna – zawsze opieprzasz takich głupków, że ci wybiegają na ulicę.

Normalną ripostą na takie stwierdzenie byłoby hałaśliwe przyznanie racji. Albo hałaśliwe rzucenie, żeby nie mówić, że robi coś „zawsze". Generalnie coś hałaśliwego. Teraz tylko pokiwał w zamyśleniu głową.

– Czego ty tak, kurwa, nic nie mówisz? – Wioletta tęskniła za normalnością. Ona też nie miała najlepszego dnia. Odrobina codzienności dobrze by jej zrobiła – mów coś. Albo chodźmy coś zjeść. Na pizzę do Kalifornii, dobra?

Skinięcie głową.

– To co, idziemy? Marcin? Albo wiesz co, nie idźmy. Bo wszyscy będą się gapić na ten pieprzony plaster i będą się zastanawiać, co ja tam mam pod spodem. Może kupimy coś w sklepie, jakieś chipsy i batoniki, dobra?

Brak reakcji.

– Ty mnie w ogóle nie słuchasz! A co ty myślisz, że tylko ty miałeś dzisiaj zły dzień, co? Ja też, kurwa, mam od rana pecha! Ty wiesz, co taki pryszcz może mi zrobić z cerą?

Chłopak spojrzał na blondynkę, wziął głęboki oddech i zapytał nieśmiało:

– Dlaczego... skąd wiedziałaś... żeby hamulec wcisnąć?

Teraz ona wzruszyła ramionami.

– Nie wiem... Tak jakoś. Przeczucie, nie słyszałeś o czymś takim? Archiwum X nie oglądałeś? No, to coś takiego... Zawieziesz mnie do domu?

Kiwnięcie głową. Że tak.

***

To nie był dla niej dobry dzień.

Wieczorem w łazience ostrożnie odkleiła plaster i ściągnęła nasączoną wodą utlenioną gazę. Tego już nie można było nazwać pryszczem. To było jak guz – wielki, czerwony guz na samym środku czoła, obramowany fioletowo – żółtą otoczką. Guz powiększył się znacznie od momentu odkrycia go. Skóra była naprężona, naciągnięta tak, że aż bolały ją brwi. Wydawało się, że skóra pęka pod naporem jakiegoś ciała obcego. Przestraszyła się. Widziała takie filmy. Widziała Obcego, widziała inne horrory, w których w ludziach lęgną się jakieś potwory, a potem wychodzą na wierzch, przebijając się przez ciało w asyście strumienia krwi i kilku metrów spektakularnie nie wypróżnionych jelit. Słyszała też coś o raku. Dużo słyszała, przecież... Nie była pewna, ale zdawało jej się, że ta choroba rozwija się w podobny sposób.

Bała się. Naprawdę się bała.

Nie wiedziała, co robić. Najpierw opryskała guz perfumami. Zapachniało. Po chwili namysłu posmarowała czoło kremem nawilżającym. Nałożyła z powrotem opatrunek. Poprawiła makijaż. Matka, kiedy jeszcze żyła, awanturowała się regularnie przy każdej zmianie pościeli o to, że poszewki są brudne od tuszu do rzęs i szminki. Matka zmarła dwa lata temu na raka, a Wioletta nie porzuciła zwyczaju malowania się do snu. „Nigdy nic nie wiadomo" – twierdziła – „A może ktoś przyjdzie? I jak ja się wtedy pokażę?". Dzisiejszy makijaż nie wyszedł najlepiej. Miała drżące ręce, rozmazała tusz po powiece. Potem przebrała się w jedwabną czarną bieliznę i takiż szlafrok i wyszła z łazienki.

Próbowała uniknąć spotkania z ojcem.

Udało się.

Prawie.

– A co ty masz na czole? – ubrany w kraciastą piżamę ojciec wytoczył się z kuchni z tabliczką czekolady z orzechami w ręku.

– Ni... nic – bąknęła, próbując ustawiać się do niego bokiem albo prawie tyłem – pryszcz mi wyskoczył.
– O, biedna Wiolka! – zaśpiewał ojciec ironicznie – I jak ona będzie teraz żyła? Chyba żeby się przyzwyczaiła.
– Cicho bądź!
– No już jestem cicho. Chcesz koczelady?
Wioletta rozchmurzyła się nieco:
– Chcę.
– To se kup, chacha! – ojciec miał dobry humor. Zdaje się, że znów oglądał któryś z filmów „Monty Pythona" na video.
– Ale śmieszne – naburmuszyła się Wiolka i ruszyła do swojego pokoju.
– No już, Wiolka, masz – ojciec przełamał tabliczkę na pół – i nie mów, że ojciec taki zły jak go socjologowie malują. Tylko zęby swoje bieluśkie umyj przed spaniem. A, i miałem ci coś mówić: rzuć tego dresiarza!
Wioletta trzasnęła drzwiami ze złością. Ojciec mówił jej to codziennie – od kiedy weszła w towarzystwo Marcina i jego kolegów. Nie prawił kazań, nie robił awantur. Tylko ciągle się z niej nabijał. Sam ubierał się w luźne koszule i sztruksowe spodnie, nosił długie włosy i od czasu do czasu zapuszczał brodę – ale nie elegancką bródkę „na muszkietera", tylko zupełnie nie podgalaną brodę na całej twarzy. Nie rozumiała, jak można być takim flejtuchem, jak można słuchać jakiejś dziwnej muzyki z Afryki, jak można tracić tyle pieniędzy na książki. Nie rozumiała, dlaczego jej własny ojciec jest tak dokładnym przeciwieństwem jej ukochanego Marcina. Nie rozumiała, dlaczego ojciec i jego koledzy śmieją się mówiąc, że żeby zrobić sałatkę z buraków, trzeba wrzucić granat do mercedesa. Przecież to właśnie ojciec i jego koledzy z tego ich śmiesznego Wycieczkowego Klubu Niedzielnych Rowerzystów byli niesamowitymi burakami. Wstydziła się ojca. Ale on nic sobie z tego nie robił i kiedy od czasu do czasu (choć bardzo rzadko) Wioletta zapraszała Marcina do domu, ojciec wpraszał się do pokoju i zaczynał dziwną rozmowę z jej chłopakiem, podczas której co drugie zdanie był miły, a co drugie obrażał go jakimiś przestarzałymi grypsami typu „czegoś taki zdziwiony ty głupi obrzygany cycu?". Nic dziwnego, że Marcin nienawidził odwiedzin w jej domu.
Leżała w łóżku i pogryzała czekoladę. Rozmyślała. Próbowała zapomnieć o dziwnym pryszczu na czole, o staruszce, która mówiła, że „będzie wiedzieć i widzieć", o szaleńczej jeździe samochodem i niemal pewnym wypadku, którego jakimś cudem uniknęli. Próbowała zmusić się do myślenia o czymś przyjemniejszym. O nowej spódniczce, którą upatrzyła sobie w butiku. Próbowała nucić najnowszy kawałek Shakiry. Nie udawało się jej – po pierwsze dlatego, że nie znała angielskiego, po drugie dlatego, że nie przestawała myśleć o wydarzeniach tego dnia. O Marcinie, nawet o ojcu. Gdy zamykała oczy, przed oczyma stawała jej stara kobieta i jej wzrok. Było coś niesamowitego w jej spojrzeniu. Nie pamiętała dokładnie, co.
Co chwila, niemal odruchowo łapała się za czoło i delikatnie dotykała opatrunku. Czuła, że to wszystko, cały wyjątkowo pechowy dzień ma związek ze staruszką z przejścia dla pieszych. Wiedziała to. W głowie huczały jej słowa siwej kobiety: „Będziesz wiedzieć". I faktycznie wiedziała.
Nie mogła zasnąć.

***

– Proszę!
Drzwi otworzyły się i do gabinetu ordynatora wszedł Fiodor Iwanowicz Stepiczow. Jak zwykle z lekkim uśmiechem i szczerym spojrzeniem jasnych słowiańskich oczu. Ordynator wyglądał na bardzo zmęczonego:
– Słucham, panie doktorze?
Obaj wiedzieli, w jakiej sprawie przyszedł młody białoruski chirurg. Ta gra pozorów nie była potrzebna. Fiodor Iwanowicz uznał wstępy za zbyteczne.
– No i szto wy uznali?
– Uznali? – zastanowił się ordynator – znaczy co?
– No, kak to u was... dowiedzieli się?
– A... nic. Żadnych krewnych, żadnych dokumentów. Samotna staruszka, jakich wiele.
– Takich oczień mnogo nie uwidziesz.



Joanna Bukowska

– Racja, racja. Tak tylko mi się powiedziało. Krótko mówiąc: zero. Nic.
– Znaczit, eta takije Argiwum X, tolka w Polszy?
Ordynator podrapał się z zakłopotaniem w głowę.
– Cholera, wychodzi na to, że tak. Żadnego jasnego wytłumaczenia nie ma.
– Możiet być, że niet, możiet być że budiet – Stepiczow był tajemniczy.
Ordynator podniósł wzrok na chirurga.
– Coś pan wie?
– Pajdities pażałsta sa mnoj, a ja wam maju teoriu objasniu.
– Dobrze, dobrze. Która godzina?
– Poczti połnocz.
–Poczti...?
– No... prawie połnocz.
– Dobrze, chodźmy.

***

Wiolka nie spała. Próbowała, przewracała się z boku na bok, mrużyła oczy. Nie mogła zasnąć. Nie pomagały wypróbowane sposoby – liczenie baranów, leżenie na wznak z wywróconymi do tyłu gałkami ocznymi czy leżenie na brzuchu. Gdy tylko zamykała oczy, widziała różne obrazy – rzeczy które się wydarzyły, zwłaszcza rzeczy które miały miejsce tego dnia. Słyszała pisk opon mercedesa Marcina i widziała młodego koszykarza przed maską auta. To nie było wszystko – widziała też jakieś obrazy, których nie rozumiała. Widziała ognisko, wokół którego pląsały ubrane na biało bose dziewczyny. Nieopodal stał stół zastawiony przeróżnymi smakołykami – takimi, jakich Wioletta nigdy nie widziała na imprezach u swoich przyjaciół: pieczonymi prosiakami, wielkimi bochenkami czarnego chleba, plastrami sera, glinianymi dzbanami wypełnionymi piwem, winem i jeszcze jakimś nieznanym napojem. Półmiski piętrzyły się podpłomykami różnych kształtów i z różnym nadzieniem, co sugerowały na przykład ślady konfitur albo kaszy gryczanej na wierzchu. Oprócz tego były tam pieczone warzywa – rzepy, ziemniaki posypane przyprawami, marchew, dużo jabłek, śliwek i gruszek. Wielu potraw Wiolka nie potrafiła rozpoznać. Potem znów były jakieś tańce, jakieś fajerwerki.
Wioletta nigdy nie miała takich snów. Nie wiedziała, skąd w jej głowie znalazły się obrazy, o jakich wcześniej nie miała zie-

lonego pojęcia. O takich ucztach ani nie słyszała, ani nie widziała nigdy w telewizji, ani tym bardziej nie czytała. Jednak musiała przyznać, że wizja była smakowita. Postanowiła pójść do kuchni i spróbować ukoić bezsenność kanapką z serem.

Wstała. Wtedy poczuła mocne pieczenie w czoło. Dużo mocniejsze niż poprzednie objawy. Czuła spływającą po czole lepką ciecz. Zrobiło jej się słabo. „Pękło" – przeleciało przez struchlałą głowę. Pobiegła do łazienki. Zrzucenie opatrunku było kwestią chwili. Spojrzała w lustro.

Zobaczyła to. Pociemniało jej w oczach.

Przypomniała sobie staruszkę szepcząca do niej „Będziesz wiedzieć. I widzieć".

Przypomniała sobie jej twarz. Widziała ją przecież wyraźnie.

Teraz uwierzyła, że to co widziała, było prawdą.

Zemdlała.

***

– Północ przed drzwiami kostnicy, pięknie – mruczał ordynator, puszczając białoruskiego chirurga przodem.

W kostnicy było cicho i chłodno. Tak jak być powinno.

– Gdzie ana? – Fiodor Iwanowicz Stepiczow rozglądając się po stołach – eta była zdzies...

– Tutaj jest, panie doktorze – ordynator odkrył ciało. To był ona. Wieszczyca.

–A, da – Białorusin stuknął w klatkę piersiową. Nic się nie zmieniło, dźwięk był wciąż ten sam. Żeliwo – eta ana.

Jeśli w tym momencie ktoś wszedłby do pomieszczenia, obaj lekarze zmarliby niechybnie na zawał serca. Na szczęście drzwi były zamknięte.

– No i co? – przerwał ciszę ordynator.

Chirurg odchrząknął:

– Wy rżane baby znajecie? Ili wiły, ili baby jędze? – zagaił cicho.

– Kogo ?

– Kak w skazkie o Jasiu i Małgosi, znajecie?

Ordynator wypuścił powietrze nosem. Zastanawiał się, czy to kpina i czy ciągnąć dalej tę farsę. Widok zmarłej staruszki przemawiał za tym, żeby kontynuować.

– Chodzi o czarownicę, tak?

– Da. U nas eta rżana baba. Ana wysoka, bliednaja, wołos u niejo dołgij, biełyj. Kak posmatrisz – ta zdies szto takaja... – Co mi pan tu bajki jakieś wciska? – przerwał ordynator nerwowo. Nie podobała mu się ta opowieść. Nie w tym otoczeniu.

– Akańczić dajcie – głos Fiodora Iwanowicza był natchniony, odbijał się echem po ścianach kostnicy – ja nie skazku razkazywaju, no kak możiet i być, prawdu. A wy uże uwidzieli żeńszczinu kak ana? Nie uwidzieli! A ja znaju, kto ana. Ana wieszczyca. Ana widiot i ana znajet, szto budiet w buduszczim, znaczit w przyszłości. Ana wieszczyca.

– Jaka wieszczyca, doktorze?

– U nas stariki razgawariwajet, szto u baby rżanej, u wieszczycy, żelieznaja grudź – jeszcze raz, dla potwierdzenia, stuknął denatkę w klatkę piersiową – słuszajcież, kak wy eto abjasnicie, a? A u wieszczycy grudź żelieznaja, patamu szto ana dieci na smierć szczekotajet.

– Szczekotajet? – głos ordynatora drżał.

Fiodor Iwanowicz pokazał na sobie gest łaskotania.

Ordynator czuł, że włosy na głowie stają mu dęba. Na szczęście nie miał ich już wiele. Spróbował zwalczyć strach. Najlepszą obroną – atakiem:

– Co mi pan tu sugeruje, że to jest jakiś stwór bajkowy? Takich nie ma. Jaka żelazna grudź, widział kto kiedy coś takiego? I to pan mówi, po latach komuny u was, w zabobon jeszcze pan wierzy?

– Ja tolka objasniaju, kto eta być możiet.

– To by trzeba badania zrobić, sprawdzić, udowodnić, wezwać naukowców.

– Wyzwacie?

Ordynator oparł się o stół i zacisnął wargi. Zastanawiał się przez chwilę nad odpowiedzią.

– Nie wezwę. Po co aferę robić? Co to, cielę z trzema głowami? Pochowamy ją i będzie spokój. Przecież ona właściwie to jest całkiem normalna.

Chirurg spokojnie odsłonił grzywkę staruszki.

– Całkiem? No to szto eta?

***

Nie poszła do szkoły, chociaż wiedziała, że Marcin na nią czeka. Poczekała, aż ojciec wyjdzie do pracy. Nie patrzyła w lustro. Nie zjadła śniadania. Nie wierzyła, że ta sytuacja dzieje się naprawdę. Postanowiła pójść do szpitala – choć nie wierzyła, że spotka tam kogoś, kto znajdzie jakieś wytłumaczenie. Jednak intuicyjnie czuła, że warto tam pójść.

Założyła opatrunek. Porządnie, tak, żeby na pewno nie odpadł. Mijając ludzi patrzyła im w oczy ze strachem, strachem przed odkryciem własnej tajemnicy. Mijając ludzi widziała obrazy malujące się w ich oczach: wielkie radości i chwile smutku, wypadki, śmierć i narodziny, miłość i nienawiść, kłótnie, egzaminy, wczasy i ciężką pracę. I różne inne.

Miała mętlik w głowie.

Po wejściu do szpitala ruszyła zdecydowanie na trzecie piętro, kierując się jakimś nieznanym impulsem. Machinalnie zapukała do drzwi z numerem 327 i nie czekając na zaproszenie nacisnęła na klamkę.

– Dzień dobry – powiedziała cicho – mam problem. Wiem, że pan może coś na to poradzić.

– Dzień dobry – mężczyzna w zielonym stroju chirurga miał podkrążone oczy i zmierzwione włosy. Widać było, że drzemał. Jego akcent zdradzał wschodnie pochodzenie – szto boliejet?

– Proszę?

– Co doliega ?

– Aha... – Wioletta złapała się za opatrunek i ściągnęła go jednym szybkim ruchem – To!

Lekarz oprzytomniał w jednej chwili:

– Wieszczyca – wymamrotał – istynnyja wieszczyca. Sadities pażałsta.

***

Teraz wiedziała wszystko. Fiodor Iwanowicz Stepiczow powiedział jej to, co wcześniej powiedział ordynatorowi. Nie było to łatwe – po pierwsze do zrozumienia, po drugie do przyjęcia. Doktor miał miłą twarz i sympatyczny uśmiech. Szkoda, że mówiąc jej o wieszczycach uśmiechał się tak rzadko. Sprawa był poważna.

Marcin próbował się do niej dodzwonić, ale po kilku sygnałach wyłączyła komórkę. Nie miała ochoty rozmawiać. Nie z nim.

Myślała o samobójstwie. O tym, kto przyjdzie na pogrzeb. O pogrzebie matki dwa lata temu. Dawno go nie wspominała. To po pogrzebie poznała Marcina. Wtedy jeszcze nosił czarne dresy. Uśmiechnęła się kwaśno do swoich myśli. Po raz pierwszy wydawały jej się takie płytkie. Przypomniała sobie koszykarza przed maską. Po raz pierwszy zadała sobie pytanie, skąd Marcin brał pieniądze na benzynę.

Z braku lepszego zajęcia zaczęła obierać ziemniaki. Gdzieś koło trzeciej wstawiła je na gaz i pomyślała, że warto by kupić coś do obiadu. Poprawiła opatrunek na czole i wyszła do sklepu.

Gdy wróciła, ojciec siedział przy stole z leka-



Dariusz Dorosz

rzem, któremu zdradziła swoją tajemnicę. Z doktorem Stepiczowem. – Jest i nasza zguba doktorku! – huknął ojciec wesoło.

– Dzień dobry – lekarz ukłonił się.

– Nie zostawiaj ziemniaków na ogniu, bo będziesz na spalonym – ojciec krzątał się po kuchni.

Nie zwróciła uwagi na to co mówi. Pełnymi przerażenia oczyma patrzyła na chirurga. Było tam pytanie. Jedno, zasadnicze: „powiedziałeś?".

– Co kupiłaś? – ciągnął ojciec beztrosko.

– Ke...kefir – wyjąkała – i chipsy.

– Kefir dobrze. Chipsy też dobrze. Będą do piwa. Pije pan piwo doktorze?

– Da, no pierwego stakana nie zakuszaju – odpowiedział Stepiczow. Ojciec uśmiechnął się:

– Taka siudba czełowieka – rzucił, wyłączył gaz i odlał ziemniaki. Na przygotowaną wcześniej patelnię wbił trzy jajka, posypał kminkiem i posolił. Rozdzielił ziemniaki na trzy talerze, spróbował jednego:

– Córka, jam nie z soli, ale ziemniaki to byś mogła czasem sypnąć białym proszkiem, co? Przepraszam, panie doktorze, ale córka jeszcze mało sposobna.

– Nie wriedi, nie wriedi, znaczit... nie szkodzi, to nie szkodzi.

Wioletta siedziała cicho przy stole i jadła z twarzą pochyloną nad stołem. Szybko odstawiła talerz do zlewu i uciekła do swojego pokoju. Ojciec i chirurg spojrzeli na siebie porozumiewawczo.

Całe popołudnie leżała na łóżku i myślała. Próbowała podsłuchać, o czym rozmawiają w pokoju stołowym. Ojciec przyszedł po nią wieczorem. Wiedziała, że tak się stanie. Miał w ręku książkę. Rzuciła w przelocie okiem na tytuł. *Mistrz i Małgorzata.*

– Chodź do nas – powiedział.

Przeszli do pokoju stołowego. Fiodor Stepiczow siedział na fotelu i uśmiechał się nieśmiało. – Wiesz? – spytał krótko ojciec.

– Wiem. – odpowiedziała.

– Twoje życie się zmieni – ton jego głosu był poważny.

– Wiem.

– Daleka droga przed tobą, mnóstwo pracy. Teraz to będziesz musiała wziąć się za naukę. – No...wiem.

– Istny Harry Potter – uśmiechnął się nagle – pewnie nie myślałaś, że to możliwe, co?

– Nie.

– Powiem ci szczerze, że ja też w to nie wierzę, ale jednocześnie się cieszę. Wiesz, że dzięki temu możesz widzieć przyszłość? Możesz mi je pokazać?

Niepewnym ruchem odkleiła opatrunek. Na środku czoła błyszczało małe, okrągłe, niebieskie oko, symetrycznie oddalone od dwóch pozostałych.

Oko wieszczycy. Dar Widzenia.

– No tak... – westchnął ojciec – dziwny jest ten świat... Ale teraz to już będziesz musiała rzucić tego dresiarza. A nie, to on ciebie rzuci. Mówiłaś mu już? Zresztą, nie mów mu, niech sam w głowę zachodzi, o co chodzi.

Spojrzała na niego – bez normalnej nienawiści. Nie miała na nią siły. Nagle zobaczyła dziwne obrazy. Zobaczyła siebie – z białą przepaską na czole, gdzieś pośród brzozowego lasu. Nie było żadnych mercedesów. Był jej ojciec, rozmawiała z nim wesoło. Był doktor Stepiczow. Uśmiechał się.

***

To wszystko nie było takie proste. Ojciec Wioletty dziś wieczorem nie włączał telewizora. Położył się do łóżka i wziął do ręki Biblię. Otworzył na chybił trafił, przeczytał: „Co chcesz, abym ci uczynił?". To był Ewangelia według św. Łukasza. Odpowiedź brzmiała: „Panie, żebym przejrzał". Wierzył, zawsze w to wierzył, że jego córka w końcu przejrzy. Teraz miała ku temu warunki.

***

Tej nocy Wioletta po raz pierwszy od kilku lat poszła spać bez makijażu.



© Grażyna Hankiewicz



SYLWIA PUCHALIK

KOSOWSKIE IMPRESJE

Impresja I

Zima. Drogowskaz – „Tirana" (chyba coś około 100 km stąd). Koniec świata...

Wokoło góry całkiem sympatyczne. Jezdnia mniej. Pełno dziur, wyrw. Trzeba uważać, żeby nie urwać fragmentów podwozia. I camp. Trochę baraków ogrodzonych kolczastym drutem. A dokładniej: workami z piaskiem, a na nich dopiero ten kolczasty drut. Trzy wieżyczki wartownicze, żwir, betonowe płyty, szlaban i dwa maszty z biało-czerwoną i niebieską flagą. Na horyzoncie góra przykryta czapą śniegu. Nieco bliżej niższe wzniesienie, z którego nocą błyskają światła niemieckiego KFOR-u.

Miasto. Kurz i pył unoszący się w powietrzu. I brud oblepiający rzeczywistość. Owoce wysypujące się na bruk. Kolorowy, hałaśliwy tłum. Mężczyźni w białych, filcowych denkach na głowach. Śniade, osłonięte zarostem ciemnookie twarze. Tureckie kobiety w białych chustach na głowach i szerokich spodniach z krokiem w okolicy kostek. Albo inna staruszka ze swego rodzaju tiurniurą na pośladkach, idzie zgięta w pół. Pod nogami skudłacone, przetrącone losem i spotkaniem z człowiekiem psy, grzebią w stertach przesypywanych wiatrem śmieci. Ludzie w mundurach: KFOR-u, policji z całego świata - biali czarni, śniadzi, w niebieskich beretach i z niebieską plakietką na rękawie. Dalej spłaszczone dachy meczetów z wysmukłymi minaretami i rozlegającym się zawodzeniem muezinów, które ma nawoływać do modłów. Połacie mięsa zawieszone na hakach. Zwoje ciemnej kiełbasy wędzonej tumanami kurzu unoszącymi się spod kół przejeżdżających samochodów. Średniowieczne mury górujące nad miastem i kamienny most z opancerzonymi samochodami. Po drugiej stronie rzeki kafejki, urokliwe zaułki.

Noc. Ludzie stojący rzędem pod ścianą z dłońmi opartymi o mur, nogi szeroko rozstawione. Obok inni w mundurach. Błyskają światła coca-coli. Jest godzina zakazana. Police! Open the door! Odgłos sypiącego się szkła kruszonego taranem. Przerażone oczy kobiet, wyrwanych ze snu dzieci. Plączące się wyrostki. Płacz i krzyki. Gumowe rękawiczki na dłoniach lekarza. Nadbiegający z ciężką, metalową walizką pielęgniarz. Pies patrzący beznamiętnym wzrokiem - bo to kolejny raz. Barwne dywany zabłocone grudkami wilgotnej ziemi, która przywarła do ciężkich butów. Drewniane kolby karabinów z napisem „1933 r.". Puste magazynki tetetek. Pokój mężczyzn. Popalone dokumenty w stojącym na środku piecu. Fotografie na ścianach. Boazeria. Wejście na strych. Rozrzucane ciuchy, przewracana pościel. Dużo pościeli. Zaschnięty grysik na talerzu, gąsiorek z rakiją. Przed chwilą odstawiona szklanka i pranie schnące na sznurze. Błyskające w ciemności oczy kota i wykrzywiona obórka. Znowu kawalkada samochodów i kajdanki na przegubach rąk. Wrogie spojrzenia i bose stopy.

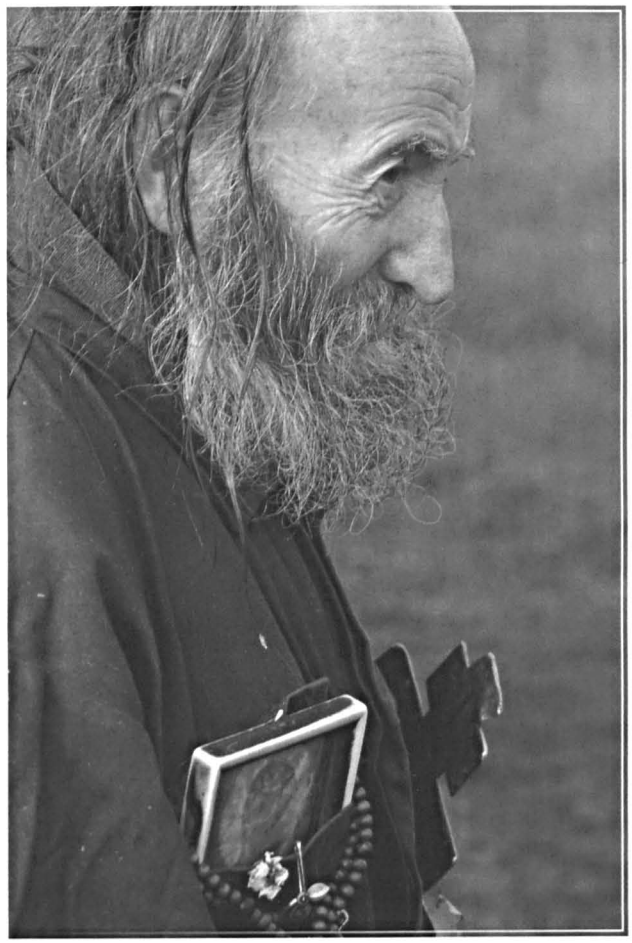
Góry. Bogate, z szaroburymi kępami drzew jak kuleczkami rzepów, opasane drutem z napisem „miny". Ostre zakręty i znowu wyrwy w jezdni. Albańczyk stojący na czatach, palący od niechcenia papierosa, bystro omiatający wzrokiem przejeżdżające samochody. Krowy z załajnionymi bokami, zaprzężone do drewnianych wozów, z jeszcze bardziej drewnianymi kołami. Kolorowo, ale wszystko oblepione szarością. Spopielałe barwy, tak jakby życie zastygło, napiętnowało i krajobraz i twarze ludzi. Przydrożne groby z wykutymi w granicie twarzami. Otulone jarmarcznymi, okropnymi, sztucznymi kwiatami, złożonymi tam gdzie padli. Kolejny zakręt i check-point. Tym razem progi zwalniające, wieżyczka wartownika osłonięta szarpaną przez wiatr płatką i kłęby drutów kolczastych. Pusto, tylko ściany zburzonego domu świadczą, że był tu ktoś jeszcze oprócz żołnierzy. ID i biały samochód z literami UN jako przepustka. Okruchy zsuwających się skalnych odłamków, kolejny ślad po wyrwanym kawałku asfaltu. Najeżone roślinnością wzgórza i góry. W zagłębie-

niach śnieg, cienie jaskiń. Niżej strumień, kawałek świeżej, zielonej trawy. Jakaś owca, jakaś koza i obszarpani pasterze. Leżące szkielety krów. I znowu tabliczka: „miny". Potem znak dawnej „świetności" stary, dobry, olbrzymi, trochę straszący architekturą dom wczasowy z czasów Tito, z obdrapaną elewacją, lekko przesłonięty drzewami. Kolejni żołnierze. Jakiś zniszczony, rozwalony nie wiadomo jak i dlaczego dom. Gdzie indziej same fundamenty i zapomniana piwniczka. Podrapane kawałki betonu. Serpentyny i poczucie, że jest tak bezpiecznie i swojsko. Bo jest opoka, bo jest dusząca, zmieniająca odcienie szarości mgła, że nawet nie wiadomo gdzie znikają szczyty gór i czy w ogóle są.

Pustka. Płasko aż po horyzont. Kałuże i zarośnięte rowy z dającym do myślenia zapachem. Co jakiś czas fragmenty sierści zmieszanej z zaschniętą krwią i zniekształconymi pyskami psów czy kotów. Rozpruty pociskiem dach jakiejś fabryki. Krążące stada: wron? gawronów? W każdym razie czarnych ptaków, szukających przekąski na największym wysypisku śmieci świata. Wiatr porywając kawałki nie wiadomo czego, odsłania kolejne warstwy dna. W tle nowe bloki i nagle tęcza. Bliska i wyraźna. Smog tak wysoko nie sięga.

„Tygrys". Samotny, zapomniany czołg stojący na zboczu. Pnące się w górę wąskie, strome wertepy udające drogę, giną pomiędzy zapadającymi się w ziemię domami. Zieleń drzew przetykana czerwienią dachówki. Osiołek na sznurku skubiący zapomniane źdźbła trawy na pryzmie gliny. Przyjaźnie uśmiechnięci ludzie zaglądający przez szybę samochodu. Dzieci ufnie podbiegające z wyciągniętą ręką. Biały kamień maleńkiej cerkwi. Ikona z ocalałymi ze zgliszczy monastyru oczami, dłonią i spisanymi świętymi strofami.

Słońce. Ostre, odbijające się od tafli jeziora. Pagórki jakby trochę niższe Bezludnie. Jeszcze jedna kolejka samochodów czekających na przepustkę przez check-point. Cerkiew - ale zamiast popa - stacja KFOR-u. I wszędzie wokół znajomy widok ludzi w mundurach. Opierają się o pancerze, dłonią obojętnie odsuwają lufę karabinu, by przypalić papierosa. Amerykańskie, francuskie, włoskie, polskie i inne znaczki na rękawach. Wieża Babel. Ale uzbrojona po zęby, w nakrapianym mundurze, hełmie i osłonięta kamizelką kuloodporną. Jeszcze stoi. Na przekór górom, tęczom, słońcu i tym, którzy tu zostali.



Tomasz Młynarczyk

Impresja II

Macedonia. Opuszki palców wysunięte przez zakratowane okno samochodu głaszczą rozżarzone powietrze. Asfalt wije się pomiędzy ścianami gór jak pijany zaskroniec. Z zieleni drzew wyrastają gdzieniegdzie szaro-twarde skały i pasiaste kominy. Dymią intensywnie uzasadniając swoje istnienie. Długa kolumna ciężarówek wolno posuwa się ku granicy. Ostre słońce znika w nagłym tunelu. W dole zapomniane tory kolejowe. Na zboczach minidomki z miniaturowymi warzywniakami. Jasny kamień wiekowych mostów prowadzących donikąd, przeplata się z białymi

betonowymi cembrowinami ustawionymi na przekór, między zwałami ziemi. Za nimi kryją się żołnierze z pomarańczowo-czerwoną flagą na hełmie. Zakaz fotografowania. Obiekt wojskowy.

Skopje. Ulice zatłoczone samochodami z istniejących i z zapomnianych krajów świata. Jadowicie fioletowe i te z emblematem CD. Uśmiechnięci ludzie siedząc w wiklinowych fotelach popijają kawę i piwo. Nobliwy mężczyzna, z zarostem przyprószonym siwizną kupuje „burek". Dziewczyna z wiolonczelą przewieszoną przez ramię szybkim krokiem przemierza ulicę. Kobieta z głową szczelnie otuloną białą chustką przytrzymuje rozchylany wiatrem szary, długi do kostek płaszcz. Gorliwi, śniadzi chłopcy polerują szyby samochodów z niepewnością czekając na zapłatę. Smukłe wieże meczetów sąsiadują z kopułami cerkwi na tle „wzgórza miłości". Spaliny owiewają długonogie dziewczyny w minispódniczkach i różowe pięty niemowląt trzymanych na ręku. Ponure betonowe wieżowce mieszają się ze spadzistymi dachami nowoczesnych bloków z czerwonej cegły. Obok radośnie żółci się budynek Holiday Inn. Most przerzucony nad mętną, burą wodą prowadzi do krętych, kamiennych uliczek, pełnych sklepów i gwaru. Czerwone autobusy z dawnych lat, ciężko sapiąc przemierzają kolejne skrzyżowania. Na miastem popielate mury stoją nieporuszenie od lat.

Kosowo. Sznur samochodów miesza się z furmankami wypełnionymi ludźmi, jadącymi „na słowo honoru" pseudotraktorami i zapachem burzy w powietrzu. Granitowy pomnik „ku chwale" z dumnie powiewającą czerwoną flagą z czarnym ptakiem, sąsiaduje z budką pełną hamburgerów. Za każdym zakrętem „autolarje" sklecone na prędce. Porzucone wraki samochodów. Zarośnięty niepamięcią przydrożny cmentarz.

Stalowa szyna udaje zwalniający próg. Boczna droga. Słonecznie żółta łąka. Pełznący ufnie środkiem drogi żółw. Przemykające pastelowo-zielone jaszczurki odrzucające z przerażenia ogon, krwawią. Stadko pasących się niezwyczajnych krów. Rdzawe listki poziomek na zboczu. Spiętrzone wody weekendowego wypoczynku. Ruda ziemia w skalnym załomie. Zielone - prawie jak nad Soliną wzgórza.

Mitrovica. Pilnie strzeżony most niezgody spowity kolczastym drutem. Uroda kobiet wskazująca jego stronę. Niemieckie marki i serbskie dinary. Biała bułka i ciemny chleb. Bregovic i hity Eurowizji. Gęstniejący, wrogi tłum.

Nowoczesne butiki i obskurne budki z pestkami dyni. Zielone kamienice z białą lamówką, mieszkania w wysokich blokach ogrzewanych „kozą" i ruiny cygańskiej dzielnicy. Konwój wiernych zmierzających do cerkwi stojącej po niewłaściwej stronie. Wschód słońca w Małej Bośni i przerzucane worki mąki. Biała smuga na czarnym mundurze i węszący pies. Kolejny dom i cherlawy mężczyzna trzymający skute kajdankami ręce, pod narzuconym na ramiona płaszczem. Szerokie schody prowadzą do górniczego wagonika monstrualnych rozmiarów. Wyżej ruiny twierdzy pamiętającej czasy współistnienia - bez wszechobecnych uniformów, karabinów, opancerzonych samochodów, agresywnej nienawiści i obcych - na tej ziemi...

Impresja III

Rytm dnia wyznaczony godzinami posiłków: 7:00, 12:30, 18:00. 115 ludzi. Mali i duzi. Biali i czarny. Faceci i baba. Starsi i młodsi. Chudzi i grubi. Z przerostem mięśni i ze sflaczałymi brzuchami. Łysi i bujnymi czuprynami. Wytatuowani i zakolczykowani. Flegmatycy, sangwinicy, melancholicy i cholerycy. W czarnych uniformach z niebieską plakietką na rękawie i równie niebieskim beretem. Na pagonach belki, gwiazdki i szaszłyki. Czarne kamizelki kuloodporne, na nie siatkowe ze schowkami na wszystkie możliwe akcesoria. Przewieszona długa broń i czarny lub z niebieskim pokrowcem hełm. Albo w białych kaskach, z tarczami, pałami i ochraniaczami na wszystkich możliwych kończynach. Potykając się biegną do białych samochodów z czarnymi literami UN. Kolejny wyjazd.

Przemieszczają się niemrawo pomiędzy pięcioma jednakowymi barakami, na przestrzeni ograniczonej kolczastym drutem i trzema wieżyczkami wartowniczymi. Turlają się po śniegu. Podnoszą ciężary. Wcinają

odżywki. Palą papierosy, wrzucając pety do niebieskich puszek po oleju. Stoją w kolejce po kolejną porcję zapychacza żołądków. Zbierają się w grupkach, żeby ponarzekać. Kolejny problem? - przecież trzeba mieć, o czym pogadać. Żywe gesty i śmiech. Czasem zacięte lub znudzone miny. Wszechobecne fotografie najbliższych. Zdobyczne plakietki z mundurów innych formacji. Plakaty. Wypatrzone w „PX-e" wieże. Przyczepione do blaszanych ścian baraków satelity. Zamykające się oczy przy kolejnym filmie oglądanym piąty raz. Okruchy suchych porcji na biurku. Czas podzielony między: sen, pisanie listów, łapanie sieci komórkowych i wysyłanie sms-ów, spotkania, oglądanie telewizji, surfowanie po internecie, siłownię, książkę, muzykę, wygłupy, opalanie i wyjazdy do miasta. I marzenia... o nowych samochodach, podróżach, o rodzinie, o.... I jeszcze większa tęsknota. Zarwane noce potrzebnymi akcjami i niepotrzebnymi alarmami. Kolejna warta, kolejna akcja. Czas! Czas! Czas! Zbyt wolno... Odliczanie dni do kolejnego urlopu. Do przyjścia kolejnego listu. Do kolejnego zadania. Do posiłku. Do przeprowadzki. Do kolejnej spalonej stacji policyjnej. Do kolejnego meczu. Kolejnego przeszukania.

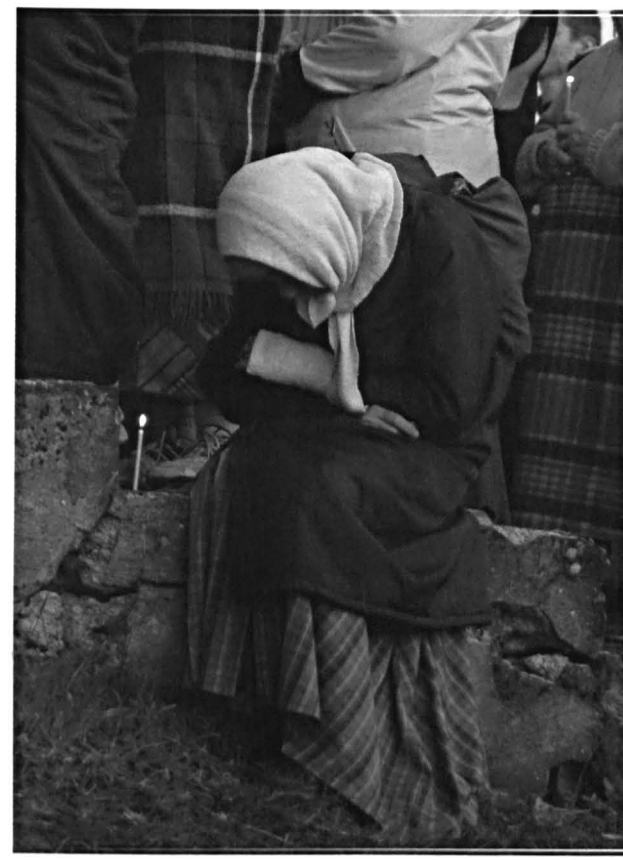
Zapada noc i pozorna cisza. Jasne okno oficera dyżurnego. Chrzęst żwiru pod stopami wartownika. Ćmy krążące pod światłem latarni. Odległe wycie psów. Minął kolejny dzień. Jaki będzie następny? 7:00, 12:30, 18:00.

Impresja IV

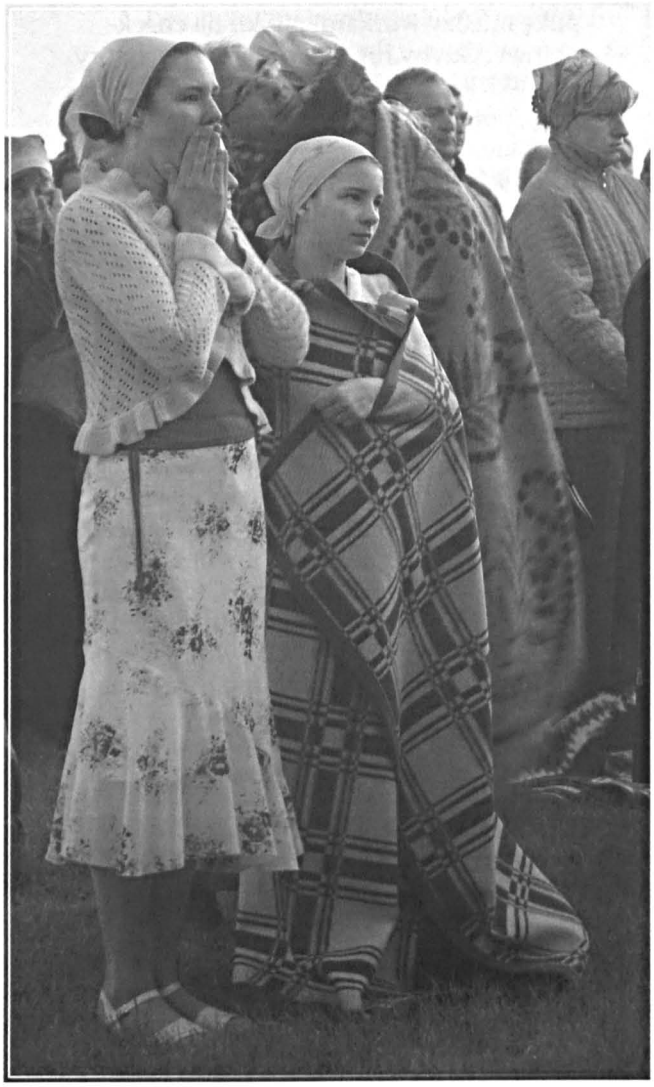
Niedziela. Krople deszczu żłobią wzory w zakurzonej szybie samochodu. Opadają na pobocze, gdzie złote dziurawce pochylają się nad radośnie czerwonymi makami, a osty zerkają modrymi kwiatami. Rozczochrane zagony kukurydzy beztrosko falują na wietrze. Czerwone paliki wytyczają bezpieczną ścieżkę życia wśród min. Ukryte zakole rzeki zdradza nagie pośladki zażywających kąpieli. Brogi i kopy siana wśród pól. Łany nagle dojrzałego zboża. Sterty nawozu o zapachu niezależnym od wyznania i kraju. Sroka huśtająca się na wiotkiej gałęzi. Chłopcy beztrosko kopiący piłkę między workami piasku na checkpoincie. Gdyby nie oni, rosłaby złuda: góry i wioski, kopki siana i błyskające ostrze kosy, potoki i pasące się krowy - nasze, swojskie, polskie!!!

Przełęcz. Piękno gór wzbudzające pokorę. Serpentyny drogi wijącej się wokół pagórków leżących jak podkulone nogi Albańczyka, w stożkowatej czapce na głowie. Monastyr chroniony pięścią i kulą, kryje widoczne z oddali czarne habity. Biała, smukła wieża meczetu odbija się od ceglastych murów. Pomarańczowe kombinezony i stosy min wyszarpnięte ziemi. Szkielety nie wiadomo czy wznoszonych, czy burzonych domów. Spalone dachy. Pojedynczy żołnierze stojący wzdłuż drogi, czekający na bezpieczny konwój. I ci siedzący w wieżyczkach czołgów, schowani za lufą karabinu maszynowego.

Wesele. Kawalkady samochodów - od yugo po mercedesa - kipiące ludzką radością. Świątecznie przystrojone dziewczyny, wysuwając się przez otwarte dachy i opuszczone szyby, klaskają do rytmu w dłonie.



Tomasz Młynarczyk



Tomasz Młynarczyk

Między smukłymi palcami przytrzymują lekko strzępy tkanin. Krwistoczerwona flaga z dwugłowym czarnym orłem, wskazuje nowy początek. Wycieraczki oplecione kolorowymi, frotowymi ręcznikami furkoczącymi na wietrze. Zgiełk i wrzawa. Muzyka zmieszana z okrzykami, śmiechem, śpiewem i rykiem klaksonów.

Akcja. Pasiaste, jak rozdęte, zielone stonki kule arbuzów, uwięzione w kojcach. Łany słoneczników złocistsze niż u van Gogha, biegnące po horyzont. Smętne muczenie krowy dobiegające z pseudoobórki, domaga się porannego udoju. Stara, skrzywiona starością kobieta w obszernych spodniach, siada w szerokim rozkroku popijając smolistą kawę. Chuda dziewczynka z brązowymi, sterczącymi niesfornie włosami, przygląda się ciekawie tabunowi uzbrojonych ludzi w czarnym moro. Dzgane na wylot, cal po calu siano, zebrane w stos. Badane wykrywaczem metalu krzaki. Otwierane majzlem drzwi scanii, kryją kolejna tetetkę. Metodycznie. krok za krokiem. zbliża się kolejny wczesny i długi ranek.

Kosowo, jak nasz zminiaturyzowany świat. Bez dostępu do morza, za to z górami, chmurami, jeziorami i dolinami. Malowniczymi przełęczami i rwącymi potokami. Gdzie jednym językiem - angielskim - mówią ludzie o wszystkich możliwych odcieniach skóry, pochodzący z każdego możliwego zakątka globu. Gdzie ludzie wierzą w to samo, ale inaczej. Gdzie przeżywają radość, szczęście - ale też ból, rozpacz i cierpienie. Gdzie walczą ze sobą i się kochają. Gdzie śmieją się i płaczą. Gdzie podają dłoń i wbijają nóż. Gdzie rodzą się i umierają, a w każdym z nich jest to, co żyje w każdym z nas: i dobro i zło; i miłość i nienawiść; i radość życia i smutek śmierci; i szarość i blask.

Zamknięci na pokładzie arki, nad którym wiecznie krąży gołębica. Miniatura świata jak cierń tkwiąca w zamkniętych dłoniach, nie wiadomo, którego Boga.

Impresja V

Bośnia. Smutno i deszczowo. Drzewa powoli ubierają jesienne liście. Gęsto rozsypane wapienne skały pasą się na łące, jak poszarzałe baranki. Wyskubują źdźbła lichej trawy spomiędzy krzaków jałowca i kolczastych krzewów, z karminowymi kuleczkami owoców. Na szmaragdowej wodzie zakola rzeki, ręka olbrzyma ustawiła bezludną wysepkę jesiennej barwy. Tkwi w niej, jak przypadkowo wrzucony do kałuży kamień. Wyżej samotne, zagubione między pagórkami ruiny domów, szukają schronienia w resztkach sadów. Straszą martwymi oknami. Kilkugrobowe cmentarze ostatniej wojny przytulają się do przedmieść, lasów i poboczy dróg.

Domy. Ściany poranione pociskami. Ślady jak po bakaliach wydłubanych zakalcowatego ciasta. Zadrapania przysłania gdzieniegdzie gipsowy opatrunek. Na piętrach pozbawionych okien i drzwi, rozciągnięte sznury pełne wilgotnego prania. Na parterze zielona pałatka udająca szybę, zaznacza, że

dom żyje. W innym, białe brody rogatych kóz wychylają się spomiędzy zielonych krzewów, powojennych lokatorów zburzonych domów. Kryją się przed deszczem.

Granica państwa. Kontener strażnicy. Celnik zaprasza na kawę do przydrożnej kafejki. A potem ziemia niczyja. Bezludna. Droga ginie za zakrętem i pojawia się ponownie za kolejnym. Jakby błądziła, pokonując z wysiłkiem kolejne wzniesienie. Wyżej. Jeszcze wyżej.

Czarnogóra. Potężne iglaki pokrywają wysokie góry. Nad drogą zwisają skały, jak zwielokrotnione okazy minerałów, z dającymi się odróżnić tkwiącymi w gronach pojedynczymi kamieniami. Jak fragmentami bryły wielickiej soli. Kamienna ściana otulona ledwo widoczną pajęczyną siatki. Ukryte w krzakach ciemne oko tunelu prowadzi z litej skały wprost do strumienia. Strzeliste świerki oddalonej przełęczy, unoszą gałęzie jak w tańcu. Zastygły, jak spódnice gigantycznych baletnic. Przydrożne drzewa założyły ciężkie peleryny dzikiego wina i bluszczu. Dorodne kapelusze grzybów brązowią się na skraju lasu. Spadzista ścieżka nieśmiało zaprasza do jego wnętrza. Za kolejnym zakrętem drogi, znienacka, pojawia się biała, samotna świątynia. Odbija się od ciemnozielonej, prawie czarnej ściany lasu, przykrytej mgłą, jak strzępami cukrowej waty. Kamienne mury starannie oddzielają sąsiednie pastwiska. I konie, pasące się w lepkiej mżawce.

Zapada mrok w długich, żłobionych we mgle tunelach. Reflektory po omacku szukają mokrego asfaltu bałkańskich dróg. Już bezpiecznych, prowadzących do zwykłego, spokojnego, zapełnionego codziennością życia.

Impresja VI

Strbce. Zaciszny zakątek Kosowa. Czas zamarł jak posypany zaczarowanym proszkiem przeszłości. Dolina leniwie tętni życiem. Samochody ze wspomnieniem tłumika, zatrzymują się przy każdym napotkanym znajomym. Mijają łaciate, opancerzone pojazdy i te, zaprzężone w rogate krowy. Przydrożne kafejki wabią grzaną rakiją i chłodnym piwem. Budki pełne drobiazgów, zachęcają drewnianym, zanurzonym w bursztynowym trunku krzyżem. Ręcznie malowane twarze Świętych na szklanych butelkach, zdają się uświęcać ich zawartość. Niedzielnie ubrani ludzie, obarczeni słodkim brzemieniem ciast i tortów, dołączają do grupki weselników. Echo radosnych śpiewów odbija się od jeszcze zielonych wzniesień. Od górskiego grzbietu przypominającego skórę ropuchy. Od pachnących owoców jałowca. Od wapiennych skał.

Słońce. Ostre, ślizga się po złotych liściach jesiennych drzew. Przebija przejrzyste powietrze. Delikatnie łaskocze miedziane kępy traw. Barwy jesieni pełne ciepła, otuliły drogę wspinającą się wśród wysokich gór. Coraz wyżej. Wąskie kaskady, lekko spienionej górskiej wody, pluskają się po krągłych kamieniach strumieni. Kopuły cerkwi rysują się miękko na tle jasnego nieba. O bliskiej przeszłości przypominają spalone dachy letniskowych domów. Sterczą czarniawe kominy, okopcone dymem. Im wyżej, tym ściana koloru staje się coraz bardziej zielona. Opadające liście przegrywają z zahartowanymi zimnem szpilkami drzew.

Psy. Szaro-beżowe, kudłate, kaprawymi oczami bez entuzjazmu spoglądają na intruzów. Puste ścieżki prowadzą szlakiem narciarskich wyciągów. Pozornie nieruchome krzesełka kolejek, lekko drżą na wietrze. Sople i okruchy lodu, wesoło mrugają spomiędzy kamieni. Lekko zamglone górskie pasma falują jak spokojne, granatowe morze. Sięgają nieskazitelnie niebieskiego nieba na horyzoncie.

Ścieżka. Prowadzi przez stromą lawinę rzuconych kamieni. Między granitowymi głazami, unoszą się wysepki przesiąkniętego wilgocią mchu. Niewidoczny potok bulgocze pod nimi jak wrząca woda. Wypływa zamarzniętą strugą w ocienioną kotlinę. Zardzewiałe wagoniki kolejki kryją puste, plastikowe butelki po spragnionych i kawałki szkła.

Domy. Czerwień dachówki i biel ścian chronią wznoszące się dokoła górskie szczyty. Zostały daleko. Gdzieś tam, w dole. Zagubione, ale bezpieczne. Z poszarzałymi kopami siana na polach. Z kozami wyskubującymi źdźbła z żywopłotu. Z kwiczeniem warchlaka, bezdusznie wleczonego na

powrozie; oplątującym nogę. Z polanami wrzucanymi bezładnie na wóz. Pulsują życiem, które zastygło.

Impresja VII

Ostatnie dni. Pełne płatków śniegu migoczących w świetle latarni. Przyprószyły wszystko: pobocza pełne śmieci; stojący przy drodze auto-pjese, z wrakami samochodów i górami opon; ledwie wzniesione mury domów z czerwonej cegły; nieśmiały dym z komina; cmentarze z białymi nagrobkami, które odróżnić teraz można od morza białości, po czerwonych flagach z dwugłowym orłem. Strzeliste wieże meczetów, jak gigantyczne pociski, zlewają się z równie białym tłem. Stojące obok kopki i brogi siana, założyły białe czapy. Niebo równie mglisto-białe, ponure i smutne. Jak szklana kula, w której gdy potrząśniesz, zakwita biały śnieg. Opada i spowija wszystko lekką mgiełką zapomnienia.

Droga. Część dziur gdzieś znikła, wyrównana stolnicą asfaltu. Wyrosły zagajniki zabudowań. Przytłoczyły swoją ilością spalone dachy domów. Mimo prószącego śniegu, ręce robotnika chwytają kolejną deskę wciąganą na wznoszone właśnie piętro.

Lotnisko. Nożyczki do paznokci wędrują do kosza na śmieci. Wprawne dłonie dokładnie przetrząsają bagaż. Bramka piszcząc reaguje na klamry pasków. Oczekiwanie na samolot. Ostatnia kawa z mlekiem. Nad głową obrazy bożonarodzeniowych telebimów. Merry Christmas! Biała i wietrzna płyta lotniska nie zachęca do pozostania na dłużej. Przez okrągłe szyby widać jeszcze znajome budynki. Szybko znikają pochłonięte mroźnym powietrzem.

Wszystkie obrazy powoli odchodzą w przeszłość. Wkrótce będą już tylko zamazanymi wspomnieniami. I tymi dobrymi i tymi złymi. Jak kolejna cegła w murze życia, pozostaną na zawsze. Coraz bledsze...



ZBIGNIEW STRZAŁKOWSKI

europa europa

pamiętacie eschatologiczną przypowieść Boscha
tysiące ulic pnących się groźnie w pionie
tymi ulicami przechodzą nowe pokolenia
zostawiają na parterze tradycje
błogosławieństwo rodziców
dziecinne modlitwy
pamięć umarłych
hieroglify wiary
carte blanche otwiera wszystkie piętra rozkoszy
trzeba żyć do samego końca pusto
ostro i drapieżnie
życie jest warte i nic niewarte
wieczność ostatnie piętro ocalenia
doszedłem donikąd
mimo wszystko
idę wciąż na nieznany szczyt
z chorym sumieniem
by dotknąć brzegu ostateczności

przesłanie

otwórz się całym sobą
nie jesteś z pokolenia głuchych i niemych
na piękno rzeźbione przez wiatr i deszcz
powtórzone w gwiazdach witrażach aniołów
patrz uważnie
łąki inkrustowane śmiechem kaczeńców
wysypały się gromadnie
duchy przebudzone błyskawicą
przesuwają w dżdżu plątaninę leśnych ścieżek
którędy iść
czarne koguty pieją złowieszczo na pożar
nietrzeźwe ślady kłusowników krwią broczą
światło rzeźbi coraz głębsze wąwozy
pełne ciężkich westchnień
spójrz uważnie
stoisz pośrodku najpiękniejszej katedry
tu się zaczyna i kończy chwila uniesienia
dźwięk i szept miesza się w gęstość barw
wszystkie odrzwia pór roku są twoje

Powieść

Agata Salwa



ANDRZEJ WIELECKI

PRZECIWKO WSZYSTKIM (3)

Na drugi dzień planowano powrót do Grodna. Jednak znaczna część panów litewskich chciała zakręcić się wokół młodego władcy, aby ten, będąc na powrót w Krakowie, wpłynął z korzyścią dla nich na obsadę urzędów na Litwie. Teraz wszyscy zainteresowani tłocznie walili do zamku wileńskiego, aby przypomnieć się Augustowi. Sam zaś niski zamek królewski w Wilnie, oparty był o dość wysokie mury kościoła katedralnego, natomiast poniżej znajdował się obszerny pałac radziwiłłowski, otoczony jak większość tutejszych rezydencji drzewami i rozległym ogrodem. Po południu, niewyspany jeszcze po uczcie kniaź, zasiadł do stołu, aby coś zjeść, ale apetyt mu nie dopisywał. Za to niezmiernie chciało mu się pić.

– Lasota, tyś widzę jak nowonarodzony. Cóż ty czynisz, żeś zawsze wyspany i jakoby nieskatowany nic a nic? – Dziwił się August rześkiemu jak poranek Lasocie.

– Zawżdy powtarzam, kubeł zimnej wody na głowę i to wystarczy – rzekł pouczającym tonem Lasota.

– Dziwy różne tej nocy przychodziły mi do głowy. Śniła mi się Elżbieta, jakoby pojawiła się w Wilnie, będąc chora na tę zarazę, przed którą żeśmy z Krakowa uciekali. Cóż to do diaska mogłoby znaczyć?

– Chyba to potemu, że goniec dziś znów przywiózł list od waszej panie małżonki. Oto on – i wyciągnął rękę, aby go podać Augustowi.

– Nie chce mi się go czytać Lasota. Sam mi go przeczytaj, albo przeczytaj i powiesz mi o co prosi nasza czcigodna małżonka. – I czekając na wiadomości popijał wino. W tym momencie do sali weszła Diana i pokłoniwszy się chłodno zapytała.

– Panie, czy macie jakoweś życzenie? – a widać



Tomasz Młynarczyk

było, że w najlepszym nastroju nie jest.
– Nie pani. Ciekaw jeno jestem, czy też macie się już lepiej? – Diana uśmiechnęła się od razu.
– Już dobrze się mam wasza królewska mość – rzekła wesoło. August zaś popatrzył na Lasotę czytającego list i po chwili rzekł do Diany. – Dostaliśmy dziś listy od naszej małżonki i od królowej, naszej pani matki. Dopytuje się w nim i o was. Pyta się, czy też litewskie powietrze wam służy.
– Jeśli łaska, to odpiszcie panie, że mam się dobrze – odparła z pokorą. Młody władca chwilę się wahał, aż w końcu zapytał.
– No, a ta wczorajsza niemoc? Jakże to wytłumaczycie?
– To jeno słabość jednego wieczora panie – odpowiedziała cicho.
– Zważając tedy na to oraz na dopytywania się o was naszej pani matki... – tu znów się zawahał. – Myślimy, że będzie dużo lepiej, jeśli wrócicie wraz z innymi paniami do Krakowa.
– Ależ panie, jakże to ? – mówiła zaskoczona, nic nie rozumiejąc z tego co do niej mówił.
– Tak będzie najlepiej – rzekł stanowczo. – A to dlatego, że za kilka dni udajemy się do Gieranojnów i wiele spraw czeka tam na załatwienie.
– Poczekam wasza królewska mość – rzekła błagalnie blednąc coraz bardziej.
– Nie potrzeba. My ruszamy gdzie rzekłem, a wy i tamte panie, wrócicie pod osłoną straży do Krakowa. Bo my zamyślamy tutaj dłuższy czas polować – wymyślał naprędce. – A wy raczej nie będziecie mogli nam w tym towarzyszyć. To wszystko. Idźcie odpoczywać, bo widzimy, że jeszcze was słabość męczy. – Tu Diana bezsilna wobec woli Augusta, pokłoniła się i bez słowa skargi wyszła z sali.
– I cóżeś Lasota wyczytał? – pytał zadowolony z tego, że tak łatwo pozbył się Diany.
– Nasza pani, królowa Elżbieta, dopytuje się o zdrowie pani Diany.
– Przestań kpić! Cóż jej miałem powiedzieć? Że mi się znudziła? Że czas najwyższy wydać ją za kogoś? – uniósł się książę.
– Czyżby koniec Diany di Cordona? – zapytał uśmiechnięty.
– Nigdy jej nie lubiłeś Lasota?
– Nie panie.
– Wiele jej zawdzięczam i po temu, chcąc jej to wszystko wynagrodzić, pragnę ją wydać za kogoś odpowiedniego. Myślę Lasota, że mi nie odmówisz? – zażartował kniaź.
– Panie! – rzekł przerażony, a August roześmiał się w głos.
– Nie bój się, to jeno żart. Ale za to poszukaj kogoś, kto by się nadawał. Wyprawę dam jej znaczną, bo na to zasłużyła. Ale gadaj, co tam w liście?
– Wasza panie małżonka wspomina, że już dwa miesiące mijają od naszego wyjazdu. Pisze też, że w Krakowie morowe powietrze minęło i można już wracać. Bo wasza małżonka panie, rada was już obaczyć.
August namyślał się chwilę, po czy rzekł.
– Napiszesz, że wiele spraw jest do osądzenia, gdyż wiele złego dzieje się na Litwie. Napisz, że do późnej nocy słuchamy skarg naszych poddanych o zbrodniach niektórych panów. Dodasz też, że stale pamiętamy i ślemy życzenia jak najlepszego zdrowia. I wyślesz jej Lasota jakieś perły, jako znak naszej miłości.
– Dobrze panie, jeno że perły tu drogie, a pieniędzy mamy coraz mniej. A pamiętacie panie, że podskarbi orzekł, że bez zgody ojca waszej królewskiej mości nie może rozporządzać skarbcem litewskim.
– Już niedługo będziemy w Gieranojnach, a tam będzie już co sprzedać po wojewodzie – oznajmił zadowolony.
– Zatem uczynię co potrzeba. – Gdy tylko wyszedł, przed Augustem stanął jego dworzanin Gabriel Tarło i oznajmił.
– Wasza królewska mość, przybyli Radziwiłłowie.
– Czy jest wojewodzina trocka?
– Tak panie, wraz z siostrą i matką.
– Lepiej być nie może. Zaraz ich przyjmiemy – i klasnął na Jerzyczka, aby go przebrał. W niedługi czas potem szedł do audiencyjnej sali zamku, gdzie oczekiwał przybyłych. Wkrótce straże przepuściły cztery osoby, które już od drzwi zaczęły bić pokłony.
– Radzi jesteśmy powitać przedstawicieli tak zacnego rodu – zaczął Jagiellon.
– Wdzięczniśmy wielce waszej książęcej mości, że ma w wielkim poszanowaniu nasz dom Radziwiłłów – podziękował Mikołaj Rudy Radziwiłł.
– W Krakowie oboje królestwo często wspominają sławetnej pamięci hetmana Jerzego, w trzydziestu bitwach zwycięzcę,



Erwin Policha

mając na względzie zasługi, jakie oddał naszym państwom. Samiśmy się usilnie wstawiali u naszej pani matki królowej, aby nie odbierać dóbr pani wojewodzinie po zmarłym jej mężu, wojewodzie trockim. I wszyscyśmy zgodnie uznali, że nie godzi się krzywdzić córy tak sławnego wodza. – Tak to August przypisywał sobie teraz starania o zachowanie dla wdowy po Gasztołdzie majątku, gdy w rzeczywistości całą tą sprawą zajmowała się wyłącznie Bona. – Wielkie składamy podziękowanie waszej książęcej mości – zabrał znów głos Mikołaj Rudy Radziwiłł i cała czwórka pokłoniła się przed Augustem na znak wdzięczności.

– Zapomnieliśmy jeno, z jakiego zacnego rodu na Litwie wywodzi się małżonka przesławnego hetmana? – zwrócił się do hetmanowej, Barbary Radziwiłłowej. Ona zaś uśmiechając się do niego odparła z dumą.

– Pochodzę panie z Małej Polski, z rodu Kolów. – August pojął, że skompromitował się nieco swoją niewiedzą, więc szybko zmienił temat.

– Widzimy też, że hetman pozostawił tak urodziwe córki, że i w Polszcze nie łatwo by było takie znaleźć. – I spojrzał przeciągle na ubraną w czerń wojewodzinę trocką, która ślicznie się do niego uśmiechnęła.

– Radziśmy panie wielce, że możemy podziękować za wstawiennictwo za naszą córką, bo już nam niektórzy chcieli wszystko zabierać – poskarżyła się Radziwiłłowa.

– Wszystko ostanie tak, jako zostało ustanowione i potwierdzone przez naszych rodzicieli – zapewnił hetmanową, a po chwili znów się do niej zwrócił. – Nie dziwota, że córki tak urodziwe, skoro sama matrona nie jednemu mogłaby jeszcze zawrócić w głowie. – Radziwiłłowa na te słowa zawstydziła się i nabrała rumieńców. Niespodziewanie, głos zabrała Barbara.

– I ja sama z osobna chciałabym wyrazić wdzięczność i prosić waszą książęcą mość o rychłe odwiedzenie naszej siedziby w Gieranojnach.

– Chcemy was pani zapewnić - rzekł patrząc jej w oczy - że po odbyciu wszystkich powinności nie omieszkamy skorzystać z zaproszenia. – Tu cała czwórka zrozumiała, że to koniec audiencji i po oddaniu pokłonu wyszła z sali. August zaś aż odetchnął. – I cóż Lasota rzekniesz?

– Wasza królewska mość to zaraz po śmierci do raju trafi. Troska się o panią Dianę i o wojewodzinę trocką.

– Zamilcz wesołku. Widziałeś jacy są mi wdzięczni, a co dopiero później. – Tu wstał i zbliżył się do okna wychodzącego na dziedziniec. – Cóż z wdowami jeszczem nie miał do czynienia.

– Patrzyliście panie jeno na wojewodzinę, a jej siostra Anna zerkała jeno na was.

– Mniemasz, żem się tak bardzo zapatrywał?

– Jeśli nie na wojewodzinę, to zapewne na jej matkę hetmanową.

– Jeszcześ dzisiaj nic mądrego nie rzekł – skarcił go kniaź.

– Uczę się od was panie, zatem jutro może cosik mądrego powiem – żartował dalej Lasota.

– Lepiej każ wezwać tego drugiego Radziwiłła, skoro czeka na posłuchanie.

Wkrótce pojawił się Mikołaj Czarny Radziwiłł, którego August przyjął w sąsiedniej, mniejszej sali.

– Wybaczcie panie, że bez mego brata podczaszego, ale go niemoc ogarnęła po

uczcie wczorajszej – zaczął od razu Radziwiłł. Wielki książę zaś siedział przy stole i popijał wino, jako, że pragnienie wciąż go wielce męczyło.

– Rozumiemy to dobrze – odparł mu August i zaproponował. – Nalejcie sobie, bo straszna dziś duchota. – Wówczas Radziwiłł ochoczo sięgnął po trunek.

– Dzięki panie! – I nalał sobie w złoty pucharek aż po brzegi.

– Nie zmieniliście się wiele, od naszego ostatniego pobytu na Litwie.

– A wasza książęca mość owszem. Widać w was panie prawdziwego władcę – przypodchlebiał się Radziwiłł.

– Pomogłeś mi waszmość wczoraj, a ja nie zapominam o oddanych mi przysługach. – Radziwiłł tylko się uśmiechnął. – Wiele urzędów czeka na obsadę i postaramy się o to, aby i wam coś się dostało – rzekł obiecująco kniaź. – Pani nasza, królowa Bona, wielce mi nie przychylna... – oznajmił niepewnie.

– Ale to my niedługo będziemy rządzić na Litwie.

– Miarkuję panie, że fortuna mi sprzyjać zaczyna.

– Posłuchaj zatem panie...

– Wasza książęca mość może mi mówić, jeśli jeno zechce, po imieniu – przerwał mu szybko Radziwiłł. – Dobrze panie Mikołaju. Podoba nam się na Litwie, jeno czujemy się tutaj wielce samotni... – Tu spojrzał uważnie na Radziwiłła i dokończył. – Potrzebny nam powiernik.

– Rad bym nim zostać.

– Jeno, że oddany, słyszysz?

– Nie znajdziesz panie nikogo bardziej oddanego niźli ja – zapewnił z zapałem Czarny.

– Zatem dobrze. Pamiętajcie panie Mikołaju, że pokładamy w was wielkie nadzieje. Wiecie, że podskarbi i kanclerz, jako i inni, to ludzie oddani naszej pani matce. A i reszta nie jest nam zbytnio przychylna, poprzez działania naszej pani matki i ludzi jej oddanych.

– Wiem o tym panie.

– Znacie dobrze Litwę, lepiej niźli kto inny... I potemu liczę na was. – Teraz popatrzył na niego surowo i mówił dalej. – Waszmość jesteś bratem stryjecznym wojewodziny trockiej. Wiesz co mam na myśli?

– Łatwo się pomiarkowałem – przytaknął znacząco – po tym jakoście wczoraj panie na nią patrzali.

– Widzę, żem dobrze wybrał – rzekł zadowolony. – Myślałem o waszym bracie stryjecznym, ale to przecie rodzony brat pani wojewodziny i mógłby mi odmówić.

– Wasza książęca mość dobrze rozumuje – podchlebiał się Radziwiłł.

– Radziśmy bliżej poznać wojewodzinę Barbarę, jako, że wielce mi się upodobała. Zapewnić was pragnę panie Mikołaju, że nie zapomnę o was jak już obejmę rządy na Litwie. A rychło się to zapewne stanie. Skorzystacie wy i cały dom Radziwiłłów.

– Duszą i ciałem stanę za wami panie, choćby mi i do piekła iść przyszło – rzekł żarliwie.

– Nie frasuj się waszmość, bo tam wcale mi nie spieszno. Pojedziesz z nami do Gieranojnów i pomożesz kaptować ludzi do naszego dworu, bo mam przy sobie jeno paru dworzan. – Do waszych usług panie – i pokłonił się głęboko z zamiarem odejścia, został jednak zatrzymany.

– Mam jeszcze jedno pytanie... Wiadomo mi od jednego z dworzan, że wielu jest chętnych



Paweł Żochowski

do ręki wojewodziny trockiej...
– Wasza książęca mość ma dobre wieści. Jeno, że ostatnimi czasy ostał się jeden, który odstraszył innych.
– Obiecano mu może, że pani wojewodzina będzie jego? – zapytał z niepokojem August.
– Zełgałbym panie gdybym zaprzeczył. Brat jej Rudy przyzwolił na ten ożenek i czekają aż przejdzie żałoba. Ponoć ma być mu oddana w Narodzenie Pańskie. – August tylko zmarszczył brwi i zaraz zapytał wprost.
– Nie można by temu przeszkodzić?
– Trudno będzie panie, bo on jeszcze za życia wojewody Gasztołda wodził wzrokiem za Barbarą. Ponoć ją po pijaku wygrał w kości od wojewody trockiego.
– No, ale wojewodzina to pierwsza partia na Litwie i można by mu zapowiedzieć, że nie jest on jej równy stanem – zaproponował kniaź.
– Obawiam się panie, że to nie będzie możliwe. – Teraz August się wyraźnie zdenerwował.
– Któż to jest do diaska, że mu nie można odmówić? – wrzasnął.
– Grzegorz Ościkiewicz, wojewoda nowogródzki.
– Zatem macie rację, to nie może być przeszkodą. Jeno mniemam, że mi panie Mikołaju doradzicie jakoweś wyjście z tego?
– Na pewien czas dało by się to wszystko odwlec – i uśmiechnął się poufale do kniazia.
– Mówcie! – rzekł niecierpliwie August, ale widać było, że humor mu wraca.
– Za parę niedziel ma wyruszyć wielkie poselstwo litewskie do Moskwy. Można by tam właśnie wysłać pana Ościkiewicza. – Wielkiemu księciu od razu przeszła cała złość i teraz sam nalewał wino do pucharka Radziwiłła.
– Przednia to myśl! Widzę, żem lepiej wybrać nie mógł. Każę też wam wypłacić pięćdziesiąt czerwonych, abyście poszukali mi nowych dworzan.
– Dziękuję waszej książęcej mości i już idę czynić co potrzeba, bo czas nagli.
– Spokojnie panie Mikołaju, wino jeszczek ostało. – I zadowolony z przebiegu rozmowy wypił wszystko co miał w pucharku i pusty nadstawił Radziwiłłowi, aby ten napełnił mu go na nowo.

cdn.



IGOR KOCHANOWSKIJ

Babie lato

Klony znów malują wszystko
I kolory kradną kwiatom
To już blisko, to już blisko
Babie lato, babie lato

Czemu liście więdną pytam
Czemu nie ma na to rady
A ja tak jak liście chwytam
Nasze daty, nasze daty

Po wariacku pokochałem
Bardzo lekkomyślne dziewczę
Ale takiej jej szukałem
Ani gorszej, ani lepszej

I popadam w dziwne stany
Noc mi siostrą, księżyc bratem
No i chodzę wciąż pijany
Babim latem, babim latem

I zupełnie tracę głowę
Dnie i noce tracę za to
Za to złote, purpurowe
Babie lato, babie lato

(przekład Adam Świć)

MINIATURY



© Dariusz Hankiewicz



ANDRZEJ WILBIK*

Sen

Tu górka, tam dolinka, laski, rzeczki i jeziorka w pełni wiosny kontempluję z lotu samolotem. Dobry ze mnie pilot. Wprost pławię się w przestworzach na różne sposoby i techniki. Ale maszyna zawodzi. Zaczyna rzęzić, prychać, kichać i o zgrozo wali w dół. I co gorsze, nie budzę się nawet, gdy z oszałamiającą szybkością uderzam w ziemię. Zginąłem ? Nie-żyję. Wygrzebuję się spod resztek maszyny i zaczynam coś z niej modzić . Wokół mnie zgromadził się tłum i rechocze szyderczym śmiechem. Ale w miarę postępu pracy zaczyna pomrukiwać niezadowolony. A gdy wyłaniają się kontury nowego pojazdu, pomruk przechodzi w gniew. Jeszcze moment i... praca zakończona. Jest to rakieta. Wsiadam do niej. Gawiedź pulsuje nienawiścią, grozi pięściami i... strzela z procy. Odlatuję. Ale jestem też na ziemi. Grożę pięścią, strzelam z procy. Wściekłość nasza sięga zenitu. A z rakiety spadają ulotki. Chwytam jedną z nich i czytam:

„Ja mam serce i szukam serca"

Budzę się na furze pełnej gnoju. Właśnie mądra szkapa dowozi mnie na miejsce.

Zaraz będę użyźniać ziemię.

Samobójca

Blisko północy pełen pogardy do świata i zachowania żony wyrwał z chałupy. Listopadowy ziąb z łatwością przenikał marynarkę. To nic. Jedyna myśl królowała mu w głowie: Skończyć ze sobą. Tylko jak? Powiesić się? Rzucić pod pociąg? Nie – to takie nieestetyczne...

Napić się i zasnąć na zawsze nad ulubioną rzeką. To jest to... Przytaknął sobie zadowolony z pomysłu.

Sięgnął do kieszeni – próżnia... U pani Heni wezmę litr na krechę – zaradnie... postanowił. I zdecydowanym krokiem ruszył realizować zamiar. Był na moście, gdy



Agata Salwa

ochrypły głos:

– Hej ty! Daj na szluga! – kazał mu się zatrzymać. Nawet nie zdążył powiedzieć, że nie ma, bo oberwał czymś twardym w głowę. Kopniaków już nie czuł. Obudził się... w lodowatej wodzie. Tonę uświadomił sobie ze zgrozą. Ogarnęło go zwierzęce pragnienie życia. Z zaskakującą energią dopłynął do brzegu. Sprintersko dotarł do domu. W łóżku popijał podaną przez żonę herbatę z cytryną i rozważał z żalem:

– Dlaczego przegapiłem taką szansę...

Lot

To ci było wesele.

Byłem już taki..., że z fantazją wdrapałem się na stół. Skąd ogromną siłą woli ustabilizowawszy jako tako ruchy ciała krzyknąłem: – Cisza!

A gdy cała ekipa biesiadna zamarłą w ciekawskim oczekiwaniu, jeszcze głośniej ryknąłem: – Frunę!!

I rozłożywszy jak ptak ramiona- zleciałem na podłogę. To ci było wesele. Innych lotów w swoim życiu niestety nie przypominam sobie.

Józio...

* Wyróżnienie w I edycji turnieju literackiego "Chichot Chimery" (2007).



NATALIA RUSIECKA

***

Zawołaj mnie,
Odezwę się zamiecią
I mroźnym wiatrem,
Zimą bladą.

Odszukaj mnie,
Tam, gdzie śnieżyca miecie,
Jakby na świat ten
Welon spadał.

Wciąż czekaj mnie
Godziny: dnie i noce.
Oczekiwanie
Lepsza pora.

Pokochaj mnie...
Nabiera grudzień mocy,
Wracam z oddala
Zaśnieżona.

(przekład autorski)

***

chcę być drzewem
abyś tulił się do mnie
moje gałęzie
głaskał ciepłymi dłońmi
abyś stał przy mnie
nie wiedząc
że jestem drzewem
które cię darzy
swoją miłością
i cieniem

(przekład autorski)

***

kocham
konam
i zmartwychwstaję
i znów poznaję
miłość taką
której nie chcę
zawodzi serce
wtedy umieram
żeby nic nie czuć
zapomnieć
nie być
lecz siła miłości
przywraca mi życie
odżywam
i znów cię kocham
na oślep

(przekład autorski)

***

boso iść
po białych obłokach
z waty
stąpać śmiało
zanurzać się aż po kostki
przyjść
do ciebie
ciepłym
wilgotnym rankiem
z zaparzonym
w glinianym kubku
ostatnim dniem lata

(przekład autorski)

Isłocz. Sierpień

Wybiegłam na spotkanie świtu
przerwałam sen zmęczonej wody.
I nikły w głębiach jej błękitu
ślady moje

A ty się nigdy nie spieszyłeś
gdy tak pragnęłam objęć twoich,
i nawet cienia nie dostrzegłeś
śladów moich

(przekład Beaty Siwek)

***

na cienkich gałązkach klonu
niczym na huśtawce
kołysze się wrona
i marzy o słońcu
nagie ręce drzewa
nie osłonią jej od śniegu
który wciąż
sypie się z nieba
wrona rozkołysana zawieją
jak na huśtawce siedzi
i marzy o słońcu

(przekład Beaty Siwek)



JUSTYNA PAŁKA

MNIEJSZA, MNIEJSZA, MNIEJSZA...

Nie krzycz, nie krzycz – ja słyszę. Krople spadały miarowo. Huk, nie wiem, gdzie jestem, wcale nie znam tego miejsca, choć żyję tu zawsze. Niebo ciemne jak zwykle. Wszystko tak samo, tylko powietrza jakby mniej. W aurze zapach snu i konwalii, których nie znałam. Myśl obłoczna snuje się leniwie nade mną. A może tylko szept samotności? Nigdy nie byłam w niebie. Nigdy nie byłam w piekle. Trwam w zawieszeniu. Uczę latania motyle. Czasami, gdy mam gorszy dzień, uczę je płakać. Podobno słyszę i czuję, ale nie wiem czy to prawda. Niektórzy tak mówią. Jestem jeszcze idealistką, więc kocham się w ćmach. Bardzo chciałabym zachować szacunek i strach. Kto wie, może po prostu kiedyś zakłamię moje człowieczeństwo? Ot tak – dla zabawy. Podobno je mam, ale nie wiem czy to prawda. Niektórzy tak mówią. Znikam, jestem coraz mniejsza, mniejsza, mniejsza... Kiedyś będę bardzo potrzebna! Będę – wiem to, bo czuję, mimo że moje serce ma wadę. Będę robić coś wzniosłego! Ale teraz znikam, jestem coraz mniejsza, mniejsza, mniejsza...

*

Pacjentka krzyczała ostrym, rozdzierającym głosem. Teraz cisza huczy. Zabieg się udał, tak – wyjątkowo udany. Zdejmę jednorazowe rękawiczki, wyrzucę niesterylne już ubranie. Nie lubię takich zabiegów. Nie lubię tych zabiegów. Boże, jak ona krzyczała. To nic, zagłuszę jej krzyk całą orkiestrą symfoniczną. Dzisiaj. Nie będę czuć, nie będę myśleć. Wchłonę partię skrzypiec, wtopię się w słonie fortepianu, popłynę rzeką pięciolinii... Dzisiaj. Jutro badania, musi się udać. Blastula, gastrula, embrion, zarodek, płód – nie ważne! Byłoby kobietą. Nie wiem skąd wiem. Byłoby. Na sali czułam konwalie, sprawdzę – tego zapachu nie powinno tam być! To strefa sterylna! To nie XIX wiek!



Dariusz Hankiewicz

Wciąż słyszę jak tamta krzyczy. Oby do filharmonii. Beethoven zagłusza skutecznie. Zabezpieczę materiał i do domu. Dzisiaj. Blastula, gastrula, embrion, zarodek, płód – nie ważne! Byłoby kobietą, będzie sercem pana M.

**

Pobudzić węzeł zatokowo-przedsionkowy! DONE. Przepchnąć krew do komór przez otwarte zastawki! DONE. Pobudzić węzeł przedsionkowo-komorowy! DONE. Hiss i Purkini na stanowiska – skurczyć komory! DONE. Otworzyć półksiężyce – aorta gotowa do przyjęcia transportu? DONE. Teraz mam fajrant. 0,4 sekundy. Relaks, czekam na transport z żył i płucnej, potem wrócę do pracy. Dzień trwa średnio 0,8 sekundy. Połowę przepracowuję, połowę odpoczywam. To uczciwy podział. Pracuję non-stop. Nie mam w umowie przewidzianych wakacji, nie mam urlopu, nie mam świąt. Nie mam też zwolnień na uroczystości rodzinne, bo nie mam rodziny. Rutyna, nuda, pasja odpowiedzialności. Czasami zdarza mi się oszukać bossa. Jeśli produkuję atriopeptynę, pozwala mi zwolnić tempo. To skomplikowana zależność,

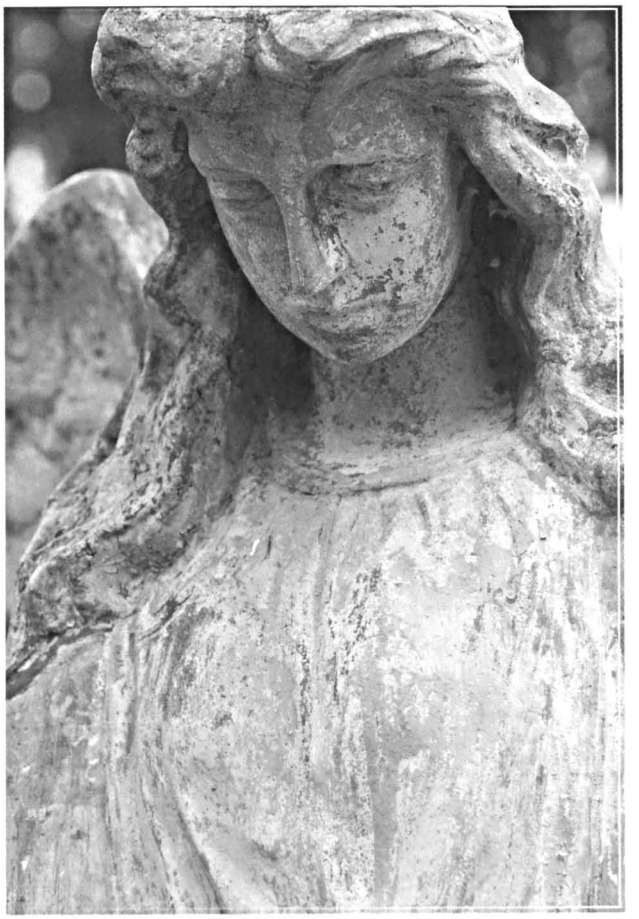
ale działa. Wtedy staram się przypomnieć sobie zapach konwalii i motyle. Nie mogę rozmawiać. Musze pracować. Teraz jestem sercem, chociaż nie wiem co to miłość. Prawdziwie znamy to, czego dane nam było doświadczyć. Wiedziałam, że kiedyś będę bardzo potrzebna! Że będę robić coś wzniosłego! Pobudzić węzeł zatokowo-przedsionkowy

***

Beethoven zagłuszył ją skutecznie. Piękny koncert, kwiaty, owacje. To takie banalne...! Byłam w filharmonii 8 razy, już jej praktycznie nie słyszę. Właściwie to powoli zapominam. Zawód jak zawód. Bardzo dobrze się stało, bardzo dobrze. Wszystko się powiodło, ona ma względnie normalne życie, pan M. względnie gotowe serce, ja mam bezwzględne wyrzuty sumienia, które podobno kiedyś zabiłam. Znów słyszę jej krzyk. To nie była moja wina, to nie była moja wina, TO NIE BYŁA MOJA WINA!!!

****

Kiedyś miałem piękne imię, ale już go nie używam. Szydercy! Byłem kiedyś tam, gdzie wy nigdy nie będziecie. Nie przedstawię się, bo wolałbym się nie nazywać. Przeszłość miałem piękną i długą białą suknię. I miecz u pasa, a szlachetność w oczach. Tak Miałem wzniosłe cele. Chciałem być Aniołem Stróżem. Szef przyjął moją kandydaturę, co nie było wcale takie proste, ale nie opowiem wam jak wyglądają formalności. Dostałem jej księgę do przestudiowania. Czytałem 8 godzin gwiezdnych, ale wy nie rozumiecie tego czasu, nie wiecie, jak się go nalicza. Dowiedziałem się, że będę musiał opuścić Zastęp Serafinów, ale nie obchodziło mnie to. Cóż wyczytałem? Że dano mi osobę nie byle jaką, o nie! Była bardzo potrzebna, miała robić coś wzniosłego! Gdyby żyła wynalazłaby szczepionkę na AIDS. Rozpoczęła się szybko na łące pełnej konwalii skończyła szybko na sali pełnej jasności. Byłem wściekły, to znaczy chciałem. Dziś w uproszczeniu mówię, że byłem, bo wtedy nie wolno mi było nienawidzić. Wiem, że pan M. przeżył. Za dwa lata dostanie Nagrodę Nobla, bo „odmieni losy ludzkości". Jeszcze o tym nie wie na pewno, ale zdaje sobie mgliście sprawę z tego, że udało mu się okiełznać siłę atomową. Teraz prowadzi badania potwierdzające. Wiedziałem od dawna, bo czytałem jego księgę zaraz po tym. Miało mu się to udać 5 lat po transfuzji. I udało się – dziś mija 1826 dzień od operacji. A ja przeszedłem do konkurencji, bo chciałem bólu, bo chciałem nienawiści. Kilka razy mściłem się na lekarce, wciąż słyszała tamtą kobietę. Ale znudziło mnie to. Pierwsza fala furii jest najgorsza. Kumple mówią, że się upodliłem. Możliwe, bo życie nie jest już takie różowe.



Tomasz Młynarczyk



Axis Art Project



WŁADIMIR WYSOCKI

On nie wrócił z boju

Czemu wszystko nie tak, chociaż ten
który znasz
świat się wcale na twarz nie przewrócił.
Zwykłe niebo, powietrze i woda i las...
Tylko wczoraj on z boju nie wrócił.

Teraz nie wiem już sam kto z nas dwóch
rację miał
gdym się ciągle po nocach z nim kłócił.
Ja bym dzisiaj się bardzo pokłócić z nim
chciał,
ale wczoraj on z boju nie wrócił.

Czasem milczał jak grób, czasem mówił
przez sen,
czasem z lekka fałszując coś nucił.
I nie dawał mi spać ledwie zaczął się dzień.
Tylko wczoraj on z boju nie wrócił.

Że mi tutaj go brak, co tu gadać, to fakt.
Zawsze był kiedym głowę odwrócił.
To jest tak jakby skry w duszy zgasił ci
wiatr
kiedy wczoraj on z boju nie wrócił.

Teraz wiosna na świat wyleciała jak szpak
i niewiele brakuje bym rzucił:
„Chodź zapalić..." a tu wokół cicho jest
tak
no bo wczoraj on z boju nie wrócił.

Nasi martwi tu są, idą z nami krok w krok
i choć padli o nasze drżą życie.
Lustrem nieba jest las kiedy zbliża się
zmrok
no i drzewa tu stoją w błękicie.

I w ziemiance za dwóch dobrze gniło się
nam,
czas na dwóch prószył srebrnym swym
pyłem.
Tylko czemu tak jest, czemu myślę, że
sam
z boju wczoraj jak on nie wróciłem.

Ona była w Paryżu

Przepadłem, nie ma co,
zamykam oczy, widzę,
przepadłem, nie ma co,
choć wiem, bo siebie znam,
że gdzie tam do niej mi...!
toż ona była w Rydze
i z tego co ja wiem
nie tylko zresztą tam.

Śpiewałem pięknie jej
o tundrze i o tajdze.
Myślałem: jeszcze dzień
i przejdę z nią na „ty".
Na darmo był mój śpiew
o strefie neutralnej,
bo ona w nosie ma,
że tam zakwitły bzy.

Śpiewałem jeszcze też
o Krymie, bo to bliżej
i o tym, który był
z nią wcześniej jakiś czas.
A cóż tam do mnie jej...!
gdy była tam w Paryżu
to sam Marcel Marceau
zagadnął do niej raz.

Rzuciłem dla niej fach,
choć, fakt, nie miałem prawa.
Języków uczę się
przykładnie dzień po dniu.
I cóż tam do mnie jej...!
toż ona już w Warszawie.
W słownikach grzebię wciąż
i brak mi do niej słów.

Gdy wróci powiem jej
po polsku: „Proszę pani,
śpiewanie skończę już,
bierz jaki jestem mnie."
A gdzie tam do niej mi...!
toż ona już w Iranie.
Nadążyć za nią, cóż,
po prostu nie da się.

Bo ona dzisiaj tu,
a jutro gna do Hagi.
Problemy same mam,
przepadłem, nie ma co.
Ten, kto z nią wcześniej był
i ten, kto się pojawi
- niech oni martwią się.
Przeczekam lepiej to.

(przeklady Adam Świć)



ADAM CZAJCZYK

LATAWCE

Ma włosy, oczy i usta. Opis tak samo dobry, jak każdy inny, bo czy istotna jest długość tych włosów, kolor oczu i smak ust? Czy ważny jest delikatny ton ironii pobrzmiewający w głosie, albo ten eteryczny, elektryzujący dotyk dłoni, niby przelotny, niby przypadkiem, a przecież w bruzdach mojej pamięci odcisnął się nieścieralnym śladem...

Zapewne, gdybym jedynie minął ją na ulicy, pamiętałbym tylko zgrabne nogi i twarz anioła. Gdybym ją minął na ulicy...

Tymczasem, na niebie smugi szarości zwiastują deszcz. Chowam się więc w azylu dla potłuczonych emocjonalnie i życiowo, gdzie tak jak co dzień prawie uciekam od świata w lekko złocistą otchłań i szarą mgłę.

Jest dzień, a może noc. Jest głośno, może cicho. Jest pełno, może pusto, a tutaj od lat mój stołek wciąż ten sam. Te same twarze, te same myśli. Zamykam oczy. Głęboko wdycham dym taniego papierosa. Powoli w mojej głowie pojawią się muzyka. I nagle, na tym samym niebie, przed którym właśnie się ukryłem, znikąd wyłania się latawiec. I jeszcze jeden, i jeszcze drugi...

Przez chwilę, krótką, niezauważalną chwilę, wyobrażam sobie, że ona siedzi obok. Że jest tylko moja. Tylko dla mnie. Powieki zaciśnięte i serce bije. Nie ruszam się, nie oddycham. Nie chcę spłoszyć tej chwili.

Dopóki sił wystarczy, będę pamiętał to spotkanie, które się nigdy nie zdarzyło. I odblask słońca w jej oczach, który przywrócił mi chęć do życia.

Na niebie wciąż latawce, ale nie będę Cię szukał. Wolę pamiętać. Wolę żyć...

Lublin 2007



Tomasz Młynarczyk



KAMILA PAWLUŚ

gołąbek (nie)pokoju

- co wieczór gołębie skaczą z dachu i pikują pionowo: orientacja na chodnik,
potem ostry zakręt. wyścigi samochodowe z piórami za kierownicą.

- ratlerek sąsiadów rzuca się na buldożer. że taki duży i szczeka.
szufla maszyny wycofuje się z zakłopotaniem.

- muchy obsiadają uchwyt kijka, lepki od potu. próbuję je strącić
i chwycić kijek. trzydzieści much ma moje machanie w nosie.

czy już możemy przejść do pointy - prosi czytelnik, niecierpliwiąc się
przy siódmym wersie wymyślanego wiersza. ale nie będzie pointy, bo przecież
natura ma zawsze rację i głu-ptaki, dzień po dniu, odnoszą swoje małe zwycięstwa.
niektórzy nawet uważają, że to inwazja: pierzaste stworzenia, z gatunku
Columbinae, opanowały już rynki wszystkich większych miast. poruszają się
hordami i strzelają
z białej amunicji. inwigilują z parapetów nasze wyolbrzymione życia. a kiedy
Gargantua
i Pantagruel rozmyślają o miłości, gołąb przygląda się im swoim koślawym
oczkiem.

DODO, czyli wiersz nielotny

z natchnieniem lub bez, do
tykanie tego niebezpiecznego materiału. wężowa skóra przymusu
ślizga się między palcami. czy będzie z tego torebka wiersza?

z natchnieniem lub bez, do -
niesienie dobrej nowiny lub brzemienia słowa.
dopytujesz mnie w rozmowie, jak wiąże zaprawa
i czy to nie wstyd budować
świątynię niczego. patrzę do siebie: do nieskończoności daleko.
zdejmuję rozpacz. zdejmuję rozpacz
i zakładam chomąto.

z natchnieniem lub bez, do -
konanie miłości. w końcu gramatykę westchnień
odtwarza się co dnia. czy możecie mi to wybaczyć, z natchnieniem lub bez, do -
chodzę do miejsca, które się nazywa: spełnieniem,
lecz więcej wspólnego zdaje się mieć
z pełnieniem obowiązkowego dyżuru ekstazy.

z natchnieniem lub bez, do -
pisywanie tych słów, wyzywająco. prostytucja wierszy - to niełądnie tak
sprzedawać sens. a jednak wierzycie
mojej domyślonej podwiązce.



TOMASZ ROLKO*

Mój kolega od życia

Stąpam śladami mistrzów, lekko zachwiana moja duchowa egzystencja. Człowiek rozumny? Tak to ja, myślę i nic nie jest mi obce ,może tylko moja mroczna strona duszy. Przezywam Jego imię, nie odpowiada, jakby sam a dźwięczny, jakby z kimś a czujny. Z otchłani moich myśli wychodzi Pan lekko ubrany, jego czar, nie prysł, błyszczy i utrwala w natchnieniu. Jest tam gdzieś pośród chmur Syn Boży i jestem ja syn ojca- nie Bożego, lecz człowieczego. Wszystkich i wszyscy ku radości pochwalon. Łzy widzę na co dzień, lecz cóż to wobec moich uniesień, gdy z Absolutem jestem na ty. Mój kolega, nie, nie, nie od piwa lecz od życia, od trwania, od pojmowania, od wiary, od wszystkiego. Poświęcam mu mało czasu, ja to wiem, lecz co może być silniejsze od duchowego-muzycznego katharsis? Tylko on w podzięce dziękuje za wszystko za dobre i złe chwile, za upadki szczególnie, gdy odbity od dna, poświęciłem mu serca drogi. Chwilami zadumy jestem bliski, ale jednocześnie daleki, dlatego, że człowiek i nic po za tym w martwicy rozporządzeń, układów. Blisko, lecz dalej, dalej za tysiącami jezior, za milionami myśli. Silę się ze sobą, czuwam i chłonę, chłonę. Bo On jest potęgą.

Boże coś ujawnił

Boże coś ujawnił Adama serce i duszę. Co z żebra Ewa i kielichów zadośćuczynienia grzechów słowa. I z planu wieczystego istota istocie nierówna, choć także mająca celu posłanie i trwać w kwieciach muz przybrzeżnych to życia zasiany dar niebios. Celu przybranie to z wieków w wieki postawy snucie i przy równomiernym rozkładzie dobra marzeń zabranie głosu w dniu przyzwoitych nakładaniach aureol. Mroku poznanie to z drugiej strony, diabła wiara w unikających cnót boskich posiadaczy pyszności. W krzywych zwierciadłach czasu, baranka złożenie ku pomocy świętości i szybkim rozwiązaniu spraw. Modlitw godziny, spóźnionych pokłonów stosy. W sercach czyści w myślach prześladowani ku oddechom światła i świata. Gdzieś drzewo i mogło i było i prosiło wężom śladów pomocne. I jabłko i mogło i było i czystością kuszony i wielkością zbłądzony. Myśli wieczne nie karzą, kusicielom pomocne odizolowanie świętości, bo przecież nic złego, bo przecież wszystko i my. Ona zerwała kosztem budzących praprzyczyn snu. Śniło, lecz złem przesiąknięte myśli nakazały przyodziać, wstydem naznaczone zerwanie chwiało ufnością i okazaniem niebios ku posłuszeństwu. Nic nie wyszło, jedynie marne smakowanie owoców płaszczyzną.

I ze snu gdzie wszystko i nic, coś przyszło w wiatrach poznaniu i chwilami zimnymi w podzięce ten co pełzał, śmiechem odwzajemnił pobrudzone usta grzechem. I śmiał się śmiać długo i przeraźliwie, bo wiedział, co będzie i co jest, tak chciał i tak się stało. Panowanie wolne miało czas się urzeczywistnić w wieku wojen i tragedii. Boże coś ujawnił ich grzech, dlaczego poznanie dobra i złego każe się wolną wolą? Burzowych chmur gromy jedynie cieniem były w początkach wypędzenia i naznaczeniem stałości umierania. Chorób zarazy, dusz wieczystych stąpaniem, odgrywały rolę w teatrzyku sinych marzycieli. I poszli, nie przyszli lecz zjawili i umierali rozmnażając potęgę zwierzęcia.

* Wyróżnienie w I edycji turnieju literackiego "Chichot Chimery" (2007).



RAFAŁ DERDA

człowiek który był w częstochowie i jeszcze gdzie indziej/piątek dwunasta

na tej fotografii jest człowiek z częstochowy
choć jest jeszcze na innym które wykonano

w zupełnie innym mieście o tej samej porze
w innej części kraju choć to ten sam człowiek

co łatwo da się sprawdzić porównując aurę
bo każdy przecież ma aurę tak mi powiedziano

tak ojciec jarka mówi choć ja o to nie pytam
nie będzie to dla mnie żadnym z aksjomatów

ja chcę tylko wiedzieć czy widział pan dziś syna
czy wie pan gdzie pański syn panie władysławie.

sobota dwunasta

był taki moment nie wiem czy warto mówić
nie wiem czy warto mówić w ogóle

ale był dzień kiedy przyszła viola
i słuchaliśmy einsturzende neubaten

czyli gruzy wciąż budowane na nowo
i był taki moment kiedy viola wyszła

bo chciała zapalić i wzięła mnie ze sobą
a ja nie miałem siły totalnie nielegalny

zawieszony pomiędzy piątkiem a niedzielą
wiec dałem się ponieść na ogródek szkolny

gdzie zobaczyłem tych samych żołnierzy
walczących w tej samej wojnie co ja dziesięć lat wcześniej

zbierających pociski z tej samej czereśni
w tym samym budowanym na nowo gruzie

jak to się nazywa? historia zatacza koło?
mielące wszelkie okruchy życia koło?



ZYGMUNT MAREK PIECHOCKI

***

Moje
pokraczne życie
weszło w wiek emerytalny
kiedy to
rozumienie świata
jawić się winno
jak poranek

Ale nie

Nadal zwątpienia
i
czekanie

***

Jeszcze ośnieżonych
szczytów Grenlandii nie widziałem
ani też zachodu słońca
na Płaskowyżu Tunguskim

Nie dane mi było
wpinanie bomu spinakera
na Morzu Karaibskim
i podziwianie zorzy polarnej
na Przylądku Północnym

... a Ty Ptaku Miasta
nie wiedziałeś jak tańczę
wokół ogniska
rozpalonego na tym skrawku Ziemi
który mój
jak tańczę pośród płomyków zniczy
w tajemne znaki rozstawionych

I nawet nie wiem czy to ja
może to tylko duch mój ogień i
Ziemię okrąża
nocą z więzów wyzwolony





Mirosław Koczkodaj



MARIANNA BOCIAN

ciągła odsłona

oto znów nadciąga powoli pora
przedwieczorna
pełna majestatycznej ciszy jaką zawierają
dojrzewające w słoneczności zboża

nie jest to pora
w której przeminęły światła Poranku
zaistnienia
wzburzone jak huczący Ocean głosy życia
oto teraz dopełniają się w przemianach światła
nieodsłoniętej w jej pełni Potencji

miłość

nie jesteś mi dany do pocałunku
opasuję twoje życie wzrokiem
-- to czysta miłość
zrodzona z bólu olśnienia

jestem obok ciebie jak anioł
z odrzuconym ciałem kobiety

możesz obdarzyć mnie swoją męką
bo dojrzała miłość ma siłę
ten stan
przyjąć darem

jest spełniona
bez pustoszenia ciał pocałunkami

jest taka bezkresna miłość
która ciała wyklucza
nie rani
nie oślepia
jest jak jaskółka
która czas rozwesela

zakochani

dwoje odgrodzonych od reszty świata
w potrzasku jak więźniowie w celi
najwspanialej okradają Boga z miłości
-- to wszystko będzie im wybaczone --
jeszcze więcej będzie im przydane
ucztowały wiecznością ciała
nie może tu być żadnej mowy
o grzechu!
o reszcie mówić
wieczność zabrania

nad kochankami zaciąga wartę
sześcioskrzydły cherub
z opaską na oczach

***

W dżungli naszych ciał trwa pościg dwu bestii,
nagich, bezradnych wśród obiegów krwi.
Ucieczka w głąb ciała
to wejście bezlitosne na wrogie pozycje,
z których rozpacz wyprowadza nas czule
wśród skowytu.

W dżungli naszych ciał trwa
pościg dwu bestii. Zmęczeni, ociekający potem
mówimy
- kochany
- kochana.
Jest to jedyne przebaczenie morderczego
pościgu i rozgrzeszenie uległości.
Zasypiamy. Ponad snem tylko dwie bestie
dorastają do skoku

wśród śmiertelnej dżungli ciał.
Jest to bezprawie, na które godzi się bez nas
nasza krew, by trwać.
Nie my - bestie są nieśmiertelne!

macierzyństwo

stanęła na wysokości świetlistego rozumu
stanęła na wysokości której nie znają
wszelkie określone wysokości
podając Dziecku Pierś nabrzmiałą mlekiem
bez czego żaden bóg nie byłby Bogiem
przeszłość teraźniejszością i przyszłością
a poeta poetą

Gloria tworzenia

nawet pustynie wydają w swym wnętrzu
żywe piękno
tworząc własną różę - różę pustyni

dedykacja

Tym, którzy zostali poczęci w światłach
wiecznej Nocy
i odczuwają już uroczystą ciszę ziemi
oczekującej;

tym, którzy urodzili się w Dzień odejmowany
od życia
dla których noc jest kołyską jeszcze
słonecznego snu

święty dar

jeszcze jedna nieprzenikniona noc
z księgi Życia i Śmierci
jeszcze ziemski sen przywracający łaskę
oddechu
przed wędrówką w niewyobrażalne:
Nieskończone!

święty dar życia jak tylko może
podtrzymuje czas ciała i myślenia

testament

nierozwinietą jeszcze wiecznością jest
człowiek

chciałabym zostawić po sobie
źdźbło trawy nietknięte
przez mój wzrok
dotyk
rozum
wolne nie zatrzaśnięte w więzieniu języka

chciałabym zostawić po sobie
źdźbło trawy nieponiżone
ludzkim głosem
aby przechodzący człowiek
czuciem słyszał śpiew światła
p r z e i s t a c z a j ą c e g o

chciałabym zostawić po sobie
radosną ciszę nieznanej w świętości ziemi
i wieczną rodność zielem
niewypowiedziane Słowo
oczekującą w świętości ciszę
by mogła w człowieku wyłonić się myśl z
wiecznego Światła

pragnę pozostawić uśmiech i wdzięczność
życiu i Ziemi

jeszcze nierozwiniętym w istocie życia jest
człowiek

z polskiego baroku

komu panna nadobna - dwakroć gdy teraz
szczęśliwie majętna!
szczebiotliwie jakby niechcący odsłania
muśliny
powabnie odsłaniając miejsca sekretnych
rozkoszy
temu nie w głowie choćby zgiełki okazałych
koszar
ni zacisza snu w ministerialnych gabinetach
ni majętność insza luboż inne męskie
krotochwile
czy jawne pójście na całego w grę zwaną
ruletką
taki dyshonor pannie na sutych piernatach
w przestrzennym pałacu z pokaźnym wszak
kontem
czynić nie wypada przed czasem ożenku

komu panna puszysta i zwinna jędrnością
rysica
lubieżne zarzuca namaszczone wonnościami
rączęta
temu nie w cnotliwy las uciekać ni w
ptriotyzmy
lecz się gotować
bo panna swawoląc wielce jest wszak
wymagającą
potrza mieć w pełni krzepę bożą
potencyą żywota wszak tu należy sprostać
by móc później tajnie zwinnością tygrysią
sięgnąć
z łoża pełnego krotochwil uciesznie
miłosnych
po dwakroć umiłowany i podniecający posag

kiedy to się spełnia
pani nie jest już tak wielce rysicą powabną

jednak pani bez zmrużenia oka ostrością
rozumu
kładzie twardą rękę na swych wszystkich
kontach

list z podlasia

Tu bezustannie blask jesiennego południa
przypomina dojrzały spokój mędrców.
Ziemia powoli zapada w majestatyczny sen.
Opadające listowie spełniło swój cel i oto teraz
ustępuje miejsca następcom, uobecnionym już
w pączkach.

Niedługo śnieg przykryje ziemię z wieloma
naszymi braćmi,
bo rośliny i drzewa są od nas o miliony lat
starszym
rodzeństwem świetlistego Nieba i Ziemi.

Cichną głosy w lasach, nad łąkami, polami.
Jesienne południe pełne blasku spowijającego
domy
w których słychać radosne głosy dzieci,
podniesione głosy, wołania, pokrzykiwania,
nawoływania,
płacz żałobny - - -
Wrze wszelki żywioł życia.

Tu bezustannie w blasku jesiennego południa
objawiają się wieczne czasy przemian i prawa.
Tu dorzeczne, przyziemne, doczesne
jest nierozdzielnym licznikiem
z mianownikiem - Wieczności!

Na zielonym Podlasiu niezmienna Przemiana!
Tu światłość umysłu jednaka jak i w Tybecie!
Tu rzeka Heraklita płynie w krwioobiegu!
Nic się w niej nie unicestwia, lecz przemienia!

Na Podlasiu człowiek jeszcze odchodzi ze
świętej Ziemi
w jakąś niepojętą w słowie - Światłość
w której został upostaciowiony w poczęciu.

Marianna Bocian

Urodziła się we wsi Bełcząc koło Radzynia Podlaskiego 26 kwietnia 1942 r. Ukończyła technologię młynarską, równocześnie studiując na wydziale filologii polskiej i wydziale filozofii na Uniwersytecie Wrocławskim. Pracowała jako bibliotekarka, korektorka, redaktor, m.in. w miesięczniku "Nowator". Publikowała w "Odrze", "Kontrastach", "Akancie". Opublikowała tomy wierszy: Poszukiwanie przyczyny (1966), Wieża Babel Pospolita (1972), 14 wierszy (1973), Narastanie (1975), Proste nieskończone (1977), Scalone z rozkładu (1977), Actus hominis (1979), Strzępy fotografii (1979), Ograniczone z nieograniczonego (1982), Odczucie i realność (1983), Spojenie (1988), Stan stworzenia (1989), W kręgu stanów ludzkich (1995), Bliskie i konieczne (1998); zbiory prozy: Odejście Kaina (1979), Przebudzeni do życia (1984); wiersze dla dzieci Narodziny słowa (1991). W latach 70. związana z ruchem poezji konkretnej, kierunkiem z pogranicza plastyki i poezji. Do ostatniej chwili pracowała z piszącą młodzieżą na warsztatach literackich w Nysie, Zgorzelcu i Brzegu. Zmarła 5 kwietnia 2003 roku w Radzyniu. Poetka została pochowana w Czemiernikach w rodzinnym grobowcu.



WERONIKA JĘDRZEJCZAK

Symfonia neapolitańska

Wybrzmiała już ostatnia melodia wieczoru.
Morze zamknęło słońce w kryształowej
cieśni.
Noc zawładnęła światem, który bez oporu
zasnął, ukołysany w takt jej cichej pieśni.

Tylko światłami latarni zbudzone ulice
zaczęły swe spacery, sunąc pod stopami
podchmielonych kloszardów. Smutne
ladacznice
stanęły w dusznych bramach, handlując
wdziękami.

Noc, pisząca gwiazdami drżące pięciolinie,
wygrywa na cyprysach wiatrem maestoso.
Na portowym nabrzeżu niczym na
pianinie
fale intonują rytmicznie, arioso.

W przepełnionych tawernach starzy
marynarze
snują smętne historie tytoniem pachnące.
Z przyciężkimi głowami od wina i marzeń,
śnią o hebanowym lądzie, wypalonym
słońcem.

Cmentarz miejski

tutaj łez moich - naszych
zakrzepłe kryształy
ściany
wstydliwie kryją blizny
od wystrzałów
pod plastrami obrazów

i przetykane liśćmi
zżółknięte stronnice
niedokończonych książek
i muzealnie martwe -
choć żywe ulice
za oknem rozbiegane
w tramwajowym pędzie

a śmierć tak jest jak była -
tam pod murem
w rzędzie stali chłopcy
jak jabłka zrywane jesienią
czerwienieli na bruku

a tu gdzie nad ziemią
gałęzie swoje zwiesza
smutno pochylona
lipa - wciąż jeszcze pachną
parujące strzępy
rozerwanych -

dziewcząt
z kokardami we włosach
nikt nie pocałuje
usta zamiast śmiechu
mają pełne ziemi

odchodzę w pośpiechu
a ów miejski cmentarz
stwarza dalej pozory
beztroskiej zieleni

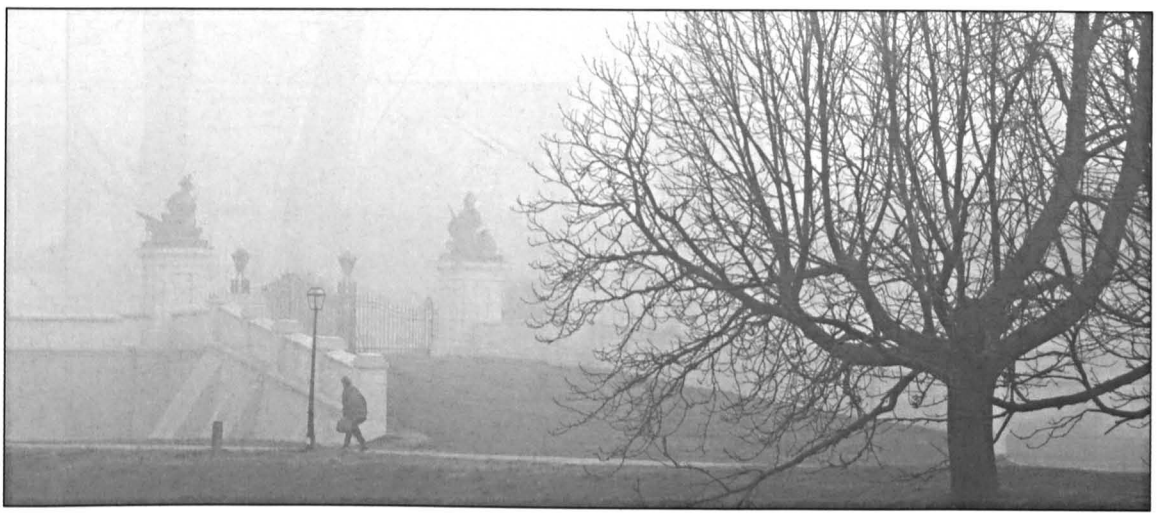


TOMASZ MŁYNARCZYK

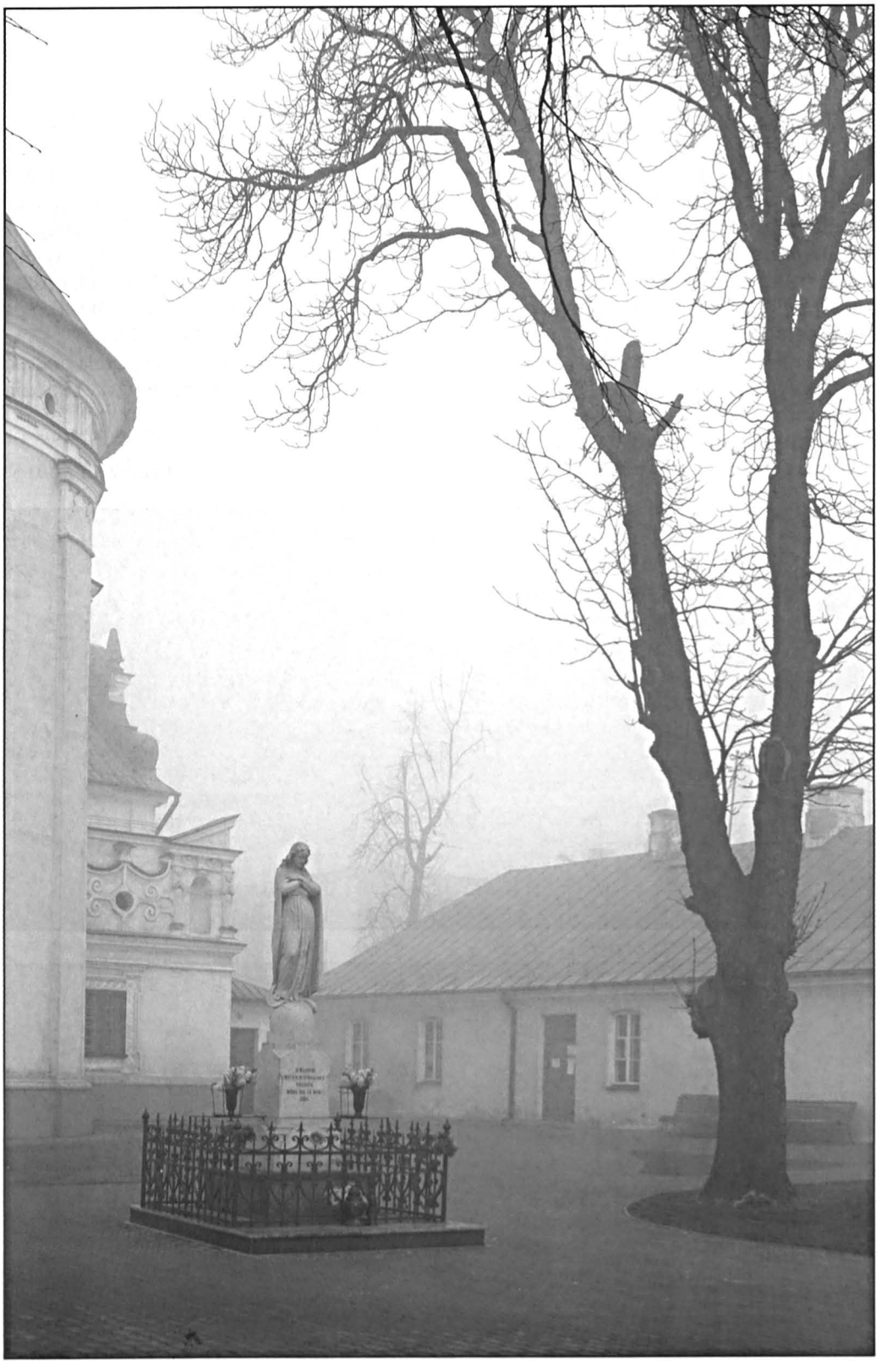
Radzyń Podlaski należy do miast szczęśliwych, m.in. za sprawą mieszkających tu osobowości - takich jak Tomasz Młynarczyk. Ma on wszystkie cechy dobrego fotografa: wszechstronność warsztatową, jaką posiadł dzięki własnej pracy i talentowi, plastyczną wyobraźnię, "oko" i odrobinę szczęścia. Tomek - jako fotokronikarz - przedstawia pełne historycznego patosu obrazy Radzynia przepełnione poranną poetyką mgieł, przy czym bezwiednie, nie czyniąc żadnych manier naśladowczych, mistrzowsko kontynuuje styl Edwarda Hartwiga z twórczego okresu lubelskiego.

Konsekwentnie, jak na Podlasiaka przystało, wykorzystuje każdą sposobną chwilę do rejestracji nastrojowego promienia świetlnego na murach pałacu, świątyni czy po prostu radzyńskiego bruku. A wszystko ożywia przemykającą, wynurzającą się z tychże mgieł, postacią spieszącą do pracy, szkoły lub tylko po bułki i mleko. Każda publikacja Młynarczyka, to kolejna porcja doznań estetycznych na coraz wyższym poziomie artyzmu.

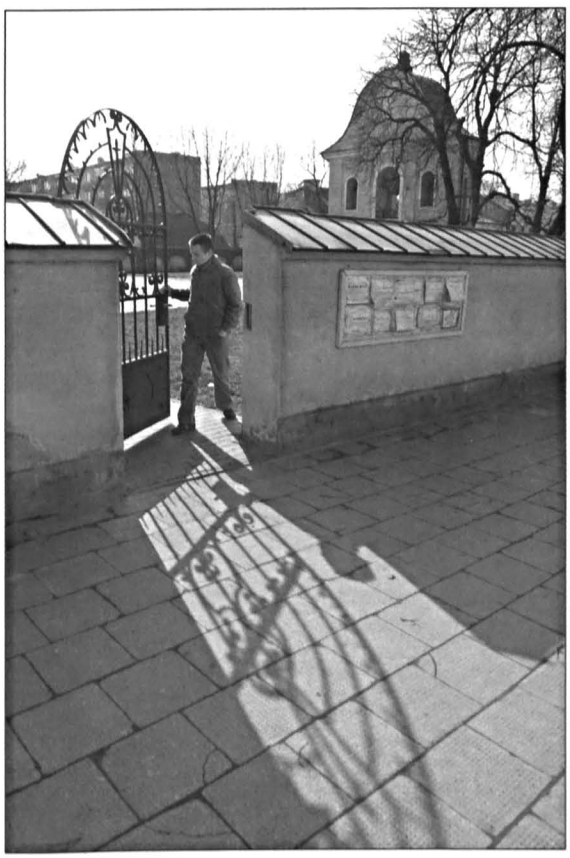
Krzysztof anin Kuzko











Tomasz Młynarczyk

Ur. w 1971 roku Radzyniu Podlaskim. Członek Związku Polskich Fotografów Przyrody, Fotoklubu Rzeczpospolitej Polskiej - Stowarzyszenia Twórców, założyciel, pierwszy prezes, członek Radzyńskiego Klubu Fotograficznego "Klatka".

Przez kilka lat współpracował z Magazynem Społeczno-Kulturalnym "Grot" jako główny fotograf pisma.

Publikował w wielu wydawnictwach albumowych (m.in. współautor *Doliny Tyśmienicy*), książkach, folderach, kalendarzach, czasopismach lokalnych i ogólnokrajowych.

Animator ruchu fotograficznego w powiecie radzyńskim.

Laureat kilkudziesięciu nagród i wyróżnień, autor kilku wystaw indywidualnych oraz ponad sześćdziesięciu zbiorowych w kraju i za granicą.

Laureat konkursu "Promujemy najlepszych", organizowanego przez Radzyńskie Stowarzyszenie Inicjatyw Lokalnych w kategorii "Najlepsza inicjatywa kulturalna - najlepszy kreator kultury" za rok 2007.

Zdobywca tytułu Fotografa Roku 2003 ZPFP.

Jego fotografie znajdują się w zbiorach specjalnych Wojewódzkiej Biblioteki Publicznej im. H. Łopaciń-skiego w Lublinie oraz w zbiorach prywatnych w kraju i za granicą.



WOJCIECH SZMIGOŃ

Paranoje

(„...czy w nocy dobrze śpicie
czy śmierci się boicie..." Siekiera)

to nie sny tylko ta martwa cisza przed północą
czasem do nas przychodzi intymnymi pytaniami
odchodzi, cierpiąc lodowatym hałasem prysznica

wódka, woń wschodu jeszcze obok nas siada tęsknotą
piwo, przyjaciel częstuje dymem z tanich papierosów
czerwone sztandary zamieniliśmy w gesty o smaku wina

pogo z Siekierą uzależniało od adrenaliny, pamiętasz?

„...pierwszy oddział, dobrze jest..."

książki były wtedy chyba lepsze od zioła, nadrealne

Ulisses Joyce'a objawił nam nową świadomość
Kompleks Portnoya był naszym kompleksem

żyliśmy zbyt krótko *Grą w klasy,*
Buszowaniem w zbożu
gdzieś przy pierwszym mocnym skręcie zgubiliśmy boga

Pan Gustav *(Le Bon)* wciąż dręczył
Psychologią tłumu
Krishnamurti dał chwilę refleksji *Wolnością od znanego*

tamtej nocy szaleństwo wyszło za nami na parapet
w pokoju przy muzyce cierpieliśmy za miliony
za oknem zdychała nasza ostatnia czarno-biała noc

„...a ty nie możesz czekać "

noc trwała, muzyka grała, wódka się chlała
Bóg się roił, on pił i brał, ona tylko tańczyła

Bóg dezerterów

Robertowi

'polej Czarny', mówi, ręka sięga odruchowo po papierosa
naga żarówka perwersyjnie kołysze się nad pijaną ławą

'Celina' ktoś dodaje *'nazywa się Celina Hiszpańska'*, dźwięki płoną
'...a nad nią bieży baranek' pustka wypełniona sensem *'pamiętasz Siekierę?'*
'między nami dobrze jest...' jeszcze raz śpiewaj ciężkie sny o górach
'....Ty musisz zaraz ruszać', picie zimnej wódki, bo tylko tamte emocje naprawdę dziś czynią nas wolnymi od przekonań... od tego całego syfu

patrzysz na własne odbicia w nocach za wczorajszymi szybami
czas gdzieś się kołysze, dotyk wyklętej wiary Boga dezerterów
'puść jeszcze raz Siekierę, Bracie!'


LOCVS SILVESTRIS
SIGILLVM CAPRARIAE



JESZEK SOKOŁOWSKI

BIAŁORUŚ.

Komentarz subiektywny do reportażu *Inny świat* (Kozirynek nr II/Jesień 2007)

Jeśli myślę o Białorusi to nie potrafię bez spirali emocji, bez wewnętrznego zaangażowania ze względu na mieszkających tam moich przyjaciół, zarówno Białorusinów jak i Polaków. Trudno wtedy o obiektywny komentarz, chociaż łatwo byłoby wygłosić kilka stereotypowych opinii wpisanych w obiegowe poglądy wykreowane przez politologów i media. Jednak osobiście uważam, że większość opinii jest zbyt powierzchownych i często pod dyktando „politycznych strategii". Czemu służą na przykład wywody o państwowości Białorusi, że to kraj gdzie nie używa się ojczystego języka, w którym mieszkają wszystkie nacje oprócz tej reprezentatywnej, czyli Białorusinów? Słyszałem też wiele innych, z którymi tylko znawca semantyki mógłby się zmierzyć, począwszy od rozbioru nazwy Republika, na Konstytucji kończąc. Tworzy to bardzo powierzchowny wizerunek państwa „na skróty". Nie neguję tych opinii, nie podważam ich, nie dociekam intencji autorów gdyż uważam, że tak naprawdę nic z nich nie wynika dla zrozumienia tego młodego państwa. To co dla mnie najistotniejsze, to ludzie żyjący na tej ziemi, ich wzajemne relacje, codzienne zmagania z rzeczywistością, postrzeganie wewnętrznych zmian na tle globalnych przeobrażeń. Rozmawiam z „moimi" Białorusinami otwarcie, odwiedzam ich i często goszczę u siebie w Polsce. Możemy dyskutować bez uprzedzeń, bronić swoich racji nieskażeni propagandowymi tezami o wyższości, czy słuszności naszych ustrojów. Moi goście dumni są z swojej niezależności wobec zachodu, Unii Europejskiej i NATO , a za naturalne uważają konglomerat na wszystkich płaszczyznach z Rosją. To przecież bracia krwi, to nie obcy, dlatego są sceptyczni wobec obcego kapitału i bardzo niechętnie dopuszczają myśl, że wcześniej czy później następne pokolenia dopro-wadzą do połączenia ich kraju z Europą w różnych konfiguracjach.



Ilona Pękała

Pytanie, czy izolacja jest słuszna, czy utrzymanie gospodarki w swoich rękach, lęk przed obcym kapitałem są złe? Czy to tylko propagandowe hasła mające na celu utrzymanie się przy władzy „obozu" Łukaszenki? Zmiany jednak następują, bez względu na ksenofobiczne deklaracje władz, na ulicach większych miast widać je gołym okiem, prywatyzuje się sektor usługowy: apteki, restauracje, sklepy, kwia-ciarnie, drobne zakłady produkcyjne. Głównie uwłaszcza się nomenklatura, ci którzy są rękojmią władzy, struktury nierzadko o mafijnym charakterze w włoskim stylu lat 70-tych i ci bardziej przedsiębiorczy, którzy jeżdżą



Mirosław Koczkodaj

do Polski i dalej na zachód w celach handlowych i zarobkowych. Państwo stworzyło też strefy dla kapitału zagranicznego, tzw. kapitalizm punktowy, który działa na jasno określonych warunkach, zliberali-zowano wiele przepisów eliminując biu-rokratyczne przeszkody, min. prawo budowlane (daj Boże, żeby w naszym kraju ktoś w końcu o tym pomyślał), czego efe-ktem są osiedla domków jednorodzinnych jak grzyby wyrastające na przedmieściach większych aglomeracji. Ale jest i druga strona medalu, podróżując w głąb kraju jawi się obraz rozpaczliwy, obraz siermię-żnej wsi, opuszczonych kołchozów. Nitki asfaltowych szos nagle kończą się i zmieniają w wyboiste trakty, kilometrami mija się zarośnięte chwastami, nie obsiane pola. I obrazki symboliczne jak wiejski sklep, w którym jest wszystko, ale bardzo drogo: ryby, owoce, konserwy mięsne, czekolada, kawa, wódka, coca-cola i dwie starsze kobiety niosące w swoich dłoniach pomarańczę z nieprawdopodobnym szczęściem w oczach. Różnice między poborami a cenami są oszałamiające, z ekonomicznego punktu nie do pojęcia. Profesor matematyki z uniwersytetu pobiera 200 dolarów emerytury, oficer w stopniu pułkownika 400, a są to przecież elity. Mięso w jadłospisie pojawia się od święta, główne menu to kasze, makarony, ziemniaki z omastą i zupy. Pytanie jak to działa? Dwadzieścia lat temu w naszym kraju żyliśmy podobnie i jakoś działało, to jedyna odpowiedź. Opłaty za gaz, prąd, telefon, czynsz nie są wygórowane, a nawet można by rzec subsydiowane przez państwo i to jest jakaś ulga dla domowych budżetów. W dzisiejszym świecie, gdzie nowe technologie trafiają na wszystkie rynki, i naturalną globalizację trudno nawet przez najostrzejszą dyktaturę izolować narody, zamykać się przed nowymi, starymi prądami ideologicznymi. Politolodzy wieszczą, że nie ma innej drogi dla Białorusi, czy mają rację? Podają za przykład Ukrainę, ale czy to adekwatne? Białoruś, pomimo swojego położenia geograficzne-



Ilona Pękała

go, a w szczególności sąsiedztwa z Rosją, przechodzi okres specyficznej, własnej transformacji, ale na razie to swoista hybryda, gospodarcza i kulturowa. Jeszcze kilka słów o sprawach białorusko polskich, czyli tzw. Polonii. Nie zamierzam tu komentować przyczyn zawirowań i rozłamu w Polskim Związku i roli pani Angeliki Borys. Napisano o tym mnóstwo i „sprawa" ma swój dalszy ciąg. Na pewno bym chciał, aby to była prężna, przejrzysta organizacja z jasnym statutem, służąca Polakom i przede wszystkim niezależna. Na pewno konflikt ten mocno komplikuje i dezorganizuje prace w polskim środowisku. Ideowe „zadęcie", jakie towarzyszy tym wydarzeniom od dwóch lat, zaciemnia prawdziwy obraz mrówczej pracy innych organizacji polonijnych, których działacze stanęli przed nowymi dylematami. Jak bowiem w otwartej wojnie z białoruską władzą można zwracać się do niej o pozwolenie na realizację swoich programów: organizowanie sympozjów, zjazdów czy okolicznościowych imprez? Wydeptanie takiej ścieżki do władz bywa teraz często poczytane za (delikatnie ujmując) uległość, a nawet kolaborację. Rzeczywistość jest taka, że z każdą najmniejszą inicjatywą organizacje polonijne muszą się zwracać o pozwolenie do specjalnego urzędu, ale to nic wyjątkowego, nikogo to zresztą nie dziwi. Ze wsparciem konsularnym też bywa różnie, a bywa nawet dość groteskowo od strony personalnej, jak bowiem nazwać udział przedstawiciela naszego kraju w otwarciu muzeum Tadeusza Kościuszki, bohatera narodowego Białorusi, w którym to muzeum nie ma ani jednego opisu w języku polskim. Zakrawa to na anegdotę, ale nią nie jest. Jeśli dodam, że kilka kilometrów dalej stoi pomnik Aleksandra W. Suworowa, również bohatera narodowego Białorusi, to trzeba przyznać, że towarzystwo, w jakim znalazł się przywódca kosynierów, jest co najmniej „symboliczne" dla relacji polsko-białoruskich. Tak jak i zaangażowanie przedstawicielstw rządowych w przedsięwzięcia polonijnych organizacji, które często kończy się na funkcjach reprezentatywnych, czytaj: zjedzenie obiadu, czy wygłoszenia kilku oklepanych, stereotypowych przemówień. Nikt chyba w MSZ nie rozumie, że te funkcje nie powinny być obsadzane przez przypadkowe osoby, których jedynym przymiotem jest znajomość języka rosyjskiego, że specyfika kraju wymaga obecności ludzi czujących drzemiącego tam ducha polskości. A może takie są dyrektywy z „centrali", żeby zbytnio nie angażować się w sprawy Polonii i nie drażnić Mińska? Jest też sprawa ważna, jak wielu moich rozmówców twierdzi, bardzo żenująca, sprawa dotacji, pieniędzy, które płyną z całego świata na polskie szkoły, młodzieżowe zespoły pieśni i tańca, imprezy integracyjne. Pieniądze te trafiają na konta fundacji zakładanych przez rozmaite „autorytety" przybywające z naszego kraju „na pomoc" w krzewieniu i ratowaniu polskiej mowy, kultury i na tym koniec. Moi rozmówcy twierdzą, że walka pomiędzy polskimi związkowcami idzie właśnie o te fundusze. Razem z przyjaciółmi marzymy o otwarciu granic, normalnych kontaktach bez politycznych haseł i ideowych pohukiwań, jesteśmy sobie bliscy poprzez kulturę i sąsiedztwo, jesteśmy przecież Europejczykami. W takim klimacie obecne wewnętrzne relacje białorusko-polskie byłyby jedynie złym wspomnieniem.



JAN HENRYK CICHOSZ

Fotografia wykopana

Brak początku, kropka, przecinek,
kamyk, ziarenko piasku, zadziwienie.
Nie zdjęta z ręki bransoleta.
Nie wyjęta z piersi strzała.
Jakieś kreski, znaki zapytania.
Wielka Cisza...

Godzenie się

Włos, po włosie.
Zmarszczka, po zmarszczce.
Ząb, po zębie.
Dzień, po dniu.
Noc, po nocy.
Krok, po kroku.
Krzyk, po krzyku.
Kropka, po kropce.
Cisza, po ciszy.
Nadzieja, po nadziei.
Nic, po nic.

Stary ojciec

W szpitalnym łóżku siwy jak gołąbek,
zagubiony jak zając, który leciał przez miasto
i dziwił się, że tu tyle ulic, a żadnej drogi,
leży samotny i biedny jak mysz kościelna
wstydliwie zasłaniając, swoją koszulą lnianą,
wszystkie swoje lata i całą wieś
z biednym wikarym, który ciągle w drodze,
ze wszystkimi sąsiadami co umarli pierwsi
zapachem siana w stodołach na przestrzał,
ze wszystkimi śpiewami na umarłych już ścieżkach
i życiem odchodzącym na zawsze...



PRZEMYSŁAW KRUPSKI

ULICA POETYCKA W ZAMOŚCIU

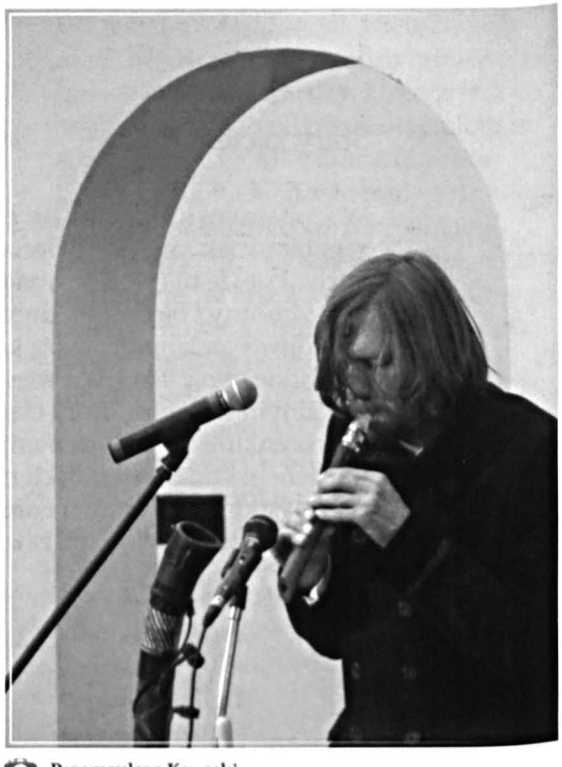
24 maja 3/4 składu naszej redakcji zagościło przez chwilę w Zamościu na wydarzeniu kulturalnym pt. "Adres: ulica poetycka. Klasycy zamojskich ulic. Literackie ulice świata". Tego dnia najciekawszym (jak dla nas oczywiscie) punktem imprezy było forum pism kulturalnych ściany wschodniej, do którego to grona (nie tak bardzo wąskiego, jak się okazuje) zaliczono także nasz - młody stażem i średnią wieku - kwartalnik. Do czegoś na kształt duskusji o kondycji i przyszłości pism kulturalnych poza "Kozimrynkiem" zaproszono także pisma: Akcent (Lublin), Egeria (Chełm), Fraza (Rzeszów), Kresy (Lublin), Lublin (Lublin), Nestor (Krasnystaw), Podlaski Kwartalnik Kulturalny (Biała Podlaska), Pociąg 76 (Warszawa - Krzyżowa), Światłocienie (Lublin), W kręgu kultury (Lublin) i Zamojski Kwartalnik Kulturalny.

I niby wszystko w porządku - tytułów cała masa, ich redakcje stawiły się niemal w komplecie, ludzi chętnych do dyskusji całe długie krzesełek rzędy, ale...

Właśnie. Coś nie wypalilo. Sam pomysł chwalebny i potrzebny, lecz wykonanie... Nawet nie polskie, bo gdyby było po polsku - impreza mogłaby się skończyć miłą sercu integracją środowiska w pobliskim pubie i wspólnym narzekaniem na brak finansów, niezrozumienie ze strony samorzadów lokalnych itp. trudnościach towarzyszących wydawaniu pisma kulturalnego na wschodniej ścianie RP. Tak się nie stało.

Na panel dyskusyjny organizatorzy przeznaczyli "aż" godzinę, z czego połowę czasu zajęła prezentacja poszczególnych tytułów i licznie przybyłych członkow redakcji. Nie obyło się bez zabawnych akcentów, jak np. powitanie naszej konfraterni przez prowadzącego, który przedstawił nasze pismo w sposób sugerujący jednoznacznie, że ani jednego numeru nie przeczytał, a także pewnej pani redaktor, która będąc "przy głosie" wyraziła szczere zdumienie połączone z nie mniej szczerym ubolewaniem nad kierunkiem rozmowy, bo my tu o pieniądzach i nakładach, a ona miała nadzieję na wierszy czytanie... Wniosków zapadających w pamięć po rozmowie nie odnotowano. Literacko - kulturalne towarzystwo redaktorów wysłano "w miasto" na przymusową przerwę. I po integracji. Reasumując - minusem imprezy był zbyt napięty program, który, jak podejrzewam, żadnej z jego części nie pozwolił w pełni "wybrzmieć". Skończyło się zanim się na dobre zaczęło a na koniec - jak w wierszyku Andrzeja Waligórskiego: "wstali, ubrali się i rozeszli się do swoich domów".

Plusy - koncert Sambora Dudzińskiego, który jak zwykle zagrał i zaśpiewał genialnie, bez trudu oczarowując publiczność. Genialny był także "Bigos u Poteów" w pobliskim Corner Pubie. Jednak tego dnia najbardziej wartościowym "klasykiem zamojskich ulic" okazał się nasz przewodnik Tomek Świrgoń z redakcji "Tygodnika Zamojskiego", dzięki któremu w najbardziej nastrojowych piwniczkach starówki udało nam się jakoś przetrwać przy śledziku i napojach chłodzących długaśne przerwy między kolejnymi odsłonami kulturalnej "uczty".



Przemysław Krupski

RADZYŃSKIE STOWARZYSZENIE INICJATYW LOKALNYCH - KONFRATERNIA KOZIRYNEK

ogłasza II (herbertowską) edycję konkursu plastyczno - literackiego

"CHICHOT CHIMERY"

temat przewodni: PUDEŁKO ZWANE WYOBRAŹNIĄ

REGULAMIN

1. Celem konkursu jest:
- ujawnianie talentów i promocja uzdolnionych twórców,
- prezentacja najlepszych prac na łamach Kwartalnika Kulturalnego „Kozirynek", stronach internetowych Stowarzyszenia oraz w mediach,
- promocja i rozwój twórczości literackiej i plastycznej,
- promocja twórczości i osoby Zbigniewa Herberta.

2. Konkurs przeznaczony jest dla wszystkich zainteresowanych bez względu na miejsce zamieszkania i wiek.

3. Konkurs obejmuje trzy kategorie:
- w kategorii poezji należy przesłać 3 wiersze,
- w kategorii prozy należy przesłać 1 opowiadanie do 10 stron znormalizowanego wydruku,
- w kategorii grafiki należy przesłać 3 rysunki/grafiki

4. Tematyka prac jest dowolna.

5. Prace będą oceniane pod względem:
- oryginalności,
- wartości artystycznych,
- wartości językowych i warsztatowych.

6. Prace oceniać będzie Jury, w skład którego wchodzą członkowie redakcji Kwartalnika Kulturalnego „Kozirynek": Mariusz Bober, Przemysław Krupski, Dariusz Magier i Adam Świć.

7. Na Konkurs należy zgłaszać utwory dotąd nie publikowane i nie nagradzane w innych konkursach. Wszystkie prace powinny być wyłącznie indywidualne i polskojęzyczne. Każdy uczestnik ma prawo zgłosić tylko jeden raz swoje prace w każdej z trzech kategorii kategoriach.

8. Do konkursu będą przyjmowane prace wydrukowane / wykonane na papierze o formacie A-4 (wraz z wersją elektroniczną na płycie CD), opatrzone własnym godłem. W osobnej, zaklejonej kopercie należy zamieścić kartę zgłoszeniową z danymi osobowymi (imię i nazwisko, adres zamieszkania, kontakt).

9. Prace należy nadsyłać lub składać do dnia 30 września 2008 roku na adres: Radzyńskie Stowarzyszenie Inicjatyw Lokalnych, ul. Rynek 9, 21-300 Radzyń Podlaski – z dopiskiem: KONKURS.

10. Dla autorów najlepszych prac z każdej z kategorii przewidziane są nagrody finansowe. Organizator konkursu zastrzega sobie prawo do potrącenia zryczałtowanego podatku dochodowego od nagrody zgodnie z art. 30 Ustawy o podatku dochodowym od osób fizycznych.

11. Wszystkie prace wyróżnione przez Jury będą publikowane na łamach kwartalnika Kulturalnego „Kozirynek", stronach internetowych Stowarzyszenia i w mediach w celu promocji twórców.

11. Wyniki Konkursu zostaną podane do wiadomości publicznej.

12. Uroczysta gala finałowa wraz z wręczeniem nagród i wyróżnień odbędzie się w listopadzie 2008 roku. O terminie i miejscu wręczenia nagród wszyscy uczestnicy zostaną powiadomieni listownie, telefonicznie bądź za pośrednictwem internetu.

13. Dane osobowe uczestników pozyskane dla celów konkursu nie będą udostępniane osobom trzecim. Organizatorzy nie zwracają nadesłanych prac, natomiast w stosunku do wyróżnionych i nagrodzonych utworów zastrzegają sobie prawo ich prezentacji i publikacji bez honorarium za prawa autorskie na łamach Kwartalnika Kulturalnego „Kozirynek", na stronach internetowych i w mediach tylko w celu promocji uzdolnionych twórców.

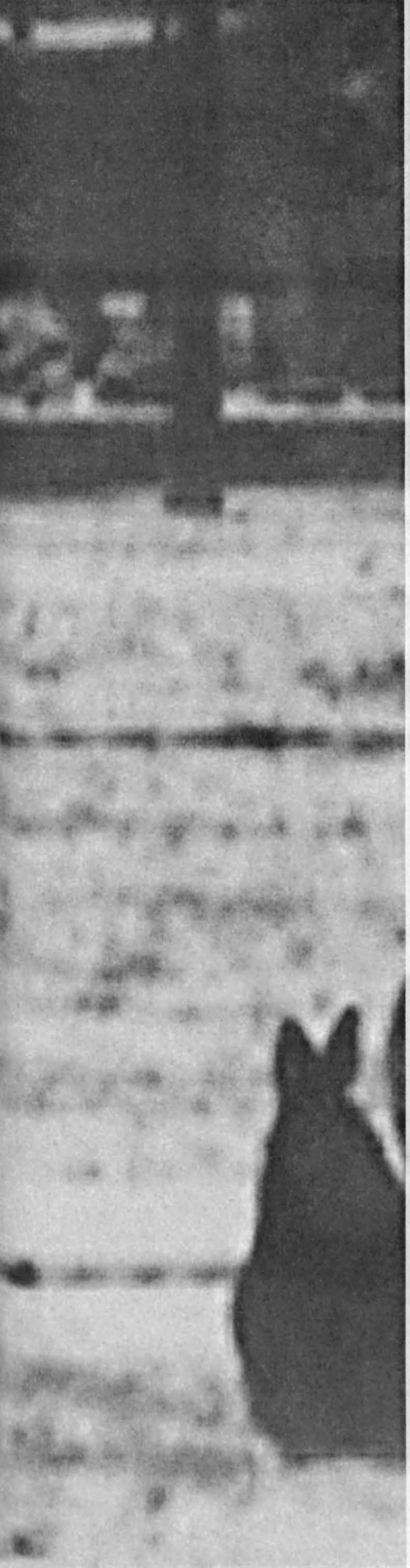
Komisarz konkursu
Dariusz Magier

MEDIUM... POST... MORTEM... (Vol. II)

Artyści:
Mirosław Bałka - Józef Bury - Marta Deskur - Stanisław Dróżdż - Izabela Gustowska
Miho Iwata - Rafał Jakubowicz - Grzegorz Klaman - Piotr Kurka - Konrad Kuzyszyn
Dominik Lejman - Zbigniew Libera - Łukasz Skąpski - Edyta Wolska

Autor i kurator projektu: Roman Lewandowski

Organizacja:
Bałtycka Galeria Sztuki w Słupsku, dyr. Edyta Wolska
Galeria Sztuki Współczesnej BWA w Katowicach, dyr. Marek Kuś
Od 13 czerwca do 27 lipca Galeria BWA w Zielonej Górze, dyr. Wojciech Kozłowski



MEDIUM... POST... MORTEM...

Projekt cyklu wystawienniczego Medium... Post... Mortem... jest próbą zreflektowania i zdiagnozowania kondycji oraz potencjału współczesnej sztuki w kontekście zmian i przedefiniowania klasycznego medium, jakie miały miejsce na przestrzeni minionych kilku dekad. Punktem wyjścia dla autora projektu stała się idea przenikania się oraz łączenia właściwości różnych mediów w obrębie jednego dzieła. Stąd prezentowane prace obrazują proces i ewokację transgresywnego myślenia o dziele oraz medium. Z tych też powodów prezentowane wystawy są przede wszystkim demonstracją prac artykułujących problematykę matrycy oraz metod jej przekroczenia w materialnym, medialnym i konceptualnym rozumieniu.

Obydwie odsłony Medium... Post... Mortem... są konstatacją obecnego kształtu, potencjału i status quo dzieła sztuki, a przede wszystkim ewolucji myślenia o medium, jaka nastąpiła w efekcie radykalnych przewartościowań w sztuce lat 70. i wyłonienia się konceptualnego paradygmatu praktyk artystycznych. W ślad za tymi zmianami - jak pamiętamy - podążyły redefinicje środka przekazu oraz samego dzieła, a także rozwój mediów elektronicznych, cyfrowa multiplikacja i powołanie intermedium czy multimediów. Nie bez znaczenia jest i to, że żyjemy dziś już w zupełnie innych realiach niż Warhol bądź Rauschenberg, czego egzemplifikacją są współzależności sfery władzy i wiedzy z przestrzenią widzialności. Symptomatycznym przykładem tych relacji i uwikłań mogą być socjologiczne, polityczne i estetyczne reperkusje terrorystycznego ataku na World Trade Center w 2001 roku.
W rezultacie zaistniałych przemian oraz konwersji sfery widzialności sztuka stanęła wobec nowej sytuacji – innego świata, innych mediów i innego stylu myślenia.
Nieoczekiwanie proces dekonstruowania i rekonstruowania tradycyjnego medium stał się w istocie problemem ontologicznym i eschatologicznym. Dotyczy bowiem zarówno sztuki jak i życia, odnosi się do dzieła oraz do człowieka.

Cykl wystawienniczy Medium... Post... Mortem... jest przewrotną egzemplifikacją tej sytuacji. W zamierzeniu kuratora projektu ekspozycja ma ukazywać stany graniczne – dzieła, sztuki, rzeczywistości... Stąd też koncepcja ukazania tego procesu w dwóch wymiarach: semantycznym oraz mitograficznym. Z jednej strony prezentowane dzieła mają reprezentować transgresję na planie językowym, gdyż są efektem przekroczenia tradycyjnego medium (np. malarstwa, fotografii, rzeźby itd.), z drugiej zaś – mają artykułować świat reprezentacji podlegający zmienności, przechodniości i przemijaniu. Wystawy zatem akumulują dzieła oraz pokazują artystyczne postawy, dla których punktem wyjścia (bądź też wiążącym je kontekstem) są artystyczne realizacje ukazujące aspekt mobilności lub transgresji – na planie matrycy, znaku, artysty.
Niezależnie od problematyki medium przekraczającego swe ograniczenia – istotnym tematem tej prezentacji są również stany „graniczne" świata przedstawionego. Pojawiająca się w tym kontekście problematyka eschatologiczna oraz tematyka abjectu (traumatycznych treści podmiotu wypieranych ze świadomości) może być ukazana – a rebours – w perspektywie afirmatywnej – jako proces rozpadu i jednocześnie wyłaniania się nowych form. Niezależnie od tego przedsięwzięta przez niektórych artystów estetyzacja nie musi oznaczać etycznego relatywizmu, lecz ukazanie „oka cyklonu", który pulsuje w dziele „podskórnie", ukrywając się pod dekoratywnymi czy ornamentalnymi formami.

Roman Lewandowski



organizator

Świdermajer

www.swidermajer.info

Świdermajer. Portret.

WYSTAWA FOTOGRAFII

Toufexis Brzostek Krakowiak Wodiczko
Diehl Tyralski Boguszewski Borychowski

mecenas wystawy

FOTO express lab

Otwock, Muzeum Ziemi Otwockiej (28.03 - 25.04.2008)
Brzeg, Galeria Sztuki Współczesnej (1-31.05.2008)
Ryglice, Ośrodek Kultury (8-29.06.2008)
Budziska Wielkie, Regionalna Galeria Sztuki "Gacanek" (5.07 - 22.08.2008)
Nowy Dwór Mazowiecki, Nowodworski Ośrodek Kultury (3 -23.09.2008)
Nowy Dwór Gdański, Żuławski Ośrodek Kultury (3 - 30.10.2008)
Mińsk Mazowiecki, Muzeum Ziemi Mińskiej (9.01-12.02.2009)

patroni medialni

ARCHITEKTURA murator

linia otwocka

cafébabel.com MAGAZYN EUROPEJSKI

KOZIRYNEK KWARTALNIK KULTURALNY

SPOTKANIA Z ZABYTKAMI

NADESŁANE:

książki

- Marianna Bocian, *Listy z Podlasia (wybór wierszy)*, Warszawa 2008
- Anna Buchalska, *Ścieżka przez szarość*, Kutno 2008.
- Jan Henryk Cichosz, *Codzień*, Lublin 2007.
- Andrzej Coryell, *Gronostaj ubrany w króla*, Warszawa 2007.
- Eligiusz Dymowski, *Wędrówki z Nolis*, Warszawa 2006.
- Ewa Korczyńska, *Sercem pisane*, Świdnik 2008.
- Mateusz Melanowski, *Święto kolorów*, Katowice 2007.
- Bartłomiej Piątkowski i Michał Polak, *Bezsenni*, Radzyń Podlaski 2008.
- *POSTscriptum. Antologia 1/2008*, Kraków 2008.
- Magdalena Raczko-Pietraszek, *Przez Ciebie*, Siedlce 2007.
- Tomasz Sobieraj, *Gra*, Łódź 2008.
- Tadeusz Wyrwa Krzymański, tomy: *Całowanie Klamek, Zwierciadła kto: widza w mężczyznach, Ściśle Jawne, Obrus na fundamencie, Ściśle jawne*, Bydgoszcz/Włocławek 2008
- *(Z)nów słów. Debiut 2008*, Zamość 2008.

czasopisma

- „Arkusze Literackie" Stowarzyszenia Twórców Wszelakich, nr 1, 2/ 2007/2008.
- „Lublin. Kultura i społeczeństwo", nr 4-6 (14-16), R. IV, Lublin 2007.
- „Nestor. Czasopismo Artystyczne", nr 2 (2), Krasnystaw 2007.
- „Rzeczpospolita Kulturalna", Rok I, nr 2, 3 i 4, Londyn 2008.
- „Siedlecki Nieregularnik Literacki", nr 1 (9), Siedlce 2008.
- „Zamojski Kwartalnik Kulturalny", nr 1 (94), Zamość 2008.

Bartek Piątkowski i Michał Polak „Bezsenni"

W kwietniu 2008 nakładem autorów ukazał się wspólny, debiutancki tomik wierszy Bartka Piątkowskiego i Michała Polaka. Obaj autorzy są uczniami I LO w Radzyniu. Tomik uzupełniają grafiki Natalii Kostrzewy i zdjęcia Wojciecha Kowalczyka.

Bartek Piątkowski

twoje imię

mógłbym tonąć w twym spojrzeniu
opadając jak łódka w śpiące oceany
niczym mała gwiazda świecić pośród mroku
i wskazywać drogę znaczoną pożądaniem
kroplą tęsknoty zwilżyć twoje usta
a czując dotyk ciała spalać się w milczeniu



Michał Polak

moja heroina

wstrzykuję sobie co dzień
jedną działkę ciebie
wciąż chcę więcej
i więcej i więcej
dawkujesz mi siebie
niczym sprytny diler
wiedziałaś jak uzależnić
wciąż chcę więcej
i więcej ciebie więcej
czasem wystarczy choćby wspomnienie
naszych wspólnych wierszy
pisanych pod jednym kocem
ale ja wolałbym zdrowo przyćpać
dlatego chyba chciałbym więcej
i więcej i więcej
nie!
nigdy kurwa ciebie więcej!

Dofinansowano ze środków
Ministra Kultury
i Dziedzictwa Narodowego
oraz Powiatu Radzyńskiego



* Cena numeru upamiętnia rok 875, w którym zmarł cesarz Ludwik II. Władza centralna ulega załamaniu. Rozpoczyna się pożałowania godny wyścig do godności cesarskiej, której towarzyszą bratobójcze boje w obrębie młodej cywilizacji zachodniej. Gałąź niemiecka, wietrząc zdobycze, atakuje. Zachodni Frankowie stają w obliczu klęski, a władza nad dziedzictwem wymyka się z rąk Karolingów. „Niegdyś mieliśmy jednego króla, teraz mamy wielu królików" - odnotuje z ironiczną nostalgią współczesny kronikarz. Myśli społeczności młodej Christianitas koncentrują się na bliskim - jak się wydaje - końcu świata.